

KAREN ROBARDS

ŻONA SENATORA



Prószyński i S-ka

Robards Karen

Żona senatora

Rozdział 1

Czwartek, 10 lipca 1997

-Kochanie, to z pewnością nie jest hot dog. Przypomina mi raczej frankfurterkę.

Dziewczyna była pijana. Na umór. I w dodatku naćpana koką i Bóg wie, czym jeszcze. Odjechała tak daleko w krainę zwidów, że nie wiedziała, co mówi. Przywołał w pamięci ten fakt, patrząc niechętnie na przedmiot jej drwin. A jeszcze przed chwilą odgrażał się tej dziwce, że wetknie jej hot doga w tyłek.

To, na co patrzyli, było małe i pomarszczone. I wyglądało jak frankfurterka, a nie jak hot dog.

- Maminsynek, maminsynek - zachichotała, patrząc na niego przez ramię.

Stał w nogach łóżka.

- Chyba cię tak przezywają, nie? A przynajmniej powinni. Maminsynek.

To było przyjęcie i nadszedł czas zapłaty. Dziewczyna przywiązana na łóżku dostała już dwa razy, co chciała, i bardzo się jej to podobało. Słabe światło z kasyna Biloxi położonego na niezbyt odległym wybrzeżu wpadało przez dziurkę od klucza, złocąc jej ciało od karku po palce u nóg. Wpatrywała się w niego lśniącymi oczyma poprzez czarną woalkę włosów. Zęby miała bardzo białe. I podobnie jak on była zupełnie goła. Leżała na brzuchu, w pozycji przypominającej kształtem literę X; ręce i nogi przywiązał jej do ramy łóżka jedwabnymi wstążkami, które sama ze sobą przyniosła. Pokręciła kusząco pośladkami poznaczonymi śladami miłosnych ukąszeń jednego z poprzednich partnerów. Wszystko wskazywało na to, że należy do tego rzadkiego gatunku kurew, które naprawdę lubią seks. Mimo wszystko nie cieszył go fakt, że dziewczyna ma ochotę na to, co zamierzał zrobić. A jak wrzeszczała, kiedy Clay jej wsadził. Słyszał te krzyki przez zamknięte drzwi kabiny, czekając niecierpliwie na swoją kolejkę. Ciało plaskało o ciało, dziewczyna chrypiała z rozkoszy, a on stwardniał jak skała.

Ale teraz ten stan minął.

- Będiesz się tylko gapić, kochasiu, czy zamierzasz jednak coś zdziałać? -

spytała.

- Zamknij się. - Pochylił się i dał jej mocnego klapsa.

- Auu!

Wygięła plecy w łuk, udając, że uderzenie naprawdę sprawiło jej ból.

Trzepnął ją jeszcze raz i poczuł, że mu staje. A potem wszystko zepsuła tym idiotycznym chichotem.

- Zamknij się - powtórzył. Wszedł na łóżko i ukląkł między jej rozłożonymi nogami.

- Mam nadzieję, skarbenku, że samo patrzenie ci starczy, bo dzisiaj chyba nic już nie wskórasz. To kapeć.

Chichotała jak wariatka. Zaczął się zastanawiać, czy aby ktoś nie stoi za drzwiami i nie podsłuchuje, tak jak on jeszcze niedawno podsłuchiwał tych dwóch, którzy odwiedzili dziewczynę przed nim. Wszyscy przechodzący korytarzem mogli ich usłyszeć.

Gdy sam stał pod drzwiami, docierały do niego najróżniejsze odgłosy.

Oprócz chichotów.

- Przestań się śmiać - warknął, wciskając jej twarz w poduszkę. Drugą poduszką nakrył głowę dziewczyny, by skuteczniej stłumić jej rechot. Trochę pomogło, choć nadal docierało do niego parskanie. Teraz jednak był pewien, że żaden odgłos nie wydostanie się na zewnątrz kabiny.

Nie zwracaj sobie tym głowy - pomyślał. - Raczej spróbuj się skupić.

Wziął małego do ręki i zaczął go delikatnie pieścić. Bez skutku.

Wmawiał sobie, że to nie ma nic wspólnego z nim. To ona jest wszystkiemu winna. Ona i ten kretyński śmiech.

- Kazałem ci się zamknąć.

Położył się na niej; wielkie cielsko zakryło o wiele mniejsze ciało dziewczyny. Jeszcze mocniej przycisnął poduszkę, która zasłaniała jej głowę.

Podziałało. Już się nie śmiała. A nawet jeśli tak, to on przynajmniej tego nie słyszał, więc było mu wszystko jedno.

W porządku. Udało mu się wreszcie znaleźć pozycję, w której mógł

jednocześnie zamknąć gębę dziewczynie i zrobić swoje. Opadł na nią całym ciężarem ciała i leżał tak, odzyskując powoli godność i oddech.

Było po wszystkim i po raz kolejny zdołał się jakoś wywiązać z zadania.

Pomyślał, że może nie miałby tych wszystkich kłopotów ze wzwodem, gdyby dał sobie spokój z wódą. Albo z koką. Albo z obiema rzeczami naraz.

A może jednak z żadną? Sprawiały mu przecież, do licha, większą przyjemność niż ujeżdżanie kobiety.

Czy ona znów zaczęłaby się śmiać, gdyby zabrał poduszkę? Chyba zabiłby wtedy tę dziwkę. Przecież mogliby ją usłyszeć ludzie z korytarza.

Wreszcie zwłókł się z łóżka. Dziewczyna ani drgnęła. Ubrał się; ruchy miał

nadal niepewne; kombinacja spożytych substancji, seksu i kołysania statku wyraźnie dawały mu się we znaki.

Ktoś załomotał do drzwi.

- Hej ty tam, ogier, skończyłeś?

- Nie zdejmuj jeszcze gatek - odparował, odzyskując dobry humor. Zrobił

swoje i zrobił to dobrze, dziewczyna wciąż leżała na łóżku jak przekłuty balon; najwyraźniej ją wykończył.

Mógł teraz wyjść na korytarz z wysoko uniesioną głową - był facetem jak każdy inny. Wsunąwszy bose stopy w chodaki, zdjął dziewczynie poduszkę z głowy, uszczypnął ją w pośladek i otworzył drzwi.

- Następny - rzucił z uśmiechem, stając w wąskim korytarzu, znacznie ciemniejszym niż kajuta. Ralph omal go nie potracił, był tak trafiony, że ledwo trzymał się na nogach.

- Miałeś z niej jakiś pożytek? - spytał przez ramię, już od drzwi. Uśmiechając się głupio, rozpiął spodnie.

Wzruszył ramionami. Znów czuł się znakomicie. Reszta gości bawiła się na górnym pokładzie, dokąd i on zresztą zmierzał. Muzyka była znakomita, dziewczyny gołe, alkohol zimny, prochy darmowe.

Nie potrzeba więcej.

Zamknięte teraz drzwi kabiny tłumiły nieco odgłosy, ale i tak usłyszał.

- Słodki Jezu - jęknął Ralph, a potem zaczął kłąć.

Rozdział 2

Poniedziałek, 14 lutego, Jackson, Missisipi

- Słuchaj! Chyba mam! Może by ją tak zapłodnić?

Tom Quinlan usadowił się wygodniej na krześle, ale nie zareagował od razu na żartobliwą sugestię przyjaciela. Z rosnącą uwagą i niepokojem wpatrywał

się w szczupłą, rudowłosą kobietę z ekranu telewizora. On i jego wspólnik oglądali instruktażowy film wideo, taki, z jakich korzystają trenerzy przed zawodami, a konkretnie przemówienie

wyłoszone przez kobietę podczas kolacji z dealerami samochodowymi i ich żonami.

Ilekcio taka moźliwość wchodziła w grę, Tom zawsze wolał najpierw zobaczyć swoich klientów w akcji, a dopiero później poznać osobiście.

Wydawało mu się, że dzięki temu jest w stanie ich ocenić znacznie bardziej obiektywnie.

Spodziewał się kogoś zupełnie innego. Senator wybrał jednak drugą żonę pod wpływem pewnych części ciała znacznie oddalonych od mózgu. Kobieta była raczej wysoka, szczupła, młoda i piękna. W dobie telewizji mogło to oczywiście stanowić zaletę, jednakże chyba nie w tym konkretnym przypadku. Czekala go walka z zazdrością damskiego elektoratu.

Słuchał suchego, topornego przemówienia rudowłosej i jego niepokój wzrastał. Druga żona Honnekera nie należała do dobrych oratorów - mówiła drewnianym głosem, a w dodatku ścisłała mównicę, jakby się bała, że pulpit może gdzieś uciec, jeśli go puści. Tom dostrzegł w tym geście wyraźny wpływ poprzedniego doradcy. Ktoś jej z pewnością narzucił tę okropną manierę.

Tekst mowy oceniurowany, sposób jej wygłaszania również - tak właśnie oceniał sytuację. Treść jałowa jak wyschnięta na pieprz gleba. Oczywiście Tom potrafiłby sobie z tym wszystkim poradzić. Za wygląd pani senatorowa dostałaby u niego dziesięć na dziesięć, z czego w tej sytuacji wcale nie należało się cieszyć. Aby osiągnąć sukces, należało zmniejszyć ten wynik do sześciu lub siedmiu - czyli tak, by nie przekraczał przeciętnej. Można było również dodać jej lat.

Oparłszy podbródek na splecionych dłoniach, obserwował z uwagą występ kobiety. Włosy miała kasztanowate, z pasmami w odcieniu starego burgunda; zdecydowanie nie marchewkowe, lecz bez wątpienia rude. Nie wiedział, czy to kolor du jour, czy raczej zasługa natury, ale tak czy inaczej należało trochę stonować tę barwę. Opinia publiczna od wieków kojarzyła rudy z nierządnicami, co na pewno nie pomagało w tworzeniu stosownego image'u.

Strój wybrała również absolutnie niestosowny - czarną garsonkę z niezbyt głębokim, lecz mimo wszystko niewystarczająco przyzwoitym dekoltem.

Żakiet ozdabiały duże błyszczące guziki. Do tego włożyła czarne pończochy i buty na wysokich obcasach - dla żony polityka zestaw odpowiedni raczej na wieczór. Problem polegał na tym, że jej strój ukazywał stanowczo zbyt dużo ciała, którym - musiał to przyznać - miała prawo się szczycić. Spódnica obcisłego kostiumu z dzianiny kończyła się dziesięć centymetrów przed kolanem. I jakby tego było mało, strój musiał kosztować majątek - może nawet dwumiesięczne pobory przeciętnej wyborcy.

Gdy kamera pokazała ją z boku, Tom dojrzał jeszcze stanowczo zbyt wysokie obcasy seksownych pantofli o szpiczastych noskach. A biżuteria, doskonale zresztą dobrana do tej kreacji, z pewnością nie mogła się podobać potencjalnym wyborcom. Błyszczący naszyjnik i klipsy wielkości dziesięciocentówek nie wyglądały jak prawdziwe brylanty. One były prawdziwe. A co gorsza, ów fakt nie uszedł z pewnością uwagi zebranych.

Druga żona senatora Lewisa R. Honnekera IV nie uznaje sztucznej biżuterii.

A przynajmniej taki wniosek wyciągnąłby elektorat, o który walczyli.

Problem sprowadzał się do tego, że kobieta wyglądała dokładnie na kogoś, kim w istocie była; nowo poślubioną żoną, wykorzystującą w pełni wszystkie dobre strony małżeństwa z bogatym, dwukrotnie od siebie starszym mężczyzną. Zadanie Toma polegało na złagodzeniu tego wizerunku, stonowaniu wyglądu i zmuszeniu jej do poruszania wyłącznie tematów drogich sercom dam, o których głosy zabiegał pan senator, a więc spraw związanych z dziećmi, pracą, mężami, przygotowywaniem posiłków i tak dalej.

Myśl o pracujących kobietach - powtarzał sobie w duchu. Takich, które chodzą na mecze piłkarskie swoich pociech. I pracuj nad nią, dopóki nie stanie się podobna do nich. Tu właśnie tkwi klucz do urn wyborczych.

Po dokonaniu wstępnej oceny Tom trochę się odprężył.

- Powinna zająć w ciążę - powiedział. - Kobiety uwielbiają takie rzeczy. Na pewno popatrzyłyby na nią życzliwszym okiem, gdyby telepała się jak kaczką i miała brzuch jak balon. Zabieraj się do roboty, Kenny.

- Lepiej ty się do tego zabierz - prychnął kolega Toma. - Chyba zapomniałeś, że jestem żonaty. Poza tym ona należy do tych, które nie zaszczycą cię nawet uśmiechem, jeżeli nie trzymasz w banku przynajmniej miliona dolarów.

- No cóż, w takim razie obaj jesteśmy bez szans - odparł Tom z krzywym uśmiechem. Obecnie mógł się pochwalić zaledwie trzycyfrowym kontem, a Kenny znajdował się w podobnej sytuacji. Na szczęście trafiła im się przynajmniej ta robota. Żadna inna propozycja nie przynosiła ani tak wysokich dochodów, ani popularności.

- Trzeba z pewnością popracować nad jej wizerunkiem. Pozbyć się przede wszystkim tych rudych włosów. I biżuterii. No i ubrania.

- Widzisz, już ją rozebrałeś - zażartował Kenny.

Ale Tom pokręcił tylko głową ze smętnym uśmiechem.

- Dobra, ustalmy to sobie od razu. SZACUNEK jest tutaj słowem kluczowym. Ta kobieta jest naszą klientką.

- Wiem. Nie ma klienta, nie ma forsy. A ja lubię jeść.

- Podobnie jak my wszyscy. - Tom znów zerknął na ekran. - Są może gdzieś tam na podorędziu jakieś słodkie dzieciaczki?

- Tylko przybrane. Z pierwszego małżeństwa senatora. Wszystkie starsze od niej. Słyszałem, że nie darzą macochy zbyt dużą sympatią.

Tom skrzywił się mimo woli. Znajac reguły gry, nie powinien się specjalnie temu dziwić. Choć

oczywiście przez te osiemnaście lat wiele rzeczy mogło się zmienić.

- Pies? - spytał z nadzieją, ale Kenny pokręcił głową.

- To może kot, ptaszek, albo chociaż chomik? - indagował z coraz mniejszym entuzjazmem.

Kenny zaprzeczył ponownie ruchem głowy. -Nie.

- Więc właściwie nie mamy z kim pracować?

- Właściwie tak - zgodził się Kenny. - Została nam tylko ta dama.

- Życie to nie bajka, prawda? - westchnął Tom.

- I znowu wracamy do punktu wyjścia, czyli do zrobienia jej dzieciaka.

- Łatwiej o psa - odparł Tom. - Najlepiej jakiegoś kundla ze schroniska. Ona -

osoba o czułym sercu - ocali go przed uśpieniem. Pies musi być wielki, niezdarny i uroczy. Albo mały, parszywy, ale jednak uroczy. Uroczy w obu w przypadkach.

- Widzę, że się rozkręcasz - mruknął Kenny.

- Więc zrób z tego użytek. Rozejrzyj się i znajdź psa, którego mogłaby ocalić.

- Ja? Dlaczego ja?

- Bo ja jestem starszym partnerem. Bo ja zamierzam zająć się tą damą w czasie, gdy ty będziesz się uganiał za psem. Bo to był twój pomysł.

- Ja chciałem, żeby zaszła w ciążę. Pies to twój pomysł. Tom pominął tę uwagę milczeniem.

- Nakręcimy kilka reklamówek z nią, Jego Ekscelencją i psem. Niech spacerują po polach, rzucają patyki, tego typu rzeczy. Taki ciepłutki, sielski obrazek.

- Ty mówisz poważnie o tym psie?

- Jasne.

- I myślisz, że senator się zgodzi?

- Teraz, gdy ogłoszono wyniki ostatniego sondażu? Na pewno.

- A po wyborach pies może zawsze wrócić do schroniska, prawda? - spytał sucho Kenny.

- To już szczyt cynizmu. Chyba za długo tkwisz w tym interesie. - Tom splótł

ręce nad głową i rozsiadł się wygodniej w skórzanym gabinecie fotelu.

Podobnie jak reszta mebli z jego biura, i ten był wynajęty. Tom wracał na scenę, a w takim wypadku znamiona sukcesu odgrywały z pewnością istotną rolę. W tym interesie o wszystkim decydowały pozory. Nikt nie chciał się zadawać z przegranymi.

Może i darł pazurami ziemię, byle tylko wydobyć się z dołka, ale jednak znajdował się już blisko celu.

- Ja już wiem, co będzie dalej. Ty zresztą też. Jeśli Honneker jeszcze bardziej spadnie w sondażach, pozwoli ci działać w sprawie ciąży. Będzie cię o to błagał na kolanach. Zrobi wszystko dla sukcesu.

Tom zaśmiał się krótko.

- Wszystko dla sukcesu. Może powinniśmy to wydrukować na wizytówkach.

Quinlan, Goodman i Spółka, doradcy polityczni. Wszystko dla sukcesu.

- Niezły slogan. - Kenny sięgnął po paczka. Rano przyniósł cały tuzin ciastek, a do wpół do jedenastej zniknęło aż pięć, przy czym Tom nie zjadł ani jednego.

- Sądziłem, że jesteś na diecie - mruknął Tom. - Nie miałeś czasem w zeszłym roku ataku serca?

- To nie był poważny atak. Raczej coś w rodzaju ostrzeżenia. I nie zawiniły tu paczki, ale stres.

- Racja. Pewnie. - Tom pomyślał, że gdyby winą za choroby serca obarczać wyłącznie stresy, to on sam dawno by już nie żył. A tak, mimo tego wszystkiego, co się działo przez os Matnie cztery lata, cieszył się doskonałą kondycją i zdrowiem. Kenny, zaledwie o cztery lata starszy, był blady, zbyt tęgi i łatwo się pocił. Tom miał niezbyt wielu tak dobrych przyjaciół, więc trochę się o niego martwił. Tym bardziej że czuł się odpowiedzialny za jego stresy. Wspólnik nigdy go wprawdzie o nic nie winił, ale Tom wiedział

swoje. Zawalił sprawę, a to kosztowało ich obu niemal wszystko, do czego doszli.

- Kiedy mamy się spotkać z tą damą? - spytał Kenny, sięgając po kolejne ciastko.

Tom pacnął go po rękę, chwycił pudełko i położył je sobie na kolanach.

Kenny łypnął na niego spod oka.

- Na lunchu. Ma wygłosić mowę na Okręgowym Festynie w Neshobie.

Chciałem ją najpierw zobaczyć w akcji na żywo, a dopiero potem zabrać się do roboty.

- Wyborcy jej nienawidzą, prawda?

- Żona to najslabszy punkt senatora. Z sondaży wynika wyraźnie, że jego lubią, ale jej nie cierpią.

Kochali Eleanor, pierwszą panią senatorową.

Kobiety po prostu kipiały z oburzenia, kiedy jego ekscelencja poślubił

SADŹ.

- SADŹ?

- Superatrakcyjną drugą żonę. Gatunek, jak widać, najbardziej znieawidzony przez kobiety.

- A ja rozumiem, dlaczego - powiedział Ken, zerkając na monitor. - To typowa rozbijaczka rodzin. Ma to wypisane na całym ciele.

- Dlatego zostanie mamusią. - Tom odparł zwinnie atak na pudełko z pączkami. - Jeśli nie dosłownie, to w przenośni. Gdy nadejdzie Dzień Elekcji, damski lektorat z Missisipi musi w niej widzieć typową kobietę Południa, jedną spośród siebie. Będą chciały głosować na senatora ze względu na jego żonę.

- Co ty? Uważasz się za geniusza? Myślę, że powinniśmy się cieszyć, jeśli przynajmniej przestaną jej nienawidzić.

- To nie wystarczy. - Tom upchnął pudełko z pączkami w koszu na śmieci i rozgniół je butem. Skwitował uśmiechem jęk Kenny'ego i wyłączył

telewizor. Ekran ściemniał. - Przecież chcemy stanąć na nogi, prawda?

Trzeba ich olśnić. Więc ruszmy tyłki i zabierajmy się ostro do roboty.

Wyborcy muszą ją pokochać. Ona jest kluczem do sukcesu. Rusz się, Kenny, czas na spotkanie z szefem.

- Cudownie - mruknął ironicznie Kenny, ale wyszedł z mieszkania bez specjalnych oporów, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na rozgniecione pączki.

Rozdział 3

Veronica Honneker pomyślała z rozpaczą, że Missisipi w lipcu to najgorętsze miejsce na ziemi. Temperatura doszła już do trzydziestu pięciu stopnia i wciąż rosła. Gdyby zrobiło się jeszcze duszniej, nie miałyby zupełnie czym oddychać. Białe płótno namiotu, w którym stała, chroniło ją wprawdzie od słońca, ale nic ponadto. Było jej za gorąco nawet w fioletowej króciutkiej sukience bez rękawów, majtki prawie nie przepuszczały powietrza, stanik uwierał. Antyperspirant przestał działać. Gdy kończyła mowę, po plecach ciekły jej krople potu, czuła wilgoć pod pachami. Mały elektryczny wentylator ustawiony na podłodze rzekomo dla jej wygody ledwo mieszał

powietrze.

- Pamiętajcie, głos oddany na mojego męża to głos oddany na edukację. A edukacja to pociąg, który

zabierze stan Missisipi w dwudziesty pierwszy wiek.

Ronnie zakończyła swe szablonowe przemówienie, starając się nie zwracać uwagi na muchę, latającą wokół jej głowy już od dobrych kilku minut.

Oganiecie się od much wyglądało śmiesznie. Nauczyła się tego dzięki taśmom wideo, które dostarczył jej jeden z pachołków Lewisa. Nie oganiaj się od much; jeśli nie wiesz, co zrobić z rękami, trzymaj się mównicy. Odkąd poślubiła Lewisa, wbijano jej do głowy tyle rad, że miała ich całkowicie dosyć. Na zakończenie uśmiechnęła się szczerze i ciepło, z prawdziwą ulgą.

Zebrani zaczęli pałaszować deser, zanim zdążyła zejść z podium. Nawet jeśli jeszcze o niej całkowicie nie zapomniano, to na pewno odprawiono ją z kwitkiem. Wiedziała, że jest nielubiana. Nigdy nie była i nigdy nie mogła się stać jedną z nich. Pochodziła z północy, za plecami nazywano ją „sępem” i była młodą, piękną kobietą z przeciętnej rodziny, poślubioną bogatemu synowi swego k(?)ju, z rodziny o korzeniach sięgających głębiej niż te, którymi szczylił się już ot tak dawna symbol tego stanu: pięćsetletni Dąb Przyjaźni.

Gospodyni - Mary jakaś tam, Ronnie nie zrozumiała nazwiska - dotknęła delikatnie jej ręki i powiodła w stronę sto stojącego najbliżej mównicy. Tam zwykle siadywali najważniejsi sponsorzy. A ona musiała być zawsze bardzo, bardzo miła dla najważniejszych sponsorów.

- Pani Honneker, to Elisabeth Chauncey...

Ronnie uśmiechnęła się uprzejmie i podała dłoń sędziwej damie.

- Poznałam pani teściową - oświadczyła kobieta i zasypała ją szczegółami tego wydarzenia. Ronnie słuchała, uśmiecha się i odpowiadała tak inteligentnie, jak potrafiła, a potem poprowadzono ją dalej. Witanie się z gośćmi zebranymi w namiocie zajęło jej ponad godzinę. Gdy wymieniała uścisk obolałą dłonią i parę zdawkowych uwag z ostatnim potencjalnym sponsorem, była już odrętwiała ze zmęczenia i bardzo bolała ją głowa.

Nienawidziła tego aspektu swego małżeństwa z senatorem. Spotkania, powitania, pozyskiwanie wyborców. Zawsze z uśmiechem na twarzy, niezależnie od samopoczucia. A tej dnia czuła się naprawdę okropnie.

Chciała pójść do domu wziąć prysznic, dwa tylenole i położyć się do łóżka.

Nie miała jednak zbyt wielkich szans na realizację swoich planów.

- Bardzo dobrze poszło - powiedziała pogodnie Thea, sekretarka prasowa Ronnie, kiedy obsługujący festyn urzędnicy prowadzili je na tyły namiotu, gdzie jeden z funkcjonariuszy policji konnej przytrzymał płócienne drzwi, tak by mogły wyjść na zewnątrz. Trzydziestoletnia Thea Cambrid; była o zaledwie rok starszą od Ronnie, atrakcyjną, szczupłą kobietą o krótkich ciemnych włosach i świetnym guście. Pracowała dla pani Honneker już od dwóch lat i Ronnie traktowała ją jak przyjaciółkę.

Z trójkątnego otworu w namiocie wyszła prosto w ścianę zapierającego dech upału, oślepiającego

światła, wirującego kurzu i mdlących zapachów parówek, cukrowej waty, zwierzęcych odchodów i spalin. Przez chwilę prawie nic nie widziała. Przystanęła więc, mrugając bezradnie powiekami, a jej świta czekała obok i też próbowała jakoś przyjść do siebie.

Lipcowa wizyta w Missisipi okazała się naprawdę szatańskim pomysłem.

Gdyby nie po trzykroć przeklęte sondáže, Ronnie spędzałaby lato w willi w Maine, tak jak to miała w zwyczaju, odkąd się pobrali. Już na samą myśl o chłodnym, zielonym morzu zrobiło się jej jeszcze goręcej. Z całego mał-

żeństwa z Lewisem podobał się jej najbardziej właśnie ten letni dom.

A najmniej Missisipi w lipcu.

- Pani Honneker? - spytał męski głęboki głos charakterystycznym południowym akcentem. Choć Ronnie nadal nie widziała zbyt wyraźnie, pomyślała, że to zapewne jeden z dziennikarzy, gdyż ci zawsze pojawiali się przy niej w najmniej odpowiednich momentach. Zmusiła się do kolejnego szerokiego uśmiechu.

- Słucham.

- Nazywam się Tom Quinlan, a to mój wspólnik Kenny Goodman. Firma Quinlan & Goodman.

- Ach tak. - Odzyskując powoli zdolność widzenia, Ronnie dostrzegła na wprost siebie dwóch mężczyzn w białych koszulach i lekkich garniturach.

Pierwszy - tęgawy, blady i spocony, z gęstą szopą ciemnych, kręconych włosów - miał na sobie rozpiętą niebieską marynarkę z cienkiego materiału i przekrzywiony krawat. Drugi, ten, który ją przywitał, był znacznie wyższy i szczuplejszy. Odznaczał się ładną opalenizną, charakterystyczną dla człowieka spędzającego dużo czasu na świeżym powietrzu, kontrastującą z jasnymi włosami lekko przerzedzonymi na skroniach. Szara, starannie zapięta marynarka prezentowała się znakomicie na atletycznym torsie, krawat znajdował się idealnie na swoim miejscu. Blondyn wydawał się o wiele spokojniejszy niż jego kolega.

-Miło mi poznać panów - powiedziała, witając się najpierw z jasnowłosym, a następnie z jego kolegą. Thea i policjanci patrzyli na nich nieco podejrzliwie.

Oczywiście do obowiązków żony senatora należały również rozmowy z ludźmi, ale takie przypadkowe kontakty pociągały zawsze za sobą pewne ryzyko. W tych czasach nie brakuje szaleńców, a ona stanowiła wręcz wymarzony cel.

Ci dwaj mężczyźni wydawali się jednak całkowicie niegroźni, choć spodziewali się wyraźnie, że Ronnie zna ich nazwiska. Może byli sponsorami? Ważnymi sponsorami? Czy powinna znać ich nazwiska? Co jakiś czas biuro wyborcze Lewisa nadsyłało jej uaktualnioną listę sponsorów.

Mogła jednak pójść o każdy zakład, że tych nazwisk na liście nie umieszczono.

Na wszelki wypadek uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej. Pieniądze to krew polityki. Lewis wbijał jej do głowy tę zasadę od chwili, gdy się pobrali. Ani on, ani inni znani jej bliżej politycy nie traktowali zawołania „pokaż pieniądze” wyłącznie jako sloganu wyborczego. Dla nich stanowiło ono sposób życia. I sposób, by przeżyć. Politycy żyli bowiem wyłącznie wówczas, gdy sprawowali urząd. Lewis potrzebował miejsca w senacie i wszystkiego, co to za sobą pociągało, tak bardzo jak powietrza, którym oddychał - myślała Ronnie. Popularność, światła reflektorów były dla niego równie niezbędne jak dla innych jedzenie i picie.

Gdyby tylko zdała sobie z tego sprawę, zanim za niego wyszła...

- Jesteśmy doradcami politycznymi. Teraz pracujemy dla pani - powiedział

sucho blondyn. Nie udało się jej ukryć, że nie wie, z kim mówi. Wynikało to wyraźnie z tonu męczyzny. Oczywiście nie miało to większego znaczenia.

W przypadku doradców ich zdanie liczyło się znacznie bardziej niż głosy. A Lewis zdążył już zatrudnić dla niej tylu konsultantów, że witała wszystkich nowych równie radośnie jak się wita natrętne muchy.

- Ach tak. - Opuściła dłoń i ściągnęła wargi. Od tego maratonu uśmiechów w namiocie rozboleły ją policzki, toteż możliwość choćby kilkuminutowego odpoczynku wydała się jej prawdziwym błogosławieństwem. Migrena, o której zdołała na chwilę zapomnieć, powróciła z całą mocą. Rozprostowała nadwyrężone od uścisków palce i zerknęła na Theę.

- Dostaliśmy dziś rano faks z biura w Waszyngtonie - powiedziała przepraszająco Thea. - Zamierzałam ci go później pokazać. Nie sądziłam, że panowie przyjadą tak szybko.

Thea знаła opinię Ronnie na temat konsultantów. Odkąd ostatni doradził jej, by przytyła piętnaście kilogramów - „Publiczność wołała Oprah przed dietą”

- postanowiła sobie solennie, że już nigdy żadnego nie posłucha.

- Za pięć minut rozpoczynają się wybory Najmilszej Dziewczynki w Neshobie, a pani przewodniczy jury! - wołała pulchna kobieta w kolorowej kwiecistej sukni, biegnąc w ich stronę. Suknia trąciła jakąś strunę w pamięci Ronnie. Rosę. Kobieta miała na imię Rosę, a do sukni przypięła ogromne kwiaty róż.

Z takim ćwiczeniami pamięci radziła sobie całkiem nieźle. Zapamiętywanie imion stanowiło jeden z jej nielicznych atutów niezbędnych dla żony polityka.

- Dziękuję, Rosę - powiedziała Ronnie z uśmiechem.

Rosę promieniała. Fakt, iż żona senatora tak dobrze ją pamięta, choć rozmawiały ze sobą zaledwie przez chwilę, i to kilka godzin wcześniej, najwyraźniej jej schlebiał. Ronnie już wiedziała, że dzięki takim drobiazgom ludzie zaczynają się czuć ważni. W ten sposób zdobywa się ich głosy. A cała ta gra polegała właśnie na zdobywaniu głosów.

- Możemy się za panią trochę powłóczyć? - spytał blondyn. Nazywał się Quinlan. Quinlan skojarzył się jej ze słowem quiver oznaczającym kołczan.

A on wydawał się napięty niczym łuk.

W odpowiedzi wzruszyła jedynie ramionami. Pożegnała się uprzejmie z Rosę, a potem poprowadzono ją do namiotu, w którym odbywał się konkurs.

Thea, pracownik festynu i dwaj nowo przybyli torowali jej drogę przez pulsujący tłum gości. Mijali młode pary trzymające się za ręce, zwyczajnie ubrane kobiety pchające przed sobą wózki z dziećmi, nastolatki w szortach, grupki starszych pań w kwiecistych sukniach: Ronnie obdarowywała wszystkich takim samym uśmiechem. Niewielu go odwzajemniało.

Prawie nikt. Czasem odnosiła wrażenie, że jest najbardziej znieawidzoną kobietą w całym Missisipi.

Byli już prawie u celu, gdy to się zdarzyło. Ronnie wypatrzyła właśnie białe czubki dużego płóciennego namiotu ustawionego za wielką maszyną z watą cukrową. Do środka wpływał nieustannie strumień ludzi przechodzących pod fruującym afiszem przyczepionym do balonów. Napis na plakacie głosił: Wybory małej Miss Neshoby, godzina 14. Ronnie wskazano tylne wejście, gdzie czekało trzech pracowników festynu. Wszyscy patrzyli w jej stronę z wyczekującymi minami.

Ta kobieta wybiegła znikąd. Pojawiła się nagle z lewej strony, tak, jakby ukrywała się za maszyną do waty cukrowej. Wykrzykiwała coś, co wydawało się całkowicie pozbawione sensu. Była postawna, wysoka, tęga, ubrana w zbyt obcisłe zielone szorty i pasiastą bluzkę. Włosy miała jasne, twarz błyszczącą od potu.

Ronnie cofnęła się z przerażeniem i instynktownie uniosła rękę, by zasłonić się przed czymś, co - błyszcząc srebrzyście w słońcu - leciało wprost na nią.

Poczuła wyraźny, charakterystyczny zapach. I uderzenie, gdy to coś trafiło w jej rękę i odskoczyło w bok. A potem płyn, rozpryskujący się wokół płyn.

Doznała wrażenia, że zalewa ją jakaś gęsta, zimna, lepka ciecz.

O Boże! - pomyślała.

Rozdział 4

Ciecz rozlała się jej po głowie, pokryła twarz i gors sukni. Ronnie usłyszała krzyki, tupot, odgłosy bójki. Z zamkniętymi oczami, z trudem chwytając oddech, ocierała rozpaczliwie twarz. Nagle zachwiała się, potknęła i całkowicie straciła równowagę.

Sprawdzały się jej najgorsze obawy.

Zanim jednak upadła, ktoś pochwycił ją z tyłu i znalazła oparcie w jakimś twardym męskim ciele. W sekundę później ten sam ktoś objął ją za ramiona, wsunął dłoń pod kolana i unióś. Oślepią i

oszołomiona czuła się jak dziecko niezdolne do obrony. Nawet jeśli miała do czynienia z porywaczem, nie mogła w żaden sposób z nim walczyć.

Mimo to dokonała ostatniej rozpaczliwej próby, aby się wyrwać.

- Wszystko w porządku. Jest pani bezpieczna - szepnął jej do ucha mężczyzna. W tym głosie było coś, co podziałało na Ronnie uspokajająco. -

Gdzie łazienka? - warknął znacznie mniej uprzejmie.

Widocznie otrzymał odpowiedź, gdyż - walcząc w panice z mazią zalepiającą jej oczy - poczuła, że jego silne ramiona wynoszą ją, wnioskując z upału, gdzieś na słońce.

W chwilę później skręcili i weszli do ciemniejszego, chłodnego pomieszczenia.

- Utrzyma się pani na nogach?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jej stopy dotknęły podłogi. Nie chcąc, by jeszcze więcej mazi dostało się jej do oczu, nawet nie próbowała odemknąć powiek. Z trudem utrzymując równowagę, stała więc tylko w ciemnościach, które sama sobie narzuciła, niepewna niczego, łącznie z tożsamością swego wybawcy. Zbierało się jej na wymioty, dostała zawrotów głowy i była absolutnie przerażona. Coś twardego wbijało się jej w żołądek, więc instynktownie wyciągnęła rękę i dotknęła jakiejś śliskiej, gładkiej, zaokrąglonej powierzchni. Gdy usłyszała jeszcze szum wody, nie miała wątpliwości, że stoi przy umywalce. Tajemniczy wybawca wciąż obejmował

ją w tali. Nie miała nic przeciwko temu, poddała się cieplej, pewnej sile mężczyzny. Gdyby nie on, z pewnością by upadła.

- Pochylę pani głowę pod kran. Proszę przemyć oczy.

Popchnął ją delikatnie, pochyliła się więc posłusznie, ściskając z dwóch stron umywalkę. Mężczyzna odgarnął jej włosy, a chwilę później poczuła na czole, oczach, policzkach i nosie przyjemny letni strumień. Woda podziałała kojąco na jej powieki, na całą skórę twarzy.

Boże, czyżby oblano ją kwasem? Straciła wzrok i została oszpecona na całe życie?

Serce znów stanęło w jej gardle ze strachu.

- Proszę otworzyć oczy i dokładnie je przepłukać. Uchyliła powieki, najpierw ostrożnie, z obawą, lecz i w tym

przypadku woda dokonała cudów, toteż po chwili Ronnie zaczęła powoli rozpoznawać kształty i barwy. W porządku. Nie straciła wzroku.

- Zaraz. - Quinlan przeciągnął jej po twarzy szorstkim papierowym ręcznikiem, po czym jeszcze dwukrotnie powtórzył tę czynność. - No dobrze.

Niech pani stanie prosto. Oszacujemy straty.

Wyprostowała się z trudem, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przysiadła więc na umywalce i chwyciła obiema rękami za jej krawędzie. Przez cały czas mrugała ze złością; nadal nie odzyskała w pełni zdolności widzenia.

Mężczyzna uniósł jej podbródek i otarł łzawiące oczy, policzki oraz szyję.

Wyrzucił kolejny ręcznik, zmoczył następny, po czym zmył nim maź z prawej ręki Ronnie.

- Boże, czy to kwas? - spytała ochryplym głosem, choć widziała już znacznie lepiej. Zdołała nawet rozpoznać swego wybawcę - okazał się nim ten blondyn, Quinlan, którego właśnie poznała. Stał teraz na wprost Ronnie i ze zmarszczonym czołem wycierał jej rękę.

- Nie, nie kwas. Farba. Bolą panią oczy?

Czerwona farba. Ronnie dostrzegła szkarłatne plamy na rękawach i gorsie marynarki Quinlana. Zatem jego ubranie też zostało kompletnie zniszczone.

Pobrudził je, niosąc Ronnie do toalety.

Bo niewątpliwie przebywali w toalecie - wyłożonej szarą glazurą, z trzema kabinami i pisuarem, dwiema obskurnymi umywalkami (na jednej z nich siedziała), dużym wyszczerbionym lustrem wiszącym na ścianie i przepelnionym koszem na śmieci stojącym przy drzwiach. Była to niezbyt przyjemnie pachnąca toaleta męska.

Nie odpowiedziała, ale cierpliwie powtórzył pytanie.

Zanim dotarł do niej sens słów Quinlana, zamrugała dwukrotnie powiekami.

- Trochę mnie pieką, ale widzę. Chyba nic poważnego się nie stało. - Na samą myśl o tym, jak łatwo mogła stracić wzrok, ogarnęła ją kolejna fala mdłości.

- Boże! Zaraz zwymiotuję!

Chwiejnym krokiem dotarła do najbliższej kabiny, runęła na kolana i opróżniła żołądek. Kiedy poczuła się odrobinę lepiej, wstała, odwróciła głowę i dostrzegła, że Quinlan stoi przed drzwiami i nie spuszcza z niej wzroku.

- Proszę usiąść - zakomenderował, gdy zobaczył, że Ronnie znów zaczyna się zataczać.

Opadła więc posłusznie na sedes i oparła głowę na splecionych dłoniach.

- Niech się pani nie rusza.

Odszedł na chwilę, wrócił i przykucnął na wprost Ronnie.

Papierowy ręcznik, który jej podał, był mokry i zimny. Ronnie otarła nim twarz. Mdłości ustąpiły, ale wymioty pozostawiły jej okropny niesmak w ustach. Musiała napić się wody.

- Lepiej? - spytał Quinlan, gdy uniosła głowę. Przykucnął dokładnie naprzeciwko Ronnie, toteż ich oczy znajdowały się teraz na jednym poziomie. Miał niebieskie tęczówki z ciemniejszą, niemal granatową obwódką wokół źrenicy, początki kurzych łapek w kącikach oczu, brwi i rzęsy ciemne ze złotymi koniuszkami, prosty nos, trochę zbyt wąskie, ale ładnie wykrojone stanowcze usta. Nieco kanciaste rysy szczupłej twarzy nadawały mu surowy wygląd. Sprawiał wrażenie człowieka, który je, pije i robi wszystko inne z umiarem. Zapewne pogardzał ludźmi mniej zdyscyplinowanymi od siebie.

- Zupełnie dobrze - odparła, niezbyt pewna, czy mówi prawdę, lecz wstała, wsparłszy się jedną ręką o ścianę kabiny. Ledwo trzymała się na nogach. On również się podniósł i patrzył na nią przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

- Na pani miejscu zaczekałbym jeszcze chwilę.

- Muszę się napić wody.

Usunął się jej z drogi, by mogła wyjść z kabiny. Dawała sobie jednak radę do czasu, gdy mogła się trzymać ściany. Samodzielne przejście dystansu, jaki dzielił ją do umywalki, stanowczo przekroczyło jej siły. Zachwiała się i omal nie straciła równowagi. Pomyślała, że nie potrafi utrzymać się na nogach. Miała mdłości i drętwiały jej ręce i nogi; mimo buńczucznych deklaracji wcale nie czuła się dobrze.

Chwycił ją za łokieć i otoczył ramieniem w talii, po czym podprowadził do umywalki i odkręcił kran z zimną wodą. Pochyliła się, nabrała wody w dłoń, przepłukała usta i wypła parę solidnych łyków. Po chwili poczuła się na tyle silna, by chlusnąć sobie w twarz wodą obiema rękami.

- Przepraszam - wykrztusiła, gdy podał jej suchy papierowy ręcznik.

Prostując się, napotkała jego spojrzenie w lustrze. Nadal podtrzymywał ją w talii, gotów interweniować w razie, gdyby znów zaczęła tracić równowagę.

Patrzył ze zmarszczonymi brwiami, jak wyciera twarz. Teraz, gdy była taka słaba i wiotka, wydał się jej wyjątkowo wysoki i postawny. Choć miała na sobie buty na szpilkach, mężczyzna i tak ją przewyższał o kilkanaście centymetrów. Stał z tyłu, nadal obejmował ją ramieniem. Jego duża dłoń leżała płasko na fioletowym materiale sukni.

W przebłysku świadomości zauważyła, że Quinlan jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- Za co mnie pani przeprasza? Za to, że oblano panią farbą? Przecież to nie pani wina. - Dostrzegła w lustrze, że omiata ją spojrzeniem. Jego głos ociekał

południowym akcentem jak tost posmarowany zbyt dużą ilością miodu.

- Sądzę, że odgrywanie pielęgniarki nie wchodzi w zakres obowiązków doradców politycznych - rzekła smętnie.

- My się bardzo łatwo dopasowujemy do nowych ról -uśmiechnął się do niej w lustrze. Gdy się uśmiechał, robiły mu

się zmarszczki wokół oczu. - Jesteśmy gotowi na wszystko, byle tylko dobrze wykonać swoją robotę.

- Głupio mi, że zwymiotowałam.

- To z powodu szoku. Ale chyba nic poważnego się pani nie stało. W każdym razie nie w sensie fizycznym.

Ona była również tego zdania. Odetchnęła głęboko, zmobilizowała wszystkie siły i pochyliła się do przodu, by obejrzeć swoje odbicie w lustrze. Gdy Quinlan wyczuł, że jego podopieczna stoi już mocno na nogach, cofnął rękę i zrobił krok w tył.

Opuchlizna powiek nie ustępowała, ale oczy nie ucierpiały. Żrenice wyglądały tak samo jak zawsze, widziała już też prawie normalnie. Ale nawet jeśli nie doznała żadnego uszczerbku na ciele, wyglądała strasznie. Włosy z przodu ociekały wodą, woda lała się na ramiona, a grzywka sterczała nad czołem jak czubek kakadu. Na zmoczonych pasmach, uszach, szyi i sukni widoczne były ślady po farbie. Oczy miała przekrwione i załzawione, pełne, piękne usta straciły wyrazistość i drżały. Róż, puder, szminka, ołówek do oczu - wszystko znikło. Suknia z delikatnego irlandzkiego płótna - oryginał z kolekcji Anny Sui - była kompletnie zniszczona. Fioletową tkaninę splamiły czerwone kleksy wielkości ogromnych, niemal obscenicznych maków.

Wysychające strumyki krwistej farby ściekały jej po nogach na beżowe sandałki na wysokim obcasie.

Nic, co miała na sobie - z wyjątkiem bielizny - nie uchroniło się przed farbą.

- Och, moje perły! - krzyknęła z przerażeniem, gdy wzrok jej spoczął na chwilę na kosztownej obroży z pereł, którą ofiarował jej Lewis wkrótce po ślubie. - Są poplamione! Zniszczą się kompletnie!

Udało się jej odnaleźć zapięcie, ale nadaremnie z nim walczyła. Ramiona ciążyły jej jak ołów, palce odmawiały posłuszeństwa.

- Proszę się nie ruszać. - Quinlan stanął tuż za Ronnie i odsunął jej włosy z karku. Przez chwilę czuła na szyi ciepło jego palców. Kiedy uwolnił ją od kolii, chciała ją włożyć pod strumień wody, ale on tylko pokręcił głową i zrobił to za nią.

- Proszę się lepiej zająć klipsami.

Dopiero gdy to powiedział, Ronnie zauważyła, że perłowe klipsy są również umazane farbą. Chciała je zdjąć, lecz nie zdołała uchwycić w palce maleńkich zapinek.

- Czy może mi pan pomóc? - spytała. Popatrzył jej w oczy w lustrze i ułożył

kolie na brzegu umywalki. Tym razem, gdy zręcznie zdejmował klipsy, palce miał zimne od wody.

- Proszę ich tylko nie wrzucić do umywalki. Są prawdziwe.

- Nie wątpię - odparł sucho. Trzymając perły w dłoniach, tak by lała się na nie woda, popatrzył na lustrzane odbicie Ronnie. - Ma pani farbę w uchu.

Ronnie odwróciła głowę i popatrzyła do lustra. Quinlan miał rację. Zmoczyła ręcznik i przemyła nim ucho, po czym powtórzyła tę czynność, zdecydowana nie poddawać się słabości, przez którą kolana trzęsły się jej jak galareta.

Skończywszy z uchem, przystąpiła do walki z farbą we włosach.

Wyrzucając kolejne jednorazówki, pomyślała, że czerwone smugi na papierowym ręczniku przypominają krew. Dzięki Bogu, tylko ją przypominały. Miała szczęście: ta kobieta posłużyła się jedynie farbą, a nie pistoletem.

Nie po raz pierwszy w życiu Ronnie zaczęła się zastanawiać, czy koszt zdobycia tego wszystkiego, o czym zawsze marzyła, nie jest przypadkiem zbyt wysoki.

Pragnęła wyjść bogato za mąż i dopieła swego. Pragnęła pieniędzy i zdobyła majątek. Pragnęła być kimś znanym, osobą publiczną, a nie anonimową kobietą z tłumu. Ten cel również zdołała osiągnąć. Spełniły się jej wszystkie dziewczęce marzenia.

Ale w prawdziwym życiu nic nie wyglądało tak wspaniale jak w marzeniach i planach. Dostała wszystko, czego chciała, to prawda, ale nie sprawiło jej to tak wielkiej przyjemności, jakiej oczekiwała.

A dziś wręcz żadnej.

W jej życiu panowała pustka. Ta nagła konstatacja znów wywołała przyływ mdłości.

- Nie mogę tam wrócić - powiedziała, patrząc na swoje lustrzane odbicie.

Chwyciła mocno krawędź umywalki. Zużyty papierowy ręcznik wypadł z jej odrętwiałych palców, - Nie mogę.

- Spotkania, które zaplanowała pani na dzisiejszy dzień, zostały odwołane. -

Quinlan wyjął klipsy spod wody i zawinął je wraz z kolią w papierowy ręcznik. - Musi pani jednak znaleźć czas na badanie lekarskie.

- O Boże! To trafi do wszystkich gazet - powiedziała, drżąc na samą myśl o nagłówkach, jakie nietrudno było przewidzieć.

Nie ponosiła żadnej winy za nic, co się wydarzyło, a jednak wiedziała, że to właśnie ją oczernią dziennikarze. Wszyscy się jej czepiali: telewizja, czasopisma, prasa codzienna. Nazywali ją - nie bez drwiny - drugą panią Honneker.

Quinlan zaczął coś mówić, ale jego słowa utonęły w trzasku gwałtownie otwartych drzwi.

- Ronnie! - Thea opierała się o framugę, z tyłu padało na nią słońce.

Odnalazła wzrokiem Ronnie i wpadła do małej toalety w otoczeniu niemal całej armii złożonej z Rose, trzech policjantów, pracowników festynu z pomarańczowymi odznakami i jeszcze pięciu innych osób.

Ronnie odwróciła głowę w ich kierunku i poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz mocniej. Kim są ci ludzie, otaczający ją teraz zwartym kręgiem?

- Boże! Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało! Nic ci nie dolega? - Thea chwyciła ją za rękę i zmierzyła badawczym wzrokiem. Ronnie zaczerpnęła powietrza i zaczęła mówić coś uspokajającego.

Flesz błysnął jej w twarz, zanim zdążyła dokończyć pierwsze kilka słów.

Oczywiście. Dziennikarze. Przypominali sępy kierujące się instynktownie w stronę padliny. Podobnie jak drapieżniki wietrzące nieomylnie śmierć czy rozkład, tak samo i dziennikarze trafiali zawsze w samo centrum wydarzeń dostarczających tematu na poczytny artykuł.

- Och nie! - Zasłoniła twarz przed fleszami takim samym gestem, jakim zasłaniała się przed puszką, i natychmiast uświadomiła sobie cały paradoks tej sytuacji.

W obu przypadkach broniła się przed napaścią.

- Pani Honneker, czy może pani...

Nie dosłyszała dalszej części pytania, ponieważ tłum otoczył ją ciasniej i przyparł do umywalki. Twarda porcelana wpijała się jej w kręgosłup.

Żołądek znów zaczął się buntować, nogi odmawiały posłuszeństwa. Wokół

niej - niczym fajerwerki czwartego lipca - błyskały flesze. Bombardowana pytaniami, ledwo rozumiała ich treść. Czula się jak zwierzę schwytane w potrzask.

- Ronnie, o Boże, nie wierzę, że coś podobnego naprawdę mogło się stać!

Może zadzwonić po karetkę? - Thea dotknęła sukni Ronnie w okolicach biodra i z przerażoną miną cofnęła rękę, patrząc na ubrudzone na czerwono palce.

- Nie, nie - wyszeptała Ronnie. - Nic mi nie dolega.

Nadal błyskały aparaty fotograficzne. Padały coraz bardziej natarczywe pytania.

- Naprawdę bardzo nam przykro, pani Honneker. - Pracownik festynu przecisnął się z trudem do Ronnie. Za jego plecami włączono lampę stroboskopową. Oślepią jej blaskiem Ronnie uniosła rękę w obronnym geście. Chciała jedynie uciec, ale - przyparta do umywalki, otoczona, uwięziona - nie miała dokąd.

- Nie mogę...

- Zostawcie ją w spokoju - powtórzyła Thea, tym razem głośniejszym głosem, by przekrzyczeć wrzawę.

- Czy to była farba?

- Jakie, pani zdaniem, jest znaczenie tego koloru? Czy to istotny fakt?

- Znała pani tę kobietę?

Zewsząd zalewały ją pytania. Czowała się jak publicznie obnażona. Wszyscy wiedzieli, co się zdarzyło, albo też mieli się wkrótce tego dowiedzieć.

Oczami wyobraźni widziała sensacyjne artykuły ze słowem kurwa wpisanym tłustym drukiem.

Nie mogła tego znieść. Całą siłą woli próbowała powstrzymać drżenie ust.

Najokropniejsze było to, że przecież ona sama nic tu nie zawiniła.

- Dobra, na razie wystarczy. - Te słowa zabrzmiały jak rozkaz. Leniwy południowy akcent stał się nagle twardy i ostry. - Pani Honneker nie ma na razie nic do powiedzenia. Uzyskacie odpowiedź na wasze pytania w odpowiednim czasie.

Quinlan - początkowo zepchnięty pod ścianę przez napierający tłum -

przejmował teraz kontrolę nad sytuacją. Wyrósł przed Ronnie jak skała, odpierając tłum natrętów za pomocą słów, spojrzeń, a nawet łokci. Ronnie stwierdziła z ulgą, że reporterzy zaczynają się cofać. Zignorowali protesty Thei i jej własne, ale Quinlana szanowali. Czy dlatego, że był mężczyzną?

Nie wiedziała i właściwie nie chciała tego wiedzieć. Liczyło się tylko to, że robił swoją robotę.

Przypomniała sobie, że teraz pracuje dla niej, nad jej kampanią. I tak jak przed pół godziną jego obecność wprawiała ją w irytację, teraz poczuła, że zalewa ją fala wdzięczności.

- Żadnej telewizji! - krzyknął ostro, napinając mięśnie pleców.

Wyglądając nieśmiało zza jego ramienia, Ronnie dostrzegła, że do toalety wpada znana dziennikarka telewizyjna Christine Gwen. Deptała jej po piętach kamerzysta. Trzydziestoletnia jasnowłosa Christine uchodziła za barakudę wiadomości telewizji Jackson. Wszędzie, gdzie się dało, toczyła krew ze swoich ofiar.

- Kim pan, u diabła, właściwie jest? - spytała Christine łypiąc spod oka na Quinlana i jednocześnie pokazując kamerzyście, w którym miejscu ma stanąć. Następnie urwała i w jednej chwili zmieniła zarówno ton, jak wyraz twarzy.

- Tom Quinlan, prawda? Pracuje pan teraz dla senatora Honnekera?

Wśród dziennikarzy znów zawrzało, błysnęły flesze. Quinlan odmówił

odpowiedzi. Ronnie skuliła się za jego plecami.

- Proszę stąd usunąć tych ludzi - zwrócił się ostro do policjantów, którzy skinęli jedynie głowami w odpowiedzi.

- To publiczna toaleta - zaprotestowała Christine, mimo że policjanci przystąpili już do wykonania swego zadania.

- Wiem, madam, ale musimy panią poprosić o wyjście na zewnątrz -

powiedział jeden z funkcjonariuszy, podchodząc do niej bliżej. - Panią i wszystkich pozostałych.

- Słyszeliście kiedyś o wolności prasy? - warknął jeden z reporterów, okrążając policjanta, by zrobić kolejne zdjęcie. Ronnie widziała jednak, że nie osiągnął celu. Potężne ciało Quinlana zasłaniało ją przed natrętami jak najlepszy parawan.

- Nie możecie nas wyrzucić - wtrącił się inny dziennikarz. - Opinia publiczna ma prawo do informacji.

- Kręcisz to, Bili? - spytała Christine piskliwym głosem. Operator najwidoczniej uczynił jakiś twierdzący gest, gdyż Quinlan zaklął cicho pod nosem i odwrócił się do Ronnie.

- To nic nie daje. Musimy wiać. - Te słowa były z pewnością przeznaczone wyłącznie dla jej uszu. Zdjął szybko marynarkę i zarzucił ją Ronnie na głowę.

Zrozumiała, że to zasłona przed kamerami, więc skryła się pod nią bez słowa protestu.

Wyobrażała sobie własną twarz - bladą, zszokowaną i poplamioną farbą - we wszystkich stanowych wiadomościach.

- Czy może nam pani powiedzieć, co krzyczała ta kobieta, kiedy rzuciła w panią puszką? - zawył reporter od drzwi.

- Kurwa - odpowiedział mu jeden z kolegów po fachu i na chwilę zaległa krępująca cisza. Ronnie zamarała pod marynarką. Już wiedziała, że artykuły będą okropne i zaszkodzą kampanii.

A Lewis oczywiście obwini o wszystko właśnie ją.

- Nie wiemy tego na pewno - zaprotestowała Thea, ale tak nieśmiało, że nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Ja słyszałam! - wyrwała się Rose. - Tak właśnie wrzeszczała: kurwa, nie inaczej.

- Jest pani naocznym świadkiem? - Dziennikarze pisali zaciekle w notatnikach, a Christine odwróciła się do kamery, patrząc z pogardą na policjanta, który usiłował zmusić ją do odejścia.

- Da pani radę biec? - szepnął Quinlan, pochylając głowę do Ronnie w chwili, gdy tłum odwrócił na chwilę uwagę od nich i skierował ją na Rosę. Ronnie popatrzyła na niego spod marynarki. Czuła miękkość w kolanach, ucisk w piersiach i znów zbierało się jej na wymioty. W normalnych okolicznościach szukałaby miejsca, gdzie mogłaby się położyć. Ale te warunki odbiegały od normalności i była gotowa na wszystko, byle tylko uciec przed dziennikarzami. A skoro by to osiągnąć, musiała biec, postanowiła biec.

Skinęła głową.

-W takim razie ruszamy! - zakomenderował. Obejmując Ronnie ramieniem, ciągnął ją przez tłum, poza zasięg kamer, a ona kulila się pod marynarką.

Działanie przez zaskoczenie, jak również kilka strategicznych kuksańców zrobiło swoje; Quinlan i Ronnie bez przeszkód opuścili toaletę.

Gdy uderzyła w nich ściana światła i upału, puścili się pędem przed siebie. W

chwilę później cała sfora zaczęła im deptać po piętach.

Rozdział 5

- Dziękuję panu bardzo.

- Nie ma za co.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Jak zwykle przy takich okazjach pojawiły mu się zmarszczki wokół oczu. Ronnie odpowiedziała uśmiechem.

Siedzieli w samochodzie Quinlana, ostatnim modelu buicka-regala o kremowej karoserii i brązowej welurowej tapicerce, uciekając jak najdalej od miejsca, gdzie odbywał się festyn. Jechali malowniczą drogą, wzdłuż której aż do linii błękitnego nieba rozciągały się zielone pola, ale kierowali się na wschód, a nie na zachód, co powinni byli uczynić, chcąc dotrzeć do Jackson.

- Chciałam coś jednak panu powiedzieć. Jeśli zabiera mnie pan do domu, jedziemy w złym kierunku.

- Nie zabieram pani do domu.

- Nie? - Roseanne uniosła głowę spoczywającą dotąd ciężko na oparciu i popatrzyła na Quinlana spod uniesionych brwi. W skrytce wbudowanej w konsolę leżał okazały stosik pobrudzonych na czerwono chusteczek higienicznych. Quinlan zawsze woził ze sobą zapas jednorazówek, a Ronnie poświęciła pierwsze kilka minut jazdy na jak najdokładniejsze oczyszczenie się z farby.

-Nie.

- Dlaczego nie? - Przez jej głowę przemknęła wizja porwania lub czegoś jeszcze gorszego, ale szybko ją odpędziła. Choć знаła Quinlana zaledwie godzinę i wiedziała jedynie, jak się nazywa i z czego żyje, to i tak obdarzyła go całkowitym zaufaniem. Wyratował ją z opresji, dbał o nią, chronił,

gdy znalazła się w niebezpieczeństwie. Wytworzyła się między nimi więź

podobna do tej, jaka - według Ronnie - łączyła żołnierzy po wspólnie stoczonej bitwie.

- Przez chwilę, tam w tej toalecie, patrzyła pani na mnie jak na Teda Bundy. -

Temu trafnemu spostrzeżeniu towarzyszyło spojrzenie z ukosa i uśmiech.

- Miałam takie obawy.

Oparła się wygodniej na siedzeniu. Klimatyzacja działała bez zarzutu.

Chłodny strumień powietrza wiał jej prosto w twarz. Rowy po obu stronach drogi były pełne chwastów, nie wody, a w jaskrawym świetle słońca nawet stawy wyglądały nieświeżo. Upał panował w Missisipi już od tak dawna, że drzewa sprawiały wrażenie wyschniętych.

- A więc dlaczego nie zabiera mnie pan do domu? Chciałabym przynajmniej wziąć prysznic i zmienić ubranie.

Od alkoholu w substancji, jaką nasączono chusteczki, piekły ją łydki. Choć nie mogła zdjąć pończoch, usiłowała zmyć z nóg resztki farby, ale czerwone plamy pozostały.

- Jak pani sądzi, dokąd się teraz uda to stado szakali, któremu zdołaliśmy uciec?

- Och. - Ronnie wstrzymała oddech. O tym nie pomyślała. Dziennikarze z pewnością mieli zamiar otoczyć kordonem Sedgely, posiadłość rodzinną Honnekerów położoną pod Jackson. Zanim wskoczyła za Quinlanem do buicka, widziała, jak reporterzy rozbiegają się we wszystkich możliwych kierunkach i pędzą do aut. Ścigali ich zatem prawie od samego początku. A że zgubili trop, na pewno udali się prosto do Sedgely. Do pięknego Sedgely z domem w stylu kolonialnym, z podjazdem, ocienionym szpalerem wspaniałych, porośniętych mchem dębów i z kamiennym murkiem, który nie stanowiłby przeszkody nawet dla sześciolatka, a co dopiero dla hordy rozwścieczonych dziennikarzy.

- Ostrzegę Dorothy. - Ronnie wzięła z konsoli telefon komórkowy. - Mogę?

- Oczywiście. Kto to jest Dorothy?

- Matka Lewisa. Mieszka w Sedgely. - Mówiąc to, wystukiwała numer telefonu.

- No oczywiście. Babcia.

Selma, długoletnia gospodyni Sedgely, podniosła słuchawkę już po drugim dzwonku. Ronnie uniosła rękę, aby uciszyć Quinlana.

- Selmo, to ja. Czy pani Honneker jest w domu?

- Nie, nie ma jej, proszę pani.

Ronnie pomyślała, że Dorothy poszła zapewne na jedno z wielu damskich zebrań, co zresztą bardzo jej odpowiadało. Zdecydowanie wolała, aby to Selma przekazała złe wiadomości teściowej, która odnosiła się do Ronnie niezwykle krytycznie.

- Możesz się z nią skontaktować? Zostawiła jakiś numer telefonu?

- Wyszła do pani Cherry.

Honorina Cherry należała do grona najstarszych przyjaciółek Dorothy.

Podobnie jak Honnekerowie, tak i ród Cherrych dorobił się na tytoniu.

Sąsiadująca z Sedgely posiadłość Cherrych nosiła dźwięczną nazwę Waveland.

- Posłuchaj, Selmo, chciałabym, abyś do niej zadzwoniła i powiedziała, że podczas festynu jakaś nieznajoma kobieta oblała mnie farbą. Nic mi się nie stało, ale w Sedgely na pewno pojawią się dziennikarze.

- Ma udawać, że o niczym nie wie. I musi to również przekazać babci -

instruował Quinlan, a tymczasem Ronnie skupiła się na tym, co mówiła gospodyni.

- Selma twierdzi, że reporterzy już zaczęli dzwonić, a przy tylnym wyjściu stoi jakieś dziwne auto. Nikt w nim jednak nie siedzi - relacjonowała Ronnie, zakrywając dłonią mikrofon.

- To pewnie jakiś reporter. Chce zrobić zdjęcie albo coś wyciągnąć ze służby.

Przekaż jej koniecznie to, o co proszę. Nic nie wie...

Ronnie wypełniła polecenie Quinlana, zapewniła Selmę, że czuje się znakomicie i odwiesiła słuchawkę.

- Teraz Lewis - powiedziała, krzywiąc się lekko, i wystukała numer komórki męża. Kiedy jednak beznamiętny głos oznajmił jej, że abonent znajduje się poza zasięgiem, Ronnie odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że Lewisa z pewnością nie ucieszy taki rozwój wypadków.

- Jegomość z Pięknego Południa chwilowo nieosiągalny - poinformowała Quinlana, parodiując nadęty ton nagranych na taśmę mężczyzny, i zatelefonowała do waszyngtońskiego biura Lewisa. Niedobrą wiadomość przekazała Moirze Adams, asystentce, prosząc, by ta powiedziała o wszystkim Lewisowi, kiedy tylko go odnajdzie. Wypełniwszy swój obowiązek, odwiesiła słuchawkę i położyła z powrotem telefon na konsoli.

- I teraz co? Nie mogę jechać do domu.

- Chciałem panią zabrać ze sobą. - Ten głęboki głos zaczął się jej podobać, choć na ogół nie przepadała za południowym akcentem. Źródła jej niechęci tkwiły zapewne w tym, że Lewis zaczynał naśladować południowy sposób mówienia, gdy tylko wjeżdżali do Missisipi, i rezygnował z niego

natychmiast, kiedy skręcał na autostradę prowadzącą do Waszyngtonu. W

zimie, którą spędzali zwykle w Georgetown, wszelkie południowe naleciałości znikwały bez śladu.

Ronnie podejrzewała, że właśnie dlatego taki akcent wydawał się jej zawsze trochę sztuczny.

- To chyba nie jest dobry pomysł - zaprotestowała. - Proszę tylko pomyśleć o prasie. Już widzę te nagłówki: „Żona senatora znajduje schronienie w domu konsultanta politycznego”, czy coś w tym rodzaju. A w artykułach sugerowałiby z pewnością, że złapali mnie na gorącym uczynku w gniazdku miłosnym. - Mówiła z wyraźnym rozgoryczeniem, bo tak też się czuła.

Quinlan popatrzył na nią z niezmiennym spokojem.

- Mam mieszkanie w Jackson i rzeczywiście nie powinniśmy się tam pokazywać. Choćby dlatego, że dopadnie nas ta sfera. Chodziło mi o dom mojej matki. Ona jest w porządku.

- Dom pana matki?

- Mama mieszka pod De Kalb, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Nikt tam pani nie będzie szukał. Spokojnie doprowadzi się pani do porządku, odpocznie i zastanowimy się, co dalej.

- Urodził się pan w Missisipi? - Ronnie sama nie rozumiała, dlaczego tak się dziwi. Już akcent Quinlana mówił przecież sam za siebie. Ale dotąd się jej wydawało, że doradcy polityczni pochodzą zupełnie skądinąd. Ciągłe w biegu, latali z jednego miasta do drugiego, przeskakiwali z kampanii na kampanię, z wyborów na wybory. Trudno było sobie wyobrazić w takiej roli kogoś zakorzenionego na stałe w Missisipi.

- Jasne. Przeżyłem tu większość życia. Nawet chodziłem do Ole Missa z Marsdenem. Mieszkaliśmy zawsze w tym samym pokoju.

Marsden był najstarszym synem Lewisa i świątobliwej Eleanor. Pasierbem Ronnie, starszym od niej o osiem lat.

- Cóż za wspaniałe referencje - stwierdziła Ronnie sucho, gdy ochłonęła już ze zdziwienia po tych rewelacjach, które nadwyrężyły bardzo poważnie jej zaufanie do Quinlana. - Jako przyjaciel Marsdena nie musiał się pan chyba bardzo starać o tę robotę.

- Nie układa się wam za dobrze, prawda? - Znów popatrzył na nią z rozbawieniem w oczach.

- Nazwałabym tę wypowiedź eufemizmem stulecia. Marsden uważa, że rozbiłam małżeństwo jego rodziców. Pogardza mną. I zapewniam pana, że z wzajemnością.

- Ma rację?

- Co do czego? Aha, pyta pan o małżeństwo Lewisa. Nie. -Zawahała się. Ile powinna mu wyjawić? Zadziwiającej intymności, jaka się pomiędzy nimi wytworzyła, należało przeciwstawić nagie fakty: Quinlan był wynajętym doradcą politycznym, zatrudnionym przez biuro Lewisa, by nad nią

„pracować”, i okazał się również kumplem Marsdena.

- Większość mieszkańców Missisipi tak sądzi - wypowiedział tę brutalną prawdę przepaszającym tonem. Ronnie nadal nie była pewna, czy może mu ufać. Skrzywiła się tylko, patrząc na kompletnie zniszczoną suknię.

- To chyba oczywiste.

- I taki stan rzeczy musimy zmienić. Proszę się mnie trzymać, a już za pół roku będzie pani równie popularna, jak prażona kukurydza na festynie.

Obiecuję.

Całkowicie wbrew sobie Ronnie parsknęła śmiechem.

- A w razie niepowodzenia gwarantuje pan zwrot kosztów?

- Oczywiście. - Nadal się uśmiechał. - Wszystko zależy od interpretacji.

Większość wyborców postrzega znane osobistości sceny politycznej w niezwykle stereotypowy sposób. Tak jest im łatwiej, bo to nie wymaga pracy.

A pani pasuje teraz do stereotypu „tej drugiej” kobiety - młodszej i bardziej atrakcyjnej, takiej, która zjawia się nagle nie wiadomo skąd i kradnie w zasadzie porządnego faceta wiernej, kochającej żonie. Jeśli pomyśli pani o tym w taki sposób, łatwo się pani domyśli, dlaczego pani nie lubią.

- Ale to nieprawda. Nieprawda. Nie ukradłam Lewisa. Oni byli już w separacji, kiedy zaczęłam się z nim spotykać. - Ronnie nie mogła nic na to poradzić. Musiała wyjaśnić dokładnie Quinlanowi przynajmniej tę sprawę.

- To znaczy kiedy?

- Sześć lat temu. Przedtem przez kilka lat pracowałam u niego w biurze, ale nic nas nie łączyło, dopóki nie uzyskałam pewności, że jego małżeństwo z Eleanor jest raz na zawsze skończone.

- Ale tak czy inaczej, jak się poznaliście?

- Miałam dziewiętnaście lat, studiowałam na drugim roku uniwersytetu w Waszyngtonie, a Lewis wygłosił kiedyś wykład podczas zajęć, na które uczęszczałam. Uznałam jego wypowiedź za interesującą, więc zadałam mu wiele pytań. Po wykładzie Lewis podszedł do mnie i spytał, czy nie zechciałabym pracować u niego na pół etatu, gdyż właśnie zwalnia się miejsce. Przyjęłam propozycję i zostałam zatrudniona. Należały do mnie obowiązki sekretarki, ale pięłam się po szczeblach biurowej drabiny.

- Tak więc pracowała pani dla Lewisa.

Przytaknęła, zawahała się przez chwilę i uznała, że nic się właściwie nie stanie, jeśli opowie Quinlanowi pobieżnie dalszy ciąg tej historii. W końcu nie miała się czego wstydzić, niezależnie od tego, czy wierzył w to Marsden i cała reszta mieszkańców Missisipi. Wolą jednak nie wspominać o tym, że Lewis uwodził ją właściwie od samego początku. Proponował spotkania od czasu, gdy jako dziewiętnastoletnia dziewczyna podjęła u niego pracę na pół

etatu aż do chwili, gdy powiedziała tak, a to nie świadczyło o nim zbyt dobrze. Lojalność nakazała jej zachować tę część prawdy dla siebie.

- Kiedy skończyłam studia, zaproponował mi etat asystentki. Był już wtedy w separacji z Eleanor, choć jeszcze nie ujawniał tego faktu, nie chcąc sabotować swoich szans na reelekcję. Eleanor miała romans z innym mężczyzną. I tak to właśnie wyglądało podczas jego ostatniej kampanii, choć nadal pokazywał się publicznie z żoną, ilekroć wymagała tego sytuacja. Po wyborach Eleanor szybko dostała rozwód, a my wzięliśmy ślub. Sądził, że przez sześć długich lat wyborcy zdążą się do mnie przyzwyczaić. Ale minęły już trzy lata i oni chyba wcale nie lubią mnie bardziej niż kiedyś. To, co wydarzyło się dzisiaj, może panu służyć za przykład.

- Nie dostała pani walentynki, fakt. - Quinlan rzucił jej szybkie spojrzenie. -

Myślała pani może kiedyś o dziecku z senatorem?

- Co takiego?! - Ronnie wyprostowała się na siedzeniu. Nie mogła uwierzyć, że Quinlan zadał jej tak osobiste pytanie.

- Dziecko zmieniliby na pewno uczucia wyborców. Wszyscy uwielbiają świeżo upieczone mamusie i ich słodkie maleństwa. W każdym razie jeśli planuje pani dzieci, to należałoby o tym pomyśleć przed wyborami. Trzy lata to sporo czasu.

- Moja decyzja w tej sprawie na pewno nie będzie miała żadnego związku z wyborami.

- To była tylko propozycja - mruknął przepaszająco i spojrzał na nią domyślnie. Ronnie zaczęła się zastanawiać, ile on tak naprawdę wie o Lewisie. Bo jeśli mieszkał z Marsdenem w akademiku, to zapewne wiedział

sporo. Albo i nie. Niewielu ludzi znało prywatne oblicze Lewisa. Nie wiedziała nawet, czy zna je Marsden.

- Jak bliskie stosunki łączą pana z Marsdenem? - spytała podejrzliwie.

- Kiedyś nazwałbym je przyjaźnią, teraz to po prostu zwykła znajomość.

Proszę się nie martwić. Nie zamierzam mu składać cotygodniowych sprawozdań na pani temat. Pracuję dla pani, nie dla niego. - Quinlan uśmiechnął się do Ronnie.

- Przynajmniej to jedno jest jasne.

Zwolnił przy znaku stopu, a następnie skręcił w lewo w asfaltową szosę, znacznie węższą niż ta,

którą dotychczas jechali. Tu dwa samochody mogłyby się wyminąć jedynie wówczas, gdyby zjechały na pobocze, a i to z trudem. Na polach w cieniu rzucanym przez nieliczne drzewa pasły się stada czarno-białych krów. Cztery świnie tarzały się w błotnistym strumyku; ponad powierzchnię wody wystawały jedynie czubki ich głów. Dwie tłuste białe gęsi skubały coś w krótkiej, przywędłej trawie. Farmer w słomianym kapeluszu i bawełnianych spodniach, siedzący na traktorze, pomachał im ręką. Quinlan nacisnął klakson i odwzajemnił pozdrowienie.

- Zna go pan? - W swoim eleganckim garniturze Quinlan nie wyglądał

zupełnie jak ktoś, kogo mogłyby łączyć jakiekolwiek stosunki z ciężko pracującym farmerem.

- Znam tu wszystkich. Moja rodzina mieszka już od pokoleń w tej części kraju. No, jesteśmy.

Skręcając w wyżwirowany podjazd, znacznie zwolnił. Ronnie kątem oka zdążyła jeszcze zauważyć zniszczoną metalową

skrzynkę pocztową. Przed nimi znajdował się dwupiętrowy dom z białym szalunkiem, wąskimi oknami i pomalowaną na szaro werandą i okiennicami.

Wyglądał bardziej przytulnie niż majestatycznie, choć był bez wątpienia stary. Nad nierównym trawnikiem rozpościerały się sękate gałęzie wysokich dębów, a przy tylnym wejściu rosły klony. Stał tam również duży stół.

Pochylona stodoła, większa niż dom i wymagająca natychmiastowego malowania, znajdowała się na niewielkim wzniesieniu przy końcu podjazdu -

jeśli oczywiście wyżwirowaną dróżkę, na której podskakiwało teraz auto, można było w ogóle tak nazwać. Dróżka przypominała raczej wiejską ścieżkę, wijącą się za dom poprzez małe pole z kępą jabłonek oraz ogródkiem warzywnym po prawej, jak również kurnikiem i innym budynkiem gospodarczym po lewej stronie. Quinlan przejechał jeszcze kawałek wzdłuż domu i zaparkował w cieniu rzucanym przez srebrzyste klony.

Zza podwójnych drzwi strzegących tylnego wejścia wyszedł nastolatek w workowatych szortach koloru khaki, a na widok auta stanął jak wryty na betonowym ganku. Drzwi zamknęły się z trzaskiem za jego plecami.

Quinlan wysiadł z samochodu.

- Cześć, Mark. Dlaczego nie jesteś w pracy?

Mark wzruszył ramionami bez odpowiedzi. Tuż za nimi zatrzymało się drugie auto, a gdy Ronnie wysiadła, zabrzmiał klakson. Chłopak odzyskał

nagle zdolność poruszania się i ruszył ochoczo w stronę nowo przybyłego wozu. Drzwi po stronie kierowcy uchyliły się tymczasem zapraszająco.

- Cześć - rzucił do Quinlana i wśliznął się za kółko, a blondynka siedząca dotychczas za kierownicą

przesunęła się na miejsce pasażera.

- Dziesiąta! - warknął Quinlan ostrzegawczo.

- Dwunasta - odparł chłopak, zatraskując drzwi.

- Dziesiąta - powtórzył kategorycznie Quinlan, ale jeśli chłopak nawet go słyszał, to nie dał niczego po sobie poznać. Patrzył już do tyłu, wyprowadzając auto z podjazdu raczej szybko niż uważnie. W końcu -

trąbiąc i machając Quinlanowi ręką na pożegnanie - wystrzelił na szosę, pozostawiając po sobie jedynie grad kamyków.

- Loren wyciągnęła go nad jezioro, więc zadzwonił do szefa i nabujał, że zachorował.

Ronnie odwróciła głowę i zobaczyła kobietę około sześćdziesiątki, w niebieskich spodniach w kratkę i białej bluzce, stojącą dokładnie w tym samym miejscu, co przed chwilą Mark. Kobieta miała zniszczoną cerę i krótkie siwe włosy. Mówiąc do Quinlana, marszczyła z roztargnieniem brwi.

- Domyślałem się, że to coś w takim stylu. Ta mała narobi kłopotów -

mruknął ponuro Quinlan, po czym przypomniał sobie, w jakim towarzystwie się znajduje, i popatrzył na Ronnie stojącą niepewnie po drugiej stronie auta.

- Mamo, to jest pani Lewisowa Honneker, żona pana senatora. Pani senatorowo, przedstawiam pani moją mamę, Sally McGuire.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła pani McGuire, schodząc ze schodków z wyciągniętą ręką. - Bardzo mi miło, pani senatorowo. Znałam pani - zaraz -

on jest chyba pani pasierbem... Mówię o Marsdenie. Z Marsdenem utrzymywałam całkiem bliskie kontakty. Znałam też resztę rodziny. Tak czy inaczej, bardzo się cieszę z pani wizyty.

- Dziękuję. - Ronnie uśmiechnęła się do niej najpiękniejszym uśmiechem ze swojej dyplomatycznej kolekcji i obie panie uściśniły sobie ręce. Starsza przyjrzała się uważniej młodszej, po czym przeniosła zdziwione spojrzenie na Quinlana.

- Mój Boże! Co się stało? - spytała. - To chyba nie krew, prawda?

- Weszliśmy w drogę puszce z farbą - odparł Quinlan, prowadząc Ronnie w stronę domu. - Pani Honneker musi wziąć prysznic, przebrać się, a potem może coś zjeść. Masz coś dobrego w kuchni?

- Przecież wiesz, że mam - odparła, wchodząc za nimi do staroświeckiego saloniku na tyłach domu. Panował tu chłód i półmrok, przy jednej ścianie stały małe organy. - Zostało trochę indyka i szynki, oczywiście, o ile Mark wszystkiego nie spałaszował, co jest niestety bardzo prawdopodobne. Mam też świeżo upieczone ciasto. Czerwony Welwet.

- Mama to najlepsza kucharka w całym Missisipi - powiedział Quinlan z przekonaniem, obejmując matkę. - Zresztą sama pani zobaczy, kiedy pani spróbuje Czerwonego Welwetu. Ale po kolei. Prysznic jest na górze, drugie drzwi na prawo.

- Na wieszaku znajdzie pani czyste ręczniki - powiedziała pani McGuire. -

Dopiero co je wyjęłam. A w szafie trzymam szampon. Jeśli będzie pani jeszcze czegoś potrzebować, proszę tylko krzyknąć.

- Dziękuję. - Ronnie zawahała się lekko. Uważała, że postąpiłaby bardzo niegrzeczne, gdyby tak po prostu poszła pod prysznic, jakby była domownikiem. Myny pani McGuire i jej syna mówiły jednak wyraźnie, że niczego innego się po niej nie spodziewają. Bolesnie świadoma ich spojrzeń, skierowała się zatem w stronę wąskich schodów w dalekim końcu pokoju.

Była bardzo ciekawa, co też takiego Quinlan powie matce, gdy zostaną sami.

Bez wątpienia nie zamierzał przed nią niczego ukrywać.

Ta myśl przyprawiła Ronnie o wewnętrzny dreszcz.

Czuła się tak bardzo upokorzona wrogością okazywaną jej przez otoczenie, i to w dodatku z takiego, a nie innego powodu.

Rozdział 6

Biloxi, godzina 15. 30

CÓRKA TELEWIZYJNEGO KAZNODZIEI NIE ŻYJE.

We wtorek o czwartej po południu w Zatoce Meksykańskiej, nieopodal Wyspy Jeleni znaleziono ciało córki telewizyjnego kaznodziei Charliego Kaya Martina. Rzecznik policji w Biloxi, sierżant Connie Lost, twierdzi, że ustalenia koronera przeczą hipotezie wypadku, więc zachodzi podejrzenie zabójstwa. Susan Martin -już od dawna nie utrzymująca żadnych kontaktów z rodziną - mieszkała przed śmiercią w Biloxi. Pełnomocnik pana Martina oświadczył, że kaznodzieja nie złoży żadnego oświadczenia w tej sprawie, ale zarówno on, jak i jego małżonka głęboko przeżywają śmierć córki. Z

wypowiedzi sierżanta Lotta wynika jasno, że śledztwo trwa.

Artykuł nie rzucał się w oczy. Marla Becker z całą pewnością w ogóle by go nie zauważyła, gdyby nie umieszczono go tuż nad reklamą trzydniowego wypadu do Las Vegas za nieprawdopodobną wręcz cenę 199 dolarów, obejmującą przelot i dwa noclegi ze śniadaniem. Marla zawsze marzyła o wycieczce do Las Vegas. Było to miejsce jej przeznaczenia, właśnie tam, nigdzie indziej, mogła urzeczywistnić swoje fantazje.

Nie zależało jej na wakacjach. Sądziła tylko, że dzięki szopie blond włosów i długonogiej sylwetce poderwie tam sobie podtatusiałego bogacza, takiego, który zapewni jej wreszcie wymarzony tryb

życia.

No ale była jeszcze Lissy. Lissy - jej córka, uroczy blond-chochlik z końskim ogonkiem, dziewczynka, którą kochała do szaleństwa, mimo iż sam fakt jej istnienia całkowicie przekreślał szansę na realizację tych marzeń. Jaki podtusiały milioner weźmie sobie kochankę z siedmioletnią córką? I kto zaopiekuje się Lissy w czasie, gdy Marla uda się do Vegas na poszukiwanie swego przyszłego protektora?

Mimo wszystko Marla lubiła marzyć, że jej sen kiedyś się spełni, toteż czytała łakomie wszystkie oferty biur podróży organizujących eskapady do Vegas. Ta właśnie obsesja naprowadziła ją na artykuł o Susan.

I choć miała tę wiadomość przed sobą, wydrukowaną w gazecie tak, by każdy mógł ją zobaczyć, Marla nie mogła w nią uwierzyć. Susan nie żyje. Marla zamartwiała się o swoją współlokatorkę już od trzech dni, ale nie spodziewała się absolutnie czegoś takiego. Susan mieszkała z Marlą i Lissy w dwu-pokojowym mieszkaniu, a od czwartku wieczorem nie pojawiła się w domu. Susan lubiła się bawić i czasem nie wracała przez weekend albo nawet i dłużej, jeśli poznała akurat jakiegoś fajnego faceta, ale zawsze przy takich okazjach dzwoniła do Marli. A tym razem nie dała znaku życia.

Marla zwilżyła usta i wbiła wzrok w artykuł. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie mogła przeczytać powtórnie wzmianki, bo gazeta się trzęsła.

Tak samo jak jej ręce.

Bogu dzięki, Lissy miała wrócić do domu dopiero po piątej. Popołudnie spędzała nad wodą wraz z koleżanką i jej matką, która obiecała ją odwiedzić do domu. Marla nie chciała, aby córeczka zobaczyła ją w stanie tak silnego zdenerwowania.

Boże, jak tu powiedzieć Lissy o Susan? Dziewczynka bardzo lubiła ciocię Susan - bo tak ją nazywała, choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo.

Lissy poniosła już w swoim krótkim życiu tak wiele strat. A teraz jeszcze Susan.

Jak to się mogło stać?

Marla widziała przyjaciółkę po raz ostatni około szóstej po południu w czwartek, czyli wówczas, gdy odwiozła ją i Claire Anson do jachtklubu w Biloxi i tam je zostawiła. Dziewczyny umówiły się na jachcie - chyba Sun Cloud - z jakimiś bogatymi facetami. Sun Cloud? Może Sun Ray? Nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć nazwy jachtu, choć czuła, że to się może okazać ważne. W każdym razie Sun coś tam. Tego była pewna.

Absolutnie pewna.

Susan mówiła, że zarobi na tej randce kupę forsy - chyba aż tysiąc dolców.

Marla nawet pogroziła jej żartobliwie, żeby się

dobrze postarała. Susan - zawsze beztraska - zalegała już od dwóch miesięcy ze swoim udziałem w czynszu, a Marla nie zamierzała za nią płacić bez końca. Musiała myśleć o Lissy. Pieniądze zarabiała dla córeczki, nie dla Susan, choć uważała ją za swoją bardzo dobrą przyjaciółkę.

Marla upuściła gazetę. Dziennik spadł na podłogę i leżał tam w beładnej masie pomiętych stronic, gdy tymczasem Marla wstała z kanapy i zrobiła trzy niepewne kroki do telefonu.

Gdzie też się podział ten numer? W zdenerwowaniu nie potrafiła sobie przypomnieć. Musiała zajrzeć do czerwonego notatnika Susan, leżącego zwykle w szufladzie, pod telefonem. Biorąc do ręki notes, dostała mdłości; poczuła się bowiem tak, jakby dotykała ciała przyjaciółki.

Och, Susan! Mieszkały razem przez dwa lata w trzech różnych mieszkaniach.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że już nigdy jej nie zobaczy. Susan i Lissy były jej rodziną - nie znajdowała innego słowa, by określić ich związek.

Po czwartym dzwonku usłyszała pogodny głos Claire.

- Wysłałam, biorę prysznic albo śpię. Tak czy inaczej, nie mogę teraz podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię.

Marla podała nazwisko oraz numer telefonu i dodała, że sprawa jest pilna, a następnie odwiesiła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę wbijała po prostu wzrok w aparat.

Susan nie żyła, była trupem pływającym po Zatoce Meksykańskiej. Gazeta sugerowała zabójstwo.

Ale kto miałby powód, by zamordować Susan?

Marla nie wiedziała zupełnie, co robić.

Może zadzwonić na policję i przekazać im wszystkie posiadane informacje?

Nie, nie mogła tak ryzykować. Uciekła z Lissy wiele lat temu. Bała się, że sąd przyzna opiekę nad dzieckiem raczej fanatykowi religijnemu o prawicowych poglądach, czyli mężowi Marli, a nie jej - małej narkomance. Nigdy nie sprawdziła, jaki naprawdę zapadł wyrok, ale nie wątpiła, że wygrał jej mąż -

teraz już zapewne eks-mąż. Oczywiście nie miało to dla niej znaczenia. Lissy należała do niej, a ona do Lissy. Żadna z nich nie zamierzała tam wrócić.

Może powinna zatelefonować do rodziny Susan? Nikogo z nich jednak nie знаła, a po tym, co słyszała od przyjaciółki, nie pałała szczególną ochotą, by taką znajomość zawrzeć. Wątpiła, czy bliscy Susan w ogóle się przejęli jej śmiercią. Z pewnością Susan zerwała z nimi wszelkie więzy. Jej ojciec -

Charlie Kay Martin - występował co tydzień w telewizji w audycji „The Family Prayer Hour”. Wygrażał pięścią, ział ogniem i straszył wszystkich piekłem, przez co przypominał Marli tatę Lissy. Tryb życia, jaki prowadziła Susan po zerwaniu kontaktów z rodziną, stanowił przestrożę przed tym, co może się stać z każdą dziewczyną wychowaną w surowym domu fundamentalisty religijnego.

Nie, Marla nie mogła się zwrócić do rodziny Susan.

W takim razie do kogo?

Podniosła słuchawkę, by zadzwonić do agencji Piękne Modelki, dla której ona sama, Susan i Claire wykonywały czasem prace zlecane. Nie całkiem zresztą jako modelki, choć tak się same nazywały. Niekiedy zresztą zajmowały się modelowaniem.

Na samą myśl o tym, co czasem modelowały, Marla musiała się uśmiechnąć.

Billie - która organizowała im randki - wiedziałaby na pewno, jak postąpić.

Może to nawet ona umówiła Susan i Claire z tymi bogatymi facetami na jachcie? Marla nie brała udziału w tego rodzaju eskapadach, gdyż nigdy nie nocowała poza domem z uwagi na Lissy.

W chwili gdy brała do ręki słuchawkę, usłyszała pukanie. Niewielkie mieszkanko, które dzieliła z Susan, składało się wyłącznie z salonu połączonego z jadalnią, małej kuchenki i dwóch sypialni. Drzwi wejściowe znajdowały się w części jadalnej, odległość, jaka dzieliła od nich Marłę stojącą teraz w kuchni, nie przekraczała dwóch metrów.

Pukanie było ciche, uprzejme, nie mogło budzić niepokoju. Marli nie odwiedziła zatem żadna z przyjaciółek, gdyż te dobijały się zwykle do drzwi jak opętane. Nie pukała również gospodyni, gdyż ta robiła to zwykle energicznie i głośno. Lissy natomiast zaczęłaby wołać, tak by jej mama wiedziała, kto czeka za drzwiami.

Któż w takim razie pukał do jej drzwi w środku poniedziałkowego popołudnia? Akwizytor? Na przykład sprzedawca odkurzaczy?

Marla zdawała sobie sprawę z tego, że śmierć Susan wzbudziła w niej lęk, lecz mimo wszystko dziwiła się wahaniu, z jakim zbliżała się teraz do własnych drzwi. Jakiś cichy głosik podpowiadał jej wyraźnie: „Ostrożnie, kochanie”.

Może słyszała głos Susan?

Marla poruszała się cicho, jej stopy sunęły niemal bezszelestnie po poplamionej beżowej wykładzinie. Gdy doszła już pod same drzwi, pukanie rozległo się ponownie, a Marla podskoczyła ze strachu. Zanim uspokoiła się na tyle, by przyłożyć oko do dziurki od klucza, musiała zaczerpnąć głęboko powietrza. Na progu stał mężczyzna w szarym podkoszulku Nike i czapce baseballowej Ole Missa. Nieznajomy miał okrągłą, nalaną, bladą twarz. Spod czapki wystawały mu ciemne krótkie włosy. Najbardziej pasowałoby do niego określenie: trudny do opisania. Nieoczekiwany gość rozglądał się niecierpliwie po korytarzu.

Nagle, na oczach podglądającej Marli, wyjął z kieszeni pęk kluczy Susan i włożył jeden z nich do zamka.

Rozdział 7

Jackson, godzina 16.00

Mimo iż Ronnie nadal odczuwała zażenowanie z powodu swego wyglądu, zdecydowała się w końcu zejść na dół. Głos Quinlana rozmawiającego z matką pozwolił jej nieomylnie trafić do kuchni. Przed wejściem zawahała się przez chwilę - nie chciała nikomu przeszkadzać. Ale czułaby się równie niezręcznie w holu, salonie czy na górze. Prędzej czy później musiała w końcu przyłączyć się do McGuire'ów, gdyż w przeciwnym wypadku jedno z nich (albo nawet oboje) zaczęliby jej szukać. Zmobilizowała resztki pewności siebie i udała od razu do kuchni.

Czułaby się znacznie mniej skrępowana, gdyby mogła skorzystać ze szminki, puderniczki czy lokówki. Ale zostawiła gdzieś torbę i nie miała przy sobie kosmetyków. Na rzęsach pozostały jej tylko resztki tuszu, w policzki wtarła odrobinę znalezionej na półce w łazience kremu do rąk. Włosy tylko wysuszyła i odgarnęła za uszy - bez pianki, żelu i lakieru nie była w stanie ułożyć bardziej kunsztownej fryzury.

Nie ma na to żadnej rady - pomyślała i weszła do kuchni.

Quinlan i jego matka siedzieli przy okrągłym dębowym stole w głębi kuchni, gdzie duże okno wychodziło na podwórze. Podobnie jak reszta domu, kuchnia była staroświecka. Podłogę pokrywało białe-złote, gdzieniegdzie poprzecierane linoleum. Szafki pomalowano na musztardowy kolor zapewne po to, by pasowały do pszeniczn złotych przyborów kuchennych. Lady wyłożono białym laminatem; stały na nich słoiczki z przyprawami i pojemnik do pieczywa. Z prostych mosiężnych haczyków zwisały żółte firaneczki w kratkę. Nieopodal zlewu

włączony ekspres do kawy wypełniał pomieszczenie obezwładniającym aromatem świeżego naparu. Ronnie zauważyła na uchwycie kuchenki czerwony pasiasty ręcznik. Dzięki temu spostrzeżeniu oraz dzięki niezidentyfikowanemu, ale wspaniałemu zapachowi zmieszanemu z wonią kawy doszła do wniosku, że kolacja jest w piecu.

Ronnie pomyślała, że kuchnia wygląda bardzo przytulnie.

Gdy wchodziła do kuchni, Quinlan i jego matka podnieśli na nią wzrok.

Quinlan zmienił swój poplamiony garnitur na granatową koszulkę polo i džinsy. Miał lekko wilgotne włosy, widocznie on również brał prysznic.

- Lepiej się pani czuje? - spytała matka Quinlana.

On sam tylko się uśmiechnął i otaksował ją wzrokiem. W za dużych o kilka numerów niebieskożółtych spodniach w kratkę i żółtym podkoszulku z dobraną do spodni lamówką Ronnie czuła się jak kłown. Gdyby spodni nie podtrzymywała tasiemka w tali, z pewnością by opadły.

- Ładny strój - rzucił Quinlan, napotkawszy wreszcie jej spojrzenie.

- Dziękuję - odparła z cukierkowa tym uśmiechem.

Trykotowa koszulka polo eksponowała szerokie i nadspodziewane muskularne ramiona Quinlana; dżinsy leżały na nim jak ulał. Ubranie z pewnością stanowiło jego własność - czekało na przybycie właściciela pod dachem jego matki. Takiemu to dobrze.

- Nie kpij - Sally McGuire potrząsnęła głową, popatrzyła na syna karcąco i wstała. - Zje pani kawałek ciasta? - zwróciła się do Ronnie. - Albo wypije szklankę mleka? Ewentualnie filiżankę kawy?

- Z przyjemnością zjem kawałek ciasta. A do tego poproszę o mleko. To chyba dobre zestawienie. - Siadając, Ronnie posłała Quinlanowi ukradkowe spojrzenie.

- Bardzo dobre - zgodziła się pani McGuire, uniosła pokrywę pojemnika na ciasto i zaczęła krajać apetycznie wyglądające czerwonawe ciasto, przybrane szcudrze białym kremem.

- Dziękuję bardzo za ubranie - powiedziała Ronnie, gdy matka Quinlana nałożyła jej na talerzyk solidną porcję deseru.

- Och, nie ma za co. Szkoda tylko, że nie mam nic w bardziej odpowiednim dla pani rozmiarze. - Nalewając mleko do szklanki Ronnie, pani McGuire parsknęła nagle śmiechem.

- A nie tylko na długość. Jak szkoda, że nie możemy bezkarnie jeść ciastek, prawda?

- Owszem - zgodziła się Ronnie. Przesuwając widelcem po miękkim cieście i warstwie kremu, wdychała z przyjemnością wspaniały aromat. Ślinka napłynęła jej do ust. Nieczęsto pozwalała sobie na słodczy, ale tego dnia nie potrafiła oprzeć się pokusie. - Wygląda wspaniale. Nie jadam zbyt wielu deserów.

- To widać - mruknął Quinlan. W jego spojrzeniu Ronnie wyczytała wyraźnie podziw dla swojej figury. Doszła jednak do wniosku, że nie powinna się temu dziwić. Właśnie dla utrzymania linii przestrzegała diety, pływała, ilekroć było to możliwe, a trzy razy w tygodniu nawet nurkowała.

Kremowa słodczy ciasta rozpływała się jej w ustach; Ronnie aż przymknęła oczy z zadowolenia.

- Wspaniale - powiedziała i wzięła do ust następny kęs.

- Czerwony Welwet mamy jest znany w całej okolicy. To ciasto pamiętają wszyscy, którzy mieli okazję go kiedykolwiek spróbować. - Quinlan spałaszował już tymczasem połowę swojej porcji, dwukrotnie większą od kawałka Ronnie.

Skoro zawsze tyle je, jakim cudem zachowuje taką świetną sylwetkę? -

przemknęło jej przez myśl.

Znów włożyła do ust maleńki kąsek i rozkoszowała się jego smakiem. Ta niespodzianka dla podniebienia przyzwyczajonego do ryb, kurczaka i sałatek była naprawdę wspaniała, toteż Ronnie chciała przeciągnąć przyjemność jedzenia tak długo, jak było to możliwe. Musiała się jednak zachowywać w miarę normalnie, gdyż obserwował ją Quinlan.

- Znakomite - powiedziała, celowo nie popadając w przesadny zachwyty i upiła łyk mleka. Tłustego mleka, podczas gdy zazwyczaj pijała wyłącznie chude.

Pomyślała, że gdyby zaczęła częściej jadać takie podwieczorki, już niedługo ważyłaby zapewne sto kilo.

- Korzystam z przepisu babci. Jeszcze dziś czuję w ustach smak kremowo-serowej polewy. Polewy zupełnie nie z tego świata... - Pani McGuire usiadła na swoim miejscu przy stole z ciastem i mlekiem.

- Nie mogła być lepsza od tej - powiedziała Ronnie, biorąc do ust kolejny kawałek.

- Och, byłbym zapomniał. Proszę, tu są pani perły. - Quinlan wyjął

zawiniątko z kieszeni dzinsów i położył je na stole.

- Dziękuję - powiedziała Ronnie. Odwinawszy biżuterię z ręcznika, wsunęła naszyjnik do kieszeni i włożyła klipsy. Teraz, gdy palce odzyskały zręczność, czynność ta trwała zaledwie ułamek sekundy.

- Są piękne. - Pani McGuire spojrzała z podziwem na perły. Quinlan również popatrzył, ale zachował milczenie.

- Dziękuję.

Pani McGuire uśmiechnęła się do niej.

- Naprawdę pochodzi pani z Missisipi? Ronnie pokręciła głową.

- Z Massachusetts. Wychowałam się w Bostonie.

- I pani rodzina nadal tam mieszka?

- Ojciec i dwie siostry tak. Druga przeniosła się wraz rodziną do Delaware.

Mama i jej nowy mąż są teraz w Kalifornii. Tak więc rozproszyliśmy się właściwie po całym kraju.

- Jest pani jedną z trzech sióstr? Ja też. Najstarszą - przyznała się pani McGuire.

- A ja najmłodszą. - Ronnie z żalem włożyła do ust ostatni kawałek ciasta.

Miną całe miesiące, zanim pozwoli sobie znowu na coś równie tuczącego.

- Ile pani ma lat? - spytał Quinlan, marszcząc lekko brwi.

- Dwadzieścia dziewięć - odparła Ronnie, choć pani McGuire syknęła ostrzegawczo.

- Ale wygląda pani młodziej - ciągnął Quinlan, nie zrażony żartobliwą reprimendą, jakiej udzieliła mu matka za wypytywanie kobiety o wiek.

- A pan skończył trzydzieści siedem - zrewanżowała się Ronnie. Wiedziała, co oni oboje myślą: że sześćdziesięcioletni Lewis jest od niej dwa razy starszy. Przypomniała sobie również, że Quinlan - przynajmniej on - jest jej pracownikiem. Nie musiała mu się tłumaczyć.

- Dobry strzał. Może zacznie pani pracować jako wróżka. -Przestał

marszczyć czoło i Ronnie, już nie odnosiła wrażenia, że podlega nieustannemu osądowi. - Skąd pani wie?

- Proste. Marsden ma trzydzieści siedem lat. Skoro chodziliście razem do college'u, musicie być rówieśnikami.

- Ojej, nie lubi pani Marsdena? - Pani McGuire, najwyraźniej zaniepokojona jakąś nutką w głosie Ronnie, pokręciła ze zdumieniem głową. - Zawsze myślałam, że to taki miły chłopiec.

- Zwracając się do mamy, nie zapominał nigdy o madam -wyjaśnił Quinlan.

-I mówił jej, że bardzo ładnie wygląda.

- Marsden nie aprobuje mojego małżeństwa z Lewisem. Jak do tej pory nie miałam okazji poznać tej jego uprzejmej strony.

- A Joanie? I Laura? - pytał Quinlan. Dokończył już ciasto i sączył kawę.

- Niestety, one również należą do tego samego obozu. Przez pierwszy rok jej małżeństwa z Lewisem jego dwie

córki zachowywały się w stosunku do Ronnie tak obraźliwie, jak tylko mogły sobie na to pozwolić w obecności ojca. Obecnie pozornie zrezygnowały z impertynencji i, zmuszone do przebywania w towarzystwie młodej macochy, potrafiły się jedynie zdobyć na chłodną rezerwę. Do tych spotkań dochodziło jednak niezwykle rzadko. Choć zarówno Joanie, jak i Laura mieszkały w pobliżu Sedgely, Ronnie widywała je tylko przy okazji Wielkanocy, Bożego Narodzenia i Święta Dziękczynienia. Oraz oczywiście w dniu urodzin Lewisa (wypadających zresztą w przyszłym miesiącu), z okazji których wydawano co roku huczne przyjęcie.

- Bardzo lubiłam Joanie. Kiedyś... - Pani McGuire urwała i popatrzyła nieśmiało na syna.

- No dalej, mamó. Zdradź wszystkie rodzinne sekrety - powiedział sucho Quinlan. - Spotykałem się z Joannie. Mama sądziła, że się z nią ożenię - dodał

tonem wyjaśnienia.

- Naprawdę? - Ronnie uśmiechnęła się do niego z przesadną słodyczą. Im więcej wiedziała o związkach, jakie łączyły Quinlana z dziećmi Lewisa, tym bardziej słabło jej wcześniejsze przekonanie, że może mu ufać. - Szkoda, że do tego nie doszło. Byłbyś moim... przybranym zięciem.

- To mi się kojarzy z kazirodstwem - parsknął Quinlan, rozładowując napięcie. - Przeszło, minęło. Ja poślubiłem inną kobietę, Joanie wyszła za męża i nie myślałem o niej od siedemnastu lat. Ma dzieci?

- Dwoje. Chłopca i dziewczynkę.

- Marsden też dochował się parki. A Laura? - spytała pani McGuire.

- Dziewczynki. Jill skończyła niedawno sześć lat.

- Tak więc jest pani przybraną babcią - powiedział Quinlan takim tonem, jakby dopiero teraz odkrył fakt, który go jednocześnie przerażał i bawił. - Czy dzieci nazywają panią babunią?

- Zwracają się do mnie per Ronnie, jeśli w ogóle ze sobą rozmawiamy -

odparła spokojnie. - Proszę mi wierzyć, w niczym nie przypominamy Szczęśliwej Rodzinki z telewizyjnego serialu.

Zapadła cisza. Wszyscy trawili przez chwilę ostatnią uwagę Ronnie.

- Chyba nie uda się nam w takim razie zrobić rodzinnych fotografii. - Quinlan wrócił do interesów. - Wie pani, takich, na których dziadziusię i babcia głaszczą wnuki po główkach. Babcia jest młodsza od rodziców dzieci, więc to może nie wypalić. - Wbił wzrok w Ronnie. - Musimy pani nadać dojrzałszy, mniej atrakcyjny wygląd. Na babcie straciłem już nadzieję, ale powinna pani przynajmniej wyglądać jak czyjaś matka.

- Ale ja nie mam dzieci. Chyba nie powinnam udawać kogoś, kim nie jestem.

- Ronnie uniosła podbródek i bez zmrużenia oka odparła uważne spojrzenie Quinlana. Przebyła już tę drogę z innymi doradcami. Wszyscy chcieli ją zmieniać i poprawiać. Po co? Czego właściwie jej brakowało?

Odnosiła wrażenie, że zarówno Quinlan, jak i jego matka badawczo ją obserwują. Odkryła, że mają identyczne oczy, wymieniające teraz znaczące spojrzenia. Natura obdarzyła panią McGuire - podobnie jak jej syna -

szaroniebieskimi tęczówkami otoczonymi ciemną, niemal czarną obwódką, oraz grubymi, ciemnymi rzęsami i brwiami. Były to naprawdę piękne oczy o przenikliwym spojrzeniu.

- W polityce najważniejszy jest image. A ja proszę panią tylko, by poprzez zmianę wizerunku pomogła pani mężowi w reelekcji - powiedział cierpliwie Quinlan. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na blacie stołu. Talerz odsunął

na bok.

- O co dokładnie panu chodzi? - spytała czujnie Ronnie. Quinlan znów otaksował ją wzrokiem - wolno i uważnie.

Ronnie miała wrażenie, że mężczyzna poddaje drobiazgowej ocenie jej wygląd. Ta analiza nie wypadła jednak najlepiej.

- Czy farbuje pani włosy?

- Co takiego? - zdumiona Ronnie podniosła głos.

- Czy farbuje pani włosy? - powtórzył, jakby uznał swoje pytanie za najnaturalniejsze pod słońcem.

- Nie powinieneś pytać damy o takie rzeczy - zaprotestowała matka Toma, a Ronnie wykrztusiła z siebie jedynie oburzone „Nie!”.

- Ten ciemnorudy kolor nie może być naturalny - powiedział Quinlan, patrząc na nią uważnie. - Jest zbyt czerwony.

- Przykro mi, ale będzie pan musiał zmienić zdanie - odparła Ronnie z urazą.

- A w ogóle to nie jest pańska sprawa. Pan pracuje dla mnie, a nie odwrotnie.

- Tommy... - zaczęła pani McGuire, ale Quinlan uciszył ją skinieniem głowy.

Patrzył w skupieniu na Ronnie.

- Proszę posłuchać. Wynajęto mnie po to, abym zachęcił szanowanych obywateli Missisipi do głosowania na pani męża. Pan senator jest bardzo lubiany, cieszy się dobrą opinią i ma wszelkie szanse na reelekcję. Jego najśłabsza strona to młoda, atrakcyjna małżonka. Właśnie nad pani wizerunkiem musimy pracować, tak by zyskała pani akceptację wyborców.

Przecież pani wie, że oni pani nie cierpią. Dziś mieliśmy okazję się o tym przekonać. Sądzi pani, że ludzie nie darzą jej sympatią, gdyż uważają, że ukradła pani senatora byłej żonie? To trafna diagnoza. Ale pani wygląd w niczym tu nie pomaga; posypuje pani tylko ranę solą. Wygląda pani jak kobieta, która bez skrpułów przywłaszcza sobie męża innej kobiety. Po prostu wygląda pani zbyt młodo, a w dodatku stanowczo zbyt seksownie jak na żonę polityka. A przynajmniej sześćdziesięcioletniego polityka odnoszącego sukcesy.

- O mój Boże - mruknęła pani McGuire, przenosząc wzrok z pałających policzków Ronnie na upartą twarz syna. - Chyba zostawię was samych z tym problemem. Tommy, kochanie, bardzo cię proszę, nie zapominaj o dobrych manierach,

Pani McGuire podniosła się z krzesła, zabrała szklankę oraz talerz i -

umieściwszy je w zlewie - wyszła z pokoju.

Kiedy zniknęła, Ronnie mierzyła się jeszcze przez chwilę wzrokiem z Quinlanem; w jej oczach

pojawił się wyraźnie waleczny ognek.

- To nie ma sensu - rzekła wolno i wyraźnie. - Różnica wieku między mną a Lewisem stanowi dla pana wyraźny problem. Z czym z kolei ja nie mogę się pogodzić. Nie podoba mi się również bliski związek łączący pana z dziećmi Lewisa. Źle mi się przez to z panem pracuje. I choć jestem panu bardzo wdzięczna za okazaną mi dziś pomoc, zmuszona będę zakończyć naszą znajomość. Bardzo mi przykro. - Odepchnęła krzesło i wstała, sięgając po naczynia.

Quinlan nie ruszył się z miejsca. Nadal świdrował Ronnie wzrokiem.

- Próbuje mi pan powiedzieć, że straciłem posadę? - Nie wydawał się szczególnie zaniepokojony sytuacją.

- Ależ pan szybko chwytą. - Ronnie obdarzyła go uroczym śmiechem i z naczyniami w rękach skierowała się w stronę zlewu.

Nagle usłyszała za sobą jego głos - lekko rozbawiony, ociekający miodem.

- Droga pani Honneker. Najął mnie Komitet Reelekcyjny senatora. Nie pani.

Zatem tylko ten komitet może mnie zwolnić.

Ronnie odwróciła się od zlewu.

- Nie będę z panem pracować - oznajmiła gniewnie. - Nie ufam panu. I skoro mówię, że jest pan zwolniony, to jest pan zwolniony. Proszę mi wierzyć, Lewis na pewno mnie poprze.

Rozchylił lekko usta i zmarszczył brwi. Wyraźnie myśląc nad odpowiedzią, wstał, ale nim spojrzał na Ronnie, całkiem rozchmurzył czoło.

- Po co podejmować pochopne decyzje? - spytał z cierpkim uśmiechem, podchodząc bliżej. - Sądząc po pani temperamencie, te rude włosy są chyba rzeczywiście naturalne. Polityka o gra i aby odnieść zwycięstwo w tej grze, musimy czasem robić rzeczy, których nie chcemy robić. Wiem, że nie życzyłaby sobie pani, by senator przegrał przez panią wybory. A dzięki mnie może się pani stać jego atutem. Nie słabą stroną jak teraz. I przecież na tym pani zależy, prawda?

Nie zwracając uwagi na jej ogniste spojrzenie, ujął Ronnie za łokieć i poprowadził do tylnego wyjścia przez maleńkie pomieszczenie pełne plecaków, butów i przeróżnych kurtek.

- Chce pani mu pomóc wygrać te wybory? - mówił, otwierając drzwi. Zeszli z cementowego ganku po dwóch płytkich stopniach prosto w kępę mleczy porastających zielony trawnik.

- Tak - odparła bezwiednie, pozwalając, by Quinlan powiódł ją w kierunku staroświeckiej drewnianej huśtawki, zawieszanej między dwoma starymi dębami. - Ale...

- W takim razie musimy to omówić.

Gdy dotarli wreszcie do cienia i huśtawki, Ronnie usiadła na niej nie całkiem z własnej woli. Huśtawka zakołysała się

mocno pod ciężarem jej ciała. Nagły podmuch powietrza wiatru ochłodził jej twarz. Tuż obok przeleciała mucha. Tytoń rosnący na pobliskim polu zaszeleścił głośno, gdy wietrzyk zamienił się w wiatr. Huśtawka znów się zakołysała, a gdy Ronnie podniosła wzrok, zobaczyła dłoń Quinlana zaciśniętą mocno na łańcuchu.

- Jestem po pani stronie - powiedział podchodząc bliżej z poważnym wyrazem twarzy. - Fakt, że znam Marsdena, Joanie i Laurę, zupełnie się dla mnie nie liczy. Moja rola polega na tym, by pani pomóc. Wszystko pozostanie wyłącznie między nami. Nikomu nie powiem o pani ani słowa.

Jeśli nie spodoba się pani jakaś moja sugestia, wystarczy jedno „nie”. Ale ja biorę pieniądze za te sugestie. Proszę to przemyśleć i zdecydować, czy wciąż zamierza mnie pani wyrzucić. Jeśli tak, odejdę. Z drugiej strony, jeśli uważa pani, że - choć znam rodzinę pani męża i wolałbym, by miała pani bardziej stonowany kolor włosów - jednak możemy razem pracować, postaram się jak najlepiej wykonać swoje zadanie. A ilekroć się staram, osiągam naprawdę wspaniałe rezultaty. - Urwał na chwilę. - Teraz pani kolej.

Rozdział 8

Ronnie miała wybuchowy temperament, ale gniew bardzo łatwo jej przechodził. Zupełnie tak jak teraz. Gdy przeniosła wzrok na Quinlana, przemknęło jej przez głowę stare powiedzenie o kimś, kto potrafi wyczarować ptaki z drzew. Mężczyzna uśmiechał się do niej nieśmiało.

- Na pewno pan odejdzie, jeśli tak postanowię? - Nie chcąc, by Quinlan odniósł zbyt łatwe zwycięstwo, Ronnie postanowiła, że każe mu na nie zapracować.

- Oczywiście.

- W każdej chwili?

- Wystarczy jedno pani słowo.

- I nie będzie się pan wściekał, jeśli nie zechcę słuchać pańskich rad? Nie pobiegnie pan do Marsdena i tych od kampanii?

-Nie.

- Jeśli zrobi pan coś takiego, natychmiast pana wyleję. -Zabrzmiało to jak ostrzeżenie wypowiedziane odpowiednio surowym tonem.

- Jasne.

Ronnie dała za wygraną, choć nadal nie rozchmurzyła czoła i patrzyła na Quinlana z błyskiem w oku.

- W takim razie możemy spróbować.

- Dziękuję. - Patrzył na nią przez chwilę. - Rozumiem, że ciążę wyklucza pani całkowicie? - spytał ponuro.

Ronnie zeszywniała. Jej zmrużone oczy wyglądały jak szparki.

- Tylko żartowałem - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, zapomnijmy o ciąży. Koloru włosów też pani nie zmieni. Na przykład na mysi czy coś w tym rodzaju?

- Nie! - Tak naprawdę miała naturalnie kasztanowate włosy, ale co miesiąc wzmacniała ich odcień. Woląca jednak zachować dla siebie tę informację.

Quinlan z pewnością nie musiał o tym wiedzieć.

- A ubranie?

- Co jest złego w moim ubraniu? - spytała obronnym tonem.

- Zbyt ... - zawahał się. Gdy napotkał spojrzenie Ronnie, w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Zbyt jakie?

- Seksowne - odparł. - Nic na to nie poradzę. To szczerza prawda.

- Dziś miałam na sobie suknię o bardzo prostym fasonie -zaprotestowała z oburzeniem. - Płócienną suknię. Kupiłam ją u Saksa w Waszyngtonie.

- I właśnie na tym polega problem. Na pierwszy rzut oka widać, że to suknia z Waszyngtonu, nie z Missisipi.

- Bzdury!

- Czy była pani ubrana podobnie jak kobiety, z którymi się pani spotkała?

Ronnie zawahała się nagle. Przed oczyma stanął jej obraz Rosę w kwiecistej sukience.

- No, nie.

- I właśnie o to mi chodzi. Aby na panią głosować, muszą panią lubić. A wyborcy darzą sympatią podobnych do siebie. Powinna się pani ubierać tak jak oni. Może trochę ładniej, porządniej, ale w identycznym stylu.

- Włożyłam bardzo odpowiednią, letnią kreację - upierała się Ronnie.

- Dobrze. Przeanalizujmy ten problem raz jeszcze. Musi zadać pani sobie pytanie, jaką reakcję pani

strój wywoła w wyborcach. Rzeczywiście miała pani dziś na sobie prostą letnią suknię. Płócienną, skoro pani tak twierdzi. Ale suknia była również fioletowa, zbyt obcisła, stanowczo zbyt krótka, bez rę-

kawów. Oczywiście to wspaniała, elegancka kreacja. Na pani widok młodzi wyborcy płci męskiej pomyśleli zapewne: „ale świetna laska”. Starsi zapewne podzielali tę opinię i doszli również do wniosku, że ich żony nie wyglądają i nie ubierają się tak jak pani. Panie w średnim wieku przypomniały sobie Eleanor, dokonały w myślach porównania i w akcie solidarności z pierwszą panią senator zwróciły się zgodnie przeciwko pani.

Młodsze z kolei, nawet te w pani wieku, które mogłyby ładnie wyglądać w takiej sukni, uświadomiły sobie boleśnie, że nie mogą sobie pozwolić na takie stroje. Przypomniały sobie również, iż panią stać na podobnie stylowe suknie wyłącznie dzięki małżeństwu ze starszym, bogatym mężczyzną. Stąd wniosek, że ten sposób ubierania się nie może pani pomóc.

- Chce mi pan przez to powiedzieć, że eleganckie kreacje są całkowicie wykluczone.

- Nic podobnego. Twierdzą jedynie, że nie wchodzi w grę obcisłe, zbyt krótkie stylowe suknie. Chcę, żeby wyglądała pani ładnie, kobieco i bardzo konserwatywnie. Proszę nie pokazywać ciała. Nie wkładać niczego zbyt dopasowanego czy opinającego figurę. Niech pani sobie wyobrazi, jak powinna wyglądać matka na szkolnym zebraniu rodzicielskim. Albo nauczycielka w szkółce niedzielnej.

- Mam z siebie zrobić zaniedbaną kurę domową?

- Ma pani pomóc mężowi wygrać wybory.

- I naprawdę pan uważa, że mój strój okaże się istotnym elementem tego przedsięwzięcia?

- Pomoże.

- W porządku. Postaram się o tym pamiętać. Zadowolony?

- O nic więcej nie proszę. - Zerknął na zegarek. - Musimy pomyśleć o pani powrocie do domu. Jest już po piątej.

Ronnie tak bardzo nie miała ochoty wracać do Sedgely, że aż ją to dziwiło.

Na samą myśl o domu poczuła dziwny ucisk w gardle. Wróciło wspomnienie wydarzeń tego popołudnia. Wiedziała, że wszyscy będą ją winić o tę klęskę, a w dodatku nie opędzi się od reporterów.

Nie czuła się na siłach, by stawić temu wszystkiemu czoło.

- Jeszcze nie teraz. - Szukała w myślach jakiegoś sposobu, by opóźnić nieuniknione. Poklepała wolne miejsce na huśtawce. - Proszę usiąść i porozmawiać ze mną przez chwilę. Tylko żadnych rad - dodała, patrząc na niego ponuro.

Quinlan zawahał się lekko, ale puścił sznur i usiadł obok Ronnie, wprawiając huśtawkę w ruch nogą odzianą w tę samą ciemną skarpetkę i wypastowany do połysku but, które nosił do garnituru.

- O czym?

Ronnie uśmiechnęła się do niego, zadowolona z sukcesu.

- O panu. Skoro pan mi zadaje pytania, to mnie również wolno. Jak długo jest pan żonaty?

- Nie jestem. - Odwrócony do niej profilem, patrzył na pola tytoniowe.

Ronnie powiodła wzrokiem po jego prostym nosie i wydatnym podbródku.

Miał ładny profil, trochę ascetyczny, ale bardzo męski.

- Jak to? Przecież... - Ronnie pamiętała, jak Quinlan powiedział, że Joanie i on znaleźli sobie innych współmałżonków.

- Rozwiodłem się żoną.

- Ach tak. - Ronnie myślała chwilę. - Spotyka się pan obecnie z jakąś kobietą?

- spytała z nagłym ożywieniem.

- Dlaczego pani pyta? - Zerknął na nią ostrożnie. Odniosła wrażenie, że dostrzega w jego oczach domyślny błysk.

- Nie odpowiada się pytaniem na pytanie.

- Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Thea nie ma męża i szuka...

- Kto to jest Thea? - spytał bez szczególnego zainteresowania.

- Moja rzeczniczka prasowa. Miał ją pan okazję dziś poznać.

Myślał chwilę.

- Krótkie czarne włosy, krótka szara spódnica, ładne nogi?

- Właśnie. - Ronnie zmarszczyła brwi. - Czy jej spódnicę znał pan również za zbyt krótką?

- Nie, raczej nie.

- Była tej samej długości, co moja! - oznajmiła Ronnie z triumfem, oburzona takim brakiem konsekwencji.

Quinlan potrząsnął głową.

- No i co z tego? Thea nie jest żoną senatora walczącego o reelekcję. To zupełnie inna sprawa. Długość jej spódnicy nie ma znaczenia. Nikt nie osądza Thei.

- Właśnie tego najbardziej nienawidzę w polityce. - Ronnie stłumiła westchnienie. - Wszyscy osądzają mnie.

- Powinna była pani o tym pomyśleć, zanim wyszła pani za mąż za senatora.

A tak przy okazji: dlaczego pani go poślubiła? Z wielkiej miłości?

Ronnie chciała odpowiedzieć, ale pokręciła głową.

- Nie, nie. Teraz mówimy o panu, nie o mnie. Co z pana małżeństwem?

Ożenił się pan z miłości?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się z rozbawieniem. Ronnie poczuła, że też się uśmiecha. Quinlan działał na otoczenie w cudownie uspokajający sposób. W

każdym razie na nią wywierał na pewno dobry wpływ. - Miałem dwadzieścia jeden lat, kończyłem college. Ona też. Oszaleliśmy na swoim punkcie. Zaszła w ciążę, wzięliśmy ślub. Ale nasze małżeństwo nie przetrwało.

- Długo byliście razem?

- Dwanaście lat. Właściwie to nasz związek rozpadł się już po pięciu, ale zostaliśmy ze sobą ze względu na dziecko.

- Ma pan dziecko? - Ronnie sama nie rozumiała, dlaczego się dziwi. Przecież to zupełnie naturalne, że mężczyzna w wieku Toma ma dziecko czy nawet dwoje dzieci. Marsden dochował się dwójki.

- Poznała pani przecież mojego syna - powiedział zdumiony. - To Mark.

- Ach tak. - Ronnie ujrzała teraz wymianę zdań między Quinlanem i Markiem w zupełnie nowym świetle. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to pana syn. Ile ma lat?

- Prawie siedemnaście. Ale sądzi, że skończył trzydzieści - odparł Quinlan sucho.

- Mieszka z panem? - spytała Ronnie, marszcząc czoło. Odniosła bowiem wrażenie, że Mark mieszka tutaj, razem z panią McGuire. Czy to znaczyło, że Quinlan również tam mieszka?

Quinlan pokręcił głową.

- Nie cały czas. Podczas świąt, w lecie, co trzeci weekend. Różnie. Ale wie, że może w każdej chwili na mnie liczyć.

- A więc mieszka pan z matką? Pokręcił głową.

- Spędzam tu wiele czasu, szczególnie wtedy, kiedy Mark przyjeżdża do miasta. Nie lubię go zostawiać samego w domu, poza tym mój syn jest mocno związany z babcią. Ale większość moich rzeczy została w moim mieszkaniu, więc chyba mieszkam tam. Dużo podróżuję. Te kilkanaście miesięcy w roku w hotelach to ryzyko zawodowe związane z moim zajęciem.

- Długo pan już pracuje jako doradca polityczny? - Ronnie zaczęła być nagle ciekawa, w jaki sposób rozpoczyna się właściwie karierę w tym zawodzie.

Takiego przedmiotu nie uczą w college'u. Tom był na pewno dobrze znany w tych sferach, gdyż Christine Gwen rozpoznała go niemal natychmiast.

Mrugnął do niej.

- Pewnie chce pani wiedzieć, czy jestem dobry. Otóż jestem. Właściwie należę do najlepszych. Pracuję przy kampaniach już od czasów liceum.

Ronnie nie wątpiła w prawdziwość jego słów, ale coś tu nie grało. Doradcy polityczni pracowali z tymi, których stać było na najwyższe stawki, i dochodzili łatwo do sześciocyfrowych zarobków. A Quinlan sprawiał

wrażenie człowieka, który musiał się bardzo starać o tę posadę, gdyż potrzebował pieniędzy.

Chciała kontynuować dochodzenie, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i na ganku stanęła pani McGuire.

- Tommy! - zawołała.

- Tu jestem! - odparł.

Matka odszukała ich wzrokiem na huśtawce.

- Dzwoni Kenny - oznajmiła. Quinlan zmarszczył brwi.

- Przepraszam - mruknął i poszedł w stronę domu. Pani McGuire minęła się z synem na podjeździe.

- Chyba będzie burza - rzuciła, stając przy huśtawce i obejmując wzrokiem pola tytoniowe. Zbierające się chmury zaciemniły północny horyzont.

Popołudnie było upalne, ale powtarzające się dość często chłodne powiewy wiatru poruszały liśćmi, burzyły włosy i zapowiadały wyraźnie nadchodzącą zmianę pogody.

- Mam taką nadzieję - odparła Ronnie. - Zgadzam się na wszystko, byle tylko odpocząć od tego upału.

- A ja właściwie lubię upał - pani McGuire uśmiechnęła się do Ronnie. -

Chyba dlatego, że kojarzy mi się z latem, a wszystkie najwspanialsze rzeczy w moim życiu wydarzyły się właśnie w lecie. W lecie sprowadziłam się tutaj z ojcem Toma, który przyszedł na świat następnego lata. A jego brat o tej samej porze roku w trzy lata później. Gdy chłopcy dorastali, w lecie urządzaliśmy tu bale, pikniki, chodziliśmy nad wodę i świetnie się bawiliśmy.

- Pani życie było chyba idyllą - powiedziała Ronnie.

- Nie, ale nie mogłam się skarżyć. Przynajmniej do śmierci męża. Potem wszystko się zmieniło. - Westchnęła. - Ale tak już jest, prawda? Jedyna rzecz, na jaką na pewno możesz liczyć, to zmiana.

Nagle trzaśnięcie drzwi przerwało im rozmowę. Ronnie popatrzyła na Quinlana zmierzającego szybko w ich stronę z ponurą miną. Poczowała ukłucie niepokoju. Co aż tak popsło mu humor?

- Czy coś się stało? - spytała, gdy do nich podszedł. Quinlan popatrzył na Ronnie, a następnie na matkę, która

zerkała na niego niespokojnie. Ona najwyraźniej również wyczuła, że coś nie gra.

- Możesz nas na chwilę zostawić, mamó? Pani McGuire uniosła brwi, ale skinęła głową.

- Oczywiście.

- O co chodzi? - spytała ostro Ronnie, gdy starsza pani odeszła.

Quinlan patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Z wyrazu jego twarzy wynikało jednak aż nadto wyraźnie, że martwi się tym, co musi powiedzieć.

- Co się stało? - ponowiła pytanie Ronnie. Jej dłonie zacisnęły się niemal intuicyjnie w oczekiwaniu na złe nowiny.

- Mój partner, Kenny, skończył właśnie rozmowę z reporterką z „Globe'u”.

To taki brukowy tygodnik. Może nigdy się pani z nim nie zetknęła.

- Wiem, co to jest - powiedziała Ronnie, zaciskając dłonie na kolanach.

Quinlan zupełnie nie miał ochoty kontynuować.

- Chcą, aby skomentowała pani historyjkę, którą właśnie zamierzają opublikować. - Zawahał się, z zakłopotaniem pocierając szczękę. Ronnie po prostu patrzyła na niego w milczeniu. Jej żołądek znów skurczył się w węzeł.

Spotkali się wzrokiem. - Pewna kobieta twierdzi, jakoby łączyła ją długoletnia, intymna znajomość z pani mężem. To prostytutka. Ten wywiad ukaże się już w przyszłotygodniowym numerze pisma.

Rozdział 9

- Może to jakaś bzdura - podsunął Quinlan, gdy Ronnie nie odezwała się ani słowem. Czowała, że bieleje jej twarz, a krew odpływa w głąb ciała. Zakręciło jej się w głowie.

- Dobrze się pani czuje? - Quinlan usiadł obok, a huśtawka przechyliła się gwałtownie pod ciężarem jego ciała. Ronnie nie odpowiedziała. Nie potrafiła.

Zamiast tego skupiła się na oddychaniu. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Powtórzył pytanie.

Tym razem udało się jej skinąć głową.

- Proszę pamiętać, że to brukowiec. Takie pisma płacą ludziom za podobne historyjki. A ona dostanie kupę szmalu za obsmarowanie pani męża. Jak już powiedziałem, to wcale nie musi być prawda.

Ale Ronnie wiedziała, że to prawda. Tę pewność czuła głęboko wewnątrz ciała, tam, gdzie odpłynęła jej krew. Zapewne w trzewiach? Czy tam właśnie rodzi się instynkt? Na samą myśl o takiej możliwościomal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Musiała wyglądać zapewne równie okropnie jak się czuła, bo Quinlan ujął jej dłoń. Miał ciepłą skórę, długie, silne palce. Drugą ręką potarł jej przegub.

- Pani Honneker?

- Proszę mówić do mnie Ronnie. - Zmusiła się do uśmiechu. - Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, powinniśmy mówić sobie po imieniu.

- Ronnie. - Ujął jej dłoń w obie ręce. Patrzył na nią jednocześnie ponuro i współczująco. - Wiem, że to dla pani okropne, i wolałbym nie być złym posłańcem, ale kiedy tylko ta plotka się rozniesie, dziennikarze obkoczą panią jak pchły. Powinna się pani jakoś do tego przygotować. Powinna pani być silna i wiedzieć, co mówić.

Ronnie z trudem wciągnęła powietrze. Czy można się udusić jedynie ze zdenerwowania? - myślała. Ręce Quinlana stanowiły dla niej jedyne źródło ciepła w tym nagle zlodowaciałym świecie.

- O Boże, dziennikarze! Chyba tego nie zniosę. Naprawdę nie zniosę.

Quinlan odwrócił się twarzą do Ronnie. Kolanami musnął przypadkiem jej kolana.

- Rozumiem, że to dla pani szok - ciągnął, nie spuszczając z niej wzroku. -

Rozumiem, co pani czuje.

Wydała jakiś powątpiewający pomruk.

- Naprawdę - ciągnął. - Moje małżeństwo skończyło się w chwili, gdy odkryłem, że kiedy ja jestem poza domem, moja żona pieprzy się z połową facetów z tego okręgu. Znam ten ból i wiem, że czuje

się pani tak, jakby muł

kopnął panią w brzuch. Ale tu chodzi o coś więcej, aniżeli tylko o pani związek z mężem. - Poglaskał delikatnie grzbiet jej dłoni.

- O wybory - powiedziała Ronnie drewnianym głosem. Patrzył na nią spokojnie.

- Tak, o wybory. Jeśli pani mąż ma się jakoś z tego wy kara -skać, powinna pani trwać jak skała u jego boku i powtarzać absolutnie wszystkim, że będzie go pani wspierać w każdej sytuacji. Wyborcy mogą potraktować te rewelacje jak typową brukową szmirę lub skandal kończący definitywnie karierę znanego polityka. Wszystko zależy od pani. I proszę pamiętać, że to nie musi być prawda.

Ale to jest prawda - myślała Ronnie, choć nie powiedziała tego głośno.

- A jeśli ona przedstawi dowody? Jeśli przekona czytelników, że naprawdę widywała się z Lewisem? Bez żadnych dowodów nie odważyliby się drukować takiej historii. - Mówiła jeszcze drżącym głosem, choć odzyskała zdolność logicznego myślenia. Dlaczego właściwie wiadomość, że prostytutka przyznaje się do intymnej znajomości z Lewisem, wywarła na niej tak wielkie wrażenie? Przecież już od dawna zdawała sobie sprawę z tego, że jej mąż poszedłby do łóżka z każdą istotą rodzaju żeńskiego.

Chciała to powiedzieć Quinlanowi, ale ugryzła się w język. Niezależnie od kryzysu, jaki przechodziło teraz ich małżeństwo, Lewis był jej mężem i ważną, ogólnie szanowaną osobistością świata polityki. I choć miała powody, by czuć się skrzywdzoną i oszukaną, nie mogła wyjawić nikomu tajemnic ich związku, nawet Quinlanowi, który wydał się jej nagle najlepszym przyjacielem. Na odkrycie licznych zdrad męża nie pozwalała jej lojalność. A także miłość własna.

- Cokolwiek tam mają, jakoś sobie z tym poradzimy. Wszystko zależy zawsze od interpretacji. Ty musisz tylko trwać przy nim jak opoka. Jeśli znajdzie się dowód, o którym zresztą na razie nic nie wiem, możemy zawsze skorzystać z wykrętów Clintona: wasze małżeństwo jest teraz silne jak nigdy dotąd, a jeśli istniały problemy, to już się wam udało je pokonać. W

ostateczności pan senator może się nawet przyznać do błędu, uronić łzę i obiecać, że już nigdy nie zgrzeszy. Ty wtedy udzielisz mu publicznego rozgrzeszenia. Ta prostytutka nie musi być wcale śmiertelnym ciosem.

Kampania wciąż trwa.

- A co będzie, jeśli powiem: „do diabła z wyborami”. - Głos Ronnie nadal mocno drżał. Sądziła, że jest przyzwyczajona do chronicznej niewierności Lewisa, ale teraz, gdy dowiedziała się o niej w taki sposób, nie mogła tego znieść. Czy Lewis kiedykolwiek ją kochał?

Ból towarzyszący temu pytaniu był tak ogromny, że Ronnie wyrzuciła je z pamięci. Być może przygnębiła ją tak bardzo perspektywa wyjawienia prywatnej udręki przed ogromną rzeszą ludzi. Na samą myśl o upokorzeniu wobec całego świata robiło się jej niedobrze. Wyrwała Quinlanowi rękę i ruszyła szybko naprzód.

- To zależy od ciebie - powiedział, doganiając ją natychmiast, gdy wyszła z cienia dębu prosto w palące słońce. - Ty decydujesz.

Ronnie szła dalej szybkim krokiem, z zaciśniętymi szczękami. Nie czuła żaru lejącego się z nieba, nie zauważyła, że chrupiący pod stopami żwir ustąpił

miejsca cichemu asfaltowi. Nie zauważyła, że powietrze drga z upału.

Niczego nie widziała. Czuła się tak, jakby wessano ją w próżnię, jakby przebywała sama w jakimś odizolowanym miejscu, a reszta świata nie była realna.

Jak do tego doszło?

Jako młoda dziewczyna dorastająca w Bostonie zdawała sobie zawsze sprawę z aury nieszczęścia, która zawisała jak chmura nad jej rodziną. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Nigdy się razem nie weselili, nie płakali, nigdy się nie przytulali, nie całowali, nie dzielili ze sobą niczego oprócz nudnych epizodów codziennego życia. Rodzice Ronnie zajmowali się wyłącznie zarabianiem pieniędzy, a i to nie wychodziło im najlepiej. Patrzyła codziennie na ich skromny dom, podobny do innych domów, typowych dla robotniczej dzielnicy, w której mieszkali. Patrzyła na swoje siostry, myślące tylko o tym, by wyjść za mąż i jak najprędzej z niego uciec, oraz na wiecznie niezadowoloną matkę i trutnia-ojca, dostrzegając całą nędzę ich egzystencji i to ją przerażało. Nie takiego życia pragnęła. Chciała czegoś innego, czegoś więcej. Marzyła o szczęściu. Nie wiedziała jedynie, jak to osiągnąć.

Co składało się na szczęście?

Słuchając ustawicznych kłótni rodziców o pieniądze, Ronnie doszła do wniosku, że najważniejsze jest bogactwo. Bogactwo i miłość. Ponad wszystko na świecie pragnęła być kochana. W ogóle pragnęła żyć życiem tak odmiennym od życia rodziców, jak tylko to możliwe.

Kiedy czytała artykuły o bogatych ludziach, ich wielkich domach oraz fantastycznych karierach, wspaniałych romansach, egzotycznych podróżach, zżerała ją zazdrość. Byli tacy szczęśliwi, otoczeni miłością. Ich życie wydawało się o tyle pełniejsze niż jej własne, niż życie ludzi, których znała.

Tego właśnie pragnęła: przepychu, podniecenia, romansu.

Pragnienie przerodziło się w determinację. Ronnie też mogła wieść takie życie i postanowiła, że uczyni wszystko, by dopiąć celu.

W liceum umawiała się na randki niezwykle ostrożnie, świadoma, że nadmierne zaangażowanie uczuciowe odwróci jej uwagę od obranego celu, i skupiła całą energię na przygotowaniu się do nauki w college'u. Na uniwersytecie uczyła się pilnie i z rzadka zawierała przyjaźnie. Małżeństwo i dzieci zniweczyły już marzenia niejednej kobiety. Postanowiła, że zdobędzie wszystko albo nic.

Myślała o szkole prawniczej, o medycynie lub karierze dziennikarki telewizyjnej w stylu Dianę Sawyer czy Barbary Walters. Nic praktycznie nie znajdowało się poza jej zasięgiem. Świat stał przed Ronnie otworem.

A potem w jej życie wkroczył senator Lewis R. Honneker IV. On osiągnął

wszystko: odniósł sukces, był bogaty i sławny. No i przystojny, w specyficzny irlandzki sposób - dobrze zbudowany, o błyszczących oczach i pogodnym usposobieniu; wydawał się nigdy nie tracić humoru. Nawet jego wiek stanowił w oczach Ronnie bardziej zaletę niż wadę. Jego dojrzałość dawała spore gwarancje stabilizacji, której tak bardzo jej brakowało już od chwili rozvodu rodziców.

Lewis uważał Ronnie za atrakcyjną kobietę; zdawała sobie z tego sprawę od samego początku.

Ale na początku była Eleanor, a Ronnie nie zgłupiała na tyle, by zostać kochanką żonatego mężczyzny. Nie takiego życia dla siebie pragnęła.

Kiedy Eleanor odeszła do Lewisa, a on zaczął się na serio zalecać do Ronnie, wszystko się zmieniło. Ilekroć panu senatorowi naprawdę na czymś zależało, potrafił dokonywać cudów, a Ronnie stała się obiektem jego największych pragnień. Zakochała się w nim bez najmniejszych trudności; równie łatwo straciła głowę i wyszła za niego za mąż.

Została drugą panią Honneker.

Poślubiając senatora, zdobyła wszystko, czego pragnęła. Albo przynajmniej tak się jej wtedy wydawało.

Dlaczego więc po trzech latach ich związek legł w gruzach? Ronnie czuła się tak, jakby brylant, który ścisnęła w ręku, zamienił się nagle w popiół.

Jedyne wyjaśnienie mógł stanowić fakt, że to, co trzymała w garści, nie miało nic wspólnego z prawdziwym brylantem.

Uświadomiła sobie jednak, że na razie nic się nie zmieniło. Miała wszystko -

lub prawie wszystko - o czym marzyła jako nastolatka żyjąca w tym pogrążonym w marazmie domu.

Teraz była kimś. Żoną senatora USA. Zapraszana na najlepsze przyjęcia w Waszyngtonie. Przyjmowaną w Białym Domu. Bogatą, sławną, fotografowaną. Jedną z tych, o których się czyta w gazetach.

Jej książkę najwyraźniej zamienił się w ropuchę. I cóż z tego? Jak świat światem, takie rzeczy przytrafiały się kobietom. Rzeczywistość nie sprostала marzeniom młodej dziewczyny. Nie był to jednak powód, by rujnować sobie życie. Serce nie powinno w takich sytuacjach rządzić głową, gdyż prowadziłyby to prosto na drogę samozagłady.

Trzymaj się - nakazała sobie w duchu. - I licz błogosławieństwa, jakie cię spotkały.

Uniosła głowę i zatrzymała się. Znow zaczęła dostrzegać otoczenie. W

bezlitosnym blasku słońca asfalt rozciągający się pod jej stopami załśnił

srebrzyście. Z obu stron wąskiej drogi rowy dławily się od nadmiaru chwastów i dzikich kwiatów. Za rozklekotanymi słupami telegraficznymi łacie bydło pasło się na łąkach.

Tuż nad jej głową z głośnym krakaniem przeleciała wrona. Żar chodnika przenikał przez podeszwy butów. Nozdrza drażnił zapach gorącego asfaltu i nawozu. Skóra piekła od słońca.

Obok jej kobiecego cienia wyrósł cień szerszy i dłuższy, niewątpliwie męski.

Quinlan patrzył na nią spod powiek przymrużonych przed słońcem złocącym jego skórę i włosy.

Jest naprawdę przystojny - przemknęło jej przez myśl.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Zdała sobie sprawę, że przyszłość Quinlana oraz jej własny los zależą od decyzji, jaką musi za chwilę podjąć.

Quinlan - jak również wielu innych ludzi - zarabiał na życie głównie dzięki kampanii. A Ronnie mogła to wszystko obrócić wniwecz.

- Zostanę z mężem - powiedziała.

- Grzeczna dziewczynka. - Uśmiechnął się, wyraźnie z niej zadowolony. W

tej samej chwili poczuła do niego pogardę. Tak jak dla Lewisa, również i dla Quinlana zwycięstwo polityczne było jedynym bogiem. Na ołtarzu świętej elekcji mogli złożyć bez skrępułów każdą ofiarę.

- Namówimy dodatek niedzielny na artykuł o tobie. Opowiesz o swoim małżeństwie, o wszystkich jego rafach i o tym, jak je wymijasz. Nie musimy podawać żadnych szczegółów. I tak każdy zrozumie, o co chodzi. Tym sposobem uda się nam zapewne upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ukręcimy łeb całej tej aferze z prostytutką, a ciebie pokażemy w znacznie sympatyczniejszym świetle.

- To dobra myśl - odparła Ronnie równie słabo, jak się czuła. Quinlan jednak zdawał się tego nie zauważać - najwyraźniej układał plan. Wszystko zależy przecież od sposobu prezentacji. Ronnie obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę, z której przyszła.

Rozdział 10

Biloxi, godzina 17.30

Śmiertelnie blada ręka uniosła fiołkową falbankę. Przed przeszukaniem mieszkania intruz włożył gumowe rękawiczki, dlatego jego dłoń przybrała tak trupi wygląd. W chwili, gdy Marla zdała sobie z tego sprawę, serce stanęło jej w gardle ze strachu. A potem - na widok niemal całkowicie odwróconej twarzy wyglądającej zza łóżka - prawie przestała oddychać.

Oglądana pod takim kątem kwadratowa facjata (czarne włosy, zmarszczone czoło, krzaczaste brwi, oczy basset) powinna wyglądać komicznie, jednak Marla, skulona i drżąca w najciemniejszym,

najbardziej oddalonym kącie pod łóżkiem, zupełnie nie miała ochoty się śmiać.

Wiedziała, że grozi jej śmierć.

Dzięki Bogu, że Lissy nie ma w domu.

Leżała bez ruchu, nie oddychając, z głową wtuloną w ramiona, tak by nie zdradził jej blady owal twarzy. Zerknęła na mężczyznę poprzez zasłonę farbowanych blond włosów spadających jej na twarz i ramiona. I choć bała się zwrócić na siebie uwagę siłą wzroku, nie mogła na niego nie patrzeć.

Niczym ptak osaczony przez kobrę znajdowała się pod hipnotycznym wpływem swego potencjalnego zabójcy.

Obawiała się, że jeśli mrugnie, nie zauważy momentu, w którym morderca ją dostrzeże i zada cios.

Strach omal jej nie udusił. Płuca żądały kategorycznie solidnego haustu powietrza, ale Marla obawiała się poważnie, że on może usłyszeć nawet urywane, tłumione oddechy, których nie potrafiła powstrzymać.

Cień padł na część falbanki zasłaniającej przestrzeń między łóżkiem a podłogą. Mężczyzna stał nadal tuż tuż. Czy wiedział, że ona tam jest? Czyżby wyczuwał jej obecność, tak jak ona wyostrzonymi zmysłami wychwytywała miejsce, w którym stał mężczyzna, dokładniej niż jakikolwiek radar?

Czy tylko się z nią bawił?

Ogarnęła ją nagła chęć, by się poruszyć, wyskoczyć spod łóżka i z krzykiem ruszyć do drzwi. Pragnęła położyć kres tej torturze, lękowi, tej ścinającej krew w żyłach scenie rodem z horroru.

Co byłoby oczywiście posunięciem nadzwyczaj głupim.

Przecież on na pewno by ją złapał. Nie miała szans, by wydostać się spod łóżka, przebiec przez sypialnię i salon do drzwi, otworzyć je i uciec. Nie w tak ciasnym pomieszczeniu.

Jedyną nadzieją na przeżycie było leżeć jak kłoda pod osłoną łóżka.

Usłyszała skrzypnięcie i środek materaca lekko się zapadł. Marla wstrzymała oddech.

On siedział na łóżku.

Coś spadło miękko na podłogę. Poduszka bez poszewki. Jej róg wylądował pod falbanką, a biało-różowe paski stały się niemym świadkiem tego, co się działo.

Kapa, kołdra i prześcieradła wylądowały na podłodze, tworząc pokaźny stosik. Marla widziała je zza poduszki.

Łóżko zatrzęsło się nagle. Tym razem o podłogę uderzyło coś cięższego.

Materac.

Czy następna w kolejce miała być skrzynia na pościel?

Oczywiście, że tak. Jeśli on rzeczywiście czegoś szuka, a na pewno szuka, nie może zapomnieć o skrzyni na pościel.

A gdyby ją podniósł, zobaczyłby Marłę. Nie istniała żadna inna ewentualność.

Usłyszała trzask pękającego materiału i oczy jej się rozszerzyły ze strachu.

Przez szparę za poduszką dostrzegła brzeg pikowanego, złocistego materaca stojącego teraz na boku. Zobaczyła również czarny but i nogę - od kolana -

odzianą w granatowe dzinsy oraz dłoń w gumowej rękawiczce ściskającą nóż.

Nóż przeciął pokrycie materaca tak gładko, jakby to była kartka papieru.

Ten sam nóż przebiłby jej ciało z równą łatwością.

Marła usłyszała cichy, dziwny stukot i zrozumiała, że to jej własne zęby szczękają ze strachu. Zacisnęła więc szczęki, mocno, do bólu.

Zrozumiała, że jeśli nie zdarzy się cud, za kilka minut nie będzie już żyła.

Marła nie wierzyła w Boga. Nie wierzyła od chwili, gdy jako zaledwie dziesięcioletnia dziewczynka straciła matkę, mimo swych dzieciennych modłów wznoszonych do Wszechmogącego, który zajmował tyle miejsca w sercu wyniszczonej bólem kobiety. Nie wierzyła w Boga od czternastu lat.

Nie wierzyła i teraz.

Ale w chwili tak ogromnego przerażenia instynkt podpowiadał jej, że powinna się modlić. Wiedziała, że to wspomnienie dzieciństwa, czasów, gdy matka dwa razy w tygodniu ciągnęła ją do kościoła i pilnowała, by wieczorem odmawiała modlitwy.

Marła była jednak teraz dorosłą kobietą, nie dzieckiem, i wiedziała, że modlitwy nie są nigdy wysłuchiwane. Nie miała do kogo się modlić.

Intruz najwyraźniej skończył ciąć materac, gdyż ten osunął się na podłogę postrzępionym wierzchem do góry.

Marła widziała teraz na wysokość sześćdziesięciu centymetrów - pościel, okaleczony materac, leżącą na kupce zawartość szuflad komody.

Widziała dwa czarne buty i nogi w granatowych spodniach stojące tuż obok łóżka.

I swoje własne odbicie w sięgających aż do podłogi lustrach pokrywających drzwi szafy.

Nie!

Zdrętwiała ze strachu. Wystarczyło, by się odwrócił, i też natychmiast by ją zobaczył.

Zadzwonił telefon w salonie. Nieoczekiwany dźwięk był tak ostry, że Marla drgnęła. Telefon dzwonił dwie, może trzy minuty.

Później włączyła się automatyczna sekretarka.

Powitanie Susan. Ze zgrozą i trudną do wytłumaczenia ulgą słuchała głosu przyjaciółki. Potem rozległo się skrzypnięcie, stukot (maszyna nigdy nie działała sprawnie), a następnie sygnał.

Serce znowu podskoczyło jej do góry. Nareszcie miała swoją szansę. Być może jedyną. Dzwoniący nagrywał wiadomość, a ona - wbijając łoicie i kolana głęboko w dywan – pokonała tymczasem na czworakach kilka metrów, jakie dzieliły łóżko od szafy - drugiej możliwej kryjówki w sypialni.

- Susan, tu Paul. Gdzie się podziewałaś w sobotę wieczorem? Czekałem do dziesiątej. Zadzwon. Pa.

Susan spotykała się z Pauliem - naprawdę miłym facetem, co zapewne stanowiło powód, dla którego nigdy nie zainteresowała się nim poważnie.

Właśnie taka była.

Robiąc w myślach przegląd własnych doświadczeń, Marla zaczęła się zastanawiać, czy wszystkie kobiety postępują właśnie w ten sposób.

Dlaczego pociągają je łajdacy?

Paul odłożył słuchawkę. Marla przymknęła szczelniej drzwi szafy. Nie odważyła się jednak zamknąć ich całkowicie, gdyż mężczyzna mógł

pamiętać, że zostawił je uchylone.

Usłyszała szybkie, ciche kroki. Wróg wracał do pokoju. Poczowała skurcze żołądka i dławienie w gardle. Ręce same zacisnęły się jej w pięści. Spokój -

powtarzała sobie w duchu. -Musisz za wszelką cenę zachować spokój.

W środku znajdował się stos ubrań pozrzuconych z wieszaków, a także buty, torebki i inne przedmioty, które spadły z półki na górze. Marla zagrzebała się pod stosem swoich ulubionych ubrań, zwinęła w kłębek i przymknęła oczy.

Odgłos przesuwania i stukot przyprawił ją o dreszcze. Nie musiała nawet patrzeć, by wiedzieć, że mężczyzna podnosi pojemnik na pościel.

Rozdział 11

- Nie jestem doskonałą. Ale też zabiegam jedynie o miejsce w senacie Stanów Zjednoczonych, a nie o beatyfikację.

I znów - podobnie jak niezliczoną ilość razy wcześniej od czasu gola (pracownicy kampanii nazywali w ten sposób aferę z prostytutką) - po tej ostatniej linijce przemówienia rozległy się wybuchy śmiechu. Klęski Ronnie, z incydentem z farbą włącznie, przyćmił całkowicie gol, którego strzelił senatorowi „Globe”.

Stojąc na podium z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy Lewis odpowiedział machaniem ręki na huraganowy aplauz i skierował się w stronę swego miejsca, ściskając po drodze dłoń gubernatorowi i innym politykom.

Ronnie poczuła, że twarz jej za chwilę pęknie - tak sztywny był jej wymuszony uśmiech. Usadowiona na podium obok pustego krzesła Lewisa, znajdowała się pod ostrzałem spojrzeń zebranych. Jej zadanie polegało na tym, by wpatrywać się w męża z nabożną czcią, gdy przemawiał, klaskać z entuzjazmem, gdy kończył, i uśmiechać się bez końca.

A tak naprawdę zbierało się jej na wymioty. Jeden wielki szwindel. Kłamał

senator. Kłamała Ronnie. Strategia, której załączek zrodził się w umyśle Quinlana w owo czerwcowe lipcowe popołudnie, sprawdziła się znakomicie.

Przy pomocy Kenny'ego Goodmana, Lewisa, Marsdena i całej chmary konsultantów Tom doprowadził swą taktykę do perfekcji. Przyznaj się do winy, a nie może ci zaszkodzić.

Nazywali to zgrywaniem Clintona.

Prezydent pokazał już wszystkim, jak to się robi, i wszyscy zgodzili się co do tego, że metoda okazała się naprawdę wyjątkowo skuteczna. Lewis musiał

przez jakiś czas ciężko pracować na swoje pieniądze, przemierzając stan w tempie, jakiego nie znał od lat, ale to wyzwanie bardzo mu odpowiadało. W

tej trudnej sytuacji zachowywał nadzwyczaj dobrą formę.

Linia obrony przedstawiała się następująco: istotnie sypiał z waszyngtońską prostytutką, podczas gdy jego urocza druga żona strzegła domowego ogniska w Missisipi. I cóż z tego? W całej tej sprawie nie chodziło o charakter, morale, zdradę, zawiedzenie zaufania. On po prostu popełnił błąd. A to świadczyło wyłącznie o tym, że jest człowiekiem, jak wszyscy. Chłopcy zawsze chłopcami byli i chłopcami pozostaną. Tego rodzaju wyznanie zasługiwało jedynie na kuksańca w żebra i porozumiewawczy uśmieszek mężczyzn, z których większość podziwiała pana senatora za jego sukcesy u płci przeciwnej. Znalazł sobie młodą, śliczną żonkę i jeszcze romansował na boku - jak na sześćdziesięcioletniego dziadka całkiem niezły rezultat. W

pewnych kręgach wydawał się nawet dzięki temu bardziej męski i energiczny. Oczywiście żona miała do niego na początku ogromny żal, ale już jej przeszło, a cała ta sprawa scementowała tylko ich

małżeństwo.

Taka brzmiała przynajmniej oficjalna interpretacja wydarzeń.

Brudny incydent sprowadzono do zwykłego żartu. Lewis nawet kpił z samego siebie podczas publicznych wystąpień.

Ronnie słuchała tego wszystkiego z uśmiechem, a w środku czuła... co? Już nawet nie złość. Jedyne pustkę.

Usiadł obok, sięgnął po jej leżącą na kolanach rękę i podniósł ją do ust.

Uśmiechnął się i utkwiał w niej błyszczące orzechowe oczy - te same, które, jak kiedyś sądziła, świadczyły o uczciwości i prawości. Ronnie wiedziała, że pocałunek złożony na jej palcach to gest reklamowy. Żołądek skurczył się jej w węzeł. Ale znajdowali się przecież na podium, pod obstrzałem spojrzeń -

pan senator i jego oszukana żona.

Ronnie odwzajemniła uśmiech tak pięknie, jak potrafiła, choć zeszywniała na całym ciele i odczuwała bóle żołądka.

W rzeczywistości chciała plunąć mu w twarz i odejść. Na zawsze.

Tak, wiodła teraz życie, którego zawsze pragnęła, ale cena, jaką przyszło jej za to zapłacić, okazała się stanowczo zbyt wysoka.

Kolacja w prywatnym klubie, którą jadła u boku Lewisa, skończyła się o dziesiątej. Twarz Ronnie zastygła w ciągłym promiennym uśmiechu. W

głowie szumiały jej wypowiedane bezustannie frazesy. Palce bolały od uścisków.

- Wspaniale pani sobie radzi - szepnęła żona jednego z popleczników Lewisa, chyba sędziego, chwytając ją za ręce i całując w oba policzki. Jak ona się nazywała? JoAnn Hill. Hill, czyli Wzgórze. Łatwo zapamiętać - nazwisko pasowało jak ulał do tej postawnej, hożej niewiasty. JoAnn dwa pagórki miała... A kiedyś traktowała ją niemal oziębło.

Była rówieśnicą i znajomą Eleanor.

Skandal wyszedł w pewnym sensie Ronnie na dobre - niektóre kobiety wyraźnie się do niej przekonały. Traktowały ją nawet z pewną dozą sympatii.

Szczególne wsparcie otrzymała od żon polityków. Ronnie zastanawiała się przez jakiś czas, czy i one zetknęły się w swoim prywatnym życiu z podobną hipokryzją, i doszła do wniosku, że to chleb powszedni tych szacownych dam. Polityka, jak powiedział ktoś znacznie mądrzejszy od Ronnie, to brudny interes.

Przynajmniej teraz - używając słów Quinlana - Ronnie stała się jedną z nich, kobietą walczącą z problemami takimi samymi jak reszta.

Opuszczając gościnne domostwo swego gospodarza Johna Heydena, spadkobiercy fortuny zbitej na kurczakach, Lewis potrząsnął serdecznie jego dłonią, gdy tymczasem Martha Heyden cmoknęła Ronnie w policzek i wypowiedziała parę uprzejmości, których tamta właściwie nie słyszała.

Przyswoiła sobie już jednak na tyle umiejętność wychodzenia z przyjęć, że potrafiła się przełączyć na automatyczne sterowanie i zareagować właściwie na kierowane do niej uprzejmości.

- Spróbuj im jakoś wyperswadować te głupoty z inspekcją, słyszysz, Lewis? -

powiedział Heyden, klepiąc senatora po ramieniu, gdy całe towarzystwo stało już w progu.

- Po to jadę do Arkansas. - Lewis był uosobieniem uroku - wielkim, ciepłym facetem, równym gościem nastawionym życzliwie do wszystkich. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Świat jednak nie wiedział, jak płytki jest mężczyzna kryjący się za tą maską uroku. Mężczyzna, który nie potrafił usza-nować żadnego związku.

Od Lewisa można było otrzymać wyłącznie to, co się widziało na zewnątrz.

Temu mężczyźnie brakowało zdecydowanie głębi emocjonalnej.

Nic dziwnego, że nigdy nie dążył do rozwodu z Eleanor. Sytuacja, w jakiej się znalazł, całkowicie mu odpowiadała.

Przeszli wreszcie przez masywne dębowe drzwi oraz ganek i ruszyli w stronę czekających aut. U wylotu podjazdu, strzeżone przez ochronę wynajętą przez Lewisa, czekały dwie czarne limuzyny. Jedną z nich Lewis zamierzał

pojechać na lotnisko i odlecieć prywatnym samolotem do Little Rock na spotkanie hodowców kurcząt. Drugą przeznaczono dla Ronnie. Następnego dnia rano czekało ją spotkanie z pracownikami uniwersytetu, a potem wywiad w lokalnej gazecie i stacji telewizyjnej. To wszystko oznaczało zarazem nocleg w Tupelo; pokoje dla niej i jej świty zarezerwowano w hotelu Hyatt.

- Zadzwoń jutro, kochanie. - Lewis zatrzymał się na chwilę u stóp schodów i cmoknął szybko żonę w policzek. Miał ciepłe usta, obejmował ją mocno ramieniem - typowy dla Lewisa gest pod publiczność, który tak naprawdę nic nie znaczył, choć od czasu gola pan senator był zdecydowanie bardziej niż dotąd zadowolony z Ronnie. Nie naraziła go na wrzaski i awantury, straszenie rozwodem czy sceny. Cisza prywatnie, w miejscach publicznych uśmiech.

Teraz również się uśmiechnęła.

- Miłego lotu - powiedziała.

- Przypilnujcie mi żony, chłopcy - rzucił Lewis przyjacielskim tonem do Toma i Kena, którzy podobnie jak i Thea mieli również nocować w hotelu Hyatt i być do dyspozycji Ronnie następnego

dnia. Po chwili odwrócił się do żony, pomachał jej ręką na pożegnanie i wszedł do limuzyny, otoczony współpracownikami. Drzwi zatrzasnęły się cicho, a po chwili auto odjechało od krawężnika.

Drzwiczki drugiej limuzyny były zapraszająco uchylone. Przytrzymał je kierowca ubrany w uniform. Ronnie podeszła do samochodu i wśliznęła się do środka, po czym odchyliła głowę na miękkie skórzane oparcie i przymknęła oczy. Reszta towarzystwa usiadła obok.

- Wszystko w porządku? - spytała cicho Thea. Sekretarka prasowa okazała się dla niej niezawodnym wsparciem i Ronnie naprawdę doceniała jej oddanie. Jako kobieta i przyjaciółka Thea zdawała sobie w pełni sprawę z niezadowolenia swojej pracodawczyni, choć ta pokazywała personelowi taką samą niewzruszoną twarz, jaką wykreowała dla wyborców. Nigdy nie wiadomo, kto i w jakich okolicznościach może kiedyś rozmawiać z prasą.

- Jestem po prostu zmęczona. - Nie pofatygowała się nawet, by otworzyć oczy. Gdyby to zrobiła, musiałaby rozmawiać z całą trójką, a zupełnie nie miała ochoty na konwersację. Wiedziała, że to zupełnie irracjonalne, ale była nastawiona zdecydowanie bardziej wrogo do Quinlana niż do Lewisa. To właśnie Quinlan - nikt inny - ułożył tę całą strategię. On zmusił ją do kłamstwa. Quinlan chciał poprawić wyniki sondaży, a zatem doradzał jej, jak powinna się ubierać, jakie tematy poruszać w przemówieniach, a nawet jakim spieszczeniem powinna nazywać Lewisa (a on ją).

I tak „skarby” cieszył się większą sympatią wyborców niż elitarne „mój drogi”/„moja droga”, zbyt erotyczne „kochanie” i staroświeckie

„najmilszy”/„najmilsza”. Tak więc dzięki Quinlanowi Lewis przy każdej okazji nazywał ją skarbem. Ronnie mogła się zdobyć najwyżej na dwa

„skarby” tygodniowo. Czułe słówko stawało jej w gardle, ilekroć próbowała je wypowiedzieć; któregoś dnia zaczęła się nawet poważnie obawiać, że się może przy takiej okazji udusić. A gdyby tak się stało, byłaby to również wina Quinlana.

Choć Ronnie miała zamknięte oczy i udawała, że śpi, Quinlan usiłował

jednak nawiązać z nią kontakt.

- Jeśli jutro podczas tego spotkania na uniwersytecie padnie pytanie o Doreen Cooper...

Tak właśnie nazywała się prostytutka, którą Lewis odwiedzał przynajmniej raz w tygodniu podczas swego pobytu w Waszyngtonie. Ta sama, która nagrywała ich rozmowy, robiła intymne zdjęcia i opowiedziała całemu światu o łóżkowych upodobaniach Lewisa.

- ...powiesz po prostu, że traktujesz całą tę sprawę jak test swego małżeństwa, które stało się teraz silniejsze niż kiedykolwiek.

- Wiem, co robić. - Ronnie odemknęła powieki i spojrzała z grobową miną na Quinlana, który siedział dokładnie po przekątnej.

Uśmiechnął się do niej uspokajająco. Jego obowiązki polegały na doradzaniu klientom, więc starał się jak mógł. Ronnie zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że nie ułatwia mu zadania.

- Oczywiście - odparł. - I naprawdę świetnie sobie radzisz. Ale jutro po raz pierwszy będziesz omawiać tę sprawę na takim szerokim forum. Musisz po prostu powtarzać to samo na różne sposoby. „Egzamin był trudny, ale mamy już to za wszystko za sobą”, „Małżeństwo jest wyzwaniem, a wiadomy incydent dowiódł tylko, że jesteśmy w stanie mu sprostać. Jako para staliśmy się silniejsi niż kiedykolwiek. Pokonaliśmy kryzys”. Najważniejsze słowa to: test, wyzwanie, pokonać.

- Chcesz, żebym wypisała je sobie tuszem na dłoni, aby nie zapomnieć? -

spytała sarkastycznie i przeszła go w mroku płomiennym spojrzeniem błyszczących oczu. Niczym bezrozumna papuga musiała wciąż powtarzać cudze słowa i miała tego absolutnie dość.

- Nie pozwól się wyprowadzić z równowagi. - Quinlan nigdy się nie denerwował, zawsze zachowywał spokój, czego nie dało się powiedzieć o Ronnie, która już na samą myśl o tym, że ktoś bez przerwy nią manipuluje, dostawała białej gorączki.

- Czy naprawdę nie możecie o tym porozmawiać jutro? Nie widzisz, że ona jest zmęczona? - spytała Thea, zanim Ronnie zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Thea i Tom spędzali ze sobą ostatnio dużo czasu i bardzo się zaprzyjaźnili.

Bez wątplenia dostrzegali dobre strony skandalu, dzięki któremu zawarli znajomość. Urocza historyjka dla prasy. Gotowy artykuł w kolumnie „Jak się poznali?”. Był sobie pan senator i jego przygłupia żona, a my...

- Tak, daj jej spokój. - Kenny trącił współnika łokciem. Kenny był miły i uprzejmy. Ronnie często odnosiła wrażenie, że Goodman jej współczuje.

Quinlan dla odmiany nie miał litości: powiedz to, powiedz tamto, zrób to, włóż tę suknię, włóż inną. Weź senatora za rękę. Wzrusz się. Zachowaj się z godnością. Uśmiechnij się.

Ronnie uważała, że motyw muzyczny kampanii - „Wróciły szczęśliwe dni” w stylu prezydenta Trumana - odtwarzany z taśmy, kiedy tylko ona lub Lewis pojawiali się na spotkaniu wyborczym, należy zmienić na „Trwaj przy swym mężu”. Słyszała nawet niemal country zawodzenie Tammy'ego Wynette, ilekroć Quinlan otwierał usta.

- Dobrze - powiedział Quinlan i zamilkł.

Thea obdarzyła go uśmiechem, a Ronnie znowu przymknęła oczy.

Na stole w apartamencie hotelowym czekał na nią kosz z owocami. Ronnie bardzo się ucieszyła, gdyż zaczynała już odczuwać głód. Na kolacjach, takich, w jakiej przed chwilą uczestniczyła, nigdy nie mogła nic przełknąć.

Była zanadto „nakręcona”, co nie sprzyjało trawieniu.

Był to duży koszt, wyraźnie drogi, wyładowany taką ilością pomarańcz i grejpfrutów, jakiej nie zdołałaby zjeść przez cały miesiąc. Pomyślała, że owoce przysłali zapewne organizatorzy spotkania na uniwersytecie.

Zdjąwszy buty - eleganckie pantofelki na niewielkim obcasie, w stylu całkowicie narzuconym przez Quinlana - Ronnie podeszła do kosza i poszukała bileciku. Znalazła go za kłosem winogron, z których jedno włożyła do ust, zanim rozerwała kopertę.

Owoc był kwaśny. Ronnie skrzywiła się mocno i sięgnęła po następny.

Skarbie, świetnie sobie radzisz. Ucałowania, Lewis. Tak brzmiał tekst wypisany na bileciku nieznanym Ronnie charakterem pisma.

Kosz owoców? Od Lewisa? Ronnie poczuła, że wzbiera w niej fala histerycznego śmiechu.

Nigdy przedtem nie dostała od Lewisa niczego podobnego. Trudno sobie wyobrazić bardziej niedorzeczny prezent od niewiernego męża dla zdradzanej żony.

Oczywiście Lewis polecił komuś ze swego personelu przyniesienie podarunku do pokoju hotelowego. Albo też jakiś nadgorliwy współpracownik sam wpadł na pomysł, by dać małej kobiecie jakiś uroczy upominek. Coś, co jej udowodni, jak bardzo jest ceniona. Coś, dzięki czemu będzie się trzymała z góry ustalonej linii postępowania.

Może nawet to Quinlan wpadł na ten pomysł. I choć miał raczej pracować dla niej, jego postępowanie świadczyło wyraźnie o tym, że wspiera Lewisa.

Po chwili zastanowienia Ronnie przestała jednak posądzać Toma o ten idiotyczny gest. Quinlan z pewnością nie zasugerowałby nigdy równie niezręcznego podarunku. Przeczytałby raczej badania na ten temat i doszedł

do wniosku, że najlepszym prezentem od niewiernego senatora dla jego superlojalnej małżonki będzie bez wątpienia jakiś piękny klejnot lub coś w podobnym stylu.

Ronnie weszła do łazienki. Ciemnozielony marmur chłodził jej stopy.

Pochyliła się, by odkręcić wodę - ostatnio niewiele sypiała, a gorąca kąpiel trochę łagodziła napięcie - a potem spojrzała do lustra wiszącego nad umywalnią.

Nie wyglądała normalnie. Oczywiście, rysy twarzy pozostały równie delikatne i piękne jak zwykle. Nie zmienił się również głęboki rudy odcień włosów i piwna barwa oczu. Po raz pierwszy jednak zauważyła pod nimi głębokie cienie, a cieniutka, pionowa kresczka nie zniknęła z czoła, choć Ronnie przestała marszczyć brwi. Uniosła wymaniukiowaną dłoń - pod wpływem sugestii Quinlana malowała teraz paznokcie na różowo, choć wołała bardziej zdecydowane odcienie - i przycisnęła palec wskazujący do kreski, w nadziei, że ją wygładzi. Miała wyraźnie zmęczoną, wymizerowaną twarz. Czyżby wiek dawał o sobie znać, czy był to efekt stresu? Oczywiście mogła zawdzięczać swój wymoczkowaty wygląd również bladym policzkom i stonowanemu makijażowi, jaki narzucił jej Quinlan.

To także jego współpracownicy kazali jej nosić tę beżową garsonkę. Według Quinlana wyborcy z Missisipi szczególnie lubili barwy ziemi i pastelowe odcienie.

Chwała wyborcom z Missisipi! Barwy ziemi i pastele nic dla niej nie znaczyły.

Ale teraz stały się to „jej kolory”.

Nic dziwnego, że wyglądam zupełnie inaczej niż zwykle - pomyślała. Była jakąś dziwną istotą wymyśloną przez Quinlana, Lewisa i całą resztę, typową żoną polityka - od stroju poprzez makijaż aż do wypowiedzi obliczonych na efekt wyborczy.

Zamienili ją w żonę senatora.

Nie - poprawiła się Ronnie. To ona pozwoliła się zamienić w żonę senatora.

Zdolna, piękna, ambitna Veronica Sibley, którą była przed ślubem, przestała istnieć. W jej miejsce pojawiła się pani Lewisowa Honneker IV, Żona Senatora.

Ronnie zdała sobie nagle sprawę, jaką właściwie cenę płaci za swoje miejsce pod słońcem. Nie większą niż życie.

Pani Lewisowa Honneker nie wydawała się jej bardziej realna niż lalka Barbie. Ronnie stała się plastikowym tworem, naginany do potrzeb innych ludzi.

Kiedy po raz ostatni odczuwałam jakiegokolwiek prawdziwe emocje? -

zapytywała siebie w duchu. - Kiedy ostatnio tak naprawdę się śmiałam, tuliłam do kogoś z przekonaniem lub też uprawiałam gorący, słodki seks?

W przeciwieństwie do Ronnie plastikowe twory nie potrzebowały uczuć.

Nie chciała być dłużej lalką Barbie. Pragnęła znów naprawdę zaistnieć.

I czuć.

Wpatrywała się w swoje odbicie przez kolejne parę sekund, potem odwróciła się na pięcie, zakręciła wodę i potupała po kafelkach, a następnie po dywanie prosto w stronę walizki.

Przewidując choć odrobinę czasu wolnego podczas podróży, Ronnie kazała służbie z Sedgely zapakować oprócz strojów galowych również codzienne ubranie.

Znalazła podkoszulek, dzinsy i wyjęła je z walizki. Położyła ubranie na łóżku, popatrzyła na nie z ukosa i zawahała się przez chwilę. Nie miała ochoty wkładać dzinsów. Wołała coś bardziej skandalizującego. Myślała chwilę, a gdy rozwiązanie przyszło jej do głowy, sięgnęła znów do walizki po przybornik, z którym się nigdy nie rozstawała. Następnie wzięła do ręki nożyczki i odwróciła się do łóżka z uśmiechem na ustach.

Piętnaście minut później, wyglądając zupełnie inaczej niż dostojna dama z towarzystwa, która zameldowała się w hotelu, Ronnie wyszła na korytarz i ruszyła energicznym krokiem w stronę wind.

Głośnie trzaśnięcie drzwi zabrzmiało zdecydowanie i nieodwołalnie.

Rozdział 12

Kiedy zadzwonił telefon stojący przy łóżku, Tom nie wiedział, która jest godzina. Zdawał sobie sprawę jedynie z tego, że to z pewnością mglisty środek głębokiej nocy.

- Co do...? - Gwałtownie obudzony, zaklął głośno i chwycił źródło tego przeraźliwego hałasu, przewracając przy okazji lampę i stolik. W pokoju hotelowym panowały tak głębokie ciemności, że nawet gdyby miał przepaskę na oczach, znalezienie aparatu nie sprawiłoby mu zapewne większych trudności.

Jedną ręką ustawił lampę i zegarek z powrotem na stole. Migające cyferki wskazywały drugą dwadzieścia pięć. Drugą ręką namacał telefon i z trudem odnalazł słuchawkę. Upiorne dzwonicie umilkło.

- Halo - warknął w słuchawkę.

- Śpisz? - spytał Kenny.

Quinlan aż zmarszczył brwi ze zdziwienia.

- Już nie - odparł, przewrócił się na plecy i wpatrzył w ciemność. - Co się dzieje?

- Mamy kłopot.

- Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie dziwi - westchnął Tom. - Co się dzieje? Jego Wysokość znalazł sobie kolejną panienkę?

- Nie, chodzi o panią.

- Panią? - Tom przez chwilę nie rozumiał, o czym on mówi. - Panią Honneker?

- Ona jest w Yellow Dog. To taki bar. Senatorowa chleje jak smok i tańczy ze wszystkimi facetami, którzy ją o to poproszą. A w dodatku jest chyba okropnie napalona.

- Co takiego? - Tom usiadł wyprostowany na łóżku, teraz już całkiem rozbudzony. Po omacku odnalazł lampę i pstryknął wyłącznik. Pokój zalało światło. - Skąd wiesz? - spytał, mrugając oczami.

- Jednemu z pismaków wydawało się, że ją widział, więc zadzwonił tu do hotelu, żeby się upewnić, czy to ona, czy nie. Kiedy nie odpowiedziała, rozmowę przełączono do mnie.

- Chryste Panie! - Coś mu nagle przyszło do głowy. - A może to nie Ronnie?

Sprawdzałeś?

- Oczywiście. Wsiadła do taksówki i wyjechała do miasta w pół godziny po naszym przybyciu. Portier słyszał, jak pytała kierowcę o nocne lokale. Mamy chyba dziewięćdziesiąt dziewięć procent szansy na to, że ta ruda to nasza podopieczna.

- Jezu! - zawył Tom, odrzucił szybko kołdrę i spuścił nogi z łóżka. - Musimy ją dopaść. Co ona właściwie robi, u Boga Ojca? Co powiedziałaś reporterom?

- Że pani Honneker śpi jak dziecko u siebie w pokoju. Tom znowu jęknął i potarł nasadę nosa w beznadziejnym

wysiłku, by zapobiec w ten sposób niemal pewnej migrenie.

- To ich na długo nie powstrzyma. Daj mi dziesięć minut i spotkamy się w hallu.

-Tom?

- Co? - spytał niecierpliwie, chwytając garnitur przewieszony przez krzesło zaledwie przed kilkoma godzinami. Może ubranie nie będzie za bardzo pomięte, ale nawet gdyby było, Tom zupełnie by się tym nie przejął.

Teraz musiał przede wszystkim umieścić tę kłopotliwą kobietę pod kluczem, zanim ktokolwiek zdołałby udowodnić, że to naprawdę pani senatorowa Honneker. Albo też, co gorsza, zrobić jej jakieś kompromitujące zdjęcia.

Na samą myśl o czymś podobnym zebrało mu się na mdłości.

- Jestem... trochę zajęty.

- Zajęty? W środku nocy? I to teraz, kiedy musimy opanować kryzys? Co robisz, na świętego Jozafata? - Tom przytrzymał słuchawkę między ramieniem i uchem, wkładając jednocześnie spodnie.

- Mam... towarzystwo.

- Masz towarzystwo? - Przez ułamek sekundy nie rozumiał.

A potem doznał olśnienia i zeszywniał. - Kobietę? Chcesz mi powiedzieć, że gościsz u siebie kobietę? A co z Ann?

Ann była żoną Kenny'ego i dobrą przyjaciółką Toma. Coraz lepiej. Jeszcze by mu tylko brakowało, żeby senator wpadł do jego pokoju - samolot nie wyleciał na przykład z powodu mgły - i zaczął się dopytywać o żonę.

- Możemy o tym porozmawiać jutro? - spytał Kenny z zażenowaniem.

-1 to bankowo. - Tom wciągnął spodnie. - Nie wierzę własnym uszom. Chyba po prostu śnię.

- Tak czy inaczej nie będziesz mnie potrzebował. Sytuacja należy natomiast do tych wyjątkowo delikatnych. Lepiej by było, żebyś ty sam wyciągnął

Ronnie z baru. Bez zamieszania. Cała sprawa przyciągnie mniej uwagi, a rano wszyscy będą mogli udawać, że nie wiedzą, co się działo w nocy.

- Co to znaczy „wszyscy”? Nieważne. Nie chcę wiedzieć. Niech to diabli, Kenny, jesteś żonatym facetem. Z chorym sercem. Skroję ci rano tyłek.

Rzucił słuchawkę na widełki. Nie do wiary. Cała ta historia wydawała mu się zupełnie niesamowita, jednak wydarzyła się naprawdę. W dodatku tuż pod jego nosem.

W pięć minut później jechał już do baru. Na szczęście nie musiał walczyć o taksówkę - z myślą o jutrzejszych licznych spotkaniach Ronnie, wynajął

samochód, który okazał się istotnie niezwykle przydatny.

Nie chcąc wtajemniczać w swoją misję obsługi hotelowej, Tom znalazł po drodze całodobową stację benzynową i poprosił o wskazanie drogi do baru Yellow Dog. Zaspany kasjer nie miał z tym żadnych trudności. Yellow Dog okazał się najbardziej znanym lokalem w okolicy.

I najtrudniejszym do przeoczenia - jak miał sposobność stwierdzić Quinlan, mijając ciemne witryny rozmieszczone wzdłuż Main Street. Ogromny żółty neon migający ponad kwadratowym dwukondygnacyjnym budynkiem zdradzał położenie lokalu.

Tom zaparkował na zatłoczonym parkingu po przeciwnej stronie ulicy.

Zignorowawszy parę splecioną w miłosnym uścisku na kufrze jednego z aut oraz drugą - tulącą się do siebie na środku chodnika - ruszył w kierunku szklanych drzwi od frontu budynku.

Dudniący rytm muzyki dotarł do niego już na ulicy. Kiedy jednak otworzył

drzwi lokalu, potworny łomot omal nie zwałił go z nóg.

- Pięć dolarów! - krzyknął dyżurujący przy wejściu bramkarz, postawny młodzieniec dopiero co po college'u, wyglądający tak, jakby mógł zbić fortunę na zapasach. Gdy Tom wyjmował banknot z portfela, wyminął go tłum dziewczyn w minispódniczkach oraz ich równie młodo wyglądający towarzysze w dzinsach.

- Za godzinę zamykamy! - krzyknął bramkarz z czymś w rodzaju przepraszającego uśmiechu na ustach i przystawił mu na dłoni połyskującą na żółto pieczętkę w kształcie psa.

Tom zerknął ponad jego ramieniem na duży zegar. Była druga pięćdziesiąt.

Na dziewiątą wyznaczono spotkanie na uniwersytecie, w południe miała się odbyć konferencja

prasowa.

Słodki Jezu!

Tom przyjął tę informację do wiadomości skinieniem głowy i przeszedł przez ciemny korytarz do pulsującej muzyką jaskini, jaka się za nim kryła.

- Jedna osoba? - Kelnerka, szczupła blondynka ubrana w obcisły sweterek odsłaniający brzuch, uniosła palec wskazujący. Ona również musiała przekrzykiwać muzykę.

Tom skinął głową i poszedł za jej odzianym w minispódniczkę tyłeczkiem prosto do jaskini pełnej podrygujących ciał oświetlonych lampami stroboskopowymi - czyli do klubu. Odnosił wrażenie, że parkiet mieści się mniej więcej w połowie pomieszczenia i nie da się tam wcisnąć szpilki.

Nikommu jednak to najwyraźniej nie przeszkadzało. Goście tańczyli wszędzie

- w przejściach, przed barem, nawet na stołach. Lampy stroboskopowe

-równie oślepiające jak flesze fotograficzne - zatrzymywały się na swojej ofierze przez sekundę lub dwie i przenosiły dalej.

W takim oświetleniu, a właściwie przy jego braku trudno było odróżnić mężczyznę od kobiety z odległości większej niż półtora metra, a więc tym bardziej kogoś rozpoznać. Nic dziwnego, że dziennikarz musiał sprawdzić, czy aby na pewno spotkał żonę senatora.

A jeśli jednak nastąpiła pomyłka? - pomyślał Tom z resztkami nadziei. Może ścigał ducha, a może po prostu padł ofiarą niewczesnych żartów Kenny'ego.

Dałby Bóg!

Kelnerka zatrzymała się przed małym, okrągłym stolikiem z marmurowym blatem. Tom usiadł dla przyzwoitości na jednym z niewygodnych krzesełek - takich, jakie się spotyka w lodziarniach - i zamówił heinekena. To jedno jedyne słowo wydobyło się z hukiem z jego ust, a po chwili utonęło w kakofonii dźwięków.

Kelnerka - najwyraźniej wyćwiczona w odczytywaniu zamówień z ruchu ust w ciemnościach - skinęła głową i wyszła.

Hałas rozsadał mu mózg. Uznane za frazes powiedzenie „nie słyszał

własnych myśli" znajdowało aż nadto wyraźne potwierdzenie w rzeczywistości. Tom naprawdę ich nie słyszał.

Jak już zauważył, w klubie trudno było kogokolwiek rozpoznać, zrezygnował

więc niemal natychmiast z szukania dziennikarza. Natomiast po kilku minutach bezskutecznego wbijania wzroku we wszystkie szczupłe ciała, zrozumiał, że aby odnaleźć Ronnie, musiałby chodzić

od jednego stolika do drugiego, od jednej tańczącej pary do drugiej, pochylać się nad wszystkimi obecnymi w klubie osobami i zaglądać im w twarze. Wykluczyć należało jedynie otyłych oraz kompletnie łysych. Nawet krótkie fryzury mogły się okazać mylące, w przypadku gdyby Ronnie upięła włosy. Lub włożyła czapkę baseballową.

Kto ją tam wie?

Kelnerka przyniosła piwo i postawiła je przed Quinlanem na małej koktajlowej serwetce. Wykrzykując podziękowanie, wyjął portfel i zerknąwszy na rachunek, wręczył kelnerce sumę z machnięciem ręki mówiąc wyraźnie, że może zatrzymać resztę. Dziewczyna oświetliła pieniądze małą latarką zwisającą z łańcuszka oplecionego wokół

przegubu. Z jej kpiącego spojrzenia wyczytał wyraźnie, że rachunek wyniósł

zapewne dziesięć albo dwadzieścia dolarów, a nie te marne pięć, jakie zamierzał jej wręczyć. Niech to diabli! Nie mógł sobie pozwolić na wyrzucanie takich pieniędzy w błoto.

Forsa to jednak na razie najmniejsze zmartwienie - pomyślał, wychylił

duszką piwo i wstał, by rozpocząć na serio poszukiwania. I przekonać się, czy na pewno...

Tak, to była ona. Rude włosy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Pani senatorowa tańczyła, a właściwie wirowała z odzianym w dżinsy chłoptysiem niewiele starszym od Marka. Z odrzuconą do tyłu głową śmiała się do rozpuku. Białe zęby lśniły oślepiająco w ultrafioletowym świetle. Ronnie miała na sobie obcięte, naprawdę krótkie dżinsy z frędzlami wokół uda, ciasny czarny podkoszulek i sandały na wysokim obcasie, w których jej nogi wydawały się długie na dwa metry. I tak jak ostrzegł go Kenny, wyglądała na napaloną. A dzieciak był najwyraźniej tym zachwycony.

Tom wstał z krzesła, czując wzbierający gniew. Poczul się jak zdradzony mężczyzna, który przyłapał swoją panią na gorącym uczynku. Idiotyczne -

pomyślał. - To przecież moja klientka, nie żona.

Wypił resztę piwa i zaczął rozważać wszelkie możliwe opcje. Najchętniej podszedłby do Ronnie, chwycił ją za stanowczo zbyt rude włosy i wyciągnął

z klubu. Tę możliwość należało jednak odrzucić. Po pierwsze, zwróciłby na siebie uwagę, a po drugie nie mógł w ten sposób potraktować kobiety będącej jego przepustką do świata polityki. Nie służyłoby to dobrze interesom.

Musiał użyć całego swego sprytu i wyprowadzić Ronnie z klubu, nie wzbudzając przy tym najmniejszej sensacji. Najpierw - rzecz jasna - należało się pozbyć tego dzieciaka, który nawet w tej chwili obejmował ją w talii.

Jeszcze chwila, a złapie ją za tyłek - przemknęło Quinlanowi przez myśl. A co gorsza, Ronnie była najwyraźniej zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Nie tylko geniusz doszedłby od razu do wniosku, że pani Lewisowa Honneker wybrała się do klubu, żeby znaleźć sobie gacha.

Przykro mi, kochanie - pomyślał Tom z ironicznym uśmiechem i ruszył w stronę swojej ofiary.

Kiedy się do nich zbliżył, Ronnie obejmowała już dzieciaka za szyję i tańczyła z nim w sposób, jaki przyprawiłby nawet księdza o brzydkie myśli.

A sądząc z wyrazu jego twarzy, gówniarz nie zamierzał zostać księdzem.

Tom poklepał go po ramieniu, ale - co zresztą wcale go nie zdziwiło - nie doczekał się żadnej reakcji. Powtórzył gest nieco silniej, w zasadzie dał

młodzieńcowi kuksańca, odrywając jednocześnie od jego szyi smukłe, chłodne ręce swojej klientki i ciągnąc je w swoją stronę.

Zamrugła ze zdziwienia oczami. Jej partner popatrzył na niego morderczym wzrokiem.

Tom nie miał do niego pretensji. On czułby to samo w podobnej sytuacji.

- Co do cho...? - zaczął ze złością chłopak.

- To moja żona - ryknął Tom, błyskając mu w oczy brylantem i obrączką Ronnie.

- Ach tak. - Dzieciak natychmiast zmienił ton, przygarbił się lekko i zrobił

krok do tyłu. - Przepraszam. Nie mówiła, że jest mężatką.

Zniknął w ciemnościach, a Tom skinął z zadowoleniem głową. Szczupła ręka, którą trzymał w dłoni, wyrwała się z uścisku i objęła go za szyję, po chwili dołączyła do niej druga.

Kiedy Ronnie się do niego przytuliła, wyczuł lekki zapach drogich perfum i ciepło szczupłego, giętkiego i bardzo, bardzo seksownego ciała. Mając poczucie, że traci kontrolę nad sytuacją, Tom objął ją w talii i popatrzył spod zmarszczonych brwi w uwodzicielskie piwne oczy.

Rozdział 13

- Kłamca - szepnęła, ani na chwilę nie przestając tańczyć. Ocierała się o mocne i silne ciało Quinlana, muskała jego ciepłą szyję. Swym pojawieniem się w klubie zrobił jej niespodziankę, ale ta niespodzianka wcale nie należała do niemiłych. Już od samego początku uznała swego politycznego doradcę za bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

- W klubie jest dziennikarz - szepnął. Jego oddech pachniał piwem. - Musimy jechać.

Korzystając z tego, że Quinlan pochyla głowę, Ronnie przytuliła się do niego mocniej. Dotyk torsu mężczyzny sprawiał jej przyjemność. Quinlan był o tyle od niej wyższy, potężniejszy, postawniejszy. Szorstki zarost policzka drażnił jej delikatny policzek. Tom obejmował ją mocno w talii. Miał na

sobie ten sam granatowy garnitur w prążki, który nosił poprzedniego wieczoru. Zauważyła, że krój ubrania eksponuje budowę mężczyzny - jego szerokie ramiona, płaski brzuch, wąskie biodra i muskularne uda. Podczas kolacji nie podobało się jej wyłącznie to, że pozapinany pod szyję, spięty i poważny wyglądał na sztywniaka. Teraz miał popołudniowy zarost, koszulę odpiętą przy kołnierzyku i nie nosił krawata.

Ronnie poczuła, że przechodzą ją ciarki.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - spytał zniecierpliwionym tonem.

Potrząsnęła głową i przysunęła się do niego bliżej.

- Chcę tańczyć.

Odsunął się lekko, aby spojrzeć jej w twarz. Uśmiechnęła się do niego zmysłowo, ocierając się o jego ciało w takt rytmicznej muzyki.

Zmarszczka na czole mężczyzny znacznie się pogłębiła. Quinlan krzywił się już teraz całkiem wyraźnie.

- Piłaś - powiedział oskarżycielskim tonem, który mocno ją rozbawił.

- Masz rację - zgodziła się i przytuliła mocniej. Obrócił Ronnie dookoła, by -

jak sądziła - nie potrąciła ich para tańcząca obok.

Cała procesja chłopców, z którymi poprzednio tańczyła, nie rozпалиła jej libido. Tak naprawdę nie miała ochoty się przespać z żadnym z nich. Ale Quinlan należał do zupełnie innego gatunku.

Jaki byłby w łóżku? - myślała. Samo rozważanie tej możliwości wystarczyło, by zalała ją fala gorąca.

Już dawno nie żywiła podobnych uczuć w stosunku do mężczyzny.

- Jedziemy z powrotem do hotelu. - Głos Quinlana brzmiał teraz kusząco, co bardzo się jej podobało. Przytuliła się do niego mocniej.

- Może - mruknęła. - Ale najpierw zatańczmy.

- Ronnie...

Pierwszy raz nazwał ją w ten sposób. Zwykle wydawał jedynie polecenia: zrób to, zrób tamto. Czasem zwracał się do niej per „pani Honneker”, wymawiając to swoim ironicznym południowym akcentem, który budził w niej agresję.

W nagrodę Ronnie pogładziła go po karku. Zesztywniał.

Nadal obejmował ją w pasie, więc natychmiast zacieśnił uścisk i wbił palce w talię kobiety, jakby chciał zwiększyć odległość, jaka ich dzieliła.

- Nie ma szans, kotku - mruknęła pod nosem i ścisnęła mocniej jego szyję.

Przywarła biodrami do jego bioder i odkryła, że działa na niego równie silnie, jak on na nią. Zresztą podobała mu się od początku. Tak wielu mężczyzn darzyło ją podziwem, że nieomylnie potrafiła odkryć symptomy takiej admiracji.

- Tom - mruknęła uwodzicielsko. To imię dobrze brzmiało w jej ustach. A ona czuła się dobrze w objęciach tego mężczyzny. Wysokogatunkowa wełna garnituru Quinlana drapała ją w nagie ramiona i nogi. Doznanie miało zdecydowanie erotyczny charakter - odnosiła wrażenie, że ona jest naga, a on pozostaje w pełni ubrany. Ze wszystkich stron napierały inne pary, krępując ich ruchy. I nikomu to nie przeszkadzało. Ronnie odkryła, że w jakiś dziwny sposób przedostali się do ciemnego kąta położonego nieopodal wyjścia. I choć wkoło tańczyli ludzie, doznawała niezwykle intensywnego wrażenia, że jest sama z Tomem.

Objęła go mocniej za szyję i musnęła delikatnie ciepły kark. Piersi dotykały torsu mężczyzny, uda ocierały się o jego uda. Quinlan otaczał ją opiekuńczo ramionami, a w obronie przed namiętym uściskiem opierał dłonie o jej biodra.

Gdyby ją o to zapytał, powiedziałaaby zapewne, że jakikolwiek opór jest bezskuteczny. Przycisnęła się do niego mocniej, każdym centymetrem ciała -

od barków do kolan. Zdjęła ręce z szyi Quinlana i przesunęła palcami po barkach, przedramionach i przegubach mężczyzny, a następnie oderwała jego ręce od bioder i przesunęła nimi po swoim ciele. Nie opierał się, choć wyczuwała, że poddaje się tym zabiegom bardzo niechętnie. Fatalnie -

pomyślała, rozkoszując się jego uściskiem i zarzucając mu ponownie ręce na szyję. Gdy kładła głowę na ramieniu Toma, lekki, zadowolony uśmiezek wygiął jej usta.

- Czy wiesz, że jest już po trzeciej? Jutro o dziewiątej masz wygłosić mowę. -

Robił jej wymówki, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Czuła jego gorący oddech i uścisk ramion, które - wyraźnie zadając kłam słowom - mocno ją przytulały.

- Może - powiedziała, patrząc na niego z lekkim uśmiechem. Wydatny, pokryty zarostem i kusząco męski podbródek Quinlana znajdował się mniej więcej na poziomie jej nosa.

- Co to znaczy „może”? - W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało napięcie.

Twarz pokryta szorstkim zarostem musnęła gładki policzek Ronnie.

- Może nie zamierzam wrócić. - Uniosła głowę i potarła policzek, który pachniał... właśnie... czym? Kremem do golenia? Czymś z dodatkiem mentolu. Był również - jak odkryła, gdy dotknęła go językiem - lekko słonawy. Zmieniła to dotknięcie w pocałunek przyciskając usta do szorstkiego podbródka.

Quinlan wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i odrzucił gwałtownie głowę, tak, by całowane przez Ronnie miejsce znalazło się natychmiast poza zasięgiem jej ust. Znów chwycił ją mocno w pasie i tym razem udało mu się ją nieco od siebie odsunąć.

Potrzebował dłuższej chwili, aby ochłonać. Zaczerpnął kilka głębokich oddechów i wbił w nią twarde spojrzenie ciemnych, nieprzeniknionych oczu.

Zacisnął mocno szczęki, a następnie znów pochylił się do jej ucha.

W jego głosie brzmiały żartobliwe tony, ale choć bardzo się starał, nie mógł

oszukać Ronnie. Był równie podniecony jak ona.

- Dostyc tego, słyszysz? Słuchaj, miałaś ciężkie dwa tygodnie, wiem. Więc dziś wieczorem wybrałaś się do miasta, żeby wypuścić trochę pary.

Rozumiem. Jutro wszystko będzie wyglądało inaczej. Pozwól, że zabiorę cię do hotelu i...

- I co? - Tym razem pocałowała go w ucho, wciągnęła małżowinę do ust i lekko ją przygryzła. W przeciwieństwie do szorstkiej, szczeciniastej szczęki, ucho miał miękkie i delikatne.

- Przestań, do diabła! - Szarpnął gwałtownie głową, uwalniając ucho, ale gdy znów pochylił się nad Ronnie, niefrasobliwie odsłonił szyję. Obróciło się to natychmiast przeciwko niemu - Ronnie uśmiechnęła się uroczo i powiodła ustami po smagłej kolumnie.

- Ile wypiałaś? - Głos miał szorstki, ciało napięte jak struna. Palce wbijały się w jej talię mocno, niemal do bólu. Czowała, jak pod dotykiem jej ust pulsuje mu żyłka na szyi.

- Nie tak znów dużo. - Aby wyszeptać mu tę odpowiedź do ucha, musiała wspiąć się na palce. Zaciskając mocniej ramiona na szyi mężczyzny, badała językiem delikatne naczynka krwionośne.

- Dostyc. Wychodzimy - powiedział stanowczo i równie zdecydowanym gestem oderwał jej ręce od swojej szyi.

- Nie zamierzam nigdzie iść - powiedziała, próbując stawić mu opór. -1

zrobię okropną scenę, jeżeli spróbujesz mnie do tego zmusić. Nie chcesz się bawić, w porządku. Bez trudu znajdę kogoś, kto będzie miał na to ochotę.

- Tego właśnie sobie życzysz? Bawić się? - Stał teraz spokojnie. Już nie udawał, że tańczy. Patrzył tylko na nią w ciemnościach płomiennym wzrokiem. Był wyraźnie rozgorączkowany i zły.

Ronnie uśmiechnęła się do niego dyskretnym, rozmyślnie uwodzicielskim uśmiechem. I skinęła głową.

Spotkali się wzrokiem. Twarz miał zagniewaną, szczękę mocno wysuniętą.

Potem wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „cholera”. Zacisnął

ręce wokół nadgarstków Ronnie i dotknął ustami jej ust.

Rozdział 14

Ronnie już dawno zapomniała, co się czuje podczas takiego pocałunku. Usta Toma okazały się twarde, rozpalone, zagniewane i... głodne. Rozchyliła wargi, oddała mu pocałunek, a jej ciało rozgorzało nagle nieposkromioną namiętnością podnieconej nastolatki.

Oderwał usta i przyjrzał się jej uważnie. Uśmiechnęła się do niego w rozmarzeniu. Oczy miał niespokojne, błyszczące, szczęki zaciśnięte.

- To cała zabawa, na jaką mnie stać tutaj, na publicznym parkiecie, w miejscu, gdzie za chwilę pojawią się dziennikarze. Teraz pójdziesz ze mną.

- Dokąd?

- A jak sądzisz? Z powrotem do hotelu - syknął z wściekłością.

- Dobra. - Gdy ciągnął ją do wyjścia, nie stawiała oporu, a nawet uśmiechała się z zadowoleniem. „Z powrotem do hotelu” otwierało szerokie możliwości.

Wyszli najbliższym tylnym wyjściem. Ściskając przegub Ronnie, obszedł

budynek dookoła i wyprowadził ją na parking całkowicie pogrążony w ciemnościach, z wyjątkiem kilku lamp ustawionych w narożnikach przez ochronę. Idąc, rozglądał się czujnie dookoła, najwyraźniej w obawie przed kimś lub przed czymś. Czyżby spodziewał się tutaj tego reportera, o którym wspomniał? Ronnie było to obojętne.

Inne pary również opuszczały bar. Niektórzy całowali się jeszcze w drodze na parking. Ronnie patrzyła na nich zazdrośnie; usta wciąż ją swędziały od pocałunków Toma.

Pragnęła, aby znów to zrobił. Pragnęła czegoś znacznie więcej i zamierzała się o to postarać.

Obeszli dookoła jasnoniebieskiego compacta, Quinlan otworzył drzwi po stronie pasażera, popchnął Ronnie na siedzenie, po czym zapiął jej pas.

Ronnie natychmiast skorzystała z okazji i powiodła dłońmi po jego torsie.

Pod chłodną, gładką koszulą wyczuła ciepłe, muskularne ciało.

Gdy pas bezpieczeństwa był już zapięty, spotkali się wzrokiem. A potem Quinlan pocałował ją w usta - szybko i mocno. Ronnie nie miała nawet czasu oddać mu pocałunku, gdyż Tom natychmiast się wycofał i zatrzasnął za sobą drzwi.

Sadowiąc się wygodniej, patrzyła, jak obchodzi auto, aby usiąść za kierownicą.

Zajął miejsce przy niej, zapiął swój pas i posłał jej ponure spojrzenie.

- Tom - znów wymówiła z uśmiechem jego imię. Oparłszy głowę o siedzenie, zwróciła ku niemu twarz.

- Ronnie - odparł o wiele mniej namiętym tonem. - Czy ty wiesz, co się stanie, jeśli ktokolwiek robił tu zdjęcia i opublikuje je w prasie? - Wsunął

kluczyk w stacyjkę i uruchomił samochód.

- Ktoś nas fotografował, jak mnie całowałeś? - Ronnie doszła do wniosku, że Quinlan ma wspaniały profil. A już szczególnie ładne były jego usta, zmysłowe w sposób, jakiego dotąd nie mogła zauważyć.

- Owszem. Zresztą nie tylko wtedy. - Zmierzył ją nieprzeniknionym spojrzeniem i wyjechał tyłem z miejsca postoju.

- Jeśli wydrukują to zdjęcie, wszyscy pomyślą, że jesteśmy kochankami -

powiedziała. - Poza tym tylko tańczyliśmy.

- Czyżby? - spytał sucho. - Na szczęście w takich warunkach trudno zrobić zdjęcia, na których można by było kogoś rozpoznać. Niech to cholera!

Jeszcze jeden skandal położy tę kampanię. - Wyprowadził auto na podjazd i ruszył w kierunku wjazdu na parking.

- Nie zależy mi na kampanii.

Znowu na nią popatrzył. Tym razem twardo, beznamiętnie. Odniosła wrażenie, że Quinlan ćwiczy samokontrolę.

- Rano będzie ci zależało. Kiedy alkohol wyparuje.

- Wcale dużo nie wypiałam. Przecież już o tym rozmawialiśmy.

- To ty tak twierdzisz.

- Nie wierzysz mi? -Nie.

- Myślisz, że się do ciebie dobieram, bo się upiałam? - spytała z namysłem.

- Coś w tym rodzaju.

- A ty jesteś wlany?

- Wypiłem tylko jedno piwo.

- Więc się chyba nie wstawiłeś? -Nie.

- A przecież mnie pocałowałeś. I to dwa razy.

Pod jego spojrzeniem powinna była zapaść się pod siedzenie, ale zamiast tego założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Oto jak wygląda sytuacja. Kampania wychodzi właśnie na prostą po kryzysie spowodowanym seksskandalem. Wyborcy chcą wybaczyć pani małżonkowi jego błąd, a ciebie lubią bardziej, bo

postąpiłaś lojalnie wobec męża. Więc w sumie jest nieźle. Chodzi wyłącznie o to, żeby niczego nie zepsuć. Twoja balanga natomiast może pociągnąć za sobą fatalne następstwa.

Wszędzie czyhają dziennikarze i jeden w końcu cię wytropi. To pewne jak amen w pacierzu. Właściwie to już cię namierzyli, tyle że ten dziennikarz nie był do końca pewien, kogo właściwie widział. Ale możesz spokojnie postawić ostatniego dolara na to, że ten facet, który cię spotkał w barze, przyjdzie o dziewiątej na uniwersytet, żeby sprawdzić, czy wyglądasz jak grzeczna dziewczynka, czy jak ktoś, kto balował do czwartej rano. Chyba że już cię jakoś zdołał rozpoznać, co znaczy, że on dostanie stronę tytułową w niedzielnym wydaniu, a my możemy zapomnieć o kampanii.

Na skrzyżowaniu skręcił w lewo. Obciążając szorty, które podjechały jej niemal do bioder, Ronnie znów założyła nogę na nogę i pochwyciła badawcze spojrzenie Toma.

- Masz dziewczynę? - spytała, chwilowo zupełnie lekceważąc ewentualne konsekwencje swojej eskapady.

- Co takiego? Dlaczego cię to interesuje?

- Byłam po prostu ciekawa i tyle.

- Słyszałaś cokolwiek z tego, co mówiłem? - spytał wyraźnie poirytowanym tonem.

- Każde słowo. I zapytałam cię o dziewczynę.

- Ze względu na Theę?

Potrząsnęła głową.

- Tym razem ze względu na siebie.

Zacisnął usta i wbił wzrok w szybę. Ronnie odniosła wrażenie, że rozważa różne możliwości.

- Tak, spotykam się z pewną dziewczyną...

- Jak jej na imię?

Zawahał się i spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Dianę.

- Mieszka tutaj?

- W De Kalb, niedaleko mojej matki.

- Dlaczego jej nie poznałam? Przecież przez ostatnie trzy tygodnie praktycznie się stamtąd nie ruszałeś?

- Bo lubię oddzielać życie prywatne od zawodowego.

- I one nigdy na siebie nie zachodzą?

- W każdym razie nie wtedy, kiedy mogę temu przeciwdziałać.

- A jeśli nie możesz? - spytała łagodnie, niemal kusząco.

- Zawsze mogę - odparł stanowczo.

Na chwilę nastąpiła cisza. Quinlan stał na światłach i czekał. Przez skrzyżowanie przejechał najpierw policyjny samochód, a potem nastąpiła ich kolej.

- Jest ładna?

- Kto?

- Twoja dziewczyna, Dianę?

- Owszem, ładna.

- Równie ładna jak ja?

Zerknął na nią znów wyraźnie poirytowany.

- Nie, nie jest tak ładna jak ty. Nikt ci nie dorówna. A teraz może się zamkniesz i pozwolisz mi prowadzić. Jeszcze nam tylko brakowało wypadku

- dodał szorstko.

Ronnie uśmiechnęła się do siebie i zamilkła posłusznie. O tej porze ulice przypominały pustynię. Sklepy i biura świeciły pustkami, panowały w nich egipskie ciemności, działała jedynie całodobowa stacja benzynowa z minimarketem. Gdy ją mijali, Ronnie dostrzegła na sąsiednim rogu wielopiętrowy prostokąt hotelu Hyatt.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała.

- Dzięki Bogu.

- Mówisz takim tonem, jakbyś chciał się mnie pozbyć.

- Marzę wyłącznie o tym, żeby cię odprowadzić bezpiecznie do pokoju. - Wjechał na hotelowy parking, znalazł wolne miejsce niedaleko wejścia, zatrzymał auto i wysiadł, po czym obszedł wóz i otworzył samochód po jej stronie. Ronnie jednak nawet się nie poruszyła. Patrzyła tylko na Quinlana z lekkim uśmiechem.

Z zagniewaną miną rozpiął jej pas.

Żadnych pocałunków i pieszczot.

- Chodźmy - powiedział, biorąc ją za rękę.

- Nie czujesz się jak strażnik eskortujący więźnia do celi? - spytała gorzko Ronnie, kiedy już pozwoliła wyciągnąć się z auta.

- Nie. Raczej jak uradowany doradca polityczny, któremu właśnie się udało zdusić w zarodku koszmarny skandal. Mam przynajmniej taką nadzieję. -

Zamknął drzwiczki auta i odwrócił się twarzą do Ronnie, nadal nie puszczając jej ręki. Zdziwiona, że wciąż nie może odzyskać równowagi, Ronnie oparła się o samochód. Quinlan zaparkował w miejscu oddalonym o kilkanaście metrów od najbliższej lampy - mrok rozświetlał jedynie księżyc płynący ponad ich głowami po morzu gwiazd. Ciepły powiew wiatru rozwiały

włosy Ronnie, jedno pasmo zasłoniło usta. Ronnie odgarnęła je za ucho i napotkała wzrok Quinlana. Ściskając mocniej jej rękę, zasznurował jednocześnie usta.

Zanim Ronnie zdążyła się odezwać, odwrócił głowę i ruszył w stronę słabo oświetlonego wejścia.

- Dlaczego tędy? - Ronnie odkryła, że na siedmiocentymetrowych obcasach bardzo trudno się chodzi

- Na wypadek, gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby zacciać się w holu i czekać na twój powrót z nocnej eskapady.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Istotnie nie.

Aby dostać się do środka, użył karty magnetycznej i pociągnął za sobą Ronnie. Drzwi zamknęły się za nimi z cichym trzaskiem. Długi korytarz ciągnął się wzdłuż podwójnej linii zamkniętych pokoi. Półokrągłe kinkiety oświetlały słabo beżowo-zieloną tapetę we wzorek. Zielony dywan tłumił odgłos ich kroków. Wszędzie panowała głęboka cisza, która przypominała Ronnie o zamku śpiącej królowy zaklętym przez złą wróżkę. Może ona i Tom są jedynymi żywymi ludźmi w tym hotelu?

Gdy szli korytarzem, Tom trzymał ją mocno za rękę. I choć nie potrafiła się dopatrzeć w tym uścisku niczego romantycznego - Quinlan po prostu pilnował, aby w przyływie szaleństwa nigdzie nie uciekła - zaplotła szczupłe palce wokół jego większej, szerszej ręki, co sprawiło jej ogromną przyjemność.

Pragnęła tego mężczyzny i chciała go mieć. Umysł Toma stawiał wprawdzie na razie opór, ale ciało należało już do Ronnie. Fakt, że Quinlan - podobnie jak ona - płonie z pożądania, stał się dla niej równie oczywisty jak to, że w Missisipi panuje upał.

Główne windy hotelu znajdowały się w centralnym punkcie korytarza. Te dodatkowe umieszczono z tyłu, po jednej w każdym skrzydle. Tom przywołał najbliższą, po chwili rozległ się krótki dzwonek i drzwi otworzyły się zapraszająco. Quinlan wszedł do środka, pociągając za sobą Ronnie, i wcisnął

guzik na szóste piętro.

- Mój pokój jest na siódmym - zaprotestowała Ronnie, gdy winda ruszyła.

- Ostatnią kondygnację przejdziemy pieszo. Na wszelki wypadek. Dobry dziennikarz nie miałby żadnych trudności z ustaleniem numeru twojego pokoju. Nie chcę, by ktoś nas zaskoczył, jak będziemy wysiadać.

- Staramy się uważać, prawda?

- Tak sędzę.

Pod wpływem ruchu windy Ronnie straciła równowagę i lekko się zachwiała.

Quinlan zacisnął mocniej palce na jej dłoni, by nie upadła.

- Więc nie piłaś? - spytał sarkastycznie. Ronnie potrząsnęła z uporem głową, chwytając się jego ręki niczym tonący brzytwy. Zaczynała już odczuwać zawroty głowy.

Gdy ich złączone dłonie musnęły jej udo, poczuła, że zalewa ją fala gorąca.

Quinlan również doznał tego wrażenia. Wyczytała to nieomylnie w jego oczach.

- Co ty, na miłość boską, masz na sobie? - Zerknął na jej obcięte dzinsy i powiódł wzrokiem po nogach. Stopy Ronnie - prawie nagie w składających się z samych paseczków sandałkach na wysokim obcasie - były też bardzo ładne, smukłe i szczupłe, z pomalowanymi na koralowo paznokciami.

- Krótkie spodenki - odparła, gdy winda dojechała na miejsce i stanęła.

- Rzeczywiście. Są bardzo krótkie. - Przyjrzał się jej dokładnie i pociemniały mu oczy. - Niezły strój dla żony senatora.

- Żona senatora nie różni się niczym od innych kobiet.

- Głęboko się mylisz. Jej mąż musi się utrzymać na stanowisku dzięki wygranym wyborom.

Wyszli na korytarz. Nad drzwiami obok windy dostrzegli lampkę wskazującą wyjście. Tom ruszył szybko w tamtym kierunku, a Ronnie - nie mając zbyt wielkiego wyboru, jako że mężczyzna nadal ścisnął jej rękę - podążyła za nim.

Zerknąwszy na podwójne schody, które musiała pokonać, poczuła dziwną miękkość w kolanach.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała. - Czuję się tak, jakbym poszła spać i obudziła się w filmie z Jamesem Bondem.

- Lepiej przesadzić niż żałować. - Puścił ją przodem. Wzdychając ciężko, zaczęła się piąć po schodach - każdy krok wymagał jednak coraz większego wysiłku. Trzymała się więc mocno chłodnej

metalowej poręczy, a dotarłszy na podest na siódmym piętrze, odwróciła głowę. Tom śledził z uwagą ruchy jej pupy i nóg.

Widocznie wyczuł jej spojrzenie, bo podniósł wzrok. Przez chwilę w oczach mężczyzny zamigotało nagie pożądanie - czuła to równie wyraźnie, jak powiew klimatyzacji pod stopami, ale Quinlan natychmiast zmarszczył brwi i odwrócił głowę. W chwilę później stał już na podeście obok Ronnie.

- Masz klucz? - spytał ponuro.

Przytaknęła, otworzyła małą skórzaną torebkę zwisającą jej z paska i wydobyła z niej kartę magnetyczną.

Wyjął jej kartę z ręki, pokazał gestem, że ma być cicho, i ostrożnie otworzył

solidne metalowe drzwi. Wystarczył mu jeden szybki rzut oka na hol, by odkryć, że coś nie jest w porządku. Zamarł, a potem wolno i ostrożnie zamknął drzwi. Nawet z tak niewielkiej odległości Ronnie usłyszała jedynie cichy trzask.

- Co się stało? - spytała, gdy zaczął kląć pod nosem.

- Pilnują twojego pokoju. Jest ich dwoje - kobieta i mężczyzna, zapewne reporterka i fotograf. Niech to cholera!

- Żartujesz!

- Czy naprawdę wyglądam tak, jakbym żartował? - Już jego ponura mina starczyłaby za odpowiedź. - Postępują bardzo sprytnie, trzeba im to przyznać.

Gdyby zaczaili się w holu, pewnie jakoś byś się im wymknęła. Na pewno by się nam to udało. Ale skoro wyszłaś, to prędzej czy później musisz wrócić do swego pokoju. Niczego nie ryzykują, bo jeśli jesteś w środku, to w końcu wyjdiesz. A jeżeli cię nie ma, to kiedyś będziesz musiała się pojawić. Oni wygrywają w obu przypadkach. Cholera jasna!

- Jeśli nie mają moich zdjęć z klubu, nie zdołają udowodnić, gdzie byłam.

Może po prostu spacerowałam po mieście.

- O trzeciej w nocy? Po pięknym Tupelo? Ubrana w ten sposób? - Popatrzył

na nią wymownie i potrząsnął głową. A potem chwycił ją za rękę i ruszył z powrotem w dół. - Chodź!

- Dokąd? - Ronnie poszłaby z Tomem wszędzie bez słowa protestu. Tak naprawdę myśl o spotkaniu z dziennikarzami nie wprawiała jej wcale w stan przygnębienia. Jakie to miało znaczenie? Koniec kampanii przyjęłaby przecież z prawdziwą ulgą. Męczyło ją udawanie.

- Do mojego pokoju. A gdzież by indziej? - Głos Toma brzmiał wyjątkowo ponuro. Ronnie

uśmiechnęła się do siebie.

Pokój Toma znajdował się na czwartym piętrze. Zeszli w dół schodami - Tom nie chciał uruchamiać windy, by jej odgłosy nie przyciągnęły przypadkiem czyjejś uwagi - i znaleźli się na korytarzu. Quinlan puścił rękę Ronnie, aby włożyć kartę do zamka, po czym odsunął się o krok, puszczając kobietę przodem. W przeciwieństwie do apartamentu zajmowanego przez Ronnie był to typowy pokój hotelowy z brązowym dywanem, beżowymi ścianami, dwoma niezbyt wygodnymi krzesłami obitymi pomarańczową tkaniną, które stały przy okrągłym stole na wprost okna z zasuniętymi kolorowymi kotarami. W

pokoju znajdował się również kącik wypoczynkowy z telewizorem na honorowym miejscu, umieszczonym na wprost ogromnego łóża. Sądząc z wyglądu łóżka - odrzucona na bok kołdra odsłaniała wymięte białe prześcieradła, a poduszka leżała na podłodze - Tom został zapewne wyrwany z głębokiego snu. Wysoka lampa stojąca obok łóżka była zapalona.

- Musiałeś przeze mnie wstać. - Ronnie odwróciła się twarzą do mężczyzny.

Stała na samym środku pokoju pomiędzy łóżkiem a telewizorem, Quinlan zaś zaledwie kilka kroków za nią. - Bardzo mi przykro.

Włożył ręce do kieszeni spodni, zakołysał się na obcasach i popatrzył jej w oczy.

- Usiądź, a ja się tymczasem zastanowię, jak cię wyciągnąć z tej kabały. -

Skinieniem głowy wskazał jej krzesło.

Ronnie popatrzyła na niego z uśmiechem. Quinlan miał zmierzwiłone włosy, zarost, wyglądał nieporządnie i wydawał się bardzo zmęczony.

Zamiast usiąść, zrobiła krok w jego stronę. Przymrużył ostrzegawczo powieki, wyjął ręce z kieszeni, ale nie ruszył się z miejsca.

- Moglibyśmy po prostu przeczekać - zaproponowała. Stali teraz oddaleni od siebie o wyciągnięcie ręki. - Przecież oni nie zostaną tu na zawsze.

- Nie muszą - odparł krótko. - Na dziewiątą zaplanowano twoje wystąpienie, prawda? - Jeśli do tego czasu nie wyjdiesz z pokoju, ubrana i gotowa do wyjścia, na pewno się domyśla, że cię nie ma.

- Czy to naprawdę taki skandal? Widocznie spałam gdzie indziej. - Ronnie wzruszyła obojętnie ramionami.

- Problem polega na tym, gdzie i z kim - odparł Tom sucho. - Jeśli odkryją, że nie było cię w pokoju, i postanowią zbadać tę historię, o to właśnie będą cię pytać, o nic innego.

- Może napiszą, że sypiam z tobą?

- Biorąc pod uwagę tę komedię w barze, nie wykluczałbym i takiej ewentualności.

- Nie miałabym nic przeciwko temu. - Wyciągnęła rękę i włożyła palec za kołnierzyk koszuli Quinlana. Odpinając guzik, nie spuszczała z niego wzroku. - A ty?
- Bardzo wiele, cholera - powiedział, uwięziwszy jej rękę w żelaznym uścisku, zanim zdążyła narobić więcej szkód. -Szczególnie dlatego, że to byłoby kłamstwo.
- Moglibyśmy jednak uprawdopodobnić tę wersję. - Wolną ręką dotknęła jego policzka, a kciukiem zaczęła pieścić kącik ust.
- Ronnie - powiedział ostrzegawczo. - Przestań.
- Nie chcę - odparła i stając na palcach pocałowała go w usta.

Rozdział 15

Przez chwilę Quinlan stał bez ruchu, a Ronnie wsunęła mu rękę za kołnierz i pieściła ustami jego wargi, obserwując jednocześnie spod półprzymkniętych powiek reakcję mężczyzny. Oczy miał otwarte, utkwione w jej twarzy. Gdy wsunęła mu język w zaciśnięte usta, zeszywniał. Wyczuwając opór w każ-

dym napiętym mięśniu, włożyła palce głębiej za kołnierz koszuli Toma i zaczęła pieścić ciepłą skórę jego szyi. W tym samym momencie wessała dolną wargę mężczyzny i lekko ją przygryzła.

Pociemniał na twarzy i wydał jakiś nieartykułowany dźwięk. Potem przymknął powieki, otworzył usta, puścił wszędobyłską dłoń i wziął Ronnie w ramiona. Przejął kontrolę nad pocałunkiem z zadziwiającą wprawą, przyciągnął ją do siebie i rozgniół ustami jej usta. Całował Ronnie z tak nienasyconym pośpiechem, że drżała z rozkoszy. Zarzuciwszy mu ramiona na szyję, oddawała gorąco pocałunki.

Miał twarde, suche wargi znawcy i mokre, gorące wnętrze ust. Postawny, wspaniale umięśniony, tulił ją w silnych, męskich ramionach. Przesunęła palcami po jego krótkich, jedwabistych włosach.

Gdy uniósł głowę, uśmiechnęła się lekko. Powiódł spojrzeniem po jej twarzy, wpatrując się kolejno w każdy szczegół -a najdłużej w usta... Trzymał ją w żelaznym uścisku, stykali się biodrami i udami, wyczuwała jego twardość na swoim łonie.

Jego twarz płonęła. W oczach błyszczało pożądanie.

Pragnął jej. Nie miała co do tego wątpliwości.

- Tom - szepnęła.

Oczy znów mu pociemniały. Zacisnął szczęki.

- Ronnie - szepnął dokładnie tak samo, jak ona przed chwilą, zupełnie jakby przedrzeźniał ją, czy też siebie samego. W jego głosie pobrzmiwała jednak namiętność oraz - jak się jej wydawało - pewien rodzaj czułości.

Zsunęła mu marynarkę z ramion; Quinlan wahał się przez chwilę i znów przemknęło jej przez myśl, że będzie się opierał. Ale puścił ją jednak wyłącznie po to, by pozbyć się ubrania. Marynarka wylądowała z cichym szelestem na podłodze, a Ronnie zajęła się guzikami Quinlana, po czym wsunęła mu rękę za koszulę i zaczęła gładzić porośnięty włosami tors.

- Ronnie. - Tym razem jego głos brzmiał bardziej szorstko, głębiej, ostrzegawczo. Ale Quinlan nie uczynił niczego, by ją powstrzymać.

Zauważyła, że podoba mu się sposób, w jaki go dotyka.

Miał gorącą, lekko wilgotną od potu skórę, napięte mięśnie. Oczy błyszczały mu niespokojnie, gdy na nią patrzył. Ręce spoczęły na jej biodrach.

Kiedy jego koszula była już prawie odpięta, ręka Ronnie zawędrowała pod klamrę od paska.

Zaczerpnął głęboko powietrza, wyrwał jej rękę zza paska i odsunął daleko od siebie. Oczy mu płonęły. Przez chwilę stał tak nieruchomo, że gdyby nie gorejące spojrzenie, mógłby uchodzić za posąg. A potem uwolnił rękę Ronnie i położył twarde, namiętne usta na jej ustach. Ronnie przywarła do niego mocno, oddając pocałunki. W głowie jej wirowało, czuła dziwną miękkość w kolanach, ciało drżało z podniecenia.

Niespodziewanie wziął ją na ręce. Otworzyła oczy ze zdziwienia, a potem objęła ramionami jego szyję, zaskoczona łatwością, z jaką niósł ją do łóżka.

Quinlan odsunął kołdrę i delikatnie ułożył Ronnie na materacu. Nie zdejmując rąk z szyi mężczyzny, pociągnęła go na siebie. Pochylony nad nią całował jej usta, szyję, ucho. Gdy dotknął wargami dekoltu, wygięła plecy w łuk.

- Boże, jak ty pięknie pachniesz - szepnął i uniósł głowę. Spotkali się oczyma.

Ronnie uśmiechnęła się do niego. Włosy miał potargane, oczy mu lśniły, był

bardzo przystojny, seksowny i męski. Nie przestając patrzeć mu w oczy, ściągnęła przez głowę podkoszulek i rzuciła go na bok. W tej jednej jedynej chwili pragnęła wyłącznie leżeć naga w jego ramionach.

- Jesteś piękna. - Oddychał coraz szybciej, powiódł wzrokiem po jej piersiach. Cienki biustonosz podtrzymywał biust lepiej niż niejedna góra od kostiumu kąpielowego. Miała ładne piersi, pełne, twarde, krągłe, ale niezbyt duże, choć teraz nabrzmiałe, ze stwardniałymi z podniecenia sutkami, widocznymi doskonale przez cienki materiał.

Znów podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Biło od niego gorąco. Miał mocno zaciśnięte szczęki, błyszczały mu oczy. Wstał zupełnie bez ostrzeżenia.

- Tom - zaprotestowała, wyciągając do niego rękę.

- Chyba nie chcesz iść do łóżka w butach - powiedział lekko ochryłym głosem.

Drżąc na całym ciele i wbijając paznokcie w materac leżała bez ruchu, gdy on tymczasem objął jedną z jej szczupłych kostek. Uniósł nogę Ronnie obutą w sandał na wysokim obcasie i oparł ją o własne udo, próbując rozpiąć pasek.

Po krótkiej chwili but spadł na podłogę, a Quinlan pochylił głowę i przycisnął

wargi do nagiej stopy. Ronnie poczuła, jak przez całą jej nogę aż do uda przechodzi gorący prąd. Zadrżała i przymknęła oczy. Następnie Quinlan delikatnie położył jej stopę na materacu i zaczął pieścić drugą. Już całkowicie bosa, Ronnie pomyślała, że za chwilę rozpułynie się z rozkoszy.

Z butami w ręku wrócił do wezglowia łóżka. Twarz mu płonęła, włosy miał

rozczochrane, oczy pociemniałe z pożądania. Na ich dnie czaiło się jakieś uczucie, którego nie potrafiła odczytać - na pewno była to namiętność widoczna również na twarzy mężczyzny, ale dostrzegła tam coś jeszcze.

Coś, czego - płonąć z podniecenia - nie potrafiła właściwie odebrać.

Postawił pantofle przy stoliku nocnym i odwrócił się do Ronnie. Koszulę miał teraz całkowicie rozpiętą, więc widziała napięte mięśnie jego torsu i gęstwinę ciemnych włosów. Zza paska spodni zwiisał skraj koszuli. Ronnie poruszyła się na materacu, zapraszając Toma bez słów, aby się do niej przyłączył. Spotkali się wzrokiem.

- Jesteś cudowna, wspaniała, seksowna i tak bardzo cię pragnę, że słowa

„płonąć z pożądania” nabierają w tym kontekście zupełnie innego znaczenia.

- Rysy twarzy mu stwardniały, głos ochrypl z namiętności, ale pojawił się w nim również ton niepokoju, nie całkiem pasujący do sytuacji.

- Tom, chodź do łóżka. - Ronnie wyciągnęła rękę, aby go do siebie przyciągnąć. W tamtym momencie stan umysłu nie pozwalał jej zupełnie na to, by rozszyfrowywać językowe niuanse.

- Najpierw muszę załatwić pewną sprawę - powiedział, nakrywając ją kołdrą aż po szyję.

- Sprawę! - wykrzyknęła z oburzeniem, po czym usiadła prosto na łóżku, zrzucając z siebie nakrycie, które zaplątało się jej wokół talii.

- Pamiętasz tego dziennikarza? - Napotkał spojrzenie Ronnie, zawahał się, a następnie ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Nie przerywając pocałunku ułożył ją na poduszkach i chwycił za ręce, gdy chciała znów objąć go za szyję.

-Tom!

- Pozbędę się tych sępów i wrócę - powiedział, prostując plecy.

- Nie możesz mnie tak zostawić.

- Nie zajmie mi to więcej niż piętnaście minut - obiecał uspokajająco. - A potem będziemy mieli dla siebie resztę nocy.

Ronnie popatrzyła na niego jednocześnie z urazą i pożądaniem. Do szału doprowadzała ją myśl, że Quinlan mógł myśleć o interesach, podczas gdy ona płonęła z pożądania. Ale on również jej pragnął. Wiedziała, że nie może się mylić.

- Przymknij oczy, pomyśl o czymś przyjemnym, a ja zaraz przyjdę -

powiedział. - Zgoda?

- Piętnaście minut. - Posłała mu wojownicze spojrzenie.

- Nie więcej, przysięgam. - Ucałował kolejno jej dłonie. -Zaraz wracam.

Odwrócił się i odszedł od łóżka, chwytając po drodze marynarkę. W chwilę później Ronnie usłyszała cichy trzask, który świadczył o tym, że Quinlan zniknął. Zerknęła na stojący przy łóżku zegarek. Czwarta dwadzieścia.

Piętnaście minut.

Całe jej ciało pulsowało z pożądania. Odwróciła się na bok i zanurzyła twarz w miękkich poduszkach. Kończyny miała dziwnie ciężkie, w głowie jej wirowało.

Piętnaście minut to niezbyt długo. Każe mu za to zapłacić w najprzyjemniejszy sposób, jaki przyszedł jej do głowy - nie pozwoli mu zasnąć całą noc.

Tymczasem postąpiła zgodnie z jego sugestią i przymknęła oczy.

Obudził ją przenikliwy dźwięk telefonu. Dzwonek świdrował jej mózg, wywołując silny ból głowy. Mrużąc oczy Ronnie przewróciła się na plecy i spojrzała na zacienione zakątki jakiegoś obcego sufitu. Ponieważ terkot nie ustawał, sięgnęła po poduszkę i cisnęła nią w stronę irytującego aparatu, a gdy w nogach łóżka pojawił się Quinlan, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Dzień dobry, śpiąca królowo - powiedział, napotkawszy jej spojrzenie, i podniósł słuchawkę. Ubrany był tylko w szaro czarne spodnie. Koszuli nie włożył.

Wróciła jej pamięć.

- Wspaniale, dziękuję - powiedział do słuchawki i położył ją z powrotem na widełkach.

Ronnie zerknęła na stojący przy łóżku zegarek. Dochodzili siódma pięć.

- Piętnaście minut - warknęła, opierając się o wezłowie łóżka i łypiąc na niego spod oka.

Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Spałaś. - Pochylił się, aby podnieść coś z podłogi. Gdy w nią tym czymś cisnął, zobaczyła, że to jej czarny podkoszulek.

- Ubieraj się! Musimy cię jakoś ulokować w pokoju. Dzwoniła ochrona.

Właśnie zamierzają wyprowadzić z budynku naszych przyjaciół

dziennikarzy.

Ronnie zerknęła na podkoszulek i zdała sobie sprawę z tego, że od pasa w górę jest ubrana wyłącznie w biustonosz. Nie miała zresztą nic przeciwko temu, by Tom ją tak zobaczył, a wręcz życzyła sobie, by nie ograniczał się bynajmniej do oglądania.

Odszedł od łóżka, rozsunął kotary, by wpuścić do pokoju promienie porannego słońca, a następnie ruszył do łazienki.

Ronnie zasłoniła oczy ręką i jęknęła. Światło było tak ostre, jakby składało się z miliona ostrych krawędzi, które poprzez oczy raniły ją w czaszkę. Po chwili największy ból ustał, a Ronnie opuściła rękę, zmrużyła powieki i spróbowała włożyć podkoszulek. Z łazienki dochodził ją odgłos wody spadającej do wanny.

Nie odzyskała ostrości widzenia nawet potem, kiedy wciągnęła podkoszulek i spuściła nogi z łóżka. Głowa pękała jej z bólu; gdy wstała, omal nie straciła równowagi. Czowała się tak, jakby w ustach miała watę.

- Proszę. - Wrócił i przykucnął przed nią. Na wyciągniętej dłoni trzymał aspirynę, w drugiej szklankę z wodą. Nie włożył koszuli, ramiona miał szerokie i bardzo opalone jak na blondyna, twarz starannie wygoloną.

- Czy mógłbyś zasunąć kotary? - Wzięła od niego aspirynę i wodę.

- Boli cię głowa? - W jego głosie brzmiało zarówno rozbawienie, jak i sympatia. Wstał i posłusznie zasłonił okno.

Połknęła tabletki i popiła je jednym haustem wody.

Gdy na niego spojrzała, zapinał właśnie czystą białą koszulę. Otaksował

Ronnie wzrokiem.

Oparła rękę na materacu i wstała. W głowie tak jej jednak wirowało, że omal znowu nie usiadła.

- Spokojnie. - Szybko znalazł się przy niej i podtrzymał.

- Nic mi nie jest. - Odtrąciła jego rękę i bardzo ostrożnie poszła do łazienki.

Skorzystała z toalety, umyła twarz mydłem i lodowato zimną wodą, znalazła płyn miętowy w neseserze Quinlana, przepłukała usta, uczesała włosy.

Spoglądając na swe odbicie w lustrze, pomyślała, że tak się właśnie wygląda po całonocnej balandze. Miała bardzo bladą twarz, cienie pod oczami.

Potargane kosmyki wisiały beładnie wokół twarzy. Czarny podkoszulek był

paskudnie wygnieciony. Na szczęście w saszetce przyklepionej do paska znalazła maleńką szminkę i puderniczkę. Pokryła wargi grubą warstwą pomadki, a potem ścierała ją dopóty, dopóki nie został po niej jedynie subtelny ślad. Pudrowała właśnie nos, gdy Quinlan wszedł do środka.

- Żyjesz? - zapytał.

- Już idę. - Ronnie wrzuciła kosmetyki do saszetki, zapięła ją na suwak i otworzyła drzwi. Czekał na nią, całkowicie ubrany z czerwonym niezawiazanym krawatem wiszącym na szyi. W ręku trzymał sandały Ronnie.

- Trzeba iść. Nie zapominaj, że za pół godziny musisz wygłosić mowę.

- Lepiej mi o tym nie przypominaj. - Podeszła do niego i wyjęła mu z ręki sandały. W tej samej chwili przypomniała sobie okoliczności, w jakich się ich pozbyła, i popatrzyła Quinlanowi prosto w twarz. On również pamiętał, co zaszło - poznała to po błysku w jego oczach.

-Tom...

- Później. Teraz pójdziemy do twojego pokoju, przygotować cię do pracy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Zaraz potem chwycił ją za rękę, wyciągnął do holu i ruszył szybkim krokiem w stronę schodów. W głowie jej pulsowało, musiała prawie biec, by za nim nadążyć. Wolną ręką ścisnęła sandały.

Mimo bólu głowy, suchości w ustach, skurczów żołądka i miękkości w kolanach, Ronnie zrozumiała, że nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa. A gdy utkwiała spojrzenie w plecach mężczyzny, który ciągnął ją właśnie bezlitośnie po schodach, zrozumiała dokładnie przyczynę swego stanu.

Przyczyna miała na imię Tom.

Rozdział 16

-Widzę, że odtransportowałeś ją do hotelu zdrową i całą -mruknął Kenny, stojący obok Toma na tyłach sali balowej Banning Creek Country Club. Obaj opierali się plecami o chłodną cementową ścianę i patrzyli na Ronnie witającą się gośćmi. Salę balową dostosowano do potrzeb pań pracujących na uniwersytecie, ustawiając w niej stoły nakryte białymi obrusami i długie niebieskie podium. Karty wstępu wyprzedano, Ronnie powitano gorącym aplauzem. Tom przypisywał tę zasługę

wyłącznie sobie. Jego wysiłki zaczęły wreszcie przynosić efekty.

- To nie była ona.

Kobieta, która hulala całą noc, nie ma prawa tak wyglądać - pomyślał, gdy Ronnie zaczęła mówić.

- Co takiego? - spytał trochę za głośno Kenny, patrząc na Toma ze zdziwieniem.

- Powiedziałem, że to nie ona. I nie mów tak głośno. Nawet jeśli zachował się niegrzecznie, nie żałował. Obrona

reputacji tej kobiety stała się jego życiowym powołaniem. Wiedział, jak przebiega proces myślowy Kenny'ego. Do diabła, on również wyciągał

podobne wnioski. Pijana mężatka tańcząca z obcymi facetami jest dziwką. A już szczególnie piękna rudowłosa dziewczyna z ciałem modelki. Tom nie chciał, by ktokolwiek - choćby nawet Ken - myślał w ten sposób o Ronnie.

Niezależnie od tego, czy zasługiwała na taką opinię, czy nie.

- Ale... - Kenny wybałuszył na niego oczy.

- Wyciągnąłeś mnie z łóżka o drugiej w nocy i kazałeś szukać wiatru w polu.

Sprawdzenie każdej rudowłosej w barze zajęło mi prawie godzinę, a potem zamartwiałem się na śmierć aż do siódmej, kiedy to zapukałem do jej pokoju.

Ona otworzyła, Kenny. Wyłączyła po prostu dzwonek. Spała grzecznie przez całą noc jak dziecko.

- Rany koguta! Nie wiem, co mam powiedzieć - jęknął przeproszająco Goodman. - Sądziłem, że mam prawdziwe informacje.

- Ale się pomyliłeś.

- Bardzo mi przykro.

Tom mruknął tylko coś w odpowiedzi.

Ronnie przemawiała już przez dłuższą chwilę, ściskając mównicę obiema rękami, choć Tom powtarzał jej co najmniej kilkanaście razy, by tego nie robiła, i ćwiczył z nią sposób gestykulacji ożywiający wypowiedane słowa.

Udało mu się jednak jedynie zmienić treść jej wystąpień, sposób mówienia poprawił się zaledwie w nieznacznym stopniu. Ronnie przybierała równie kamienną minę jak indiański wódz, ale te niedoskonałości wywoływały w Tomie jedynie przyływ współczucia. Dzięki swym brakom ta kobieta stawiała się całkiem

bezbronna.

Nadal odczuwał niemiłe podniecenie po ubiegłym wieczorze. Nie dał jej tego, o co go błagała, choć powinien był to zrobić. Niewiele zresztą brakowało - kiedy już wziął się w garść i uciekł na hotelowy korytarz, omal nie zmienił zdania i nie wrócił. Ale pójście do łóżka z panią Lewisową Honneker na pewno nie należało do najlepszych pomysłów. Gdyby dowiedział się o tym Jego Ekscelencja - gdyby dowiedział się o tym ktokolwiek - Quinlan musiałby za to słono zapłacić. I za nią, i za siebie.

Czas spędzony w korytarzu wykorzystał na to, by rozjaśnić myśli i ułożyć plan pozbycia się dziennikarza i fotografa, koczujących przed jej pokojem. W

końcu uciekł się do sposobu najprostszego pod słońcem: zatelefonował do ochrony hotelowej i kazał wyprowadzić intruzów. Oczywiście nie o czwartej rano, bo w jaki sposób pani Honneker lub ktokolwiek z jej eskorty mógłby odkryć ich obecność o takiej porze bez wychodzenia z pokoju? Nie. Quinlan czekał do siódmej i udawał, że dopiero co wypatrzył ich w korytarzu. Jeden telefon i gotowe.

Nic prostszego.

Trudniejszy okazał się powrót do pokoju hotelowego po -jak mu się wydawało - odpowiedniej przerwie. Czego się zupełnie nie spodziewał, Ronnie umarła dla świata - leżała wyciągnięta na łóżku, z głową wtuloną w poduszkę.

I choć nie chciała się do tego przyznać, naprawdę za dużo wypła.

Spała na brzuchu, całkowicie odkryta. Biorąc pod uwagę to, co miała na sobie, wydawała się prawie naga. Jediną zasłoniętą częścią jej ciała było siedzenie, ale dzinsowe szorty nie pozostawiały zbyt wielkiego pola dla wyobraźni. Patrząc na jej szczupłe ciało o jasnej karnacji, Tom znów odczuł

falę pożądania, choć wcześniej zaczęło mu się wydawać, że całkowicie nad sobą panuje.

Ale w końcu zachował się jak dżentelmen i spał na podłodze. Rano wystarczyło mu czasu jedynie na to, by odprowadzić Ronnie do pokoju, wepchnąć ją pod prysznic i sprawdzić, czy jest odpowiednio ubrana, napojona kawą, przygotowana do odpowiedzi na trudne pytania i w ogóle do samodzielnego funkcjonowania. Wyszedł dopiero wtedy, gdy się upewnił, że wszystko gra.

Świadomie nie zostawił ani chwili na powtórkę tego, co zaszło między nimi poprzedniego wieczoru, choć czuł, że jedynie opóźnia to, co nieuniknione. Z

jej maślanych oczu wyczytał wyraźnie, że ta dama nie przejdzie nad sprawą do porządku dziennego. Przedtem jednak sądził, że bez alkoholu i w jasnym świetle dnia ukazującym wszystko w innej perspektywie, pani Honneker zacznie symulować nagły atak amnezji. Nic z tych rzeczy. Ronnie najwyraźniej zamierzała kontynuować w miejscu, w którym przerwali, a on jako ten mądry i rozważny musiał sprawić jej zawód. Bo choć bardzo pragnął

mieć tę kobietę w łóżku, rozpoczęcie ognistego romansu z Ronnie Honneker okazałoby się zapewne

jedną z najgłupszych rzeczy, na jakie by się zdecydował. Przypominałoby to do złudzenia sytuację, w której człowiek trzyma w dłoni dynamit z odpalonym lontem i dziwi się potem bardzo, dlaczego urwało mu rękę.

Przechodziła właśnie do fragmentu przemówienia, w którym mówiła o tym, że dzieci z Missisipi są przyszłością stanu, kiedy spotkali się wzrokiem. To płonące spojrzenie ponad głowami zebranych wystarczyło, by krew zagotowała mu się w żyłach. I choć rozum podpowiadał co innego, ciało pragnęło się z nią kochać tak bardzo, że ta potrzeba sprawiała mu niemal fizyczny ból.

Odwrócił wzrok.

- Z kim wczoraj byłeś? - spytał Kenny'ego ochryłym głosem, aby choć na chwilę zapomnieć o Ronnie.

Kenny rzucił mu szybkie, pełne skruchy spojrzenie, poczerwieniał i wzruszył ramionami.

- Pomyślałeś chociaż raz o Ann? - Pulchna, uśmiechnięta, dobrodusznna Ann stanowiła według Toma uosobienie żony i matki.

- To tylko taki skok na jedną noc. I nikomu nie zaszkodzi, bo Ann się o tym nie dowie.

- Świetne rozumowanie - odparł sardonicznie Tom.

- Niczego nie planowałem. Ona zaczęła się do mnie dobierać i... stało się.

Tom pomyślał o swoich własnych doświadczeniach z ubiegłego wieczoru i złość na partnera natychmiast mu minęła. On nie był żonaty i miał na tyle rozumu w głowie, żeby przywołać się do porządku przed pójściem do łóżka z mężatką.

Oczywiście wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej.

Ronnie zakończyła przemówienie, a Tom bił brawo razem z innymi.

Następnie przyszła kolej na pytania i odpowiedzi. Quinlan trochę się denerwował, ale Ronnie radziła sobie znakomicie. Kiedy wścibska, natrętna kobieta spytała ją, co sądzi o romansie męża z prostytutką, Tom tak się zdenerwował, że o mało nie wyskoczył ze skóry.

- Zupełnie mi się to nie podobało - powiedziała wolno Ronnie. Miała na sobie skromną letnią garsonkę z żółtego jedwabiu, ze spódnicą sięgającą kolan.

Tom osobiście wyciągnął rano tę kreację z szafy wraz z eleganckimi pantofelkami na średnim słupku, przeciwieństwo seksownych sandałów, które zdjął jej z nóg poprzedniego wieczoru. -I nadal mi się nie podoba. Ale na tym świecie nie ma rzeczy doskonałych. Nasze małżeństwo na pewno do takich nie należy. Oboje jednak pragniemy, aby jakoś funkcjonowało, i chcemy uczynić wszystko, by je ocalić. Na to, co się stało, patrzę jak na rodzaj wyzwania, które tylko umocni nasz związek.

Brawo! Tom był zachwycony. Senatorowa zapamiętała każde słowo, każde zdanie, które wbijał jej do głowy dzień po dniu, i naprawdę zrobiła z nich użytek. Gdy zebrani nagradzali burzliwymi oklaskami jej odpowiedź, Ronnie patrzyła na To-ma ponad ich głowami. Quinlan uniósł tylko dwa kciuki w gó-

re i uśmiechnął się z aprobatą.

Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że czuje się jak doktor Frankenstein, obserwujący pierwsze podrygi stworzonego przez siebie potwora.

A potem były wywiady, które przebiegły nadzwyczaj gładko, i szybki lunch zjedzony w drodze na lotnisko. Kiedy połykali hamburgery w samochodzie, Ronnie śmiała się niemal bez przerwy z żartów Kenny'ego i Thei, bo Quinlan prawie cały czas milczał. Siedziała jednak blisko - ani go nie dotykała, ani się do niego nie odzywała, ale nawet gdyby była kilkuset-kilogramową gorylicą, to i tak Tom nie mógłby lepiej zdawać sobie sprawy z jej obecności. Mimo że patrzył uważnie na drogę, widział dokładnie kątem oka, jak Ronnie zakłada nogę na nogę, poprawia się zmysłowo na siedzeniu i rzuca mu szybkie porozumiewawcze spojrzenia.

Włączył klimatyzację na pełny regulator, a jednak czuł się tak, jakby płonął.

- Hej stary, co tak ucichłeś? - spytał Kenny, dając mu żartobliwego kuksańca.

Zajechali właśnie na lotnisko.

- Może dlatego, że nie spałem całą noc - warknął, zanim zdążył ugryźć się w język. Gdy jednak Ronnie popatrzyła na niego rozszerzonymi oczyma, natychmiast posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. - Kenny kazał mi w nocy szukać wiatru w polu. Innymi słowy, myślał, że coś zgubił, ale się pomylił.

To coś ani na chwilę nie ruszyło się z miejsca.

- Hej, Ronnie, Kenny myślał, że tańczysz w jakimś zakazanym barze -

powiedziała Thea ze śmiechem. - Posłał za tobą Toma.

- Kenny się mylił - odparł spokojnie Tom, gdy tymczasem Ronnie zachichotała radośnie, jakby absurdalność tego pomysłu ubawiła ją do rozpuku. Quinlan zdał sobie ze zdumieniem sprawę z tego, że to właśnie Thea towarzyszyła Kenowi wtedy w nocy. No bo skąd mogłaby wiedzieć, co się dzieje? Zabawne było jedynie to, że już od dwóch tygodni leciała na Toma jak szafa na trzech nogach. Najwyraźniej nie należała do kobiet przywiązujących nadmierną wagę do tego, kogo obdarzają swoimi łaskami.

Podróż samolotem okazała się niewiele wygodniejsza od jazdy samochodem.

Lecieli małym samolotem, wycarterowanym na użytek kampanii, toteż hałas silników wykluczał jakąkolwiek rozmowę. Jednak w akcji samoobrony Tom oparł głowę o siedzenie i udawał, że śpi. Ale Ronnie siedziała tak blisko, że ilekroć się poruszył, dotykała jego ramienia, a gdy zakładała nogę na nogę, do uszu Toma docierał jedwabisty szelest rajstop ciasno opinających nogi. Co gorsza,

Quinlan czuł zapach jej perfum.

Tych samych przeklętych perfum.

Kiedy samolot lądował, Tom był już tak podniecony, że ledwo podniósł się z fotela.

Chodzenie też sprawiało mu trudność.

Dziwnym trafem limuzyna, która miała czekać na Ronnie na lotnisku, w ogóle się na nim nie pojawiła. Pozostała trójka zostawiła samochody na lotnisku, więc mogła bez przeszkód wrócić do domu.

- Podwiozę cię - zaproponowała Thea, gdy stało się jasne, że auto Ronnie nie przyjedzie. Tom nie wypuszczał ani na chwilę z ręki telefonu komórkowego, nakazując firmie wypożyczającej limuzyny, by natychmiast sprowadziła mu wóz, ale bulwersował go fakt, że on sam dźwiga bagaż Ronnie i swój własny z teczką włącznie, a Kenny niesie walizkę Thei. Tom pomyślał, że gdyby ktoś to zauważył, wyciągnąłby z pewnością z takiego podziału pracy interesujące wnioski na temat relacji międzyludzkich w tym towarzystwie.

Łudził się jednak, że nikt niczego nie dostrzegł.

- Dziękuję, Theo, ale Tom może mnie zabrać do domu. I tak zamierzałam z nim porozmawiać. - Ronnie uśmiechnęła się promiennie. Mówiła to takim tonem, jakby chęć rozmowy z Tomem była czymś najbardziej naturalnym na świecie, co zapewne nie odbiegałoby wcale daleko od prawdy, gdyby nie przypuszczalny temat owej rozmowy.

- Jasne - odparł, bo nie mógł odmówić, nie ściągając na siebie uwagi. Poza tym czasem trzeba rozmawiać. Tylko tchórz odwlekałby to w nieskończoność.

Ciemne chmury zbierające się na zachodzie doskonale wyrażały jego nastrój.

Ronnie szła obok niego w stronę auta, milcząca, ale najwyraźniej zadowolona. Nieomylnie odczytywał jej nastroje. Gorące, wilgotne powietrze zapowiadało burzę.

Nawet rękaw do wskazywania kierunku wiatru był skierowany na dół.

Kiedy Thea wsiadła do stojącego w pobliżu samochodu, Ronnie pomachała jej ręką na pożegnanie, a Kenny skierował się w prawo. Tom ustawił walizki na chodniku za autem, otworzył bagażnik i drzwiczki od strony pasażera, a następnie włożył kluczyk do stacyjki i włączył klimatyzację.

Kiedy skończył upychać bagaż w kufrze, Ronnie czekała już w aucie.

Zdążyła nawet zamknąć drzwi.

Czując się jak człowiek idący na szafot, obszedł dookoła auto i wsiadł do samochodu.

Rozdział 17

-Zatelefonowałam do tej firmy z hotelu w Tupelo i odwołałam limuzynę -

powiedziała Ronnie, gdy Tom włączył się wreszcie w długi strumień aut wyjeżdżających z lotniska. -
Więc nie rób im awantur.

Mimo lekkiego kaca i niewyspania, kipiała energią. Przestała być żoną senatora.

Wybuchnęła, wyrwała się na wolność i odzyskała własną tożsamość. No i -

zupełnie nieprzypadkowo - nawiązała romans z Tomem.

Tom zerknął na nią z ukosa. Zauważyła, że zmarszczki wokół jego oczu i ust są wyraźniejsze niż zwykle, a rysy wyostrome. Uśmiechając się do siebie w duchu, przypisała jego ponury wygląd niewyspaniu.

- Naprawdę? - To krótkie pytanie bynajmniej nie brzmiało zachęcająco.

Ronnie zmarszczyła brwi. Ciemne chmury, które zebrały się na zachodzie, zakryły teraz całe niebo. Na przednią szybę auta spadło kilka kropli deszczu.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby mnie odwieźć do domu. -

Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Znała odpowiedź. Ta szczególna intymność, jaka łączyła ich właściwie już od pierwszego dnia, nadal się umacniała i stawała coraz silniejsza. Quinlan był jej sprzymierzeńcem, przyjacielem, zausznikiem i prawie kochankiem. Czuła, że potrafi czytać mu w myślach.

Tom znowu na nią spojrzał, a potem pokręcił głową na znak, że rzeczywiście nie ma nic przeciwko temu, aby ją odwieźć. Na szybę spadało coraz więcej kropli. Quinlan włączył wycieraczki. Ich rytmiczny szum działał na niego kojąco. Klimatyzacja pracowała teraz na pełnych obrotach i w aucie zrobiło się naprawdę chłodno.

- Skłamałaś, że nigdzie nie wychodziłam. Postąpiłeś jak prawdziwy dżentelmen. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Co się dzieje? Czyżby doszła do głosu spokojna strona twego charakteru? -

spytała poirytowanym tonem, po kolejnych kilku minutach milczenia. - Przez cały dzień nie wyrzekłeś nawet dwóch pełnych zdań.

- Ronnie... - zaczął i urwał. Światło zmieniło się na czerwone, zmuszając go do gwałtownego hamowania. Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu - stał

teraz jako trzeci w kolejce do skrętu w prawo na Brandon Road. Deszcz rozpadał się na dobre - ogromne krople uderzały w rozpalony chodnik, znad którego zaczęła unosić się para.

- Nawet mi się to podoba. Silni, milczący mężczyźni są bardzo seksowni.

Zresztą uważam, że ty zawsze jesteś seksowny - powiedziała żartobliwie, a Quinlan posłał jej kolejne zagadkowe spojrzenie. Korzystając z okazji odpięła pas przytrzymujący ją w talii, wysunęła się z pasa biegnącego po przekątnej i pochyliła do Quinlana. Chwytnąjąc jedną ręką jego ramię, drugą objęła go za szyję i - pochylając lekko głowę - pocałowała w usta. Mężczyzna zamarł na chwilę w bezruchu, a potem oddał jej pocałunek. Podtrzymując delikatnie kark Ronnie, całował ją namiętnie, twardo, badając językiem wnętrze ust.

Usłyszeli za sobą niecierpliwy dźwięk klaksonu. Quinlan ścisnął mocno Ronnie w talii i posadził ją stanowczo z powrotem na miejscu pasażera.

Samochód znów włączył się w sznur innych aut. Podczas pocałunku blokowali ruch.

- Powinieneś był mnie obudzić - powiedziała z lekkim uśmiechem, gdy zapięła ponownie pas.

- Niech to diabli, Ronnie. - Urwał i posłał jej jedno ze swoich tajemniczych spojrzeń. - Celowo cię nie budziłem.

Ronnie zmarszczyła brwi.

- Pewnie myślisz, że wczoraj wieczorem zrobiliśmy wstęp do jakiegoś romansu czy czegoś w tym rodzaju. Ale się mylisz. To była tylko część mojej pracy.

- Co takiego? - spytała Ronnie po chwili, rozdarta między urazą i rozbawieniem wywołanymi tymi absurdalnymi słowami. - Chcesz mi wmówić, że całowałeś mnie, rozbierałeś i zaniósłeś do łóżka w ramach obowiązków służbowych?

- To ty mnie całowałaś, sama zdjęłaś bluzkę, a zaniósłem cię do łóżka, bo uznałem to za najlepszy sposób, żeby cię tam ułożyć... do snu. Zrobiłem, co musiałem, aby cię wyciągnąć z tego baru i zabrać do hotelu, tak żebyś mogła w jakim takim stanie wygłosić rano to przemówienie.

Coś w wyrazie jego twarzy świadczyło o tym, że to nie jest jakiś niewczesny żart. Tom mówił poważnie. Deszcz lał się teraz strumieniami, wyglądał jak niekończąca się srebrna kurtyna. Próbując się uporać z tym nagłym potopem, kierowcy zwolnili tempo jazdy.

- Nie wierzę! Zacisnął szczęki.

- Ale to prawda.

- W porządku, może naprawdę pocałowałam cię pierwsza, kiedy tańczyliśmy, ale potem kleiłeś się do mnie jak guma do żucia. Podobnie jak teraz mnie pocałowałeś. Nie mów, że udawałeś. Nie wierzę. Wiem lepiej.

Posłał jej surowe, ponure spojrzenie.

- Jesteś piękną kobietą. Z pewnością budzisz we mnie pożądanie, a już szczególnie wtedy, kiedy się

do mnie dobierasz, tak jak wczoraj. Jestem tylko człowiekiem. Ale nigdy nie zamierzałem uprawiać z tobą seksu. Wynajęto mnie, abym się tobą opiekował, i to właśnie zrobiłem.

Ronnie czuła, że twarz jej płonie. W środku aż gotowała się ze złości, ogarnęła ją oślepiająca, dzika furia.

- Ty debil! - wrzasnęła, wzięła szeroki zamach i uderzyła go z całej siły w twarz.

Pisnęły hamulce, samochód zboczył z drogi i przez chwilę koła nie mogły złapać przyczepności. Quinlan opanował w końcu auto i zjechał na pobocze.

Twarz miał równie białą, jak Ronnie szkarłatną. Gdy odwrócił się do niej, oczy pałały mu gniewem, usta wyglądały jak wąska kreska. Czerwieniejący ślad jej dłoni rozciągał się aż do nasady nosa.

Dwoma szybkimi ruchami oswobodził się z pasa, chwycił Ronnie za ramiona, oparł ją o drzwi i groźnie się nad nią pochylił.

- Wiesz, kiedy naprawdę byłbym debilem? - spytał przez zęby, kiedy podniosła na niego wzrok. - Otóż byłbym ostatnim debilem, gdybym poszedł

do łóżka z kobietą, która zaczęła się do mnie dobierać tylko dlatego, że się upiła. Byłbym ostatnim idiotą, gdybym poszedł do łóżka z moją klientką, z której rodziną utrzymywałem niegdyś przyjacielskie stosunki. Byłbym debilem, gdybym się wplątał w romans z mężatką. Ale nie zrobiłem tego. I nie zamierzam, nawet gdybym jej pragnął jak cholera. A wiesz dlaczego? Bo to nie jest warte tych wszystkich kłopotów, jakie by z tego wynikły.

Puścił Ronnie, wrócił na miejsce, poprawił pas i uruchomił samochód. Gdy wyjeżdżał na zalaną deszczem autostradę, twarz miał jak wykutą z granitu.

Drgał mu jedynie mięsień w kąciku ust.

Trzęsąc się ze złości, Ronnie opadła z powrotem na siedzenie, rzucając mu jadownicze spojrzenia i pocierając ramię w miejscu, w którym je trzymał. Tak naprawdę Quinlan nic jej nie zrobił, ale udawała ból, by wzbudzić w nim wyrzuty sumienia, choć ten nieczuły typ najwyraźniej nie poczuwał się do winy. Wystarczyło na niego popatrzeć, aby się o tym przekonać.

Jechali w milczeniu może piętnaście minut, pokonując korki utworzone przez auta walczące z pogodą. Dochodziła dopiero szósta, ale z powodu deszczu panowały ciemności.

- Chyba nie muszę tego mówić, ale ja mam takie zamiary - powiedziała Ronnie, kiedy wreszcie udało się jej zapanować nad głosem. - Jesteś zwolniony.

Zaśmiał się krótko i niezbyt wesoło.

- Nie możesz mnie zwolnić, już zapomniałaś?

- Obiecałeś, że zrezygnujesz z pracy, jeśli będę sobie tego życzyła, a ja o niczym innym nie marzę.

- Kłamałem.

Ronnie wciągnęła spazmatycznie powietrze.

- Robisz to po mistrzowsku, prawda? Chodzi mi o kłamstwa.

Jego twarz znów nabrała koloru; ślad po uderzeniu stał się mniej widoczny.

Quinlan najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą, podczas gdy Ronnie nadal płonęła z wściekłości, choć robiła wszystko, by zachować kamienną twarz. Gdyby okazała mu siłę swego gniewu, zdradziłaby tym samym, jak mocno ją zranił, a na to nie mogła sobie pozwolić.

- O drugiej masz wywiad z „Ladies' Home Journal” - powiedział spokojnie. -

Przyjadę koło pierwszej i wszystko z tobą powtórzę. Bardzo bym się cieszył, gdyby zrobili ci jutro zdjęcie, na którym idziesz do kościoła. Oczywiście z mężem.

- Nie będę już z tobą pracować.

Popatrzył na nią z ukosa. Gdyby nie lekko zaciśnięte usta i ostre spojrzenie, wyglądałby prawie normalnie.

- Będiesz. Będiesz, bo wykonuję dla ciebie świetną robotę, niezależnie od tego, czy chcesz mi to przyznać, czy nie. Dzięki mnie pan senator - mimo swego drobnego błędu - zaczyna odzyskiwać stracone punkty, a twoja popularność rośnie. Jestem także jednym z nielicznych ludzi, jakich znasz, którzy stoją po twojej stronie, a nie po stronie twojego męża. Na twoim miejscu na pewno bym o tym wszystkim pamiętał.

- Idź do diabła - powiedziała.

Wjeżdżali na teren Sedgely. Samochód piał się w górę długiego podjazdu wysadzanego dębami. Drzewa o szarych konarach wyglądały tak, jakby płakały. Biały portyk w stylu klasycystycznym był ledwo widoczny w strugach padającego deszczu. Na widok kilku postaci stojących na ganku Ronnie lekko zmarszczyła czoło.

Tom przechylił się nieco w jej stronę, aby poprawić lusterko po stronie pasażera.

- Szminka ci się rozmazała - powiedział, przesuwając dłonią po własnych wargach.

Ronnie bez słowa zrobiła wszystko, co mogła, by poprawić wygląd i ustawiła lusterko z powrotem na miejscu. Samochód okrążył podjazd i zatrzymał się dokładnie na wprost wejścia.

- Siedź spokojnie. Mam z tyłu parasol - powiedział Tom, wyłączając zapłon.

Ronnie zignorowała go, wyskoczyła z samochodu i wbiegła na schodki, nie zważając na padający deszcz. Trzaśnięcie drzwi i odgłos kroków na mokrym chodniku powiedziały jej wyraźnie, że Quinlan pędzi tuż za nią.

- Ronnie, kochanie, jeszcze zdążysz się pożegnać z Frankiem Keithem. Boże w niebiosach, jesteś cała mokra! Frank, pamiętasz moją żonę?

Ledwo stanęła na ganku, a już znalazła się w niedźwiedzim uścisku Franka.

Kątem oka dostrzegła teściową, stojącą tam również w towarzystwie Marsdena i żony Franka Keitha. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem wymamrotała kilka grzecznościowych formułek, wymieniając uściski dłoni z wice-gubernatorem i jego żoną. Przez cały czas czuła za sobą obecność Toma.

- Cześć, stary, jak leci? - Gdy Marsden mijał Ronnie, by przywitać się z Tomem, na jego kwadratowej twarzy zagościł uśmiech. Był postawnym mężczyzną wyglądającym jak nieco mniejsza, gorsza kopia ojca. Nie mógł

się poszczycić ani jego aparycją, ani udawanym wdziękiem. - Moja przybrana mamuska dała ci pewnie nieźle w kość.

Zanim Tom zdołał odpowiedzieć, Dorothy wzięła go czule w ramiona. W

wieku osiemdziesięciu jeden lat matka Lewisa miała wspaniałą szczupłą sylwetkę, włosy ufarbowane na popielaty odcień i wyglądała zadziwiająco młodo; gęsta siatka zmarszczek pokrywająca jej twarz stawała się widoczna dopiero z bliższej odległości.

- Jak się masz, Tom? Nie widziałam cię od wieków! Zostaniesz na kolacji?

- Dziękuję bardzo, ale dziś wieczorem naprawdę nie mogę

- powiedział Tom, uśmiechając się do Dorothy. Tymczasem Lewis wskazał mu dyskretnie wicegubernatora.

- Frank, to jest Tom Quinlan, ten o którym ci opowiadałem. Tom przyjaźnił się z Marsdenem i dba o moje wyniki w sondażach.

- Wybaczcie, muszę się uwolnić od tych mokrych ciuchów

- mruknęła Ronnie do zebranych, z których właściwie nikt nie zwracał na nią uwagi. Lewis posłusznie rozluźnił uścisk.

Rozmowa zesłała na tory polityczne, a tymczasem Ronnie przemknęła się przez ganek i weszła do domu.

Rozdział 18

Poniedziałek, 4 sierpnia, godzina 9.30, Biloxi Ani na chwilę nie opuszczał jej strach. Mimo radosnych dźwięków telewizyjnych kreskówek wypełniających obskurny pokój, czuła się równie zalekniona jak mysz przebywająca w pokoju pełnym kotów, gdzie wróg czai się gdzieś poza

zasięgiem wzroku i tylko czeka na okazję do ataku.

Poprzedniego dnia wieczorem w jednym z wydań wiadomości zamieszczono krótki reportaż na temat Susan zatytułowany: „Życie i śmierć córki kaznodziei”. Na tle Mississippi Sound młoda dziennikarka Crystal Meadows opowiadała o „błędach życiowych” Susan, narkotykach, usunięciu z college’u i jej „upadku” moralnym, czyli prostytutce. W rozdzierających scenach ukazała ból, rozpacz i bezsilność rodziny swojej bohaterki (co - jak wynikało z rozmów Marli z Susan -zupełnie nie mogło być prawdą). Kaznodzieja posunął się nawet do tego, by uronić łzę przed kamerą.

Crystal Meadows mówiła również o śmierci Susan. Wyniki autopsji świadczyły wyraźnie o tym, że dziewczyna została uduszona, a przedtem pobita. Jej ojciec Charlie Kay Martin przemawiał wprost do mikrofonu, przysięgając, że poruszy niebo i ziemię, aby na osobę lub osoby odpowiedzialne za śmierć córki spadł karzący miecz sprawiedliwości.

Dziennikarka zakończyła reportaż słowami: „Wszystkie oczy zwrócone są obecnie na wydział kryminalny policji z Biloxi”

Marla odnosiła jednak wrażenie, że te oczy patrzą również na nią.

- Chcesz trochę cheerios, mamó? - Lissy, leżąca na brzuchu z głową w nogach łóżka, podsunęła Marli pudełko.

Mała wpychała sobie do buzi suche chrupki. Otwarta puszka z colą stała na podłodze obok łóżka.

Nie było to najbardziej pożywne śniadanie, ale jednak śniadanie - myślała Marla, biorąc od Lissy kartonowy pojemnik.

- Dziękuję, kochanie.

Kończyły im się pieniądze. Oszczędności nie wystarczyły na długo.

Wynajęcie pokoju w pensjonacie kosztowało majątek, podobnie zresztą jak barowe posiłki dla chudej siedmiolatki, która była zawsze głodna, a ponadto uwielbiała niespodzianki z zestawów dla dzieci. Nie mogły tak żyć wiecznie, ale Marla nie miała na razie innego pomysłu. Instynkt krzyczał, że muszą się ukryć.

Claire zniknęła, a w każdym razie Marli nie udało się z nią skontaktować.

Telefonowała wielokrotnie do mieszkania przyjaciółki i zostawiała jej wiadomości do chwili, gdy wreszcie skończyła się taśma. Któregoś wieczoru złożyła jej nieoczekiwaną wizytę i waliła do drzwi, dopóki sąsiad nie wychylił głowy zza drzwi i nie sprawdził, co się dzieje. Administrator budynku nie wiedział nic o Claire i zupełnie się nią nie interesował, bo czynsz zapłaciła do piętnastego.

Po dwóch latach działalności ni stąd, ni zowąd zamknięto agencję Piękne Modelki. Telefony w ich biurze wyłączono, z pomieszczeń wywieziono meble. Marla widziała to na własne oczy, gdyż tam również szukała Claire.

Nie miała natomiast pojęcia, co się stało z Billie, Joy i Rickiem, który prowadził cały interes.

Wszyscy po prostu zniknęli.

Na samą myśl o całej tej sprawie Marla dostawała gęsiej skórki.

Od chwili ucieczki z mieszkania splądrowanego przez intruza Marla wróciła tam jedynie na chwilę - na krótkie, nerwowe piętnaście minut, aby w całym tym bałaganie odnaleźć ubranie dla siebie i Lissy i wrzucić je do torby.

Instynkt podpowiadał jej wyraźnie, że musi uciekać.

Susan nie żyła. Claire znikła. Znikła również agencja Piękne Modelki, Billie, Joy i Rick. Z tego co wiedziała Marla, wszystkie te osoby łączył jedynie czwartkowy wieczór spędzony na jachcie.

Sama Marla również miała pewien związek z tą sprawą. Odwiozła Susan i Claire do portu. Wiedziała, że Susan wybrała się na przejażdżkę jachtem

„Sun i coś tam”, ale nigdy już nie wróciła.

Ilekczoć sobie o tym przypominała, czuła takie ściskanie w gardle, że ledwo mogła oddychać.

Mężczyzna, który przeszukał mieszkanie, użył klucza Susan, aby wejść do środka. Zauważyła wtedy w jego dłoni przezroczysty breloczek ze zdjęciem Susan w bikini po jednej stronie oraz fotką Marli i Susan szczerzących zęby do obiektywu po drugiej. Marla rozpoznała bez żadnych wątpliwości swoją własną twarz.

Skoro mężczyzna miał klucz Susan, nie trzeba było geniuszu, by dojść do wniosku, że to on ją zamordował lub też przynajmniej odegrał jakąś rolę w tym zabójstwie. A Marla go widziała. Potrafiłaby go nawet zidentyfikować -

ta twarz wryła się na zawsze w jej pamięć.

Nigdy w życiu tak bardzo się niczego nie bała.

Ale on o tym nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Nie miał pojęcia, że Marla jest w mieszkaniu. Bo gdyby wiedział, na pewno by ją zabił.

Zapewne nie zdawał sobie w ogóle sprawy z jej istnienia. Zupełnie się nią nie interesował. Dlaczego zresztą miałby się nią interesować?

Marla zadrzała, podeszła do okna i odsunęła dyskretnie firankę. Po wczorajszym deszczu zrobiło się gorąco i wilgotno. W wąskie uliczki wdzierały się powoli promienie słońca. Zatrzymały się w ubogiej, zniszczonej dzielnicy Biloxi. Ulicą jechał jedynie stary chevrolet z wgniecionymi tylnymi drzwiami i zardzewiałym kufrem. Jednopokojowy apartament Marli znajdował się na drugim piętrze. Z najbardziej wysuniętego punktu widziała dokładnie łysą czaszkę mężczyzny przechodzącego przez ulicę tuż pod jej oknem. Słońce odbijało się w jego łysinie.

Mężczyzna podniósł wzrok, zupełnie jakby poczuł fta sobie czyjeś spojrzenie. Marla wytrzeszczyła oczy i odsunęła się z przerażeniem od okna.

To był mężczyzna, który splądrował mieszkanie, ten z kluczem Susan.

Tym razem przyszedł po nią.

Rozdział 19

Poniedziałek, 4 sierpnia, godzina 13.00, Jackson Ronnie leżała na brzuchu na łóżku plażowym obok basenu, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych. Była sama, nie licząc basenowego, Johna jakmu tam, który już od niepamiętnych czasów przychodził raz w tygodniu w lecie posprzątać i obsłużyć basen. Cichy szelest sieci oczyszczającej wodę nie mógł zagłuszyć kroków na wyżwirowanej ścieżce prowadzącej w stronę domu.

Znieruchomiała, zaczerpnęła powietrza i uśmiechnęła się do siebie. Tom przyszedł o czasie, tak jak się tego spodziewała. Bardzo dbał o punktualność.

Odwróciła głowę od bramy z kutego żelaza oraz ścieżki wiodącej wzdłuż dwumetrowego muru prosto do basenu i zaczęła udawać, że śpi. Po namyśle sięgnęła ręką do tyłu i odpięła górę od kostiumu. Zsunawszy ramiączka od kostiumu tak, by odsłonić plecy przed słońcem i... Tomem, znów ułożyła się wygodniej.

Sieć nadal szeleściła rytmicznie, kroki stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie do uszu Ronnie dotarł piskliwy protest otwieranej bramy. Kroki umilkły. Ronnie uśmiechnęła się do siebie. Pomyślała, że na jej widok Tom aż zamarł z oburzenia z ręką na klamce. Wyobraziła to sobie dokładnie: basen w kształcie orzecha, wyłożony kafelkami, połyskujący w słońcu jak ogromny szafir. Wysoki mur opleciony powojem, otaczający patio niczym forteca.

Basenowy w brązowym mundurze, patrzący ze zdziwieniem na intruza. No i wreszcie ona sama, z rudymi włosami opadającymi na ramię, jedynie w ską-

pych majteczkach bikini, wyciągnięta na jaskrawym plażowym ręczniku rozestłanym na łóżku plażowym.

Wreszcie dotarł do niej dźwięk, na który czekała: kroki na betonie. Naprawdę się do niej zbliżał. Kroki umilkły, gdy stanął tuż obok łóżka.

Ronnie leżała bez ruchu, z trudem powstrzymując śmiech. Wyobrazała sobie jego minę. Na pewno zacisnął mocno szczęki i marszczył groźnie brwi. Z

pewnością nie był zachwycony tym, co zobaczył.

Ale jednocześnie jej pragnął.

Tym razem ona gwizdała na jego pragnienia. Nie zamierzała ponawiać propozycji.

- Ronnie.

Przynajmniej przestał dodawać to idiotyczne „pani Honneker”: - przemknęło jej przez myśl. Ale gdyby się tak wygłupił, Ronnie zrzuciłaby z siebie resztki odzienia i na oczach basenowego rzuciłaby mu się w objęcia. I niechby pan doktor interpretacji głowił się później, jak wyjaśnić wyborcom tego rodzaju zachowanie.

Drgnęła lekko, udając, że się budzi. Odwróciwszy głowę tak, by go obserwować, odrzuciła włosy na plecy. Rude sploty opadały teraz w dół na betonowe podłoże. Każdy jej ruch był starannie przemyślany i obliczony na to, aby doprowadzić To-ma do szału.

- Ronnie. - W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało napięcie. Ronnie próbowała ze wszystkich sił zachować powagę. Chciała go zadręczyć, doprowadzić do szału i zostawić. Quinlan musiał w końcu zrozumieć, że mówiła poważnie, gdy mu oświadczyła, że już nie będą razem pracować.

Trzepocząc szybko rzęsami, podniosła na niego wzrok z taką miną, jakby nie mogła rozpoznać głosu osoby, która do niej przemawia. Tom miał na sobie lekki garnitur w białoniebieskie prążki, bardzo odpowiedni na upał, oraz białą koszulę i krawat dokładnie w kolorze oczu, zwężonych teraz w obronie przed oślepiającym słońcem, które złociło jego włosy i brązowiło skórę.

Quinlan był wysoki, szczupły i przystojny. A przede wszystkim napięty jak struna.

- Ach, to ty - powiedziała znużonym tonem, przymknęła oczy i odwróciła głowę, odgradzając się od niego płaszczem włosów.

Złość mężczyzny zalewała ją groźnymi, wzburzonymi falami. Widząc, że osiągnęła cel, podkuliła z zadowolenia palce u nóg.

Cichy szelest sieci na powierzchni wody stanowił uspokajające tło do napiętej atmosfery. W pobliskich drzewach ćwierkały ptaki, radośnie brzęczały pszczoły. Kokosowy aromat drogiego olejku do opalania uderzył ją w nozdrza wraz ze słodkim zapachem powoju oplatającego mur wokół posiadłości. Płazowy ręcznik, na którym leżała, był miękki i ciepły.

Najwyraźniej jednak wyczuwała wszystko, co nieuchwytnie: wzrok To-ma wbity w jej niemal nagie ciało oraz jego rosnącą irytację.

Zgrzyt metalu na betonie świadczył wyraźnie o tym, że Quinlan przystawia sobie krzesło i siada bliżej łóżka.

- Zapytają cię między innymi o to, jak się czuje macocha młodsza od swoich pasierbów i pasierbic - powiedział spokojnym tonem. Najwyraźniej zamierzał zignorować jej prowokację. - Jeśli starannie przemyślimy twoją odpowiedź, możesz zyskać parę punktów u kobiet opiekujących się przybranymi dziećmi, żon rozwodników. Sądzę, że powinnaś powiedzieć...

- Ja nienawidzę ich, a oni mnie, i tak to się toczy w naszej piekielnej rodzinie

- zaśpiewała Ronnie, parodiując piosenkę Barneya. Nie odwróciła głowy, a oczy również miała zamknięte, wiedząc, że ta poza zirytuje go równie mocno, jak odpowiedź.

- Zabawne.

Ronnie omal się nie uśmiechnęła. Nie mogła przeoczyć czegoś równie wspaniałego. Odemknęła powieki i usiadła na wprost Quinlana, zwieszając nogi na cementową posadzkę. Góra od bikini zsunęła się niebezpiecznie z jej piersi - przytrzymała ją jednak w ostatniej chwili, chwytając cienkie ramiączka.

Spod leniwie opuszczonych rzęs uważnie obserwowała jego twarz.

Tom nie spuszczał oczu z Ronnie; otaksował jej ciało od ramion po palce u nóg, a następnie powiódł wzrokiem po gładko wywoskowanych nogach i płaskim brzuchu, by na koniec utkwić go w piersiach. Szkarłatne miseczki biustonosza zsunęły się nieprzyzwoicie z kremowych wzgórków, ledwo zakrywając sutki.

- Ach! - wykrzyknęła, patrząc na niego kpiąco i kciukami naciągnęła z powrotem ramiączka.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - spytał cicho, tak, żeby nie słyszał go basenowy. Miał ponuro zaciśnięte usta, oczy rozpalone złością.

- Korzystam z pogody - odparła Ronnie z nonszalancją, nie starając się nawet ściszyć głosu.

- Dlaczego po prostu nie leżysz tutaj nago? - syknął wściekle.

- Czasem leżę - odparła, zapinając klamerkę bikini. Wstała, wsunęła stopy w czerwone chodaki i pomachała Johnowi ręką.

- Do zobaczenia za tydzień! - zawołała i ruszyła w stronę domku stojącego nad basenem.

Tom szedł za nią - czuła na sobie wyraźnie jego rozpalony wzrok. Wiedziała, że Quinlan ma na co popatrzeć. Majteczki od bikini składały się dwóch małych trójkątów spandeksu związanych po bokach, a góra ze skąpych miseczek i widocznego od tyłu cienkiego sznureczka.

Nie znalazła już żadnego bardziej wyciętego kostiumu. Ten włożyła wyłącznie z myślą o Tomie.

No i co ty na to? - pomyślała i zaczęła lekko kręcić biodrami.

Domek nad basenem powstał z budynku gościnnego i składał się z sypialni, małej kuchenki, łazienki z dużym prysznicem oraz salonu przerobionego przez Ronnie na małą salę gimnastyczną. Przechowywała tutaj cały sprzęt do ćwiczeń. Na jednej ze ścian wisiało duże lustro, a podłogę przykrywała ko-lorowa mata.

Ronnie wśliznęła się do środka przez szklane drzwi, nie troszcząc się nawet o to, aby je zamknąć. Natychmiast po wejściu do klimatyzowanego pomieszczenia dostała gęsiej skórki. Tom stanął za nią i zasunął drzwi.

- Lubisz, jak robotnicy tak się na ciebie gapią? - Z tonu jego głosu wywnioskowała jasno, że irytacja przerodziła się w gniew.

- To znaczy jak? - Skierowała się do łazienki, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

- Jakby oglądali striptiz. - Był tuż za nią. I John tak patrzył?

- Jeśli mężczyzna, który czyści ci basen, ma na imię John, to tak. On się po prostu ślinił, kiedy wkroczyłem do akcji.

- A co ty tu właściwie robisz? - Ronnie udawała, że nie pamięta umowy.

- Mówiłem ci, że przyjdę powtórzyć z tobą parę rzeczy. O drugiej przyjeżdżają do ciebie dziennikarze z „Ladies Home Journal”, nie pamiętasz?

- wycedził przez zęby.

- Ach, to - powiedziała słodko, weszła do łazienki i odwróciła się do niego. -

Odwołałam.

Zamknęła mu drzwi przed nosem.

- Co takiego?

Ten pełen oburzenia okrzyk usłyszała nawet przez zatrzaśnięte drzwi, ale udawała, że do niej nie dotarł.

Dwadzieścia minut później, kiedy wyłoniła się z łazienki, Quinlan siedział w wiklinowym krześle w rogu sali gimnastycznej i przeglądał grube pismo.

Może to było „W”? Z pewnością. Widząc go tak pochłoniętego lekturą kobiecego magazynu, omal nie wybuchnęła śmiechem. Z jego miny wynikało wyraźnie, że ma wszystkiego dosyć. Pisma, sytuacji i Ronnie.

- Jesteś jeszcze? - Przeszła przez salę gimnastyczną do małej kuchenki.

Wzięła prysznic, przebrała się i miała teraz na sobie biały tenisowy komplet; króciutką rozkloszowaną spódniczkę, ledwo zakrywającą siedzenie, polo bez rękawów, tenisówki i skarpetki. Rude włosy ściągnęła gumką na karku. Wyglądała bardzo efektownie i świetnie o tym wiedziała. Strój tenisowy pasował

do jej typu urody.

- Co to znaczy, że odwołałaś „Ladies Home Journal”? Stał przy wejściu do mikroskopijnej kuchenki i łypał na nią

spod oka. Drzwi były wąskie, toteż Quinlan niemal wypełniał sobą wejście.

Wysoki, przystojny, w letnim garniturze prezentował się tak wspaniale, jak tylko może się prezentować atrakcyjny mężczyzna.

Ronnie wyjęła z lodówki karton chudego mleka i wlała okazałą porcję do miksera stojącego na ladzie. Odstawiła z powrotem karton, zamknęła drzwiczki i rozejrzała się.

- Odwołałam. Kiedy tu przyszłam, po prostu do nich zatelefonowałam i poprosiłam, żeby nie przyjeżdżali. - Ronnie wrzuciła banana do mleka.

- Zatelefonowałeś do „Ladies Home Journal” i poprosiłeś, żeby nie przyjeżdżali? - spytał takim tonem, jakby usłyszał właśnie opowieść o żelaznym wilku.

- Tak naprawdę poprosiłam o to Theę - sprostowała Ronnie, dodając truskawki do banana.

- Poprosiłeś Theę... - Urwał, jakby zabrakło mu słów. Gdy znów się odezwał, w jego głosie brzmiało wyraźnie kontrolowane napięcie. - Zorganizowanie tego wywiadu kosztowało mnie sporo trudu. Wszystkie znane osobistości walczą o miejsce na szpaltach tego pisma. Ale wykorzystałem stare znajomości i namówiłem ich jakimś cudem, żeby się tu dziś zjawili. Ten artykuł

mógł naprawdę bardzo pomóc kampanii i tobie. Ale ty wszystko odwołałaś.

- Owszem - zgodziła się uprzejmie. Z miseczki w zamrażalniku wyjęła sześć kostek lodu, wrzuciła je do miksera i nałożyła pokrywkę. Szum łopatek uniemożliwiał przez chwilę rozmowę.

- Słyszałaś kiedyś powiedzenie o uszach odmrożonych na złość mamie? -

spytał Tom, gdy hałas ustał. Skrzyżował ręce na piersiach i oparł się barkiem o framugę. Kolor krawata podkreślał błękit jego oczu - wydawały się niebieskie jak woda w basenie na zewnątrz. Już po raz któryś z rzędu pomyślała, że Toma piękne oczy - nawet wówczas, gdy łypie na nią tak jak teraz.

Ta konstatacja nie wpłynęła jednak w żaden sposób na jej postępowanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Uniosła obojętnie brew, wlała różowy płyn do szklanki i upiła spory łyk.

- To, że przez odwołanie tego wywiadu zaszkodziłaś sobie, a nie mnie.

- Już ci powiedziałam, że nie zamierzam z tobą pracować. - Znów wypiła łyk koktajlu. - I mówiłam poważnie..

Napotkała jego wzrok i przez chwilę wymieniali spojrzenia.

- „Nie będziesz miał gorszego wroga niż wzgardzona kobieta” - zacytował

cicho.

Ronnie poczerwieniała i zacisnęła wściekle dłoń na szklance.

- Widzę, że jesteś w nastroju do cytowania znanych powiedzonek - mruknęła z fałszywym uśmiechem. Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, rozległ się odgłos odsuwania drzwi.

- Ronnie? - zawołał pytająco jakiś mężczyzna.

- Tutaj! - krzyknęła i odwróciła się do Toma. - Wybacz, umówiłam się na tenisa.

Stawiając prawie pełną szklankę w zlewie, podeszła do niego z wysoko uniesioną głową. Przesunął się, aby zrobić jej miejsce.

Michael Blount stał w sali gimnastycznej, wysoki, ciemnowłosy. W białych tenisowych szortach i koszulce polo, z rakieta w ręku wyglądał mizernie. Na widok Ronnie uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, Michael - odparta, odwzajemniając uśmiech.

- Gotowa? - spytał, zerkając na Toma z widocznym zainteresowaniem.

- Tak. - Minęła Quinlana, nie trudząc się nawet, by dokonać prezentacji.

Michael poszedł za nią.

- Kim jest ten facet? - spytał, gdy już znaleźli się poza domem.

- Jeden z wielu pacholków Lewisa - odparła Ronnie z widocznym brakiem zainteresowania, całkowicie pewna, że Tom - nadal stojący w drzwiach -

doskonale ją słyszy. - Nikt ważny. Jak tam twoje kolano?

Rozdział 20

Poniedziałek, 4 sierpnia, godzina 17.00

- Mamo, dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Marla pomyślała, że to właściwie dobre pytanie. Już od paru godzin zmierzały na północ, autostradą czterdzieści dziewięć prowadzącą do Jackson, gdzie zatrzymały się na krótko w MacDonaldzie. Tam zjadły lunch, a Lissy bawiła się przez chwilę w kąciку dziecięcym. Potem znów wsiadły do auta i ruszyły drogą 1-55. Marla nie wiedziała dokładnie, dokąd zmierza.

Instynkt kazał jej jednak uciekać jak najdalej.

Wiedziona intuicją, zostawiła na szczęście auto dwie przecznice za hotelem.

Nie, intuicja nie była tu dobrym określeniem. Słowo strach nadawało się znacznie lepiej do tego, by opisać motywy jej działania. Strach, że ten, kto przeszukał mieszkanie, teraz zacznie szukać jej. Ów ktoś wiedział, jakim Marla jeździ samochodem, rozpoznałby więc jej wóz natychmiast, gdyby zobaczył go pod hotelem, dodał dwa do dwóch i wiedział, gdzie jej szukać.

Jeszcze wtedy takie rozumowanie mogło się jej wydawać objawem postępującej paranoi - teraz wszystko wskazywało wyraźnie na to, że ocaliła życie własne i życie dziecka.

Gdy zobaczyła tego mężczyznę na ulicy, chwyciła Lissy za rękę, złapała jej torebkę i uciekła. Winda była zajęta - czyżby już jechał na górę? - więc zbiegła po schodach przeciwpożarowych. W pokoju zostawiła za sobą włączony telewizor, światło i cheerios, które rozsypały się po podłodze, gdy wyciągała Lissy z łóżeczka.

Wiedziała, że przestraszyła śmiertelnie swoją córeczkę, sycząc, by się uspokoiła - mała zaczęła protestować, kiedy Marla kazała jej biec w takim tempie, jakby uciekały przed samym diabłem.

Co zresztą nie odbiegało specjalnie od prawdy. Tak przynajmniej się czuła.

Słyszac wściekłość w głosie matki, Lissy zbladła jak ściana, a oczy zrobiły się jej okrągłe jak spodki. Na samo wspomnienie tej chwili Marla odczuwała ogromne wyrzuty sumienia. Ale przynajmniej zdołała ocalić życie córki. I swoje własne.

Kiedy siedziały już w samochodzie, na pytania małej odpowiedziała krótko:

„rachunki”.

Lissy doskonale to rozumiała. Mamusia skarżyła się zawsze na kłopoty z rachunkami.

Mara nie chciała tłumaczyć dziewczynce, że ten łysy pan stojący na ulicy na pewno chce je zabić.

Nie rozumiała, dlaczego jest o tym tak głęboko przekonana, ale była.

Podpowiadał jej to instynkt samozachowawczy.

Skoro odnalazł je w hotelu Curzan, takiej zakazanej, prowincjonalnej norze, znaczyło to z pewnością, że zna się na rzeczy i nadal będzie je śledził.

Wiedział o istnieniu Marli - już teraz nie mogła w to wątpić. Jej nazwisko z pewnością nie było mu już obce i miał mnóstwo innych informacji na jej temat. Rozpoznałby ją bez trudności dzięki zdjęciu w prawie jazdy. Tak przecież właśnie postępowali ludzie, którzy próbowali kogoś odnaleźć.

Szukali w Wydziale Komunikacji drugiego egzemplarza prawa jazdy. Tam uzyskał informacje na ten temat jej auta. Może również wysledził jej karty kredytowe.

Przypomniała sobie, że nie dalej jak wczoraj po południu podjęła gotówkę z ATM-u. Bankomat znajdował się niedaleko hotelu Curzan. Czyżby właśnie przez to morderca ją namierzył?

Poczuła nagły przypływ paniki. Nie wiedziała, dokąd jechać. Nie istniało żadne bezpieczne miejsce. Brakowało im pieniędzy, a Marla bała się podjąć nawet te nędzne resztki z konta.

Powinna poprosić o pomoc policję, ale oni mogli odebrać jej Lissy, a tego by nie zniosła.

Mimo wszystko wolała policję niż śmierć własną i dziecka.

Mężczyzna jechał za nimi najprawdopodobniej nawet teraz.

- Mamo, chce mi się siusiu. Marla zerknęła na córkę.

- Wkrótce się zatrzymamy - obiecała.

- Dokąd jedziemy?

Lissy nigdy nie narzekała, ale to był wyjątkowo trudny dzień.

- Na małą wycieczkę - odparła, wiedząc, że prędzej czy później będzie musiała coś wymyślić. - Tylko we dwie. Nie cieszysz się?

- Znowu wypisałaś jakiś niedobry czek? - Lissy popatrzyła na nią z miną surowej matki.

- Nie - odparła Marla oburzona.

- Dlaczego w takim razie uciekamy?

- Nie uciekamy. Jedziemy do kogoś z wizytą.

- Do kogo?

Marla popatrzyła na córkę z mieszaniną podziwu i irytacji. Lissy była dzieckiem, ale nie brakowało jej rozumu.

Przemknęły właśnie obok tablicy z napisem „Pope, 50 mil”. Marla doznała nagłego olśnienia.

Może jednak mogła liczyć na czyjaś pomoc.

- Do mojego starego przyjaciela - powiedziała i zaczęła prowadzić auto z większą pewnością siebie.

- Jak on się nazywa?

- Wstrzymaj się jeszcze troszkę, mądralo, a zobaczysz.

- Mamo, nie wzięłyśmy nawet szczoteczek do zębów. Zostawiłaś wszystko w hotelu.

- Damy sobie radę.

- Chce mi się siusiu.

Lissy skorzystała w końcu z toalety w maleńkim sklepiku w Pope, przy którym mama zaparkowała. Gdy mała była w toalecie, Marla siedziała w samochodzie zaparkowanym nieopodal automatu telefonicznego i kartkowała książkę w poszukiwaniu znajomego nazwiska.

W końcu je odnalazła, wsunęła monetę w otwór i zaczęła wybierać numer, nie spuszczać wzroku z parkingu.

Boże, Boże, niech on będzie w domu - błagała w duchu.

Odpowiedział jej męski głos.

- Jerry? - spytała z drżeniem. - Tak.

- Tu Marla.

- Jaka Marla?

- Nie pamiętasz? Marla z Biloxi, z agencji Piękne Modelki.

- Boże! Ta Marla? Dlaczego, u diabła, do mnie dzwonisz? Marla zwilżyła usta.

- Mam poważne kłopoty i potrzebuję pomocy.

Rozdział 21

Wtorek, 5 sierpnia, Jackson

- Tom nawrzeszczał wczoraj na mnie za odwołanie tego wywiadu w „Ladies'

Home Journal". - Z filiżanką kawy na kolanach Thea zwinęła się w kłębek na jednym z foteli obitych granatową skórą ustawionych po obu stronach kominka. Dochodziła dziesiąta rano i obie z Ronnie przeglądały poprawiony rozkład zajęć, siedząc w pokoju w Sedgely, który stał się właściwie biurem Ronnie podczas tych miesięcy, które miała spędzić w Missisipi.

Pomieszczenie służące niegdyś jako salon znajdowało się na drugim piętrze niedaleko sypialni Ronnie. Czterometrowe półki sięgające od wspaniale wypolerowanych podłóg do wysokiego sufitu wypełniały resztę ściany, na której był kominek. Dwa wysokie piękne okna naprzeciwko, ozdobione prostym żółtym jedwabiem, wychodziły na ogród za domem. Tapety na ścianach miały wąskie białoniebieskie prążki, a sufit, kominek, gzymsy i ramy były białe. Podniszczony orientalny niebiesko-różowy dywan zasłaniał większość podłogi. Biurko Ronnie, ogromny, mahoniowy prostokąt, zajmujący kiedyś honorowe miejsce w biurze Lewisa, stanowiło centralny punkt pokoju.

Ronnie siedziała za biurkiem w fotelu obitym granatową skórą, z filiżanką kawy odsuniętą na bok, zapomnianą i zerknęła na przepisany na maszynie plan zajęć.

- Naprawdę? - spytała bez specjalnego zainteresowania, patrząc na Theę obojętnym wzrokiem.

- Powiedział mi również, żebym nie robiła żadnych zmian w rozkładzie twoich zajęć bez konsultacji z nim.

- Naprawdę? - Tym razem Ronnie podniosła wzrok i popatrzyła na nią wojowniczo.

- Jest bardzo męski, jak się tak wścieka.

- Tylko pamiętaj, że pracujesz dla mnie, nie dla niego.

- Już mu to powiedziałam.

- I co on na to?

- Wtedy właśnie dostał szału. Zacisnął usta, przymrużył oczy i przez chwilę wyglądał tak, jakby kłął w duchu na czym świat stoi. A potem po prostu powiedział, że jeszcze ze mną porozmawia, i wyszedł. Właściwie to się wymknął. Zszedł po schodach do drzwi, a w parę minut potem słyszałam, jak odjeżdża. Był taki wściekły, że o mało nie pozdzierał opon.

- Mhm. - Ronnie znów przeniosła uwagę na rozkład zajęć, zdecydowana, że nie wykaże już najmniejszego zainteresowania Tomem i jego poczynaniami.

Zresztą wcale się nimi nie interesowała...

- Nie chciałabyś zaciągnąć go do łóżka? - westchnęła Thea z rozmarzeniem.

Ronnie popatrzyła na nią przerażona. Czyżby przyjaciółka potrafiła czytać w jej myślach?

Thea zinterpretowała jednak błędnie jej spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. Przecież jesteś żoną senatora i w ogóle, ale ja miałabym na niego ochotę. To rozwodnik, wiesz?

- Czyżby? - Chciała już wykreślić uroczystość wręczenia nagród na ogólnostanowym konkursie ortograficznym, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Tom wpadł na ten pomysł, gdyż chciał zapewne, aby postać Ronnie łączono z dziećmi i nauką (i pozyskać w ten sposób głosy kobiet z wyższym wykształceniem). Ale nawet po to, by doprowadzić do furii Toma, nie mogłaby sprawić zawodu dziecku. Niechętnie pozostawiła uroczystość w rozkładzie.

- Kenny twierdzi, że Tom ma dziewczynę i nie byłby wcale zaskoczony, gdyby niedługo sformalizowali ten związek. Podobno widują się już od kilku lat. - Thea wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Kenny to uroczy facet, prawda?

Nie taki podniecający jak Tom, ale naprawdę uroczy.

- Rzeczywiście. Bardzo miły - mruknęła Ronnie. Na samą myśl o

„formalizowaniu związku” poczuła skurcze żołądka.

To taka próżna gadanina - myślała w duchu. Tej jednej, niezapomnianej nocy Tom powiedział, że Ronnie jest ładniejsza od jego dziewczyny. Czy jakikolwiek mężczyzna dyskredytowałby w ten sposób kobietę, z którą zamierzałby się żenić?

- Podobno prowadzili kiedyś razem naprawdę dużą firmę doradczą, ale Tom narobił sobie kłopotów, firma zbankrutowała i wszystko stracili, A teraz usiłują wrócić na scenę i bardzo im zależy na tym, żeby dobrze wypaść.

Ronnie odwróciła na chwilę uwagę od związku Toma z dziewczyną i podniosła wzrok na Theę. Informacje uzyskane przed chwilą pasowały idealnie do tego, co jej samej udało się zauważyć: że brakuje mu pieniędzy, że przykłada ogromną wagę do pracy z nią i wkłada w nią wiele wysiłku.

- Jakiego rodzaju kłopoty? - spytała.

- Nie wiem - odparła Thea, wzruszając ramionami. - Kenny mi tego nie zdradził, a ja nie pytałam. Może...

Przerwał jej ostry dźwięk telefonu.

- Odebrać? - Thea sięgnęła po słuchawkę, w chwili, gdy Ronnie skinęła głową.

- Biuro pani Honneker. Nie, nie ma jej. - Słuchała chwilę, zasysając policzki, co stanowiło u niej zawsze nieomylną oznakę niepokoju. - Jutro o dziewiątej czterdzieści pięć? Dobrze, powiem jej. Dobrze, Moiro.

Thea odłożyła słuchawkę. Spojrzenia obu kobiet spotkały się na chwilę. W

oczach rzeczniczki błyszczał niepokój, w oczach Ronnie paliła się ciekawość.

- No i co? - spytała w końcu Ronnie.

- To była Moira z biura w Waszyngtonie - wyjaśniła niepotrzebnie Thea, po czym zawahała się i wybuchnęła: - Wywiad w „Ladies' Home Journal”

przeniesiono na dziesiątą. Tom zadzwonił do redakcji, nałgał, że zaszło nieporozumienie, i zgodzili się wrócić do tematu. Tylko że tym razem zamierzają przeprowadzić wywiad z tobą i senatorem jednocześnie. Senator nie zdąży dzisiaj wrócić do domu, ale spotka się z tobą jutro w bibliotece o dziewiątej czterdzieści pięć. Chce włożyć granatowy garnitur, niebieską koszulę i żółty krawat. Moira powiedziała mi to po to, żebyś mogła odpowiednio dobrać swój strój do jego ubrania.

Rozdział 22

-Ty podstępny sukinsynu - zasyczała jadowicie Ronnie z ręką na rzeźbionej dębowej balustradzie, schodząc po kilku ostatnich stopniach ogromnych schodów.

Był środowy poranek, dochodziła dziewiąta trzydzieści. Słońce wlewało się do pokoju przez szklane luksfery po obu stronach drzwi wejściowych i odbijało w kryształowych ściankach antycznego

żyrandola, eksponując latający w powietrzu kurz.

Wystarczyło jedno szyicie spojrzenie wokół, aby się przekonać, że Tomowi -

stojącemu w progu z rękami w kieszeniach

- nikt nie towarzyszy. Quinlan miał na sobie antracytowy garnitur, białą koszulę i ten sam niebieski krawat, co w poniedziałek - krawat, który tak bardzo uwydatniał, zresztą zupełnie niepotrzebnie, błękit jego oczu.

Już sam widok Quinlana doprowadził Ronnie do szału. Przewracając się na łóżku przed świtem, obiecała sobie solennie, że zachowa w jego obecności zimną obojętność, niezależnie od tego, jak bardzo będzie ją prowokował, ale teraz - patrząc mu w oczy - zupełnie nie mogła poskromić języka.

- Ja również panią serdecznie witam, pani senatorowo - powiedział słodko z czarującym uśmiechem.

Kombinacja południowego akcentu, uśmiezek i „senatorowa” zrobiły swoje.

Ronnie dostała ataku furii.

- Umówiłeś mnie i Lewisa na wspólny wywiad, po tym jak wszystko odwołałam! Jak śmiesz działać poza moimi plecami?

- Z płonącymi oczyma weszła do holu i natarła na niego z wyciągniętym oskarżycielsko palcem. W przeciwieństwie do innych, którzy narazili się kiedykolwiek na gniew Ronnie, Quinlan nawet się nie stropił.

- Zawsze możesz odwołać po raz drugi. Tyle że tym razem będziesz musiała wytłumaczyć mężowi, dlaczego to robisz. - Chwycił ją za rękę, zanim palec przeszył go na wylot. Miał silną, ciepłą, twardą dłoń. - Chyba nie zechcesz powiedzieć mu prawdy, czyli wyznać, że się do mnie dobieierałaś, a ja cię nie chciałem, prawda? I dlatego teraz się mścisz? - Urwał i otaksował ją spojrzeniem, - A tak przy okazji: udało ci się wczoraj namówić Michaela na coś oprócz tenisa?

Z płonącymi oczyma Ronnie wyrwała mu rękę i otworzyła drzwi. Za Tomem stał Kenny ubrany w jaskrawy, zielony sportowy płaszcz i spodnie w kratkę.

Kenny trzymał na smyczy niezdarne, kudłate stworzenie przypominające coś pośredniego między bernardynem i pudlem. Pies był ogromny, cały pokryty biało-czarnymi loczkami w stylu Shirley Tempie. Czarne, okrągłe niczym koraliki oczy ledwo prześwitywały zza kudłów.

- Co to jest? - spytała.

- Tu w Missisipi nazywamy je psami - odparł Tom. Zanim jednak Ronnie zdążyła spiorunować go wzrokiem za ten sarkazm, na schodach pojawił się Lewis. Ubrany w granatowy garnitur i żółty krawat, z siwymi włosami odgarniętymi z czoła naprawdę wyglądał jak senator. Jedyńm określeniem, jakie przychodziło Ronnie do głowy, by go opisać, był „mąż stanu”. Nie widziała

Lewisa od niedzieli rano, kiedy to wyjechał nagle do Waszyngtonu, i zupełnie za nim nie tęskniła.

- Jak się miewasz, kochanie? - spytał senator, obejmując Ronnie ramieniem i całując ją w policzek. Uśmiechnęła się do niego cieplej niż kiedykolwiek, ale natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że robi to wyłącznie na użytek Toma, i spoważniała.

- To ten pies? Jak ma na imię? - Lewis skierował całą swoją uwagę na Toma.

Tom popatrzył pytająco na Kennny'ego.

- Jefferson Davis, panie senatorze - odparł Goodman.

- Wzięliśmy go ze schroniska - wtrącił Tom. - Pomysł polega na tym, że przygarnęła go pani Honneker i zapewne ocaliła w ten sposób życie biednemu zwierzakowi.

Ronnie zrozumiała znaczenie tych słów i popatrzyła milcząco na Toma. A więc zamierzał nawet zmusić ją do kłamstwa.

- Przepraszam na chwilę - wymamrotała słabym głosem i skierowała się do salonu, gdzie miał się odbyć wywiad.

Ogromny, piękny salon, urządzony antykami i obwieszony wspaniałymi obrazami, naprawdę robił wrażenie. Dominowała w nim tonacja delikatnego złota, różu, bieli - białe drewno, jedwabne zasłony w biało-różowe pasy; osiem ogromnych okien sięgało od podłogi do sufitu. Ten prześliczny pokój kojarzył się zawsze Ronnie z planem filmowym. Nawet teraz nie mogła uwierzyć, że ludzie naprawdę mieszkają w takich wnętrzach.

Zresztą nie mieszkał w nich nikt oprócz Dorothy. Z salonu korzystano wyłącznie podczas przyjęć, a także zapraszano tu dziennikarzy, by wywrzeć na nich odpowiednie wrażenie.

- Przypuszczam, że to również ja nadałam psu to imię. Jefferson Davis, o ile mnie pamięć nie myli? Nic bardziej staroświeckiego nie przyszło ci do głowy? - rzuciła przez ramię.

- To imię przemówi do wyborców twego męża. Mam tu oczywiście na myśli wyborców z południa. Biorąc pod uwagę fakt, że pochodzisz z północy, musisz się jakoś zintegrować z tutejszą społecznością - powiedział Tom.

Szedł za Lewisem podążającym za Ronnie. Pochód zamykał Kenny z psem.

- Można go po prostu wołać Davis. Na to imię też reaguje.

- Reaguje pewnie na każde - prychnęła Ronnie. - Próbowaleś po prostu

„pies”?

- Posłuchaj, omówiłem wszystko z Tomem. To on wpadł na ten pomysł; pies naprawdę bardzo się spodoba wszystkim wyborcom w Missisipi - powiedział

Lewis. - Chcę, żebyś słuchała rad Toma. Musisz powiedzieć, że wzięłaś zwierzaka ze schroniska, bo zrobiło ci się go żal, a nazwałaś Davis na cześć naszego wspaniałego stanu i ostatniego prezydenta Konfederacji. Dzięki temu zyskasz sympatię lokalnej społeczności. A ja już przecież od dawna powtarzam, że chętnie kupiłbym psa..

Lewis nigdy czegoś podobnego nie powiedział. Eleanor była uczulona na sierść, w związku z czym wszystkie zwierzęta miały zamkniętą drogę do jej posiadłości przez ostatnie trzydzieści osiem lat, co zresztą nie martwiło nikogo z rodziny. Lewis przyjąłby jednak pod swój dach nawet słoń, nie mówiąc już o psie, byleby tylko osiągnąć cel polityczny.

- W porządku. Jak sobie życzyście - rzuciła Ronnie przez ramię. Nie chciała dopuścić do tego, by jej już od dawna gotująca się wściekłość na Toma wykipiała przy świadkach. Przechodząc przez drzwi prowadzące z korytarza do salonu, gdzie czekała już na nich Dorothy, uczyniła kolejny wysiłek, by nad sobą zapanować.

- Dzień dobry - przywitała z uśmiechem teściową. Ubrana w miętowozieloną suknię, siedząca na różowej sofie stanowiącej centralny punkt pokoju, Dorothy wyglądała jednocześnie krucho i elegancko.

- Ronnie.

- Witaj, mamó.

Na widok syna twarz staruszki pojaśniała.

- Wspaniale się dziś prezentujesz - oznajmiła z zachwytem, całując Lewisa w policzek. Gdy się wyprostował, przeniosła wzrok na Ronnie, która nalewała sobie właśnie kawę z dzbanka stojącego na tacy z napojami na stoliku pod oknem.

- Ty też ślicznie wyglądasz - dodała.

- Dziękuję, Dorothy. To samo mogę powiedzieć o tobie. Ronnie wiedziała, że naprawdę może się podobać. Tego

dnia włożyła bawełnianą jasnożółtą, niemal kremową suknię, a na szyję potrójny sznur pereł. Suknia (wybrana specjalnie przez jednego z asystentów Toma) była dopasowana do figury, ale nie obcisła, miała niewielki dekolt, krótkie rękawy, prostą spódnicę sięgającą do połowy łydek i pasek uszyty z tego samego materiału. Obrąbek i dekolt ozdobiono angielskim haftem w tej samej tonacji. Beżowe pantofle na zgrabnym słupku wspaniale uzupełniały całość.

W takim stroju Dorothy wywarłaby równie dobre wrażenie.

- Boże w niebiosach, a co to takiego? - wykrzyknęła seniorka rodu na widok Davisa, który właśnie wkroczył do salonu, stukając pazurami o wypolerowaną podłogę. Kenny, który trzymał psa na smyczy, popatrzył

niespokojnie na Toma, ale Lewis wybawił go z opresji.

- Zorganizowaliśmy sobie psa. Był nam potrzebny do zdjęć i tego wywiadu.

Tom wpadł na ten pomysł, a ja go popieram. Wyborcy kochają psy. Tom wymyślił też świetny slogan reklamowy tej kampanii. Teraz, kiedy depreczemy Orde'owi po piętach, świetnie się dla nas nadaje. Jak to brzmiało, synu?

-zwrócił się do Toma, marszcząc lekko brwi.

- HZO - podsunął Tom. - Honneker zwycięża Orde'a. Będzie doskonale wyglądało na nalepkach samochodowych,

George Orde był twórcą prawa stanowego, który pokonał Lewisa w sondażach. To właśnie on mógł mu odebrać wymarzony fotel senatora.

- Jeśli pójdziemy dalej tą drogą, pokonamy Orde'a bez trudności - powiedział

Tom.

- Też tak sędzę - odparł Lewis.

- Jak on się wabi? - spytała Dorothy, patrząc na psa.

- Jefferson Davis - odparła sucho Ronnie. - Albo w skrócie Davis.

Na dźwięk swego imienia Davis zamachał ogonem i omal nie przewrócił

porcelanowej pasterki stojącej na drewnianym stoliku przy ścianie. Kenny ocalił jednak antyk przed zniszczeniem jednym pewnym ruchem ręki.

- Dobry piesek - pochwalił Lewis.

Goodman ścisnął kurczowo w jednym ręku smycz, w drugim figurkę.

- Panie senatorze, pani senatorowo, pani Lewis. Przyszli panna Topal i pan Folger - zaanonsowała Selma, stając w drzwiach. Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast w jej stronę. Tuż za nią pojawiła się Thea, a obok niej mężczyzna w podkoszulku i džinsach, uczesany w kucyk, z aparatem fotograficznym na ramieniu. Towarzyszyła im kobieta koło czterdziestki o krótkich, stylowo ostrzyżonych włosach, z jaskrawą szminką na wargach.

Dziennikarka miała na sobie prostą beżową garsonkę, w jednym ręku trzymała brązową teczkę, w drugim do połowy zjedzonego pączka.

Davis rzucił się na pączka z głośnym szczeknięciem, a panna Topal wrzasnęła jak opętana i upuściła walizkę. Lampa spadła na podłogę. Z

pączkiem w pysku, ciągnąc za sobą smycz, Davis wpadł do holu, a za nim Kenny, Thea i Selma.

- Weź to - syknął Tom prosto do ucha Ronnie, wsuwając jej do ręki coś zimnego i wilgotnego. Ronnie popatrzyła na tę dziwną rzecz z mieszaniną odrazy i zdziwienia. Był to maleńki kawałek szynki zdjęty z kanapek leżących na tacy.

- Dlaczego, na miłość boską...?

Popatrzyła na Toma nic nie rozumiejącym wzrokiem. Ten nieoczekiwany podarunek zaskoczył ją do tego stopnia, że nawet nie łypnęła na niego z wściekłością. Po prostu spojrzała.

- Davis, tutaj! - zawył Kenny. Głosy dochodziły chyba z holu; odgłos pazurów na drewnianej podłodze wyprzedził ponowne pojawienie się psa o zaledwie parę sekund. Reporterka, panna Topal, uskoczyła na bok ze strachem, gdy uciekający pies i grupa pościgowa wpadli jak burza do pokoju.

Pies zatrzymał się na chwilę, rozejrzał się dookoła i zaczął węszyć, a potem ruszył prosto na Ronnie.

Z szeroko otwartymi ustami patrzyła na pędzące zwierzę.

- Zawołaj go po imieniu. No, krzyknij: „Davis” - ponaglał cicho Tom. W jego szepcie brzmiały tak natarczywe nuty, że Ronnie posłuchała bez sprzeciwu.

Pies zatrzymał się tuż przy niej, pomachał ogonem i zaczął ją lizać po ręku.

Fotograf zdjął aparat z ramienia.

- Uśmiech! - syknął Tom, gdy mężczyzna z kucykiem wycelował obiektyw w Ronnie i Davisa.

Rozdział 23

- Chłopcze, przyprowadziłeś tu chyba tego psa w przyływie geniuszu!

Prawdziwego geniuszu! - Zaśmiewając się do rozpuku, senator klepnął Toma po ramieniu. Właśnie wchodzili do jadalni, gdzie Selma dokonywała ostatnich zmian na stole.

Przez całe dwadzieścia lat, czyli od czasów, gdy Tom jadał tu kolacje w towarzystwie rodziny przyjaciela z college'u, nic się w tym pokoju nie zmieniło. Nawet tapeta - nieprawdopodobnie droga, ręcznie malowana, prosto z Chin - pozostała ta sama. Te same były również zasłony w ogromnych oknach - złote, bogato zdobiono frędzlami. I meble - stół na dziesięć osób, ława myśliwska, kredens z porcelaną, serwantka ze srebrem

-ciemne, bogato zdobione antyki. Zastawa też wyglądała identycznie. Piękna biała porcelana zdobiona złotem wydawała się przezroczyta - tak wiele liczyła lat. Gdy za studenckich czasów Tom jadał posiłki w towarzystwie kolegi i jego szacownej rodziny, zawsze się obawiał, że talerz może pęknąć pod zbyt mocnym naciskiem noża lub widelca. Zawsze więc bardzo ostrożnie krajał mięso, a fasolkę nakładał tak, jakby się obawiał, że jest naładowana nitrogliceryną. Na wszelki wypadek.

Przez cały ten czas Tom bardzo się zmienił. A Sedgely wcale.

- To będzie rewelacyjny artykuł - dodał senator. - A jakie zdjęcia! Ronnie z tym psem! Wspaniałe!

- Cieszę się, że to wszystko tak dobrze wyszło - powiedział Tom, zatrzymując się w miejscu, które wskazał mu Lewis machnięciem ręki. Sam jasnie pan senator podszedł do krzesła u szczytu stołu. Po wyjściu ekipy z „Ladies'

Journal" Tom, Kenny i Thea otrzymali zaproszenie na rodzinny lunch, które oczywiście przyjęli.

Teraz, siedząc naprzeciw senatorowej, Quinlan niemal żałował, że nie odmówił. Ronnie wyglądała seksownie nawet w tej spokojnej sukni wybranej przez wizażystkę u Nordstroma. W jej włosach połyskiwały jasne pasemka, skóra wyglądała tak gładko, jak ją zapamiętał. Subtelny różowy odcień szminki raczej uwydatniał niż krył kształt ust, krój sukni eksponował figurę.

Odrobinę jedynie umalowane oczy kryły jakąś tajemnicę. Na szyi Ronnie miała perły, te same, które Quinlan zdjął jej z szyi tego dnia, gdy się poznali, i użyła tych samych - mógł na to przysiąc, choć tak subtelny zapach nie docierał do niego przez stół - podniecających perfum.

Była wściekła. Ilekroć na niego patrzyła, gniew aż iskrzył w powietrzu niczym fajerwerki czwartego lipca. Quinlan łudził się jedynie, że nikt inny tego nie dostrzega.

Teraz też nie spuszczała z niego wzroku. Stała za krzesłem, zaciskała dłonie na bogato rzeźbionym oparciu, a jej oczy miały błyskawice.

- HZO i Jefferson Davis - mruknęła, korzystając z chwilowego zamieszania, towarzyszącego zajmowaniu miejsc. - Nie mogę uwierzyć, że dostajesz pieniądze za takie pomysły.

- Każdy ma swoją specjalność - odparł i usiadł. Nie zamierzał się z nią kłócić.

Ani dzisiaj, ani jutro, ani w następnym tygodniu. Postanowił nadstawiać drugi policzek, tak wiele razy, ile będzie trzeba, by wypalił się jej gniew i ogień, jaki się między nimi żarzył.

Po tej uwadze przestała po prostu dostrzegać jego obecność. Na nic lepszego w tej sytuacji nie mógł zresztą liczyć. Ale napięte mięśnie jej twarzy i pojawiający się od czasu do czasu błysk w oczach świadczyły wyraźnie o tym, że Ronnie ledwo nad sobą panuje. I co gorsza, każdy mógł to zauważyć.

Dzięki Bogu, gościom zebranych przy stole całkowicie zabrakło talentu obserwacyjnego.

Selma wprowadziła do jadalni wózek załadowany całkowicie miseczkami z zupą, co na chwilę odwróciło uwagę Toma od Ronnie. Dobrze było skupić się na jedzeniu - uznał - temat bezpieczny i bez podskórnych aluzji. Gdy postawiono przed nim miseczkę, zobaczył, że na lunch zaserwowano krem z pomidorów ze śmietaną i koprem.

Rubinowa czerwień i kremowa biel - kolory Ronnie.

Cholera jasna, skup się na jedzeniu!

Jedzenie wyglądało i pachniało smakowicie. A jego woń była wystarczająca silna i bogata, by

przyłumić jakiegokolwiek powiewy subtelnych, drażniących perfum.

Zupa okazała się naprawdę wyborna. Tom skoncentrował się na jedzeniu.

- Więc teraz, skoro już przez całe dwie godziny wykorzystywaliśmy tego psa dla osiągnięcia naszych celów politycznych, oddamy go pewnie do schroniska - powiedziała ironicznie Ronnie. Mówiła wyraźnie do senatora, piorunujące spojrzenie zatrzymała na Tomie zaledwie przez parę sekund, ale on odczuł jego siłę tak, jakby otrzymał mocny cios. - Nie sądzicie, że to okrutne? - Rozgoryczenie w jej głosie było skierowane wyłącznie pod adresem Toma. Quinlan miał jedynie nadzieję, że nikt poza nim nie zdaje sobie z tego sprawy. Szybkie spojrzenie spod półprzymkniętych powiek utwierdziło go w tym przekonaniu. Nawet jeśli inni zebrani przy lunchu goście podejrzewali, że Ronnie piorunuje go wzrokiem, kryli doskonale swoje podejrzenia. Zasłużyli wręcz na Oskary.

Ale przecież żaden z gości nie miał takiego talentu aktorskiego. Tom nieco się odprężył.

- Ronnie, kochanie. Sedgely to ogromna posiadłość. Możemy go zatrzymać, jeśli chcesz. Ile kłopotu może sprawić jeden pies? - Senator przemawiał

wyraźnie uspokajającym tonem i uśmiechał się uroczo do żony, ale mimo wszystko nie udało mu się poprawić jej nastroju. - Myślę, że sprawi ci to przyjemność.

Skosztowawszy sałatki, która smakowała równie wybornie jak zupa, Tom zaczął się zastanawiać - co czynił ostatnio znacznie częściej aniżeli powinien

- nad charakterem więzi łączącej senatora i jego żonę. Obserwował ich niemal mimowolnie. Ronnie traktowała męża chłodno, gdy tymczasem on wykazywał niemal młodzieńczą energię, by sprawić jej przyjemność, co w kontekście ostatnich wydarzeń wydawało się całkowicie zrozumiałe. W

końcu senatora przyłapano na zdradzie. Ronnie musiała traktować swego małżonka z dystansem, a on wychodził ze skóry, aby odkupić swoje winy.

Czyżby uwodzenie Toma miało być zemstą zdradzanej kobiety?

Ta koncepcja zupełnie nie przypadła Quinlanowi do gustu. Popatrzył nawet gniewnie na Ronnie, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego co robi, dopóki senatorowa nie odwzajemniła tego spojrzenia.

Sałatka - nie, teraz jadł przecież kanapkę z kurczakiem -smakowała z pewnością wspaniale.

Ronnie i senator nie zachowywali się zupełnie jak kochankowie, nawet jak kochankowie w szponach poważnego kryzysu małżeńskiego. Nie przeskakiwały między nimi żadne iskry. W każdym razie Tom ich z pewnością nie wyczuwał.

A wiedział przecież z własnego doświadczenia, że od Ronnie bije czasem szczególny żar.

Od chwili, gdy się poznali, wielokrotnie (o wiele za często) wyobrażał ją sobie w łóżku z senatorem. Mężczyźnie w tak zaawansowanym wieku jak Lewis musiało zależeć na tym aspekcie życia z piękną

młodą żoną.

Tom zacisnął dłoń na nożu, którym krajał kanapkę. Nóż zgrzytnął głośno o talerz.

Natychmiast postanowił skierować uwagę na inne sprawy.

- Szczerze mówiąc nie przepadam za psami - mówiła spokojnie Dorothy.

Widocznie zaczęli omawiać plusy i minusy posiadania psa. - Linieją.

- Mogę zabrać Davisa do siebie - powiedział uspokajająco, włączając się do rozmowy tak gładko, jakby śledził jej przebieg od samego początku. - Będę go trzymał u mamy. - Jest tam miejsce dla dużego psa.

Niechący napotkał wzrok Ronnie. Znow płonął w nim gniew. Ostrożnie -

upomniął ją w duchu. Nikt nie powinien zauważyć, że łączy ich jakakolwiek więź wykraczająca poza ściśle służbowe stosunki.

- W domu u mamy - przeciągała słowa niby rodowita mieszkanka południa, co jak na dziewczynę z Bostonu było prawdziwym wyczynem. Tom omal się nie uśmiechnął. Ronnie patrzyła teraz na niego znacznie mniej gniewnie, jakby wspominała wspólnie spędzone popołudnie na farmie w czasie, gdy byli jeszcze przyjaciółmi, nie wrogami.

- Świetny pomysł - wtrącił jowialnie Kenny. - Będzie miał gdzie biegać. To ogromna farma - dodał tonem wyjaśnienia dla niezorientowanych.

- Nie mogłabym narzucać takiego obowiązku pańskiej matce. - W spojrzeniu Ronnie znow pojawiła się wrogość. - Cieszę się, że możemy go zatrzymać -

dodała, uśmiechając się słodko do męża. - Naprawdę bardzo chciałabym mieć psa.

Robiła do senatora słodkie oczy, co mocno zaskoczyło Quinlana. Dopiero w tym momencie zrozumiał, że do tej pory Ronnie nie okazywała mężowi żadnych uczuć. Zachowywała jedynie grzeczną rezerwę.

Ale przecież byli małżeństwem. Gdzieś, kiedyś, musiały przeskakiwać między nimi jakieś iskry.

Senator zaliczał się do staruszków jeszcze wówczas, gdy Tom studiował w college'u. Przynajmniej Tom uważał go za staruszką. Jeśli w ogóle o nim myślał, to wyłącznie jako o bogatym, wpływowym ojcu przyjaciela, a przez jakiś czas nawet jako o potencjalnym teściu. Ale nawet gdyby wysilił

wyobraźnię, nie powierzyłby mu nigdy roli męża dziewczyny, z którą chciał się przespać.

Nie potrafił również teraz wyobrazić sobie Ronnie kochającej się z Jego Ekszelencją, jak obaj z

Marsdenem nazywali Lewisa. Nawet nie chciał

próbować.

A mimo wszystko te wizje nie dawały mu spokoju.

To, co oni robią, albo czego nie robią w łóżku, zupełnie nie powinno go obchodzić.

Senator odwzajemnił uśmiech. Tom świetnie rozpoznawał tę minę; z taką nadzieją patrzył zwykle człowiek, który dostrzegł szansę, aby wreszcie wydostać się z kanału. Zauważył również coś jeszcze: czułe spojrzenie, które Ronnie posłała mężowi, było tak naprawdę wymierzone przeciwko Tomowi.

W nagłym przypływie intuicji Quinlan uświadomił sobie, że zbliża się katastrofa. Wiedział, że musi prędzej czy później zejść wreszcie z orbity Ronnie, gdyż w przeciwnym wypadku wydarzy się coś naprawdę strasznego.

Zbyt mocno jej pragnął. A już najbardziej podniecała go świadomość, że ona pragnie jego.

- Ojej, naprawdę chcesz zatrzymać tego psa, Ronnie? - spytała Dorothy z powątpiewaniem. - No cóż, chyba możemy spróbować.

- To naprawdę miły pies - powiedział Kenny. - Będzie wiernym towarzyszem.

- Ale chyba nie jest wyszkolony - wtrąciła Thea.

- Poślemy go na specjalny kurs dla psów - uśmiechnęła się Ronnie, patrząc na Kenny'ego. - Liczę na ciebie. Tobie wszystko tak łatwo przychodzi, prawda?

Zamrugnęła długimi rzęsami i posłała Kenny'emu powłóczyście spojrzenie.

Goodman wyglądał przez chwilę tak, jakby poraziła go ta dawka seksapilu skierowana w jego stronę.

Jeżu Chryste! Ta kobieta naprawdę stanowiła zagrożenie. Teraz flirtowała z biednym, niczego nie podejrzewającym Kennym. Całe to przedstawienie urządziła jednak wyłącznie na jego użytek. Był o tym przekonany.

Miał ochotę nią potrząsnąć, tak mocno, by zastukały jej zęby. I całować do nieprzytomności. Chciał cofnąć się w czasie do tego pokoju hotelowego w Tupelo, paść na łóżko i kochać się z nią do chwili, gdy zaczęłaby błagać o litość.

I choć obraz ten wywołał znów znajome napięcie w lędźwiach, w mózgu Toma odezwał się jednocześnie dzwonek alarmowy, nakazujący ucieczkę.

Rozdział 24

Quinlan zniknął z życia Ronnie na całe dwa tygodnie. Jego miejsce zajął

Kenny jako zawsze obecny doradca. Plan zajęć Ronnie miała napięty, a Goodman towarzyszył jej na wszystkich oficjalnych imprezach. Zwykle uczestniczyła w nich również Thea. Kenny i Thea zachowywali się w taki sposób, że Ronnie czuła się przy nich jak piąte koło u wozu. Nawet w tłumie, nie, szczególnie w tłumie cierpiała z powodu swojej samotności.

Tylko idiota nie wolałby Kenny'ego od jego wspólnika -myślała. Ci dwaj panowie należeli bowiem do dwóch zupełnie różnych gatunków konsultantów politycznych. Kenny był zawsze w dobrym humorze, nigdy nie krytykował jej stroju, makijażu, fryzury, zachowania ani przemówień. W

ogóle nigdy nie miał do niej żadnych zastrzeżeń. A parę sugestii co do tego, jaki temat chciałaby być może poruszyć w kolejnej mowie, ubrał w piórka pochlebstw i komplementów.

Kenny okazał się miłym, pomocnym, niewymagającym kompanem.

Oczywiście Ronnie nie czuła do niego absolutnie żadnego pociągu seksualnego, choć bardzo go lubiła.

Mijały dni, a myśli Ronnie zajmowało całkowicie tylko jedno pytanie:

„Gdzie jest Tom?”.

Niezdolna, by dłużej powstrzymać ciekawość, schowała w końcu dumę do kieszeni i zapytała o to Theę. Oczywiście zupełnie od niechcena.

- Kenny mówi, że przyjęli paru nowych klientów i Tom musi się nimi zajmować. Rozumiesz, opracowuje strategię i tak dalej. Chyba uważają, że teraz, kiedy wypadasz tak świetnie w sondażach, on po prostu nie jest ci już potrzebny.

Wręcz przeciwnie. Ronnie omal nie powiedziała tego głośno.

Do diabła z sondażami. Zależało jej na Tomie, nie na wynikach sondaży.

Quinlan dzwonił przynajmniej raz. Siedziała właśnie za biurkiem u siebie w gabinecie, gdy rozległ się ostry dźwięk telefonu. Było późne popołudnie, Thea poszła niedawno do domu. Linie domową obsługiwała Selma, więc z pewnością dzwonił telefon służbowy.

Zamierzała właśnie włączyć automatyczną sekretarkę, myśląc, że ktoś chce ją pewnie prosić o udział w takiej czy innej imprezie. W ostatniej chwili zmieniła jednak zdanie i podniosła słuchawkę, wspaniale przygotowana do tego, by w razie potrzeby udawać swoją własną rzeczniczkę.

- Halo? - odezwała się ostrożnie.

- Ronnie?

Poznałaby ten głęboki, ociekający miodem głos nawet na dnie najciemniejszej jaskini na końcu świata. Przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

-Tom.

Należało powiedzieć więcej, ale na razie zdołała wykrztusić jedynie jego imię.

- Dlaczego odbierasz telefony?

Przecież to mój telefon, dlaczego miałabym go nie odbierać? - pomyślała.

- Thea poszła do domu.

- Ach tak.

Słyszała jego wolny, regularny oddech. Najwyraźniej nie spieszyło mu się zupełnie, aby cokolwiek powiedzieć, a i Ronnie nie rwała się do rozmowy.

Jedyną rzeczą, o jaką się martwiła, było to, że Tom może odłożyć słuchawkę.

- Jak się masz? - spytał po chwili.

- Świetnie, naprawdę. - Nie potrafiła normalnie myśleć, a już zupełnie nie umiała zacząć jakiejś sensownej rozmowy. -A ty?

- W porządku. - Zaczerpnął powietrza. - No cóż...

-Gdzie jesteś? - spytała pospiesznie, ściskając mocniej słuchawkę - jedyny łącznik z Tomem.

- W Nevadzie. - Usłyszała rozbawienie w jego głosie. - Właśnie rozpoczął się tam wyścig do fotela gubernatorskiego. Bardzo trudny wyścig.

- Bili Myer? - wymieniła nazwisko kandydata z Nevady.

- Nie. Matt Grolin. Prawdziwy z niego zawodnik. Chyba niewiele mu zresztą brakuje do szczęścia.

- Jeśli ty mu pomożesz. Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Coś podobnego. Takie sympatyczne uwagi są zupełnie nie w twoim stylu.

- Potrafię być sympatyczna.

- Pamiętam - powiedział ciszej.

- Tom?

- Słucham?

- Pracujesz dla kandydata czy jego żony?

- Dla jednego lub drugiego, a czasem obydwu osób.

Już sama myśl o tym, że Tom może doradzać jakiegokolwiek kobiecie we wszystkich kwestiach - od obuwia poczynając na przemówieniach skończywszy - wcale nie była miła.

- Czy pani Grolin jest ładna? -

Roześmiał się głośno. Ten śmiech zabrzmiał tak znajomo, że aż ją to zabolalo.

- Nawet bardzo atrakcyjna jak na sześćdziesięciodwuletnią kobietę.

Rozbawiła ją ta odpowiedź.

- O, to dobrze.

- Ronnie - urwał.

- Tak? - spytała po chwili.

- Kenny o ciebie dba?

Na pewno chciał powiedzieć coś innego. Ronnie poznała to natychmiast po nagłej zmianie jego tonu.

- Nigdy mnie nie krytykuje - powiedziała.

- Boże! - Znów roześmiał się głośno.

- Dostałam sygnałny egzemplarz „Ladies' Home Journal” . Wszystko wyszło znakomicie.

- Wiedziałem, że tak będzie. Jak tam Davis?

- Duży i włochaty - odparła sucho. Tom zachichotał radośnie.

- Został w Sedgely?

- Owszem. Chodzi z Selmą do szkoły, ma pchły i chce bez przerwy siedzieć u mnie na kolanach. A w dodatku bezustannie mnie liże. Pewnie szuka kolejnego kawałka szynki.

Tom zaśmiał się głośno.

- Mądry pies.

- Nie myślałbyś w ten sposób, gdyby skakał na ciebie.

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Jak już mówiłam, Thea poszła do domu, Kenny również, Dorothy gra w brydża. Selma gdzieś się tu kręci. A Lewis jest - zaraz chyba we Friar's Point, na poświęceniu tablicy upamiętniającej Conwaya Twitty.

- Jak się miewa Jego Ekscelencja? - Ton Toma zmienił się lekko. Ronnie zdała sobie sprawę z tego, że już sama wzmianka o mężu ustawia między nimi bariery, i zapragnęła nagle cofnąć swoje słowa.

- Lewis czuje się znakomicie.

- Tak naprawdę to dzwonię do niego.

- Ach tak? - spytała znacznie mniej ciepło.

- Właśnie. Za chwilę wyślę mu przykładowe projekty plakatów. Życzył sobie również, abym mu zasugerował, co ewentualnie mógłby wykorzystać przeciwko Orde'owi.

- Skoro chciałeś rozmawiać z Lewisem, dlaczego nie zatelefonowałeś do jego biura? - spytała. - Ma przecież aż trzy. Tu na dole, w centrum miasta i w Waszyngtonie.

- Oczywiście, że dzwoniłem. Nikt nigdzie nie odpowiada.

- Rozumiem. - Ronnie zaczerpnęła głęboko powietrza. - Dlatego spróbowałeś połączyć się ze mną. Masz szczęście, że akurat tu jestem.

- Fakt. Szczęście.

- Chyba lepiej się rozłączę, żebyś mógł wysłać ten faks.

- Ronnie... -Co?

Krótką chwilą wahania.

- Rzeczywiście. Lepiej się rozłącz.

- Cześć.

Ronnie odsunęła słuchawkę od ucha i patrzyła na nią przez chwilę. Chciała powiedzieć... Co też ona chciała powiedzieć?

Kiedy wracasz do domu? Wrócisz do domu?

Ale nie mogła. On przecież nawet nie do niej dzwonił. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego, bo ona ma męża, a on nie jest debilem.

Debil.

Położyła słuchawkę na widelkach.

I omal się nie rozplakała.

Nie zdołałaby z pewnością nad sobą zapanować, gdyby całą siłą woli nie oparła się temu, by taki debil jak Quinlan doprowadził ją do łez.

Poza imprezami ściśle związanymi z kampanią Ronnie miała całą masę innych obowiązków. Poleciała z Lewisem na pogrzeb jednego z senatorów, który zginął w katastrofie swego prywatnego samolotu, i nie zaglądała do domu przez całe dwa dni. Jako członkini rad nadzorczych wielu organizacji, uczestniczyła w ważnych zebraniach. Sporo czasu pochłaniały jej przygotowania do Międzynarodowego Konkursu Baletowego, który co cztery lata odbywał się w Stanach. Tego roku wybór padł na Jackson. Ktoś musiał zaplanować przyjęcie urodzinowe Lewisa, a Dorothy męczyła się znacznie łatwiej niż kiedyś, toteż wszystkie obowiązki spadły na Ronnie.

Można by zatem wysnuć wniosek, że w tak napiętym harmonogramie nie znajdzie się miejsce na rozmyślanie o Tomie.

Wniosek okazałby się jednak błędny.

Sądziła... miała nadzieję... że Tom będzie obecny na przyjęciu urodzinowym Lewisa.

Była nawet tego pewna. Żaden z zaproszonych gości nie opuściłby dobrowolnie tak ważnej imprezy.

W środę przyszło wreszcie jego podziękowanie, wraz z całym plikiem innych torbą innych. Aby uprościć całą procedurę, sekretarka Lewisa wkładała do kopert gotowe blankiety potwierdzeń.

Zaproszenie Toma zaadresowano do Thomasa Quinlana i osoby towarzyszącej.

Z odpowiedzi wynikało, że przyjdą dwie osoby.

Czyżby zamierzał przyprowadzić dziewczynę, tę, z którą chciał się zenić?

Ten pomysł zupełnie nie przypadł Ronnie do gustu i zdała sobie sprawę z tego, że zaczyna być zazdrosna o kobietę, której nawet nie widziała. O

dziewczynę Toma. Już samo to sformułowanie doprowadzało ją do szału.

Ale przynajmniej Quinlan wybierał się na przyjęcie.

Po chwili namysłu doszła do wniosku, że nie miałyby nic przeciwko temu, by Tom przyprowadził ze sobą całą bandę plażowiczek w bikini, byle tylko on sam pojawił się na imprezie.

Cała niechęć, jaką do niego czuła, zupełnie się gdzieś rozplynęła. Teraz mogła myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo pragnie znów go zobaczyć.

Rozdział 25

Sobota, 23 sierpnia

Wieczorem w dzień przyjęcia Ronnie poświęciła mnóstwo czasu na przygotowania. Ponadto - co było dla niej nietypowe - odczuwała ogromną treść. Nie bała się jednak spotkania z ponad pięćsetką gości czy dziennikarzami, którzy zawsze oblegali chętnie tego rodzaju uroczystości.

Nie odczuwała również lęku przed tym, że tyle rzeczy może się nie udać.

Najmniej martwiła się o swój wygląd. Wiedziała, że świetnie się prezentuje.

Na przyjęcie wybrała jaskrawoczerwoną suknię z dzianiny zdobioną drobnymi kryształkami, odbijającymi światło przy każdym ruchu. Suknia była bez rękawów, z dużym dekoltem. Od piersi do kolan kreacja przylegała do Ronnie jak druga skóra, eksponując wszelkie krągłości. Dalej rozszerzała się pienistą kaskadą falbanek w typowym stylu flamenco. Już sama w sobie suknia była wspaniała. A wraz z ognistoczerwonymi sandałami na wysokim obcasie i brylantowym naszyjnikiem oraz klipsami tworzyła całość, dla której warto było umrzeć.

Tom powiedziałby na pewno, że jak na żonę senatora suknia jest stanowczo zbyt seksowna. Ronnie uświadomiła sobie z lekkim rozbawieniem, że ten jeden jedyny raz musiałyby mu przyznać rację.

Była bardzo zadowolona ze swego odbicia w lustrze zajmującym całą ścianę.

Włosy upięła w luźny francuski węzeł, z którego wysuwały się drobne pasemka opadające jej na twarz. Oczy delikatnie obrysowała kreską, a na powieki nałożyła ciemnoszary cień, którego używała, zanim w jej życiu pojawił się Tom.

Quinlan i jego świta zmusili ją do przejścia na kolory ziemi. Delikatne muśnięcia rózu podkreślały kości policzkowe, ale mlecznobiała delikatna cera Ronnie przypominała porcelanę. Usta miały ten sam krwistoczerwony kolor, co suknia.

Wiedziała, że wygląda cudownie.

Orkiestra zaczęła grać wkrótce potem, jak Ronnie wyszła z pokoju. Właśnie zapadł piękny, sierpniowy wieczór. Przyjęcie już się rozpoczynało.

Lewis jak zwykle zamierzał witać gości przed domem. Gadatliwy z natury, czuł się w tej roli jak ryba w wodzie. Dorothy również prawie na pewno czekała na nich na werandzie -pełniła honory domu równie dobrze, a może nawet lepiej od Ronnie. Marsden i Evangeline mieli krążyć wśród gości i dbać o to, aby niczego im nie zabrakło. To samo zadanie przypadło w udziale Joanie, Laurze oraz ich mężom. Urodziny Lewisa należały zawsze do najważniejszych wydarzeń w Missisipi i w miarę upływu lat obchodzono je coraz bardziej hucznie. Wszyscy członkowie rodziny otrzymywali jakąś rolę do odegrania i zwykle wywiązywali się ze swego zadania bez najmniejszego wysiłku.

A Ronnie była tu nowa. Wiedziała, że jeśli nawet zostanie w swoim pokoju, to i tak nikt nie zwróci uwagi na jej nieobecność.

W ubiegłych latach często z tego korzystała. Nie chciała znajdować się praktycznie przez cały czas pod ostrzałem spojrzeń. Nie mogła tego ścierpieć. Goście byli przecież w dziewięćdziesięciu procentach przyjaciółmi Eleanor..

Ale tego wieczoru nawet tuzin wariatek uzbrojonych w puszki z farbą nie mógłby jej zatrzymać w pokoju.

Tego wieczoru Ronnie zeszła majestatycznie ze schodów, z ręką na poręczy, szeleszcząc falbanami spódnicy i walcząc z tremą.

Tego wieczoru miała się spotkać z Tomem.

Rozdział 26

Wokalista orkiestry ryczał „Zapierasz mi dech w piersiach”, kiedy Tom ją zobaczył.

W tych okolicznościach tekst piosenki wydał mu się zabawny. Tyle że trudno o uśmiech, gdy ktoś się czuje tak, jakby kopnął go muł.

Zdecydował się przyjść, sądząc, że jest całkiem dobrze uzbrojony przeciwko Ronnie. Wystarczyło jednak, by na nią popatrzył, i już wiedział, że się pomylił.

Jedna chwila i pragnął jej aż do bólu; czuł się tak, jakby jego ciało nagle zamarło i przestało wykonywać jakiegokolwiek życiowe funkcje.

Naprawdę zapało mu dech w piersiach. Wbił wzrok w Ronnie i zapomniał, jak się oddycha.

Na chwilę zatrzymała się na podeście z jedną ręką na poręczy i popatrzyła na tłum gości. A potem zeszła ze schodów, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Reporterzy unieśli aparaty i flesze zaczęły strzelać jak spadające gwiazdy. Błyski fleszy i światło ze stu japońskich lampionów odbijało się w czerwonej sukni, zmieniając ją w palącą się pochodnię. Ronnie zaczesła włosy do góry - odsłaniały szczupłą szyję, ramiona i sporą część dekoltu.

Oczy miała ogromne i zamglone, usta szkarłatne. Na szyi i w uszach błyskały ogniki brylantów.

Ogień i lód - to była cała jej natura.

- A któż to jest? - spytała Dianę. Chyba wędrowała wzrokiem za spojrzeniem Toma, bo ona również patrzyła na Ronnie spod zmarszczonych brwi. Droga, słodka Dianę, która sama tego wieczoru wyglądała ślicznie w wąskiej atlasowej wieczorowej sukni, z jasnymi, ostrzyżonymi na pazia włosami i pastelowym makijażem.

- Pani Honneker - odparł krótko Tom, odrywając oczy od Ronnie i tego szaleństwa wokół niej. - Masz ochotę na drinka?

- Pani Honneker? - spytała ze zdumieniem Dianę, ignorując kompletnie pytanie o drinka, jakby podejrzewała, że miało ono wyłącznie odwrócić jej uwagę od tej kobiety. - Żona senatora? - upewniła się raz jeszcze, wytrzeszczając oczy, po czym skinęła głową. - No oczywiście. Nic dziwnego, że tyle o niej mówią. Na wszystkich fotografiach, jakie udało mi się obejrzeć, wygląda znacznie bardziej nobliwie.

- Najwidoczniej puściły jej dzisiaj wszystkie hamulce. - Starał się, aby te słowa zabrzmiały jak najbardziej obojętnie. Ani na chwilę nie odwrócił

głowy od swojej dziewczyny. -Chcesz zatańczyć?

Nie czekając na odpowiedź, odstawił do połowy wypitego drinka na pobliski stolik i wyciągnął Dianę na parkiet - a właściwie na jeden z trzech parkietów, które zaczęły powoli się zapęłniać.

„Zapierasz mi dech w piersiach”...

Przy Dianę nie doznawał takich wrażeń. Trzymając ją w ramionach, dotykając udem jej uda Tom nie czuł zupełnie nic. Zero. Nul.

Poza bolesnym pragnieniem Ronnie, która na szczęście zgubiła się tymczasem gdzieś w tłumie.

Zobaczył ją ponownie dopiero po dwóch godzinach. Przyłączył się wraz z Dianą do Kenny'ego i Ann, którzy zachowywali się bardziej jak obserwatorzy niż uczestnicy uroczystości. Niby to przypadkiem odciągnął ich od głównego namiotu, w którym krajano tort i wznoszono toasty - potrzebował czasu, aby ochłonąć przed spotkaniem z Ronnie.

Gdyby udało mu się wymyślić jakiś pretekst, na pewno by wyszedł. Ale nie mógł tego zrobić. Noc była ciepła i pogodna, jedzenie smaczne, muzyka wymarzona do tańca. W ogrodzie za domem ustawiono trzy ogromne białe namioty; bufet z jedzeniem mieścił się w namiocie po lewej stronie, bar w namiocie po prawej, a olbrzymi ekstrawagancki tort w środkowym. Orkiestra stała w oknie nad patio tuż przy samym domu, ale muzykę słyhać było wszędzie dzięki skomplikowanemu systemowi dźwiękowemu. Za namiotami ciągnęły się tarasy z kamienistymi drózkami, wzdłuż których rosły pięćdziesięcioletnie żywopłoty. Na wszystkich trzech poziomach znajdowały się patia. Wokół płonęły rodinalowe pochodnie, zapewniające egzotyczną atmosferę i jednocześnie ochronę przed insektami. Łososiowe, różowe i czerwone niecierpki wiły się wokół niemal wszystkich drzew i tworzyły wspaniałe fioletowe klomb w ustronnym skalnym ogródku. Mała rabatka z różami z fontanną w środku stanowiła punkt centralny kolejnego patio wykorzystanego jako parkiet.

Właśnie tam Quinlan natknął się ponownie na Ronnie. Gdy szedł jedną z pobliskich ścieżek, zatrzymał go Marsden. Stary kumpel Toma z akademika stał tam w towarzystwie swojej żony, Evangeline, pulchnej blondynki - której Tom właściwie nie znał, choć przed laty zostali sobie przedstawieni - oraz swojej siostry Joanie i jej męża.

- Tom! - Gdy Joanie porwała go natychmiast w ramiona, poczuł lekkie zdziwienie; omal się z tą kobietą nie ożenił, a ledwo ją pamiętał. Oszacował

jej wiek na jakieś trzydzieści pięć lat; włosy Joanie zachowały ciemny odcień, choć były obcięte po chłopięcemu, a nie długie jak kiedyś. Sylwetkę miała jeszcze bardziej wysportowaną i gibką.

- Świetnie wyglądasz - powiedział, gdy wypuściła go z objęć. I naprawdę tak uważał.

Otaksowała go wzrokiem.

- Ty też. Pamiętasz Syda? - dodała, zerkając na swego wysokiego, łysiejącego męża, który stał obok i uśmiechał się uprzejmie.

Tom nie pamiętał, ale skinął głową i przedstawił jej Dianę, Kenny'ego i Ann.

Trójka przyjaciół opowiadała sobie przez chwilę o swoim życiu i rodzinach, przechwalając się wiekiem i liczbą dzieci.

A potem Marsden trącił Toma łokciem, odciągając go na bok od towarzystwa.

- Chcę, żebyś na to popatrzył - powiedział cicho.

Tom odwrócił głowę we wskazanym kierunku i zamarł już po raz drugi tego dnia.

Ronnie tańczyła odwrócona do niego plecami. Papierowe lampiony rzucały na nią delikatne żółte światło. Upięte do góry ciemnorude włosy wydawały się jeszcze gęściejsze i delikatniejsze niż zwykle. Odślaniały jasną skórę szyi i pleców - zupełnie nagich, jeśli nie liczyć zapięcia brylantów na karku.

Błyszczący materiał sukni zaczynał się gdzieś pod łopatkami i opinał ciało aż do kolan, gdzie rozszerzała się kaskada falbanek. Przy każdym tanecznym kroku plecy Ronnie kołysały się zapraszająco. Tańczyła z mężczyzną, którego Tom nie potrafił dokładnie umiejscowić, choć gotów był przysiąc, że już go kiedyś widział. Mężczyzna był średniego wzrostu, krępej budowy ciała, miał krótko ścięte ciemne włosy i smoking opinający ciasno szerokie bary. Jedną ręką obejmował Ronnie w talii - zdecydowanie zbyt mocno - i patrzył na nią z niemal pożądlivym uśmiechem.

- Kim jest ten facet? - spytał Tom usiłując za wszelką cenę zachować neutralny ton.

- Senator Beau Hilley z Teksasu. Przewodniczący komisji budżetowej.

Zapewne pierwszoplanowa postać w wyścigu o nominację republikanów w 2000 roku. Możliwe, że następny prezydent Stanów Zjednoczonych. -

Marsden potrząsnął głową. - Głupi kutas. Jedenasta, a on już zdążył się wlać.

Nie masz przypadkiem wrażenia, że wygląda tak, jakby chciał zwalić moją przybraną mamusię tutaj, na podłodze?

- Chyba jest żonaty, prawda? Gdzie żona? - spytał Tom, nie próbując nawet odpowiedzieć wprost na pytanie. Choć nigdy nie pracował dla Hilleya, miał

okazję go poznać, i uczestnicząc aktywnie w życiu politycznym, siłą rzeczy wiele o nim słyszał. Hilley zrobił fortunę własnymi siłami, był zdolny, ambitny, uparty. Miał dwa główne słabe punkty: alkohol i kobiety. Oba bardzo teraz widoczne.

- Tam, z ojcem - odparł Marsden, wskazując Tomowi panią Hilley wymownym ruchem głowy.

Tom zerknął w lewo. Istotnie, Jego Ekscelencja tańczył tam z atrakcyjną blondynką w ciemnogrnatowej sukni.

- Nie do wiary! Ta suka dobierałaby się chyba nawet do drzewa z konarem na odpowiedniej wysokości.

Tom przeniósł wzrok na Marsdena. Wystarczył ułamek sekundy, aby zrozumieć, że określenie „ta suka” odnosiło się do Ronnie. A Quinlan wiedział, że nie może nic z tym zrobić.

- Odnoszę wrażenie, że ona po prostu tańczy. - Mimo iż mówił spokojnie, zabrzmiało to jak nagana, choć nie taka, na jaką by go było stać, gdyby miał

czyste sumienie.

- Rozumiem, dlaczego ojciec się z nią ożenił. Ty nie? Jeśli od tej dziwki nie bije seks, to ja nigdy nie widziałem seksu. Sam bym nią nie pogardził, gdyby nie była żoną taty.

- Ale jest. - Tom potrafił się przynajmniej pohamować na tyle, żeby mówić grzecznie. Gniew buzował mu w żyłach - gęsty i gorący jak lawa. Nieczęsto tracił równowagę, ale teraz niewiele mu brakowało do wybuchu. Zacisnął

pięści. Miał ochotę rąbnąć Marsdena, powalić go na podłogę, a potem wyjść na parkiet i zrobić to samo z lubieżnym partnerem Ronnie.

- Lepiej zacznijmy działać, zanim będzie za późno. Nie życzymy sobie problemów z Hilleyem, a w tej sytuacji nie widzę żadnego dobrego rozwiązania. Jeśli przybrana mamuska odrzuci jego zaloty, będzie wściekły.

Jeżeli nie - a myślę, że nie odmawia nikomu, kto nosi spodnie - tata dostanie szału, jak się o tym dowie. Tak czy inaczej, zupełnie nie jest to nam po-trzebne. Mamy tu świetną prasę i świetnych sponsorów.

Marsden zrobił krok w stronę parkietu. Tom położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

- Ja to zrobię - powiedział i ruszył w stronę Ronnie. Popęłniał błąd i doskonale o tym wiedział, ale nie mógł się

powstrzymać, podobnie jak nie potrafiłby powstrzymać bicia własnego serca.

Nie pozwoli, by Marsden tknął Ronnie. Nikt nie ma prawa dotykać Ronnie z wyjątkiem jego, Toma.

Deja vu - pomyślał ironicznie, klepiąc senatora po ramieniu.

- Proszę wybaczyć, panie senatorze - powiedział, gdy poczuł na sobie poirytowane spojrzenie mężczyzny. - Jest do pana pilny telefon.

- Pilny? - Hilley zmarszczył brwi i przestał tańczyć.

- Pilny - potwierdził Tom, ujmując rękę Ronnie.

Palce miała chłodne, delikatne i miękkie. Gdy ją do siebie przyciągnął, zapach tych przeklętych perfum znów wypełnił mu nozdrza.

Hilley zerknął w kierunku domu.

- Wybacz, Ronnie. Przyjmę tylko tę rozmowę i zaraz wracam. Nigdzie nie odchodź.

- Nie zamierzam, senatorze - obiecała Ronnie, wślizgując się powoli w objęcia Toma.

- Beau. Nazywaj mnie Beau.

- Beau - powiedziała, uśmiechając się do niego przez ramię, kiedy Tom wyprowadzał ją na parkiet.

- Flirtujesz z każdym mężczyzną, jakiego spotykasz? - spytał Tom pełnym napięcia głosem, gdy spotkali się wzrokiem. Jego dłoń dotykała giętkiej talii Ronnie, tors muskał jej piersi, uda stykały się z udami, co groziło pożarem ciała. Robił jednak co mógł, aby ukryć swe uczucia przed - jak mu się wydawało - całą galerią zainteresowanych obserwatorów.

- Zazdrosny? - spytała, unosząc prowokująco brwi.

- Owszem - odparł, zdziwiony, że dobrowolnie się do tego przyznał. To słowo oznaczało kapitulację, zdał sobie dokładnie z tego sprawę już w chwili, gdy je wypowiedział. Zacisnął rękę na plecach Ronnie, palce zagłębiły się w cienki materiał sukni, aby wyczuć jej skórę. Całym wysiłkiem woli powstrzymał się, by jej nie objąć. Musiał znów przypomnieć sobie o tym, że nie są sami.

I niezależnie od tego, co czuł, nie mógł jej tego okazać. Dla dobra Ronnie i swego własnego dobra.

- Dobrze - powiedziała. A potem uśmiechnęła się wolno i z tą dręczącą słodyczą, patrząc mu prosto w oczy. - Jak się masz, Tom?

Ten uśmiech przysporzył mu więcej bólu niż pięść wbita w żołądek. Mógł

jedynie nie przerywać tańca.

- Witaj, Ronnie. Nadal jesteś na mnie wściekła? Potrząsnęła głową.

- Tęskniłam za tobą.

- Myślałem, że Kenny nigdy cię nie krytykuje.

- Bo nie krytykuje. Ale i tak tęskniłam.

- Cieszę się, że to słyszę. - Obrócił się wraz z nią tyłem do gapiów w obawie przed tym, co bystry obserwator mógłby wyczytać z jego twarzy. - Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję. Nie sądzisz, że ta suknia jest zbyt seksowna? Uśmiechnął się i otaksował ją wzrokiem.

- Oczywiście, że tak sądzę.

- Ale nie będziesz na mnie wrzeszczał?

- Zrobiłem sobie wolny wieczór.

- Ach tak. - Urwała. - Naprawdę był telefon do senatora? -Nie.

- Tak też myślałam. - Znów się do niego uśmiechnęła. Tom zajrzał jej w oczy i poczuł skurcze żołądka. Nie chodziło o to, że Ronnie jest piękna - choć była

- i nie o to, że jej pragnął, choć pragnął bardzo mocno. Czuł się tak, jakby ta kobieta należała wyłącznie do niego, co oczywiście nie miało nic wspólnego z rzeczywistością.

- Cała banda ludzi widziała, jak tańczyłaś z Hilleyem, i mogę się założyć nawet o rancho, że teraz z kolei patrzą na nas. Więc bądź ostrożna - ostrzegł, choć tak naprawdę pragnął jedynie porwać ją w ramiona i całować do nieprzytomności.

- Mam dość uważania.

- Niestety to jest czasem konieczne.

- Dlaczego wyjechałeś?

Zaśmiał się, bardziej smętnie niż z rozbawieniem. Mógł wprawdzie powiedzieć, że tego wymagały jego rozkwitające interesy, ale to nie byłaby prawda. Przynajmniej nie do końca. I Ronnie wiedziała o tym równie dobrze jak on.

- Znasz odpowiedź.

- Dlaczego wróciłeś?

- Bo nie mogłem się powstrzymać. - Ledwo zdążył to powiedzieć, a już zrozumiał, że tak właśnie wygląda prawda. Wcale nie kontrolował swoich uczuć, choć usiłował sobie wmówić, iż skorzystanie z zaproszenia niczym mu nie grozi. Przyjęcie stanowiło dla niego jedynie pretekst, a tak naprawdę nie potrafił już żyć z dala od Ronnie. Musiał ją znów zobaczyć.

- Przeprowadziłeś dziewczynę.

Ronnie nawet nie spojrzała w stronę Diane, przynajmniej Quinlan niczego takiego nie dostrzegł, a odkąd znalazł się z nią na parkiecie, ani jeden oddech tej kobiety nie uszedł jego uwagi. Ronnie musiała jednak zauważyć Dianę na długo przedtem, zanim Marsden zaczął komentować jej taniec z Hilleyem, toteż zapewne flirtowała z senatorem głównie po to, by wzbudzić zazdrość Toma.

- Zazdrosna? - spytał, powtarzając jej pytanie. -Tak.

- To dobrze. - Odpląnął wraz z nią w tańcu jak najdalej od galerii, uśmiechnął

się i ścisnął mocniej jej dłoń.

- Bardzo atrakcyjna, naprawdę.

- Dziękuję.

-I dobrodusznie wygląda.

- Bo jest dobroduszna.

- Pewnie też bardzo miła.

- Owszem.

- Zamierzasz ją poślubić?

Zmrużył oczy.

- A jak myślisz?

- Sądzę, że popełniłbyś wielki błąd.

- A to dlaczego?

- Bo ona cię nie bierze. - Patrzyła na niego ciepło, pieszczotliwie. Lekki uśmiezek uniósł kąciki warg. I choć ręka, którą trzymała mu na ramieniu, spoczywała dokładnie we właściwym miejscu, jej dotyk zdawał się palić żywym ogniem materiał smokingu i koszuli.

- Skąd wiesz?

- Czyżbym się więc myliła?

- Nie odpowiem ci na to pytanie.

- Na pewno cię nie bierze. - Opuściła powieki, a potem znów spojrzała mu prosto w oczy. Spotkali się wzrokiem.

- Mów prawdę, Tom. Po prostu go zabijała.

- Czy możemy zmienić temat?

- Dlaczego?

- Bo ona nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

- To znaczy z nami?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- A jesteśmy jacyś „my”?

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Ale wcale się z tego nie cieszysz.

- Kiedy jako dzieciak złapałem ospę, też się nie cieszyłem, ale nie mogłem na to nic poradzić. Pozostało mi drapanie.

- Porównujesz mnie do ospy? - spytała z uśmiechem.

- Jesteś gorsza. Ospa trwała tydzień.

- Tom. - Zmieniła nieco ton i zmarszczyła czoło. - Tak?

- Idzie Lewis. Chyba chce się zamienić na partnerki. Zaborczym gestem posiadacza objął ją jeszcze mocniej, ale

nie mógł wpłynąć na rozwój wydarzeń.

Musiał oddać kobietę, której pragnął, jej własnemu mężowi. A w dodatku uczynić to z uśmiechem.

Rozdział 27

Tom wypuścił Ronnie z objęć i uśmiechnął się do pani Hilley, choć Lewis właśnie wziął żonę w ramiona. Ledwo jednak zdążyli wykonać dwa taneczne kroki, muzyka umilkła. Ronnie na szczęście oderwała się od Lewisa i odeszła na bok, tam, gdzie stały dzieci Lewisa z Kennym, jego żoną i dziewczyną Toma.

Tom szedł za Lewisem. Ronnie nie musiała się nawet oglądać, aby to zauważyć. Wyczuwała jego obecność koniuszkami nerwów.

Dziewczyna okazała się ładna - Ronnie zresztą niczego innego się nie spodziewała. Miała na sobie jasnoniebieską satynową suknię z niewielkim dekoltem i prostą spódnicą do kostek. Kreacja - mimo iż bez rękawów - nie odsłaniała zbyt wiele ciała. Przyozdabiał ją sznur pereł. Jasne włosy ostrzyżone na pazia sięgały podbródka, nos był mały, podbródek kwadratowy. Za największy atut swej rywalki Ronnie uznała usta, za jej najśłabszy punkt - niezbyt duże oczy. Stały zbyt daleko od siebie, by zdołała ocenić ich kolor, ale mogła się założyć, że są niebieskie.

Niebieskooka blondynka w niebieskiej sukni. Bezpieczna, przewidywalna i nudna.

Tom zasłużył sobie stanowczo na kogoś lepszego.

Żona Kenny'ego też miała jasne włosy, ale dłuższe i bardziej kręcone, pasujące do jej obfitych kształtów. Jej kreacja na ramiączkach, z rozkloszowaną spódnicą, składała się wyraźnie z dwóch części: czarnej góry i białego dołu. Pani Goodman wyglądałaby na pewno lepiej w swojej kreacji, gdyby kolory ułożono odwrotnie. Kenny mówił do niej coś, co wyraźnie ją bawiło. Rękę trzymała

zaborczo na ramieniu męża.

Marsden patrzył na Ronnie i ojca z krzywym uśmiechem i błyskiem w oku.

Ronnie doskonale wiedziała, co on o niej sądzi - zdawała sobie również sprawę z tego, że pasierb chętnie by się z nią przespał.

Wydawało się to jednak równie prawdopodobne jak przybycie kosmitów.

Ronnie gardziła Marsdenem tak samo głęboko, jak on nią. Nie, nawet bardziej, gdyż w najmniejszym stopniu go nie pożądała.

Żona Marsdena, Evangeline - dzielająca zdanie męża we wszystkich kwestiach - na widok Ronnie zmarszczyła swój mały, kartoflowaty nosek, zupełnie tak, jakby wyczuła jakiś niemiły zapach.

W spojrzeniu Syda krył się szczerzy, niemy podziw, Joanie zerknęła na nią zazdrośnie, a potem, gdy przeniosła wzrok na Toma, w jej oczach błysnęła podejrzliwość. Ronnie pamiętała, że Joanie i Tom byli kiedyś zaręczeni. Być może córka Lewisa pozostała szczególnie uwrażliwiona na punkcie eksnarzeczonego. Może nawet wyczuwała to szczególne napięcie, te iskry, jakie przeskakiwały z Toma na Ronnie? Iskry tak gorące, że w powietrzu niemal unosił się śwąd.

Lewis dogonił żonę w chwili, gdy już dołączyła do grupy. Kiedy objął ją w talii, miała ochotę strząsnąć jego rękę, ale zwalczyła z uśmiechem tę pokusę.

Doszło do tego, że ledwo mogła ścierpieć jego dotyk.

- Witaj, tato. - Joanie położyła ojcu rękę na ramieniu i cmoknęła go w policzek. - Przykro mi, że nie widziałam krojenia tortu. Ale i tak życzę ci wszystkiego, wszystkiego najlepszego

- Dziękuję, kochanie. Gdzie się podziewałaś?

Lewis miał wiele wad jako mąż, ale wszystkie swoje dzieci traktował bardzo troskliwie i czule. Naprawdę kochał całą swoją trójkę i mógł liczyć na ich wzajemność.

- Carter znowu zachorowała na zapalenie ucha. Wiesz, jak to jest z maluchami.

Czteroletnia Carter była córką Joanie.

- Biedactwo.

- Poznałaś już panią Hilley? - spytał Tom, podchodząc swobodnie do Dianę.

Stał dokładnie na wprost Ronnie - choć na nią nie patrzył - i trzymał rękę na łokciu dziewczyny.

Ronnie zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego aż tak bardzo ją to razi.

Wszyscy przywitali się z panią Hilley.

- Dianę, Ann - poznajcie pana senatora i panią Honneker. To Dianę Albright i żona Kenny'ego - Ann Goodman - kontynuował prezentację Tom.

- Bardzo mi miło. - Ronnie uściśnęła im dłonie.

- A więc to jest dama twojego serca. - Przywitawszy się z Ann, Lewis otaksował wzrokiem Dianę. - Widzę, że masz świetny gust - dodał, odwracając się do Toma.

- Dziękuję, senatorze - odparła Dianę ze śmiechem. Tom wykrzywił tylko wargi.

Zupełnie wbrew własnej woli - Quinlan absolutnie na to nie zasługiwał -

Ronnie poczuła nagłe ukłucie zazdrości.

- Świetnie mi się pracowało z pani mężem - powiedziała do Ann.

- Mówi tak, bo jestem ciepłe kluchy - zachichotał Kenny.

- Bardzo miłe ciepłe kluchy - dodała Ronnie.

- Ale za to Tom to prawdziwy twardziel - odezwał się Lewis.

- Dlatego go zatrudniliśmy - przypomniał Marsden.

- Ja opisałbym siebie chyba nieco inaczej - powiedział Tom.

- Zapytajmy Ronnie. - Joanie popatrzyła złośliwie na macochę. - Jak sądzisz?

Tom to twardziel?

Joanie najwyraźniej coś knuła. Ronnie dałaby wiele za to, by wiedzieć, czy córka Lewisa czegoś się domyśla. Zerknęła na Toma, zastanawiając się nad pytaniem Joanie. Nie potrafiła zachowywać się swobodnie w jego towarzystwie. W czarnym smokingu wyglądał niezwykle apetycznie - jasne włosy lśniły mu tak pięknie w świetle latarni, oczy były bardziej niebieskie niż zwykle. Z wyrazu jego twarzy nie potrafiła nic odczytać - może jedynie lekkie napięcie i ostrożność.

Bardzo pragnęła się do niego uśmiechnąć, ale pokonała tę chęć.

- Zdecydowanie tak - odparła stanowczo, świadoma, że jakiegokolwiek wahanie byłoby poważnym błędem.

Skrzywił lekko usta.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Ich spojrzenia zetknęły się na chwilę, a potem Tom skierował całą swoją uwagę na panią Hilley,

wypytyując ją uprzejmie o rodzinę.

Ronnie popatrzyła na panią Goodman.

- A pani mąż to wcale nie żadne ciepłe kluchy, tylko dżentelmen w każdym calu.
- To on nam wtrynił tego przekłętą kundla - mruknął Lewis.
- Dał wam psa? - zdziwiła się Ann.
- Wielkiego brytana. Ten zwierzak ma na imię Davis, ale Ronnie naprawdę go lubi.

Na widok przerażonej miny Ann, Ronnie wybuchnęła śmiechem.

- Jestem bardzo wdzięczna Kenny'emu za Davisa. Chyba gdzieś tutaj biega.
- Zamknąłem go w piwnicy - odezwał się Marsden.
- Selma twierdzi, że interesował się bufetem.
- Selma na pewno ma rację. - Ronnie śmiała się i gawędziła, ale była dojmująco świadoma obecności Toma, stojącego nie dalej niż metr od niej.

Od czasu do czasu Quinlan zerkał w jej kierunku. Przez krótką chwilę czuła na sobie żar tego spojrzenia, a potem zwracał się ponownie ku pani Hilley.

Ani na sekundę nie przestawał ścisnąć łokcia Dianę. No ale w końcu Lewis obejmował ją w tali.

Wiele dałaby za to, by wiedzieć, czy Toma to denerwuje. Ona nie mogła patrzeć na tę dłoń na łokciu Dianę.

- Psa wymyślił Tom. Ja tylko wykonałem brudną robotę - rzekł Kenny.
- On zawsze potrafił wrabiać ludzi w brudną robotę - mruknęła Joanie i popatrzyła na Marsdena z uśmiechem. - Pamiętasz, jak zgubił notatki z chemii przed egzaminem? Musiałeś dzwonić do profesora i kłamać, że pojechał do domu, bo jego matkę potracił samochód i umiera?
- Oczywiście, że pamiętam - zaśmiał się Marsden.
- Nie zaczynajcie opowiadać o szkole, bo zaraz się wam zrewanżuję.

Cała trójka wymieniła znaczące spojrzenia, a potem uśmiechy.

Ronnie natychmiast sobie uświadomiła, że Marsden i Joanie są przecież starymi przyjaciółmi Toma, o czym zdarzało się jej zapominać.

O czym wolą zapomnieć.

- Znasz Toma tak długo? - spytała grzecznie Dianę.

- Dziesięć lat. Pracowałam kiedyś z... - urwała, patrząc przeproszająco na Toma.

- Sandrą - dokończył sucho. - Wszystko w porządku, Dianę. Możesz mówić o mojej byłej żonie.

Ronnie nie wiedziała, że eks-małżonka Toma miała na imię Sandra. Ogarnęła ją nagle nieposkromiona ciekawość.

- A czym się zajmujesz?

- Uczę w czwartej klasie.

- Fascynujące. - Tak więc puszczańska żona była nauczycielką.

- Nieszczerólnie. Dwadzieścia troje trzynastolatków może wykończyć. Mam nadzieję, że wkrótce przejdę na emeryturę.

- Naprawdę?

Miała ochotę spytać, czy zaraz po ślubie, ale ugryzła się w język. Wiele jednak dałaby za to, by wiedzieć, czy Dianę wiąże z Quinlanem swoje plany matrymonialne.

Wystarczyło jedno spojrzenie na dłoń Toma spoczywającą swobodnie na łokciu Dianę, by poznać odpowiedź. Tę parę łączył najwyraźniej długoletni związek.

Orkiestra znowu zaczęła grać.

- Lucy, masz ochotę potańczyć? - zwrócił się Lewis do pani Hilley.

- Dziękuję, z przyjemnością. Było mi bardzo miło was poznać. - Pani Hilley uśmiechnęła się do nich i poszła z Lewisem do patio.

- Przepraszam, że poruszam ten temat, ale ty, Joanie i Ronnie powinniście raczej krążyć wśród gości - powiedział Tom do Marsdena. - To dla was pracowity wieczór.

- Masz rację. - Marsden rzucił przelotne spojrzenie na siostrę i zwrócił się do żony: - Chodź, Evangeline, zobaczymy, czy uda się nam wypełnić kilka urn wyborczych. - Ujął ją za rękę i odciągnął od zebranych. - Do zobaczenia później.

- Takie przyjęcie to ciężka praca - westchnęła Joanie. - Koniec zabawy, Syd, ruszamy na podbój gości.

Ronnie została ze swymi doradcami politycznymi i ich towarzyszkami. Ann nuciła melodię graną przez orkiestrę.

- Zatańczmy, kochanie - zaproponował Ken i ze zdawkowym

„przepraszamy” pomknęli na parkiet.

Tom zerkał na Ronnie ponad głowę Diane. A Ronnie potrafiła czytać w jego oczach. Pragnął tańczyć z nią, ale zamierzał poprosić Diane.

Ty tchórze - powiedziała mu wzrokiem, po czym znów popatrzyła na dziewczynę Quinlana.

- Bawcie się dobrze. Ja muszę pójść na chwilę do domu. Mam straszną migrenę.

Znów zerknęła na Toma.

- To śmieszne, ale zawsze podczas przyjęć szukam chwili wytchnienia w swoim gabinecie.

Tom zrozumiał, co chce mu przekazać. Wiedziała o tym doskonale.

Dostrzegła to wyraźnie w jego oczach. Problem polegał jedynie na tym, czy Quinlan skorzysta z tego zakamuflowanego zaproszenia. Na pewno pragnął

zostać z nią sam tak bardzo jak ona z nim.

- Miło mi było panią poznać, pani Honneker - powiedziała Diane.

- Ronnie - poprawiła z uśmiechem. - Mnie również było miło. Przyjaciele naszych przyjaciół i tak dalej...

Nie dokończyła. Uścisnęła dłoń Diane i uśmiechnęła się do niej, zerknęła na Toma i ruszyła w stronę domu.

W kuchni zamieniła kilka słów z dostawcami żywności, którzy nerwowo uzupełniali tace pod czujnym okiem Selmy, i nalała sobie szklankę wody.

- Wspaniałe przyjęcie - powiedziała Selma z uśmiechem. - Orkiestra naprawdę świetnie gra.

- Powinnaś wyjść i potańczyć - powiedziała Ronnie.

- Już tańczyłam. I pójdę jeszcze raz. Najpierw muszę się tylko upewnić, że krewetki są zimne, a biskwity gorące. Ostatnim razem ci kretyni zamienili tace i położyli krewetki na gorącym talerzu.

- Coś podobnego. Jakie to szczęście, że znalazłaś się na miejscu - powiedziała Ronnie kończąc wodę i odstawiając szklankę.

- Mam na wszystko oko, proszę się nie martwić - powiedziała stanowczo Selma, a Ronnie z uśmiechem wyszła z kuchni.

Na korytarzu ani na schodach nie spotkała ani żywej duszy. Nucąc pod nosem ruszyła na górę i znów poczuła, że zaczyna się denerwować.

Co by zrobiła, gdyby Tom nie przyszedł?

Usłyszała szcęk frontowych drzwi i męskie głosy. Spojrzała na dół i dostrzegła Lewisa oraz Beau Hilleya idących w stronę gabinetu Lewisa mieszczącego się we wschodnim skrzydle domu. Obaj mężczyźni byli pogrążeni w żywej dyskusji, ale Ronnie nawet nie próbowała ich słuchać, gdyż nie interesowało jej nic z tego, co mogli sobie ewentualnie powiedzieć.

Unosząc spódnicę, pobiegła po schodach na górę.

- Ronnie, kochanie, czy to ty? - zawołał Lewis. Przyłapana na gorącym uczynku mogła jedynie uśmiechnąć

się do dwóch panów, którzy właśnie się zatrzymali, aby na nią popatrzeć.

- Muszę tu czegoś dopilnować. Dobrze się pan bawi, senatorze?

- Beau - poprawił Hilley i rozciągnął usta w uśmiechu. Ronnie wiedziała doskonale, co oznacza ten wyraz twarzy i zupełnie jej to nie podobało. Ale nie przestawała się uśmiechać. Pijany lubieżny Hilley pozostawał potężnym, ważnym senatorem i przyjacielem jej męża. Dopóki tylko patrzył i trzymał

ręce przy sobie, mogli zachować przyjacielskie stosunki.

- Beau - powtórzyła.

- Tak jak mówiłem już Lewisowi, to było naprawdę okropne: kiedy tutaj doszedłem, okazało się, że nikt nie dzwonił. Nikt nic na ten temat nie wiedział. Ten facet będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

- Pewnie coś mu się pomyliło - powiedziała Ronnie. - Jeśli mi wybaczycie, zostawię was, żebyście mogli dokończyć dyskusję.

- Rozmowa zajmie nam najwyżej parę minut. Potem możemy wrócić razem na przyjęcie. Orkiestra jest naprawdę wspaniała - kusił Hilley. - Mówiłeś kiedyś żonie, że tylko nudziarze harują jak woły?

- Wielokrotnie - odparł Lewis.

- To naprawdę urocze z twojej strony, że tak się o mnie martwisz, Beau. - Tak naprawdę uważała go za idiotę, ale może Hilley zachowywał się w ten sposób tylko po alkoholu. Mając na względzie dobro ojczyzny łudziła się w duchu, że zapewne właściwie ocenia sytuację.

- Muszę tu chwilę zostać. Spotkajmy się - powiedzmy - za godzinę. Na parkiecie. Tym, gdzie przedtem tańczyliśmy.

- Umowa stoi - powiedział Hilley i zerknął na zegarek. Promieniał. - W takim razie dwunasta trzydzieści. Nie zapomnij.

- Nie zapomnę - obiecała Ronnie przez ramię i weszła na schody. Lewis i Hilley ruszyli w stronę gabinetu Lewisa. Idąc w przeciwnym kierunku słyszała ich zamierające głosy.

Wspaniale - pomyślała - jak tylko się tu zjawi Tom, będziemy musieli sobie poszukać innego miejsca. Lewis i Hilley mogliby zacząć jej szukać i złapaliby ich na gorącym uczynku. Za duże ryzyko.

Dotarła do gabinetu, zamknęła drzwi i oparła się o nie, przymykając oczy.

Była zmęczona, spięta, szczęśliwa, zdenerwowana.

Czy Tom przyjdzie?

Boże, tak bardzo pragnęła, by przyszedł.

Nawet przez zamknięte okna docierały do niej dźwięki muzyki. Blask przyjęcia przyciągnął ją do okna. Nie włączyła światła, więc mogła obserwować przyjęcie bez ryzyka, że zostanie zauważona. Dzięki lampionom rozwieszonym za domem ogród przypominał bajkową krainę. Rodinalowe pochodnie migotały charakterystycznym blaskiem. Kobiety w wieczorowych sukniach i mężczyźni w smokingach spacerowali po krzyżujących się alejkach, tańczyli w patiach lub kłębili się wokół namiotów. Dwaj kelnerzy znosili dwie ogromne tace ze schodów wiodących z trawnika na werandę.

W

chwile później Ronnie dostrzegła Selmę idącą za nimi wojowniczym krokiem.

Uśmiechnęła się do siebie. Selma pilnowała dostawców, a Lewis, jego matka i dzieci zajmowali się gośćmi, tak więc nikt nie mógł dostrzec jej nieobecności. Przez całą noc mogła robić, co chciała.

Z korytarza dotarł do niej odgłos cichych kroków. Odwróciła się od okna.

Jedną ręką ścisnęła zasłonę, a serce waliło jej jak młotem.

Kroki stawały się coraz głośniejsze, a następnie umilkły przed drzwiami, które Ronnie zostawiła otwarte. Klamka poruszyła się lekko, na podłodze gabinetu rozlała się nieforemna świetlna plama. W drzwiach zamajaczyła wysoka sylwetka mężczyzny.

Z uśmiechem puściła zasłonę i ruszyła w jego kierunku.

Czas rozmów minął.

Rozdział 28

Gdy Tom szedł w stronę domu, orkiestra właśnie zaczęła grać nową melodię.

Quinlan uśmiechnął się gorzko. Najwyraźniej między nim a wokalistą zespołu istniało jakieś kosmiczne powiązanie.

W takt zmysłowej melodii solista zawodził tęsknie o miłości, a Tom poczuł, że jego ciało zaczyna reagować na ten gorący rytm.

Poddał się całkowicie i kompletnie, bez walki, gorącej potrzeby, która pulsowała mu w żyłach - magii ciepłego wiatru, gwiazdzistej nocy i czarowi kobiety.

Niech diabli wezmą skrupuły moralne - myślał. Tego wieczoru Quinlan nie potrafił nad sobą zapanować.

Zamierzał wziąć to, czego pragnął, i nie dbać o konsekwencje.

Sama myśl o Ronnie wywoływała uśmiech na jego ustach i ból w lędźwiach.

Przyspieszył kroku.

- Cześć, Tom! - zawołała do niego Thea idąca dróżką prowadzącą z werandy w dół. Tom znajdował się już jednak w bardzo niewielkiej odległości od drzwi wejściowych i jakieś sto metrów od Thei, toteż pomachał jej tylko ręką, nawet się nie zatrzymując.

Thea miała na sobie obcisłą czarną suknię, wyszywaną cekinami i obszytą czymś, co przypominało pióra. Była najwyraźniej rozochocona.

Wiedział, że mógłby ją mieć w łóżku w ciągu dwudziestu minut. Wystarczyło pstryknąć palcem.

Żadnych problemów

moralnych, poważnych konsekwencji rujnujących życie, żadnych więzi.

Jedynie staroświecki, zwyczajny, miły seks.

Tylko że on nie miał na to ochoty. Poza tym Thea zupełnie go nie podniecała.

Zresztą nigdy się nią zachwycał. Nie byłaby w stanie rzucić na niego czarą.

Dianę również nie.

Nie potrafiła tego żadna kobieta oprócz Ronnie.

Uległ jakiejś dziwnej, poważnej chorobie.

Gorszej niż ospa wietrzna.

Ale przynajmniej - myślał, biegnąc po schodach do domu - Thea znalazła sobie towarzystwo. Nawet gdy do niego machała, była kurczowo uczepiona jakiegoś faceta. I to miało swoje zalety. Tom bardzo by nie chciał, by Ann zaczęła się czegoś domyślać.

Sam zamierzał właśnie aktywnie uczestniczyć w łamaniu przysięgi małżeńskiej, a potępił przyjaciela za zdradę żony. Dostrzegał absurdalność całej tej sytuacji.

I nawet nie próbował sobie wmówić, że jego ewentualny romans z Ronnie to zupełnie co innego.

Było to po prostu pożądanie - równie pierwotne jak siły natury i równie nieokiełznane.

Pragnął jej, ona pragnęła jego. Gdy przebywali blisko siebie, przeskakiwały między nimi iskry.

Wiedział, że postępuje jak łajdak, ale nie mógł już dłużej ze sobą walczyć.

Zresztą po co? I tak już przegrał. Lub zwyciężył - w zależności od interpretacji. W obu przypadkach zabrakło mu tego, czego potrzebował, aby odejść.

Wszedł do domu głównym wejściem, rozejrzał się i stwierdził, że jest sam.

Znał drogę do gabinetu Ronnie, toteż pobiegł szybko na górę.

Już nawet nie zamierzał rozpoczynać rozmowy. Chciał tylko porwać ją w ramiona i całować do upadłego, i...

Przyspieszył kroku. W sekundę później usłyszał przytłumiony krzyk oraz łoskot, zupełnie jakby coś spadło na ziemię. Niewiele myśląc rzucił się na oślep w tamtym kierunku.

Drzwi do gabinetu Ronnie były otwarte. Do środka wpadało jedynie światło z korytarza, poza tym w pokoju panowały ciemności. Najpierw dostrzegł błysk lśniącej czerwieni, a następnie stopy w

atłasowych sandałkach na wysokich obcasach wierzgające wściekle w powietrzu.

Tom pojął w lot, co się dzieje, i ruszył na ratunek. Jakiś napalony dupek -

mógł się założyć, że Beau Hilley - przewrócił Ronnie na blat biurka i całował, gmerając jednocześnie przy staniku jej sukni. Ona natomiast robiła wszystko, by mu się wyrwać - jedną ręką okładała go po plecach, drugą ciągnęła za włosy.

Quinlan doświadczył żądy krwi zaledwie parę razy w życiu.

Teraz jednak znów wstąpiły w niego mordercze instynkty.

Nie wyrzekł ani słowa, chwycił tylko niedoszęłego gwałciciela jedną ręką za spodnie, drugą za kołnierz i odciągnął od Ronnie. A potem odwrócił go twarzą do siebie i rąbnął takim prawym sierpowym, jakiego nie powstydziliby się nawet Mike Tyson.

Jego ofiara wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i upadła jak kamień na podłogę.

- Tom! - Ronnie błyskawicznie znalazła się w jego ramionach, czyli dokładnie tam, gdzie być powinna. Przywarła do niego ciasno, słyszał jej urywany oddech. Tulił ją mocno, całował ucho, szyję i szeptał słodkie uspokajające słówka, wdychając ulotny, erotyczny zapach.

A potem przyjrzał się uważnie mężczyźnie leżącemu na podłodze i zamarł.

- Chryste Panie! - wykrzyknął, odkładając chwilowo na później wszelkie obowiązki wobec kobiety, którą pieścił. Przez głowę przelatywało mu jednocześnie tysiące myśli. A pierwsza i najważniejsza była taka, że właśnie znokautował senatora Lewisa Honnekera IV w jego własnym domu tylko za to, że nieszczęśnik próbował wypełnić swe małżeńskie obowiązki.

- Co takiego? - Nie wypuszczając Toma z objęć, Ronnie popatrzyła na niego pytająco.

- To twój mąż - powiedział Quinlan takim tonem, jakby Ronnie sama o tym nie wiedziała. Trzymał ją nadal w ramionach, ale jego uścisk zdecydowanie zelżał.

- No tak. Jednak wiedziała.

- To co się tutaj w takim razie, u diabła, dzieje? - spytał ostro; w jego głosie wyraźnie brzmiał gniew pomieszany ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli? - spytała charakterystycznym, złowróbnym tonem, który Tom już niejednokrotnie słyszał. Ronnie wyraźnie traciła cierpliwość.

Jeśli tak, nie była osamotniona, bo Tomowi też niewiele brakowało. Nie lubił

czuć się jak głupiec, albo co gorsza - wesz. A w takiej sytuacji musiał zostać uznany za jedno lub drugie.

Kiedyś mu się wydawało, że Ronnie mści się na nim za zdradę niewiernego męża, ale nie poświęcił tej myśli nadmiernej uwagi. Żadna kobieta nie potrafiłaby wykrzesać z siebie tak gorących iskieł ot tak, na zamówienie.

Najwyraźniej jednak popełnił błąd w rozumowaniu.

- Jak to zaplanowałaś? On miał cię nakryć ze mną, czy odwrotnie: ja z nim? A może po prostu wolałaś zapomnieć o zaproszeniu?

- Co takiego?

Zaniemówiła na chwilę i wybełkotała coś niezrozumiale.

- Nie rozumiesz, że on mnie zaatakował?

- On jest twoim mężem - odparł lodowato Tom. Wywinęła się z jego uścisku.

Senator drgnął i jęknął. Tom

mimowolnie złapał się za rękę: bolały go kłykcie. Ronnie zerknęła na męża i znowu na Toma.

- Żegnaj - powiedziała słabo, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Senator przetoczył się na bok i usiadł, kręcąc ze zdumieniem głową.

Quinlan nie wiedział, czy ma gonić Ronnie, czy też raczej wspomóc mężczyznę leżącego na podłodze. W końcu doszedł do wniosku, że powinien się najpierw zatroszczyć o poszkodowanego, więc przyklęknął na podłodze obok Lewisa.

Obrażonej Ronnie nie groziło żadne niebezpieczeństwo; natomiast senatorowi mogła rzeczywiście stać się krzywda: nie należał do młodzieniaszków, a otrzymał naprawdę mocny cios.

Quinlan czuł się jak największy idiota na świecie.

- Bardzo mi przykro, panie senatorze. Nic panu nie dolega?

- Czy to ty, Tom? - Lewis zamrugął nieprzytomnie oczyma. Był pijany. Bił

od niego mocny zapach alkoholu.

- To ja, senatorze. Może pan poruszyć szczęką? - Zmrużywszy oczy, szukał

śladów obrażeń na twarzy mężczyzny.

- W ogóle przestała mi dawać. - Senator pomacał obolały podbródek i wysunął ostrożnie szczękę. - Już od roku. Ma nawet osobną sypialnię. Do jasnej cholery, co ona sobie właściwie myśli? Że niby po co się z nią ożeniłem? Tom opadł na pięty.

- Nie chce panu dać? - powtórzył ostrożnie.

- Wygląda na napaloną, prawda, chłopcze? Ty też się do niej ślinisz. Tak jak wszyscy faceci. Łącznie ze mną. Ale ona jest zimna, zimna jak lód. Nie popuści. Nawet próbowałem, próbowałem ją błagać. Ale to nic nie pomaga.

Nie mów Marsdenowi, że się skarżyłem, dobrze? - Zrobił nagle zmartwioną minę.

- Nie powiem - obiecał Quinlan, przesuwając dłonią po szczęce senatora.

Wyczuwał tam wyraźnie początki opuchlizny, lecz kość wydawała się nienaruszona.

- Mam do niej prawo. Próbowałem jej to tłumaczyć, ale ona mówi, że jak ją będę zmuszał, to ode mnie odejdzie. W ten sposób trzyma mnie w szachu, bo wie, że nie mogę sobie pozwolić na rozwód. Przez ten ostatni o mało nie skończyłem kariery. Sam zresztą wiesz.

- Chyba nie wolno panu jej zmuszać - powiedział ostrożnie Tom. - To się nazywa gwałt.

- Do diabła, nie można przecież zgwałcić własnej żony.

- Czasy się zmieniły. Prawo również. Nie znaczy nie, nawet w ustach żony.

Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Słyszał kto kiedy podobne bzdury? - Senator rozmawiał teraz z Quinlanem jak mężczyzna z mężczyzną. - Chyba dobrze się stało, że wszedłeś akurat wtedy, kiedy wszedłeś, bo zamierzałem właśnie wziąć to, po co się z nią ożeniłem. A ona ma taki temperament, że pewnie by mnie zastrzeliła albo wezwałaby policję i kazała mnie aresztować. Już sam nie wiem, co bym wolał. Co za skandal. Orde pożarłby mnie żywcem.

- Da pan radę wstać, senatorze? - Tom podniósł się z podłogi i podał mu rękę.

Senator trzymał się na nogach nie całkiem pewnie, ale miało to raczej związek z alkoholem niż ciosem otrzymanym od Quinlana.

- Chyba straciłem ochotę na wszelkie przyjęcia. Pójdę się położyć. - Senator poruszył szczęką i skrzywił się niemiłosiernie.

- Na pana miejscu nie zmuszałbym już żony - powiedział Tom, puszcżając jego ramię.

Lewis szedł dostojnym krokiem w stronę korytarza. Od czasu do czasu jednak potykał się lekko.

- Pewnie, że nie będę - odparł ponuro. - Ale powiedz, co może zrobić facet na moim miejscu. Żona nie chce, a jak pismaki zwęszą kochankę, nie zostawią na tobie suchej nitki. Ten, kto twierdzi, że ten świat należy do mężczyzn, nie ma pojęcia o życiu.

- Zgadzam się z panem, senatorze. - Tom poszedł za nim do sypialni, gdzie starszy pan natychmiast

padł na kapę, nawet nie zdejmując jej z łóżka. Po niespełna minucie już głośno chrapał. Tom patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu, po czym rozwiązał mu muszkę i ściągnął buty. Uczyniwszy wszystko, co w jego mocy, by Lewisowi było jak najwygodniej, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Pogrążony w zadumie ruszył w stronę schodów. O mało nie przyprawił

rogów mężczyźnie, który zawsze był dla niego bardzo dobry i nawet zaproponował mu pracę, gdy jej potrzebował, mężczyźnie, który zawsze stanowił dla niego wzór.

A z drugiej strony mężczyzna ten zdradzał żonę, a co gorsza, chciał przed chwilą ją zgwałcić.

Chciał zgwałcić kobietę, której pożądał Tom.

Jak on mógł się wplątać w taką aferę?

Szedł po schodach zatopiony w rozmyślaniach.

Tak czy siak tkwił teraz w tym bagnie po uszy.

To, co było między nim a Ronnie, nie chciało się skończyć.

Mógł odejść, ale nie potrafił się trzymać z daleka.

Nawet przy najlepszej woli. I nie na zawsze. Nawet gdyby wyjechał dziś wieczorem, wróciłby za tydzień.

Tyle o sobie wiedział.

Próbował już uciekać, ale nigdzie daleko nie wylądował. Wpadł raczej z deszczu pod rynnę. Pozostawało mu jedynie zachować maksimum rozsądku.

Przede wszystkim on i Ronnie musieli porozmawiać.

Gdy już wyciągnął ten prosty wniosek, wyszedł przez frontowe drzwi prosto w pachnącą noc. Po jego prawej stronie, za stuletnią magnolią, obsypaną białymi woskowymi kwiatami, i pięknymi doryckimi kolumnami podtrzymującymi sklepienie werandy, przyjęcie trwało nadal w najlepsze.

Poprzez muzykę przebijały się śmiechy i niewyraźne dźwięki rozmów.

Lampiony unosiły się nad gośćmi niczym robaczki świętojańskie.

Na granatowym niebie migotały gwiazdy. Trupio blady księżyc wzbil się ponad pierzaste strzępy chmur.

Zszedł po schodach na podjazd. Odnalezienie Ronnie bez sprowadzenia sobie na kark niepożądanego towarzystwa wcale nie wydawało się łatwe. Popatrzył

w kierunku namiotów, próbując odnaleźć wzrokiem błysk rudych włosów.

Coś załśniło nagle na chodniku. Coś świecącego i odbijającego światło.

Kawałek szkła? Nie, to było zbyt małe i symetryczne.

Zmarszczył brwi, pochylił się nad chodnikiem i podniósł ów tajemniczy przedmiot - który okazał się maleńki i całkiem przezroczysty. Wszystko stało się jasne.

Wyprostował plecy, schował przedmiot do kieszeni, po czym znów się obejrzał.

Kilka metrów dalej dojrzał kolejną błyskotkę.

Poszedł śladem koralików. Tak jak Jaś i Małgosia upuszczający na ścieżkę kulki chleba, tak i ona oznaczyła swoją trasę, choć uczyniła to nieświadomie, gubiąc cekiny sukni.

Tom odnalazł jedynie cztery. Ale nie potrzebował więcej niż dwóch. Kiedy już odkrył, w jakim kierunku poszła, domyślił się łatwo, gdzie jest.

Ruszając w ciemność po drugiej stronie domu, Tom nabrał powietrza w płuca i zmarszczył brwi. Choć zdawał sobie sprawę z tego, że to prawie niemożliwe, wyczuł zapach jej perfum w powiewie wiatru pieszczącym mu policzki.

Rozdział 29

Ronnie usłyszała skrzypnięcie i zerknęła przez ramię. Teren wokół basenu tonął w ciemnościach, lecz nie na tyle głębokich, by nie zdołała dojrzeć barczystej sylwetki mężczyzny, który właśnie zamykał za sobą bramę.

Zmarszczyła czoło. A potem w jego włosach załśniło światło księżyca i Ronnie już nie miała wątpliwości, kto przyszedł.

- Odejdź - powiedziała i przepłynęła żabką w najdalszy koniec basenu. I choć sądziła, że w świetle księżyca zapewne tego nie widać, miała na sobie tylko majtki: sukienka, pończochy, buty i biżuteria leżały na krzeselku przy płytszym końcu basenu.

- Przepraszam za wszystko, co mówiłem w domu. Mylnie zinterpretowałem sytuację - odezwał się Tom, idąc w jej kierunku.

- Nie przyjmuję przeprosin. A teraz idź.

- Mnie też nie jest łatwo - powiedział.

- Czego ty właściwie chcesz? - spytała nagle i obróciła się twarzą do Quinlana. Aby utrzymać równowagę, poruszała rękami w wodzie. W

najniższym miejscu głębokość basenu dochodziła zaledwie do metra siedemdziesięciu, toteż gdy

Ronnie stała na palcach, woda sięgała jej do ramion. Od chwili, gdy weszła do basenu, pływała wyłącznie żabką, tak że nawet nie zniszczyła sobie makijażu. Włosy też miała suche, z wyjątkiem kosmyków na szyi.

- To dobre pytanie - powiedział, wkładając ręce do kieszeni spodki.

Roześmiała się, ale nie zabrzmiało to wesoło.

- Nie bądź takim hipokrytą! Masz ochotę na seks, tyle że boisz się konsekwencji, jakie to może za sobą pociągnąć.

Nie odpowiedział.

- Pozwól, że teraz ja cię zapytam, czego chcesz.

Ronnie popatrzyła na niego oszołomiona. Nigdy przedtem o tym nie myślała.

Nie pragnęła seksu dla seksu. Pragnęła To-ma.

- Seksu? - Szedł wzdłuż basenu, śledząc każdy jej ruch.

- Chcę, żebyś sobie poszedł. - Odbiła się od ściany.

- Nawet gdybym to zrobił, i tak nic by to nie pomogło. Bo przecież i tak bym wrócił. Do tego już doszliśmy.

Płynęła dalej.

- Musimy sobie jakoś z tym poradzić, Ronnie - mówił cierpliwie, idąc za nią chodniczką.

Zatrzymała się na chwilę i odwróciła - najwyraźniej rozzłoszczona - twarzą do Toma.

- Nie wiem, w jaki sposób. Twój problem z tą całą sprawą polega na tym, że jestem mężatką. Nie mogę tego zmienić. Rzeczywiście mam męża.

- Myślałaś o rozwodzie? - spytał cicho. On również się zatrzymał i patrzył na nią z góry.

- Nie. - Znowu zaczęła płynąć.

- Tak więc chcesz pozostać żoną senatora i sypiać ze mną na boku. Dobrze to rozumiem?

Popatrzyła na niego prowokująco.

- Dlaczego nie?

- Bo dla mnie taka sytuacja rzeczywiście stanowiłaby problem.

- Więc odejdz. - Pokonała jedną długość i rozpoczęła następną. Tom nie spuszczał jej z oka.

- Nie mogłabyś wyjść? Porozmawialibyśmy wtedy jak normalni ludzie. - W

jego głosie wyraźnie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Nie ma o czym rozmawiać. Skoro nie wychodzi ci ze mną, idź do Dianę, która nie jest mężatką, i prześpij się z nią.

- Mógłbym to zrobić. Równie dobrze mógłbym uprawiać seks z twoim mężem, ale chyba nie sprawiłoby to przyjemności żadnemu z nas.

Płynęła w milczeniu.

- Wyjdź z tego cholernego basenu i porozmawiaj ze mną - powiedział mocno poirytowanym tonem.

Zatrzymała się na chwilę, aby na niego popatrzeć.

- Wielu ludzi miewa romanse, pozostając w związku małżeńskim. Są setki, tysiące takich.

- Mówisz to z własnego doświadczenia? - spytał sucho.

- Poinformuję cię dla porządku, że przez te trzy lata małżeństwa nigdy nie zdradziłam męża. Lewis natomiast puszczał się na prawo i lewo już od pierwszego dnia. Dlaczego ja nie mogę?

- Nie ma takiego powodu. Tyle że ja nie będę facetem, z którym się puszczasz.

- Dlaczego?

- Bo romanse oznaczają kłopoty i wiele osób przez nie cierpi. Bo dziś, kiedy z tobą tańczyłem, musiałem udawać obojętność, tak by nikt sobie nie pomyślał, że coś nas łączy. Bo pewnie miałbym ochotę zaprosić cię na lunch, na kolację albo do kina. Bo nie lubię piętnastominutowych numerków. Bo nie chcę się kryć. Kropka.

- Nie musiałyby tak być.

- Tak by było.

- Mówisz to z doświadczenia? - spytała kpiąco, przedrzeźniając jego pytanie.

- Może.

- Rozumiem. Ja muszę wyznać wszystkie grzechy - ty nie.

- Naprawdę bardzo mi trudno z tobą rozmawiać, jak pływasz w tym basenie.

- Unikasz odpowiedzi na pytanie.

- A ty problemu.

- Na czym on niby polega? Na tym, czy będziemy ze sobą spać? Jeśli chodzi o mnie, to odpowiedź na teraz brzmi: nie.

Ronnie odpłynęła, a Tom został na miejscu; z ramionami skrzyżowanymi na piersiach obserwował każdy jej ruch. Z takiej odległości wydawał się jej zaledwie wielkim, ciemnym cieniem na betonowej posadzce. Dopiero gdy znów się zbliżyła, dostrzegła, że Quinlan marszczy brwi.

- Nie sypiasz z nim. Już od ponad roku z nim nie sypiasz -powiedział Tom, gdy się zrównali.

Odwróciła do niego głowę.

- Skąd wiesz?

- Zwierzył mi się z tego na górze.

- Co tam robiliście. Porównywaliście życie seksualne? -W jej głosie wyraźnie zabrzmiała uraza.

- Pomogłem mu dotrzeć do łóżka. Był pijany. Mówiliśmy o tym, co próbował ci zrobić.

- Czyżby?

- On ciebie nie kocha.

Ronnie milczała chwilę. Po prostu patrzyła na Quinlana w ciemnościach.

Tom nadal krzyżował ręce na piersiach i zerkał na nią ponuro spod zmarszczonych brwi.

- No i co z tego? - Wiedziała, że Lewis jej nie kocha, nigdy jej nie kochał.

Dość późno zdała sobie z tego sprawę, ale teraz nie miała już żadnych wątpliwości. Powód, dla którego Lewis postanowił się z nią ożenić, był stary jak świat: inaczej nie zaciągnąłby jej nigdy do łóżka. A kiedy już zdobył to, na czym mu zależało, szybko zapragnął odmiany. Choć oczywiście nadal chciał uprawiać seks z żoną, ilekroć przyszła mu na to ochota.

- Cholera jasna, Ronnie. Musimy o tym porozmawiać. On ciebie nie kocha.

Ty też go nie kochasz. To dla mnie jasne jak słońce. Dlaczego nadal jesteś jego żoną?

Znów odbiła się od ściany.

- Ronnie?

Zatrzymała się i spojrzała na Toma.

- Naprawdę musisz wiedzieć? Dobrze, w takim razie ci powiem.

Wychowałam się w obskurnym domku w Bostonie, jednym z setek takich maleńkich, obskurnych domków, podobnych do siebie jak dwie krople wody.

Ojciec handlował używanymi autami. Dostawał tylko prowizję i ledwo mu starczało na spłacenie hipoteki. Rodzice kłócili się bez przerwy o pieniądze.

Kiedy skończyłam czternaście lat, matka spotkała faceta, który mógł jej zapewnić lepszy los, więc dała nogę. Zostawiła mnie, ojca i siostry. Ja byłam najmłodsza, siostry powychodziły za mąż, ojciec zarabiał

coraz mniej, bo przestało mu zależeć na pracy. Na bal maturalny poszłam w sukience za piętnaście dolarów. Znalazłam ją w sklepie z używanymi ciuchami. Właśnie wtedy przysięgłam sobie uroczyście, że nie chcę przeżyć w ten sposób całego życia. Pragnęłam czegoś lepszego.

Przeplływając obok Toma, zaczerpnęła głęboko powietrza, gdyż emocje dławiły słowa. Quinlan pochylił się nad basenem i popatrzył jej prosto w oczy.

- Wyjdiesz wreszcie czy nie? - niemal warknął. Ronnie potrząsnęła głową.

- Pytałeś mnie, dlaczego poślubiłam Lewisa, więc chcę, żebyś wiedział. -

Wysunęła z wody rękę, tak by wielki brylant załśnił świetle księżyca. -

Widzisz? Ten pierścionek kosztował więcej niż mój ojciec zarabiał w ciągu roku. Rozejrzyj się, Tom. Spójrz na tę posiadłość. Ja wychowałam się w domku niewiele większym niż ten przy basenie. Lewis ma trzy wspaniałe rezydencje. Stać mnie na piękne stroje i takie prezenty dla mojej rodziny, na jakie oni nigdy nie mogliby sobie pozwolić. Mogę podróżować... Mam karty kredytowe, biżuterię, samochód - właściwie kilka samochodów. Należymy do czterech ekskluzywnych klubów.

- Niech to cholera! Ronnie, ty płaczesz? Wyjdź z tego przeklętego basenu, bardzo cię proszę!

- Nie płaczę. Mówię ci po prostu, że nie rozwodzę się z Lewisem, bo dzięki temu małżeństwu zyskałam wszystko, o czym marzyła dziewczyna w sukni za piętnaście dolarów.

Oprócz miłości - dorzuciła myślach, ale nie powiedziała tego głośno.

Poczuła jednak dziwne dławienie w gardle i zacisnęła mocno powieki, myśląc jedynie o tym, by nie rozszlochać się na dobre.

Po co płakać nad czymś, co i tak nie nadaje się do naprawienia?

Tom zaklął głośno. Nigdy przedtem nie słyszała, by używał równie wulgarnych słów. Otwierając oczy, dostrzegła, że Quinlan odchodzi w przeciwny kraniec basenu. W rogu znajdowały się schodki prowadzące do płytszej części. Zszedł po nich do wody, nie zdejmując nawet butów, smokingu i pozostałych części garderoby. Kroczył wolno w jej kierunku, zanurzony w wodzie, która najpierw sięgała mu tylko do talii, ale wzniosła się szybko do połowy torsu.

Ronnie poczuła ze zdziwieniem, że po policzkach spływają jej gorące łzy.

Otarła je ręką.

- Nie płacz - poprosił jednocześnie szorstko i czule, gdy wreszcie się do niej zbliżył, a potem wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Ronnie zaczerpnęła głęboko powietrza, co nawet w jej własnych uszach zabrzmiało jak łkanie, i zarzuciła mu ręce na szyję.

Rozdział 30

-Rozdzierasz mi serce. Przystaniesz wreszcie? - Tom odchylił nieco głowę, aby spojrzeć jej w oczy.

- Nie płaczę - powtórzyła z uporem i wtuliła twarz w zagłębienie między ramieniem i szyją mężczyzny. Zaciskając powieki, zaczerpnęła kilka głębokich oddechów i skupiła się na tym, by rzeczywiście przestać płakać.

Ale kiedy przypomniała sobie tę młodą dziewczynę, która nie wiedziała, co to znaczy miłość, ogarnął ją nagle ogromny smutek.

Ronnie zresztą nadal tego nie wiedziała.

- Spójrz na mnie.

Nie mogła. Jeszcze nie teraz, najpierw musiała poczekać, by obeschły jej łzy.

Czuła się tak dobrze i wspaniale w jego ramionach, że nie miała ochoty się ruszać. Górna część smokingu Quinlana pozostała sucha, reszta ociekała wodą. Przyciskała się do Toma tak mocno, że wyczuwała niemal każdy fragment jego garderoby: guziki koszuli, klamrę paska, ciepłą, masywną siłę ciała pod mokrym materiałem garnituru. Nawet jej palce u nóg stykały się z gładką skórą jego butów.

- Ronnie.

Podniosła wzrok na jego twarz schowaną w cieniu i spojrzała mu w oczy, patrząc na nią z troską.

-Tom.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Zaczęli się całować. Usta miał gorące, wilgotne, smakujące lekko whisky.

Przytulał ją do siebie tak mocno, że Ronnie ledwo mogła złapać oddech.

Ale zupełnie się tym nie przejmowała. Odnalazła język To-ma i wpiła się w jego wargi.

Quinlan przesunął dłońmi po plecach kobiety, namacał kręgosłup, pogładził

wcięcie talii.

- Jesteś naga? - spytał ochryłym głosem, przesuając wargi z policzka Ronnie na delikatne wgłębienie za uchem.

- Nie całkiem - wyszeptała, dotykając wargami jego słona-wej, cieplej szyi.

- Ale będziesz. - Ciałem Toma wstrząsnął śmiech. Ale gdy znów nakrywał wargami jej usta i szukał dłonią piersi, już się nie śmiał.

Ten dotyk poraził ją jak prąd elektryczny o wysokim napięciu. Serce biło jak oszalałe, oddech stał się płytki, krew wrzała.

Nigdy przedtem Quinlan nie pozwolił sobie na tak intymną pieśczętę.

Ronnie uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że wystarczyły jej pocałunki Toma, by zaczęła płonąć z pożądania. Przedtem często o nim marzyła, wyobrażała sobie, że się z nim kocha. Ale w snach nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła. Quinlan pieścił jej sutkę, a ona czuła, że się rozplywa.

Wszystko zależy od tego, czy się trafi na odpowiedniego mężczyznę -
przemknęło jej przez myśl.

- Wyjdźmy z tego cholernego basenu - wychrypiał.

Całował ją nawet w chwili, gdy brał ją na ręce. Ronnie oddała mu pocałunek, oplotła nogami w talii i objęła mocno za szyję. Ciało Quinlana zastygło w oczekiwaniu.

- Chryste - mruknął i uniósł ją tak, by mogła usiąść na cementowej posadzce.

Ronnie chwyciła dłońmi krawędź basenu, nogi wciąż miała w wodzie. Poza skąpymi czarnymi majteczkami była naga i ociekała wodą. Pochylała się lekko do przodu, eksponując krągłe piersi. Sutki sterczały - zapewne pod wpływem chłodnego powietrza i dotyku Toma. Jej piękna długonoga sylwetka o wąskich biodrach błyszczała w świetle księżyca.

Otaksował ją wzrokiem - przenosząc oczy z nadal eleganckiego koka na łydki. Twarz mu stężała, oparł dłonie o krawędź basenu i dźwignął się do góry.

Gdy wreszcie się wyprostował i wyciągnął do niej dłoń, również ociekał

wodą. Ronnie wzięła go za rękę i zaczęła się gramolić na brzeg. Choć i tak zamierzała wylądować w jego objęciach, Tom nie czekał i wziął ją w ramiona. Wtedy oplotła mu szyję rękami i zaczęła całować.

Całowała go jeszcze w chwili, gdy skręcił, aby wyjść przez skrzypiącą bramkę i jeszcze później, kiedy ruszył ścieżką w stronę domku nad basenem.

Suwane szklane drzwi były otwarte: otworzył je na oścież, po czym wniósł ją do klimatyzowanego wnętrza.

Ronnie zadrżała na całym ciele i oderwała usta od ust Toma, aby pociągnąć go do łóżka - w każdym razie gdzieś, gdzie jest cieplej.

- Cholera! - Tom zaczepił o coś nogą, potknął się i runął na ziemię. Ronnie poczuła, że leci w dół, i piszcząc przeraźliwie wylądowała na czymś zimnym i mokrym, czyli na Tomie.

Przez chwilę leżała na podłodze zupełnie oszołomiona. Upadła plecami na tors Toma, jej pupa dotykała ud mężczyzny, nogi miała na podłodze. Poczuła, że Tom zaczyna się poruszać i ześliznęła się z jego ciała na podłogę, a raczej na gumową matę do ćwiczeń; najprawdopodobniej przyczynę wypadku.

Odwróciła się na plecy, wsparła na łokciach i zerknęła na Quinlana, aby sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

Spoglądał na nią szeroko otwartymi oczyma. Ronnie dostrzegła ich wyraz i parsknęła śmiechem.

- Wszystko w porządku? - spytała między jednym chichotem a drugim.

- Oprócz siniaków na tyłku, złamanej kości ogonowej i zapewne urażonej godności nie mogę się na nic uskarżać. A ty?

- Wylądowałam na górze. Jest OK.

- To dobrze. - Przewrócił się na bok. Ronnie nadal leżała na brzuchu, wsparta na łokciach, twarz Toma znajdowała się w odległości paru centymetrów od jej twarzy. Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta. Patrząc na nie, przypomniała sobie wszystkie swoje fantazje na temat tych warg i przesunęła palcem po linii, na której się stykały.

Jej ciałem wstrząsnął kolejny chichot. Tom wsunął sobie palec Ronnie do ust i delikatnie go przygryzł.

- Zamierzasz się śmiać całą noc? - spytał grzecznie, gdy już puścił jej rękę.

- Być może - odparła z uśmiechem.

I uśmiechała się nadal, gdy się nad nią pochylił. Oboje leżeli teraz na gumowej macie - dużej, miękkiej i nadszpiewanie wygodnej.

- Jeżeli posiniaczyłeś sobie tyłek, to znaczy, że wcale nie jesteś wcale takim twardym dupkiem - powiedziała i znowu zaczęła się śmiać.

- Dobry żart. - Schylił głowę, by ją pocałować.

Miał gorący, miękki, niespecjalnie natarczywy język. Odnalazł jej pierś, zamknął ją w dłoni i nagle

Ronnie przestała chichotać. Przymknąwszy oczy, oddała pocałunek, głaszcząc jedwabiste włosy mężczyzny.

Kiedys wyobrażała sobie dokładnie, jak się całują. Tyle że jej wyobrażenia nie dorównywała rzeczywistości.

Nie odrywając warg od jej ust, zrzucił marynarkę. Powiodła dłońmi po jego ramionach, oszołomiona własnym szczęściem: wreszcie mogła go całować i dotykać, tak jak sobie wymarzyła. Koszula i spodnie Toma były lodowato zimne, ale ręka na piersi parzyła żywym ogniem. Ronnie poczuła, jak pod wpływem pieszczoty twardnieje jej sutka, i wyprężyła plecy, poddając się Quinlanowi całkowicie niczym zadowolony kot, który nie chce, aby właściciel przestał go głaskać. Oddychała nierówno, niespokojnie.

Oderwał usta od jej warg i odsunął się nieco.

Ronnie otworzyła oczy. Tom przesunął spojrzeniem po całym jej ciele.

Leżała prawie naga w jego ramionach. Oświetlały ją promienie księżyca, wpadające do pokoju przez szklane drzwi. Jego ręka na jasnej, perłowej skórze Ronnie wydawała się duża i opalona. Rękaw koszuli był mokry i lepki. Quinlan leżał na boku, nie spieszył się. Jego oficjalny strój - biała koszula ze spinkami, czarna muszka i spodnie z jedwabnymi lampasami, czarne skarpetki i buty stanowiły erotyczny kontrast z jej nagością.

Ronnie spojrzała mu w twarz, której rysy w świetle księżyca wydawały się jeszcze ostrzejsze i bardziej kanciaste.

Przypomniała sobie, jak kiedyś myślała, że taki mężczyzna nie ulega cielesnym pokusom.

Miała przynajmniej częściowo rację. Quinlan opierał się długo, ale w końcu nie mógł już tego znieść.

- Tyle razy wyobrażałem sobie ciebie nago - szepnął ochryple. - Aż się dziwię, że nie oszalałem. Ilekroć cię widziałem, łapałem się na tym, że rozbieram cię wzrokiem. No więc po jakimś czasie wolałem cię w ogóle nie oglądać. Bo na przykład w czasie ważnego spotkania strategicznego z Mattem Grolinem zacząłbym się zastanawiać, jaki kształt ma twój pępek.

Z uśmiechem zsunął rękę z jej żeber na brzuch, jakby zamierzał rozwiać swoje wątpliwości. Ronnie wstrzymała oddech.

- Nie służyłoby to chyba interesom. - Poglaskała go po policzku. Ciepła, męska skóra była jedynie lekko szorstka: Quinlan widocznie ogolił się przed przyjęciem.

- Na pewno nie. - Dotknął ustami wnętrza jej dłoni. Gdy poruszył nogami, zorientowała się natychmiast, że ściąga buty. Wyciągnęła rękę, aby zdjąć mu muszkę.

- Nie ruszaj się - powiedział, wstał i zaczął się szybko rozbierać. Muszka, którą już sam rozwiązał, poszła na pierwszy ogień, natychmiast potem przyszła pora na szarfę od smokingu. Gdy pozbył się spinek i zrzucił koszulę, serce zaczęło jej bić zdecydowanie mocniej - z nagim torsem Quinlan

prezentował się jeszcze lepiej. Sięgnął do paska spodni, a ona poczuła, że topnieje. Położyła się na plecach na czerwonej macie i patrząc, jak Tom zdejmuje spodnie, wbiła palce w gąbczaste podłóże. Ze wzrokiem utkwionym w jego jasnoniebieskie bokserki, czekała, aż mężczyzna ściągnie skarpetki.

W końcu zaczepił kciuki o gumkę szortów i ich również się pozbył. Gdy stanął przed nią nagi, poczuła dziwną suchość w ustach. Powędrowała spojrzeniem po jego szerokich ramionach, włosach na torsie, wąskich atletycznych biodrach i muskularnych, długich nogach.

W jej wyobraźni Tom nigdy nie wyglądał tak wspaniale.

Zanim się do niej zbliżył, dostrzegła jeszcze wielki, nabrzmiały dowód męskiego pożądania.

Przesunęła dłońmi po ramionach Quinlana, zaskoczona giętkością i siłą jego mięśni. Usiadł obok - jedną rękę podłożył Ronnie pod głowę, drugą odgarniał

jej włosy z twarzy.

Pocałował ją mocno w usta.

- Drżą mi ręce - powiedział, unosząc głowę. - Ostatni raz tak mi drżały, kiedy miałem szesnaście lat i wypróbowałem materac w przyczepie mojego ojca.

- Często go wypróbowałeś? - spytała cicho, przesuwając dłońmi po jego barkach. Miał ciepłą, jedwabistą gładką skórę, mięśnie pod nią napięte i twarde. Tak jak powiedział, ramiona mu drżały. Znowu pogładziła je delikatnie, zadowolona, że potrafi doprowadzić tego mężczyznę do stanu drżenia.

- Tak często jak mogłem. Ale ręce bardzo szybko przestały mi się trząść. -

Uśmiechnął się do niej, gdy zaczęła pieścić delikatnie jego tors. Ledwo jednak zsunęła rękę na umięśniony brzuch, uśmiech Toma znikł, oczy pociemniały.

Kiedy położył usta na jej ustach, przymknęła oczy.

Delikatność, z jaką traktował ją wcześniej, gdzieś się rozplynęła.

Odpowiedziała ognistocie na jego pośpiech - obejmując ramionami jego szyję, przywarła do niego tak mocno, jak tylko mogła.

Jego ręce były wszędzie: na jej piersiach, brzuchu, udach. Quinlan nie dotykał jej jednak tam, gdzie najbardziej pragnęła być dotykana, i to doprowadzało Ronnie do szaleństwa. Wtulona jego ciało, błagała go o to, czego pragnęła, ale bez skutku. Czowała wezbrany dowód pożądania na swoim udzie. Quinlan leżał na niej całym ciałem i gorącym wnętrzem ust pieścił

sterczącą sutkę. Przytuliła do siebie jego głowę, kierując usta mężczyzny z jednej piersi na drugą i czuła jak wzbiera w niej pożądanie.

A potem w końcu, wreszcie, zbyt późno Quinlan wsunął dłoń za brzeg jej majtek.

Ronnie tak bardzo pragnęła poczuć jego rękę między nogami, że o mało nie umarła z oczekiwania. A on zmusił ją do czekania. Poruszał ręką z szybkością lodowca - jego długie palce pieściły i badały każdy milimetr ciała, od czasu do czasu do czasu jedynie zapuszczając się głębiej, drażniąc lekkimi motylimi muśnięciami. Ona zaś unosiła biodra w drżącej nadziei na kolejną pieszczotę.

Ucałował jej piersi, usta, potem znów piersi. Ciało Ronnie błagało tymczasem bez słów o coś więcej i wreszcie odniosło sukces. Ręka mężczyzny zawędrowała w to najbardziej upragnione miejsce, między uda.

Płonąc z podniecenia, poruszyła się lekko, by zachęcić błądzącą dłoń, aż w końcu otrzymała to, czego pragnęła. Jęcząc, całowała Toma w ucho, szyję, ramiona - wszędzie, gdzie docierały jej usta. Paznokcie wbijała mu w plecy, pożądanie zawładnęło nią całkowicie. Dotykał jej mężczyzna, który rozumiał, jak funkcjonuje kobiece ciało - drażnił, wycofywał się, pieścił i powtarzał tę zabawę od nowa, aż do chwili, gdy ciało Ronnie zaczął trawić pożar.

- Tom, proszę - szepnęła. Wiedziała, że zaraz wybuchnie, i chciała go w takiej chwili czuć głęboko w sobie.

Popatrzył na nią spod przymkniętych powiek. Miał zaczerwienioną twarz, oczy zwężone i błyszczące. Podobnie jak ona, oddychał krótko, urywanie.

Wsunął jej palce do środka i spojrzał prosto w oczy. Wygięła plecy w łuk, jęknęła.

- Tak bardzo tego pragnąłem - wyszeptał ochryple.

Ściągnął jej majtki i zaczął całować - mocno i dziko, jakby chciał jej w ten sposób powiedzieć, że on również przestaje się kontrolować. Objęła go nogami w talii, tak bardzo gotowa na jego przyjęcie, że chybaby umarła, gdyby musiała czekać jeszcze kilka sekund.

Wbił się w nią mocno i twardo, wchodząc głębiej i głębiej, dopóki nie doprowadził jej do utraty zmysłów. Krzyknęła zdziwiona tym cudem, jaki się właśnie dokonał, i wbijając mu paznokcie w plecy, przeżyła spełnienie tak intensywnie, jak jeszcze nigdy wcześniej, a jej wyobrażenia na temat własny i świata rozprysły się na miliony kawałków, gdy wykrzyknęła jego imię.

Rozdział 31

23 sierpnia, północ

-Co oglądasz? - Jerry Fineman stanął w drzwiach salonu, patrząc na Marłę zwiniętą w rogu kanapy, wpatrzoną w ekran telewizora. Miał na sobie podkoszulek bez rękawów, taki, jaki zwykle wkładają w domu starsi mężczyźni, i te same znoszone spodnie bez paska, które nosił wcześniej; właśnie wyszedł z łóżka i dopiero co się ubrał.

- Lettermana. - Marla popatrzyła na niego z uśmiechem. -Obudziłam cię?

Przepraszam.

- Nie - podszedł do kanapy i usiadł ciężko obok Marli. Poduszki ugięły się pod ciężarem jego ciała. Fineman był pięćdziesięcioletnim policjantem na emeryturze, rozwiedzionym od dziesięciu lat. Niewysoki, łysy, z brzuszkiem, nie należał do przystojniaków, ale odznaczał się dobrym sercem.

Marla poznała Finemana, kiedy po raz pierwszy przybyła do Biloxi. Aby zdobyć pieniądze na jedzenie dla Lissy, stała na rogu ulicy, żeby wykręcić parę szybkich numerków. Fineman chciał ją wtedy aresztować, ale w końcu -

ogarnięty współczuciem - pożyczył niedoszłej prostytutce pięćdziesiąt dolarów i odwiózł ją do domu, gdzie mieszkała wraz z Lissy. Pomógł jej stanąć na nogi, a ona płaciła mu seksem, ilekroć wyraził takie życzenie.

Gdy ponad dwa lata temu Fineman wyprowadził się z Biloxi, żadne z nich nie sądziło, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Marla opowiedziała mu całą historię - od chwili, gdy zawiozła Susan i Claire do jachtklubu, aż do momentu, w którym zdecydowała się zapukać do jego drzwi. Fineman odniósł się sceptycznie do jej stwierdzenia, że wszyscy, którzy wiedzieli o wyprawie Susan i Claire, ulotnili się nagle jak kamfora lub po prostu umarli. Nie wierzył nawet w to, że łysy chciał ją zabić.

Ale obiecał to sprawdzić. Tymczasem - skoro Marla boi się wracać do Biloxi

- może mieszkać u niego. Prędzej czy później cała ta sprawa musi się wyjaśnić.

Do takich wniosków doszli wspólnie przed trzema tygodniami.

Marla przyjęła propozycję Finemana, gdyż darzyła go zaufaniem. Wierzyła, że stary glina wykorzysta swoje znajomości, by znaleźć mężczyznę, który zabił Susan, Claire i Bóg wie kogo jeszcze, a teraz polował na nią. Wierzyła również w to, że Fineman potrafi ochronić ją i Lissy. A także i w to, że nie pu-

ści pary z gęby na temat jej wątpliwych praw rodzicielskich.

- Chcesz coś zjeść? - Rozplotła nogi, gotowa, by wstać. Jerry popatrzył na nią z ukosa. Na jego ustach pojawił się

lekki uśmiezek. Marla pomyślała, że widocznie rozbawił go tak bardzo jeden z dowcipów Lettermana.

- Po tej kolacji, którą dziś zrobiłaś? Chybabym pękł -mruknął, klepiąc się znacząco po wystającym brzuchu.

- Przyniosę ci piwo, jeśli chcesz. - Nadal była gotowa zerwać się z kanapy.

- Nie musisz mi usługiwać

- Ale wcale mi to nie przeszkadza.

- Posłuchaj. - Jerry skupiał teraz uwagę raczej na niej niż na telewizji. - I tak nie wyrzucę stąd ciebie ani dziecka. Nie chcę, żebyś zrywała się z miejsca, ilekroć się tylko pojawię na horyzoncie.

- Nie... - Umilkła, gdyż zdała sobie sprawę z tego, że Jerry ma rację.

Zachowywała się właśnie tak od chwili, gdy Jerry przyjął je pod swój dach.

Był jedyną osobą, do której mogły się zwrócić.

- Właśnie, że tak - powiedział spokojnie Jerry. - Pomagam ci jako przyjaciel, a nie po to, żebyś mi prała, gotowała i czekała na każde moje skinienie.

Przez chwilę nie odzywała się ani słowem.

- Dobry z ciebie człowiek - wydusiła w końcu z trudem i uśmiechnęła się do niego. A potem ześliznęła się z kanapy, przyklękła i rozpięła mu suwak od spodni. Zamierzała mu się zrewanżować w jedyny sposób, na jaki się godził.

Rozdział 32

Kiedy Ronnie w końcu otworzyła oczy, Tom leżał na niej zaspokojony i cięższy, niż się spodziewała. Obejmował ją ramionami, z twarzą wtuloną w zagłębienie między łopatką i szyją; ciała ich nadal były złączone.

Odwróciwszy głowę, pocałowała jego szorstki policzek.

- Tom - powiedziała. - Zimno mi, ruszajmy.

Poruszył się lekko i opuścił głowę, aby na nią popatrzeć. Przez chwilę jaśniały mu oczy, a potem się uśmiechnął.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu - powiedział. - W

dotadku najbardziej seksowną, o najśłodszym uśmiechu. Mógłbym się z tobą kochać przez całą noc. Jak ci może być zimno w takiej sytuacji?

Poruszył się w niej, w środku. Wszystkie części jego ciała zmieniały pozycję.

Mięśnie ud napięły się na chwilę i zastygły, a potem Quinlan zaczerpnął

głęboko powietrza. Poczwała, że jego męskość też się budzi i twardnieje.

- Zamarzam na śmierć. - Zadrzała, aby to udowodnić. - Leżymy w kałuży, klimatyzacja nawaliła.

- Jeszcze parę minut temu nie narzekałaś.

- Nie wierzę, że tobie nie jest zimno.

- Kochanie, ty mnie tak rozpalasz, że nigdy nie zmarzę. Ronnie popatrzyła na niego uważnie.

- Kochanie? Podoba mi się sposób, w jaki to mówisz - tak miękko i przeciągasz „o”.

Uśmiechnął się szerzej.

- Posłuchajmy teraz ciebie. Może ci się wydaje, że potrafisz lepiej.

- Kochanie.

- Zbyt zimno, zbyt krótko, z typowym północnym akcentem, niemal wrogo.

Spróbuj najpierw powiedzieć: Tom.

- Tom, kochanie.

- Lepiej. - Znów się w niej poruszył. - Bardziej miękko. Jeszcze raz.

- Tom, kochanie.

- Ćwicz tak dalej. Kiedyś dojdiesz do wprawy. - W pełni podniecony, przyciskał jej biodra do maty, opierając się na łokciach. Obserwując uważnie twarz Ronnie, zagłębił się ponownie w jej ciele.

- Tom, kochanie - niemal jęknęła.

- Coraz lepiej.

Wczepiona kurczowo w jego ramiona Ronnie zgubiła wątek rozmowy. Gdy znów przyszła do siebie, odczuła lodowaty chłód.

- Tom - szepnęła mu prosząco do ucho. - W drugim pokoju jest łóżko. I kołdra.

Odwrócił głowę i uszczypnął ją zębami w szyję.

- Wciąż narzekasz? W takim razie dobrze, chodźmy. Energicznie zerwał się na równe nogi, chwycił ją za rękę

i pociągnął. Przez chwilę stali na wprost siebie, oboje nadzy, skąpani w świetle księżyca wpadającym przez drzwi. Ich oczy znów się spotkały, Tom uśmiechnął się do Ronnie i objął ją w tali, a ona oparła mu głowę na piersiach.

To jest Tom - pomyślała, smakując tę wiedzę. Wszystkie marzenia na jawie i sny zaczynały się sprawdzać.

Przytulał ją mocno, miał silne, ciepłe ramiona. Ich dotyk sprawiał jej przyjemność z dwóch powodów; po pierwsze na każdym centymetrze jej ciała pojawiała się gęsia skórka, po drugie Ronnie

odnosiła wrażenie, że jej kości mają konsystencję budyniu.

- Co za niesamowita pupcia - mruknął Quinlan, przesuwał dłońmi po tak wychwalanej przez siebie części anatomii.

Ciche buczenie przeraziło ich oboje. Tom cofnął ręce. Nie minęła nawet sekunda, a wyłączył zegarek i znów zaległa cisza.

- Pewnie jest wodoszczelny - mruknęła Ronnie z odrobiną humoru.

- Na to wygląda.

- Która godzina?

Uniósł dłoń do światła.

- Trzecia rano. Jak sądzisz, o której powinnaś wrócić, zanim zaczną cię szukać?

- Nie wiem. O świcie? - Odsunęła się od Toma i ruszyła w stronę sypialni. - O

której wchodzi słońce?

- Około wpół do szóstej - odparł tonem znacznie surowszym niż ten, którego używał w nocy. - Na wszelki wypadek bądź trochę wcześniej.

Sypialnia łączyła się drzwiami z salą gimnastyczną. Dojście do łóżka stojącego pod ścianą nie trwało dłużej niż chwilę. Było to wąskie łóżko, przykryte staroświecką kapą dotykającą podłogi, z poduszkami sięgającymi niemal sufitu. Odkąd Ronnie zaczęła korzystać z domku nad basenem, nikt poza nią tutaj nie spał. Tak czy inaczej, łóżko było zawsze gotowe do użytku.

- Możesz wyłączyć klimatyzację? Termostat jest na ścianie - powiedziała przez ramię, zwalając poduszki na podłogę.

- Chyba go widzę.

Odnalazł termostat na ścianie między sypialnią i salą gimnastyczną dzięki małemu czerwonemu światełku i wyłączył klimatyzację. Żadne z nich nie zapaliło lampy - nie była im potrzebna. Przez suwane szklane drzwi i okno nad łóżkiem do pokoju wpadało wystarczająco dużo światła.

- Tak więc ten niezwykły Kopciuszek zamienia się w dynię o świcie, nie o północy - powiedział stanowczo zbyt szorstko. Wołała, gdy używał innego tonu.

- To karetka zamieniała się w dynię, a nie Kopciuszek - poprawiła nie zwracając uwagi na tę nagłą zmianę tonu. Wgramoliła się na łóżko i okryła po czubek nosa.

- Jeden diabeł.

Patrzyła na zbliżającego się Toma i nikły uśmiešek wykrzywił jej wargi. Już sam widok tego nagiego ciała wystarczył, aby ją podniecić.

Nagle przyszło jej coś do głowy i odrzuciła kołdrę, aby wyjść z łóżka.

- Co jest? - Zerknął na nią spod zmarszczonych brwi.

- Jeżeli nie chcesz wracać w mokrym smokingu, to musisz go wrzucić do suszarki.

- Sam się tym zajmę, wracaj do łóżka. Już ci mówiłem, że nie jest mi zimno. -

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, a Ronnie miała po raz kolejny okazję oglądać jego zgrabne siedzenie i szerokie plecy. Czerwone ślady, jakie pozostawiły na nich jej paznokcie, nie były zbyt wyraźnie widoczne w półmroku. Wspominając okoliczności, w jakich powstały, zadrżała z rozkoszy i wsunęła się pod kołdrę.

- Gdzie jest suszarka? - zawołał, gdy już zdążyła się opatulić kołdrą.

- W łazience.

W kilka chwil później usłyszała trzaśnięcie drzwiczek suszarki i monotony szum maszyny.

- Mam nadzieję, że się nie zbiegnie - powiedział, wracając do pokoju.

- Nie sądzę - odparła Ronnie z uśmiechem. - Ale w zależności od rodzaju materiału może się rozpuścić.

- Wspaniale! - Tom położył się na łóżku obok Ronnie, a sprężyny materaca aż jęknęły pod ciężarem jego ciała. Ronnie przesunęła się nieco, aby zrobić mu więcej miejsca. Tom leżał na plecach z głową na jedynej poduszce. Biło od niego przyjemne ciepło. Długie, dobrze umięśnione nogi, ręce i tors były porośnięte włosami. Położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła delikatnie gładzić gęstwinę na piersiach.

- Ojej! - Pomyślała nagle o czymś zupełnie innym. - Sądzisz, że twoja dziewczyna jeszcze jest na przyjęciu?

- Wysłałem Dianę do domu taksówką, zanim w ogóle zdecydowałem się tutaj przyjść - odparł sucho. - Powiedziałem jej, że wypadło mi coś pilnego i muszę wracać na lotnisko.

- Ach tak. - Ronnie popatrzyła na niego spod oka. - Niezły z ciebie kłamczuch.

- Jak nie mam innego wyjścia...

- Zamierzasz znów się z nią zobaczyć?

- Na pewno nie tak szybko, jak ty z Lewisem. Westchnęła, jej palce zastygły na torsie mężczyzny.

- Żałujesz, prawda?
- Czego? Że leżysz naga w moich ramionach? - Potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej krzywo. - Kochanie się z tobą to już prawie niebo. Jak mógłbym żałować?
- Żałujesz, przecież widzę.
- Niczego nie żałuję. - Przesunął się tak, że leżeli twarzami do siebie. Węzeł już dawno się rozleciał, włosy opadły Ronnie na ramiona i rozsypały po poduszce jedwabistą falą. Tom potarł jeden z kosmyków palcami, jakby chciał sprawdzić, jak jest zbudowany. - Pamiętasz, co mówiliśmy na temat innej kobiety? Cóż, nie jestem pewien, czy potrafię być tym drugim mężczyzną.
- Tom... - zaczęła, marszcząc czoło.
- Cicho - szepnął i pocałował ją w usta. O piątej byli zaspokojeni i bardzo śpiący.
- Czas wstawać. - Tom przesunął dłoń po plecach Ronnie i uszczypnął ją w pupę. Popatrzyła na niego sennie.
- Nie mam siły się ruszyć - mruknęła. Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.
- Miło mi to słyszeć. Przetrzymałaś mnie tutaj przez całą noc, więc na nic innego nie zasłużyłaś.
- Ja ciebie przetrzymałam? - Była zbyt zmęczona, żeby się głęboko oburzyć tym oskarżeniem.
- W porządku. To nasza obopólna wina, więc oboje musimy ponieść konsekwencje.
- O dwunastej umówiłam się na tenisa - jęknęła Ronnie.
- Z Michaeliem? - spytał szorstko. Ronnie pocałowała go w usta.
- Zawsze potrafię poznać, kiedy jesteś z czegoś niezadowolony. Zaczynasz wtedy mówić takim zimnym, napiętym tonem. Tracisz południowy akcent.
- Twoje słowa brzmią niemal wrogo.
- Bo oddają uczucia - mruknął ponuro. - Więc grasz w tenisa z tym całym Michaeliem?
- Michael to mąż mojej naprawdę dobrej przyjaciółki, Kathy Blount. - Ronnie wystarczyło tylko popatrzeć na twarz Quinlana, by się zorientować, że to nieodpowiedni moment na żarty. - Kathy i jej brat byli w szkole średniej tenisowymi mistrzami juniorów. A Michael i ja graliśmy z nimi w debła.
- Kiedy on wtedy przyszedł po mnie do domku, Kathy czekała w samochodzie.
- Ach tak.
- Właśnie.

- Ale ty chciałaś, żebym myślał co innego.

- Nic innego ci się nie należało.

- Czyżby?

- Owszem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Tom zdecydował się uśmiechnąć.

- Pewnie masz rację - przyznał. Wziął ją w ramiona i nakrył całym ciałem. A potem zaczęli się całować.

Kiedy wyszli z łóżka, zbliżała się szósta.

Ubierali się w pośpiechu - Ronnie włożyła szorty i podkoszulek do gimnastyki, a Tom pomięty, ale suchy smoking. Muszka i szarfa wylądowały w kieszeni. Następnie Ronnie poszła zabrać suknię pozostawioną nad basenem, by ją później przemyścić do domu. Doszła do wniosku, że w razie gdyby ktoś ją miał zobaczyć, znacznie bezpieczniej będzie wystąpić w stroju sportowym. Dzięki temu zawsze mogła skłamać, że ćwiczyła: bardzo późno, albo bardzo wcześnie, w zależności od sytuacji.

Zakradanie się do własnej sypialni stanowiło dla niej nowość i Ronnie wcale nie była zachwycona taką perspektywą. Ani słowem jednak nie zdradziła swych uczuć. Wiedziała, co Tom sądzi na ten temat, i nie zamierzała rozpętywać od nowa całej dyskusji.

- Chodź, odprowadzę cię do domu. - Stał za Ronnie w korytarzu prowadzącym do sypialni w chwili, gdy upychała suknię w szafie. Koszulę miał zapiętą jedynie do połowy, na policzkach ciemne ślady zarostu.

Wyglądał tak seksownie, że na sam jego widok Ronnie poczuła, jak zalewa ją fala ciepła.

- W każdym razie kawałek - dodał, wyginając usta w gorzkim uśmiechu.

Idąc wysadzaną krzewami dróżką, bezwiednie złączyli palce. Robiło się jasno, słońce jeszcze nie wstało. Krople rosy spadały prosto na ich ubrania, wokół unosił się słodki zapach kapryfolium. Powietrze zastygło w bezruchu, najwyraźniej Sedgely nie obudziło się jeszcze do życia.

Zanim weszli na podjazd, zatrzymali się na chwilę pod starym dębem ozdobionym szarymi girlandami mchu. Ronnie popatrzyła na biały ogromny budynek na wprost, drzewa, krzewy i trawniki, jakie go otaczały, częściowo widoczne namioty, wygasłe lampiony, wypalone pochodnie i inne pozostałości po tak niedawno zakończonym przyjęciu. Wszystko, co widziała, świadczyło o bogactwie, przynależności do wyższej klasy i luksusie.

Odwróciła się, by spojrzeć na Toma.

- Muszę iść.

- Wiem.
- Wpadniesz później? Ścisnął jej rękę.
- Muszę złapać samolot o drugiej.
- Och nie! - Ronnie poczuła się tak, jakby wyssano jej nagle powietrze z płuc.
- Dokąd jedziesz?
- Najpierw do Nevady, później do Kalifornii i Tennessee. Przyleciałem tutaj tylko na przyjęcie.

Myśl o rozstaniu z Tomem była dla niej nie do zniesienia.

- Jak długo cię nie będzie?
- Chyba tydzień.
- Tydzień! - wykrzyknęła takim tonem, jakby chodziło o rok.
- Będziesz za mną tęsknić?
- Och, Tom! - jęknęła i wspięła się na palce, aby zarzucić mu ręce na szyję.

Pocałował ją przelotnie, ale namiętnie i uniósł głowę. A potem, gdy spotkały się ich oczy, pocałował ją raz jeszcze i odsunął od siebie.

- Idź - powiedział. - Zadzwoń. Tobie będzie trudno mnie złapać.
- Tom...
- Idź, świta.

Rzeczywiście świtało. Słońce malowało niebo na wschodzie jaśniejącymi powoli warstwami różu i lawendy. Nie było wyjścia. Musiała wrócić. Ale pozostawienie Toma tam, w cieniu wielkiego dębu, należało do najtrudniejszych decyzji w jej dotychczasowym życiu.

Rozdział 33

Przez kilka kolejnych dni Ronnie była bardzo zajęta; miała wiele publicznych wystąpień związanych z kampanią, uczestniczyła w zebraniach rad nadzorczych oraz ważnych oficjalnych lunchach i obiadach. W piątek po Święcie Pracy mieli się znów przeprowadzić do Waszyngtonu i Ronnie musiała się do tego dobrze przygotować. Mimo kosmopolitycznych przyjemności, jakie niósł ze sobą pobyt w stolicy, po raz pierwszy myślała z lekkim żalem o wyjeździe z Sedgely. Dawniej liczyła dni pozostałe do końca pobytu.

Przypuszczała, że ten żal musi mieć coś wspólnego z osobą Toma. Nie, nie coś. Było jej przykro

wyłącznie z powodu Quinlana. Gdyby nie on, cieszyłaby się z przeprowadzki. A tak odnosiła wrażenie, że zostawia go w Sedgely, co oczywiście nie znajdowało żadnego uzasadnienia i wydawało się absurdalne. Istniały przecie samoloty. W Waszyngtonie mogła widywać go równie często jak w Jackson.

Co oczywiście nie znaczyło, że wystarczająco często.

Zatelefonował raz na komórkę. Ronnie odwiedzała wówczas jedną z podstawówek w Delcie Missisipi z okazji pierwszego dnia nauki, toteż towarzyszyło jej mnóstwo osób: Thea, dwóch dziennikarzy i policjanci.

Musiała więc rozmawiać z Quinlanem zdawkowo i oficjalnym tonem. Szkoły znajdowały się w fatalnym stanie, ich uczniowie pochodzili w większości z ubogich rodzin. Kenny zaplanował tę trasę tak, by wyeksponować zainteresowanie, z jakim pani senatorowa traktowała problemy związane z edukacją, ale Ronnie przejęła się naprawdę oglądaną przez siebie nędzą.

Kiedy jednak zadzwonił Tom, przez chwilę marzyła wyłącznie o tym, by dzieci, nauczyciele, Thea i wszyscy inni znikli z pola widzenia. Tak bardzo chciała rozmawiać z Quinlanem bez skrępowania. To, co zamierzała powiedzieć, było przeznaczone wyłącznie dla jego uszu.

- Czy to Tom? - spytała Thea, marszcząc lekko brwi, kiedy Ronnie odłożyła słuchawkę.

Ronnie skinęła głową, kierując całą swoją uwagę na gliniane maski wykonane przez uczniów podczas zajęć z plastyki.

- Chciał czegoś? Powinnam do niego zadzwonić? Dziwne, że nie próbował

do biura. - Nadal marszczyła brwi. O ile pamiętała, Tom nigdy nie telefonował bezpośrednio do Ronnie.

Ronnie potrząsnęła głową. Trudno jej było się zmusić do obojętnego tonu, ale robiła co mogła.

- Pytał, co sądzę o wywiadzie dla jeszcze jednego kobiecego pisma.

Obie doskonale pamiętały boje o „Ladies' Home Journal”, toteż odpowiedź

brzmiała przekonywająco. Ronnie była z siebie bardzo dumna: udało się jej zaspokoić ciekawość Thei.

Tęskniła za Tomem tak bardzo, że aż ją to przerażało, z godziny na godzinę coraz silniej odczuwała jego nieobecność.

Quinlan miał wrócić w sobotę, ale pojawił się w domu już w piątek. Ronnie powiedziała właśnie kilka słów na temat genezy święta i przecinała wstęgę, otwierającą jego obchody -weekend Dnia Pracy, kiedy to odbywały się pokazy akrobacji lotniczych i loty balonem. Podniosła na chwilę oczy i wtedy zobaczyła Toma. Stał w pierwszym rzędzie gapiów.

Miał na sobie dżinsy, podkoszulek i czapkę baseballową. Ich oczy spotkały się w chwili, gdy wielkie, srebrzyste nożyce dotknęły wstęgi czerwonego jedwabiu. Najpierw w ogóle go nie poznała. Był po prostu jednym z wysokich, dobrze zbudowanych mężczyzn w czapkach baseballowych, śmielszym od innych, gdyż wcale nie ukrywał, że się jej przygląda. Kiedy jednak wyczuł na sobie wzrok Ronnie, uśmiechnął się do niej.

W chwili gdy go rozpoznała, pojaśniała na twarzy i zgubiła wątek.

Spontaniczny uśmiech rozpromienił jej twarz jak lipcowe słońce.

- Zobaczyła pani kogoś bliskiego? - spytał dobrodusznie Chip Vines, szef obchodów.

- Owszem - odparła Ronnie, odzyskując poczucie rzeczywistości. Rzuciwszy szybkie spojrzenie w bok, zauważyła, że Thea i Kenny stojący między ochroniarzami również machają do Toma, ale on - wpatrzony w Ronnie -

zdawał się nie dostrzegać tego powitania.

- Skoro skończyliśmy, pójdę się przywitać - powiedziała, oddając Vinesowi nożyczki.

- Oczywiście, madam. Dziękujemy bardzo za przybycie. Uroczystość otwarcia obchodów dobiegła końca. Kilka osób

stojących na podwyższeniu zeszło na dół, a samo podium odsunięto. Kenny, Thea i policjanci otoczyli Ronnie zmierzającą w stronę tłumów oczekujących na pokazy.

Tuż za nią pierwszy z wojskowych samolotów wytoczył się na pas, witany owacyjnie przez zebranych.

Gdy Ronnie podeszła bliżej, Tom uśmiechnął się jeszcze serdeczniej.

Marzyła, by znaleźć się w jego ramionach i podobne pragnienie wyczytała w jego twarzy. Mogła jednak tylko wyciągnąć rękę.

- Witaj, Tom - powiedziała. Jej oczy mówiły jednak znacznie więcej. Quinlan ujął jej dłoń i mocno ją uścisnął.

- Witaj, Ronnie. - Przeniósł wzrok na Kenny'ego i Theę. -Fajne przemówienie. Cześć Kenny, cześć Thea. Chyba nie wszyscy znacie mojego syna.

Ronnie dopiero teraz dostrzegła, że Tom nie jest sam. U jego boku stał

kilkunastoletni chłopak.

- To jest pani Honneker. I panna Cambridge.

- Dzień dobry. - Mark popatrzył najpierw na Ronnie, a potem na Theę.

- Miło mi. - Ronnie uśmiechnęła się chłopca i podała mu ręką, a potem Thea zrobiła to samo. Kenny najwyraźniej znał już Marka i przywitał się z nim po przyjacielsku. Ronnie pamiętała nastolatka z przelotnego spotkania na farmie, choć wówczas nie zostali sobie przedstawieni. Między chłopcem i Tomem istniało wyraźne podobieństwo!); mieli ten sam zarys szczęki i kolor oczu. Włosy Marka były jednak o kilka odcieni ciemniejsze, a chłopiec -

ubrany w workowate szorty i podkoszulek z napisem Big Johnson Rules -

wydawał się raczej chuderławy niż szczupły.

Ronnie poczuła się niemile zaskoczona, dostrzegłszy, iż stanowi obiekt podziwu wyrostka. Tego dnia włożyła turkusową jedwabną, rozkloszowaną suknię bez rękawów, zapinaną z przodu na guziki. Suknia zakrywała każdy centymetr ciała poza ramionami. Wyglądała jak szyta na zamówienie Quinlana pod kątem potrzeb kampanii, ale syn Toma i tak gapił się na Ronnie jak urzeczoney.

Zerknęła na Toma, by zobaczyć, jak on reaguje na zainteresowanie Marka, ale Quinlan rozmawiał właśnie z Theą i zdawał się niczego nie zauważać.

- Co tu robisz? Myślałem, że wracasz dopiero jutro. - Kenny zadał pytanie, które już od dłuższej chwili cisnęło się Ronnie na usta.

- Mark przyjechał na weekend. Pracowałem więc szybciej i skończyłem wcześniej zajęcia.

Na pasie startowym pojawiło się kilka kolejnych samolotów, wzbudzając entuzjazm tłumu.

Grupka otaczająca Ronnie cofnęła się nieco, by nie zasłaniać.

- Samolot ojca wylądował godzinę temu, ale on się uparł, żeby pooglądać pokazy - wtrącił kwaśno Mark. - Gdybym to wiedział, poprosiłbym babcię, żeby po niego pojechała.

Tom napotkał spojrzenie Ronnie. Oczy błyszczały mu rozbawieniem.

- Lubię samoloty wojskowe - odparł, wzruszając ramionami. - Nie martw się, zdążysz na randkę.

- Umówiłem się z Loren o wpół do siódmej.

- Będiesz na czas.

- Nie chcę psuć zabawy, ale naprawdę muszę iść - powiedziała Thea. - Ja też mam spotkanie.

- Z Toddem Farberem? - spytała Ronnie z zaciekawieniem. Właśnie Todd Farber towarzyszył Thei na urodzinach Lewisa.

Thea skinęła głową.

- W tak razie lepiej chodźmy - powiedziała Ronnie, starając się ukryć swoje prawdziwe uczucia. Znowu zerknęła na Toma. Tak krótkie spotkanie w miejscu publicznym było jeszcze gorsze niż żadne.

- Odprowadzimy cię do samochodu - powiedział Tom.

- Wydawało mi się, że chcesz oglądać pokazy - zaprotestował z oburzeniem Mark.

- Z parkingu zobaczę wszystko równie dokładnie jak stąd - odparł Tom zduszonym głosem. Ronnie z trudem ukryła uśmiech i wszyscy ruszyli na parking.

Na czele pochodu szli policjanci, torując drogę pozostałym, tuż za nimi podążał Mark z Theą i Kennym. Tom pociągnął Ronnie do tyłu.

- Tęskniłaś? - spytał miękko.

Ronnie popatrzyła wymownie na Toma i ścisnęła jego dłoń. Nie odważyłaby się go dotknąć w żaden inny sposób. Wielu zebranych wkoło ludzi wiedziało, kim jest, wszędzie kręcili się też dziennikarze, choć oni patrzyli raczej na pokazy niż na nią.

- Przecież wiesz, że tak. Wsunął jej coś do ręki.

Była to złożona koperta z czymś twardym w środku. Ronnie popatrzyła na niego pytająco.

- Klucz do mojego mieszkania. Mark wychodzi najpóźniej o wpół do siódmej.

Zacisnęła rękę na papierowym prostokącie. Serce biło jej bardzo mocno.

Posłała Tomowi szybki, promienny uśmiech.

- Czyżbyś zapraszał mnie na kolację?

- Coś w tym rodzaju.

- Tato, pospiesz się! - Słyszając zniecierpliwiony okrzyk Marka, podnieśli wzrok i rozejrzeli wokół. Krótkie sam na sam dobiegło końca - Tom i Ronnie musieli dołączyć do przyjaciół.

Spotkanie Lewisa z plantatorami zaplanowano na siódmą trzydzieści.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Ronnie miała mu towarzyszyć, ale wymówiła się migreną i uciekła do pokoju. Dorothy urządziła brydża na kilka stolików, toteż w salonie przebywało około dwudziestu kobiet. To upraszcza-

ło sprawę. Ronnie zyskała pewność, że teściowa też nie będzie jej szukać.

Zamiast wykradać się z domu jak złodziej, co pociągało za sobą spore niebezpieczeństwo, Ronnie powiedziała Selmie, że wybiera się na przejażdżkę, aby się pozbyć bólu głowy.

A potem wsiadła po prostu do swego białego BMW i odjechała.

Mieszkanie Toma znajdowało się w Bellhaven, przy końcu ulicy Fortification. Na kopercie z kluczem

w środku Ronnie znalazła adres i wskazówki co do trasy. Tom mieszkał w starej, eklektycznej pod względem architektonicznym części miasta. W Bellhaven rosły piękne rozłożyste drzewa, a domy były na ogół wiekowe i ogromne. Zajmowany przez niego apartament powstał z całego trzeciego piętra dawnej rezydencji w stylu wiktoriańskim, przerobionej na kamienicę.

Ronnie zaparkowała auto w alejce za domem na wypadek, gdyby ktoś (choć nie miała pojęcia, kto by to mógł być) zobaczył i rozpoznał jej samochód. Na zewnątrz wciąż było jasno, zapadał właśnie piękny wieczór, typowy dla babiego lata. Ludzie powychodzili z domów, aby zająć się ogrodem, posiedzieć na werandzie, pogawędzić z sąsiadami. Ronnie przebrała się za Toma; włożyła dżinsy i podkoszulek, włosy upchnęła pod czapkę baseballową. Czuła się zatem całkowicie bezpieczna.

Mimo to jednak weszła szybko do budynku i wbiegła po schodach na górę.

Na podeście znajdowały się dębowe drzwi z odręcznie wypisaną wizytówką: Mark i Tom Quinlanowie, wetkniętą między obudowę dzwonka i framugę.

Przycisnęła dzwonek i czekała.

Tom otworzył bardzo szybko, niemal natychmiast.

Ronnie weszła do środka, Quinlan zatrzasnął drzwi i porwał ją w ramiona.

Czapka baseballowa spadła na podłogę.

Później, gdy zaspokoiли przynajmniej częściowo swoje żądze, Tom oświadczył, że zrobi lekką kolację. Zużył w sypialni całą masę energii, oświadczył, że umiera z głodu, i pociągnął Ronnie za sobą do kuchni w poszukiwaniu jedzenia. Ronnie przysiadła przy niewielkim stoliku przykrytym szkłem, popijała colę i patrzył na Toma. Bez koszuli, bosy, ubrany tylko w wypłowiałe dżinsy, wyglądał naprawdę pierwszorzędnie, gdy tak przetrząsał półki.

- A co powiesz na kanapkę z szynką? - spytał Tom, wyjmując talerz z wędliną owiniętą w folię. - Sandra jest pewna, że nie karmię odpowiednio Marka, więc przysłała mi tę szynkę i cały pojemnik groszku. - Zaśmiał się głośno. -

Pewnie ma rację. Zwykle zamawiamy pizzę.

- Kanapka z szynką całkowicie wystarczy. Jesteś w dobrych stosunkach z Sandrą? - dodała po chwili, siląc się na obojętny ton.

Postawił talerz na stole i zdjął aluminiową folię z wędliny.

- Względnie dobrych. Z uwagi na Marka. Oboje go przecież kochamy.

Oczywiście w trakcie sprawy rozwodowej wszystko wyglądało inaczej.

Tom wyjął nóż, talerze, chleb i zaczął kroić szynkę.

- Rozstaliście się, bo ona sypiała z innymi mężczyznami, kiedy ty wyjeżdżałeś z miasta? - podsunęła Ronnie, która zapamiętała dobrze rozmowę odbytą z Tomem tego dnia, gdy się poznali.

- Mhm.

- I to cię zaskoczyło? - Nie mogła uwierzyć, że Quinlan niczego nie podejrzewał. Ona sama podejrzewała Lewisa o niewierność od samego początku. Nie podejrzewała. Wiedziała o jego zdradach.

Tom zjadł jedną kanapkę i napoczął drugą.

- Nie miałem o niczym pojęcia. Wróciłem wcześniej do domu z podróży, podobnie jak dziś, i zastałem tę scenę. W moim domu, w moim łóżku. To nie było ładne.

Ronnie odniosła wrażenie, że usłyszała nagle eufemizm roku.

- Pewnie po prostu okropne?

- Owszem. - Zerknął na nią przez ramię. - Musztardy?

- Nie, dziękuję. Bez niczego.

- Majonez?

- Nie, też dziękuję.

Podszedł do stołu z dwoma talerzami w ręku. Ronnie zauważyła z rozbawieniem, że każda kanapka mogłaby z powodzeniem zaspokoić głód co najmniej trojga ludzi.

- Dziękuję - powiedziała.

Usiadł naprzeciwko i nadgryzł kanapkę.

- Tak więc Sandra ponosi całkowitą odpowiedzialność za wasz rozwód? -

spytała, zdejmując połowę szynki z bułki, by móc w ogóle ją przełknąć.

- Chciałabyś znać wszystkie pikantne szczegóły, co? - Uśmiechnął się gorzko.

- Gdybym był mądrzejszy, na pewno bym potwierdził. Ale prawda jest taka, że musiałem często wyjeżdżać. Czasem spotykałem jednak jakieś kobiety i...

- nie dokończył i w milczeniu popatrzył znacząco na Ronnie.

- Spałeś z nimi? - podpowiedziała uprzejmie.

- Tak, coś w tym rodzaju. - Wykrzywił usta. - Ożeniłem się, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, a odkochałem dwa lata później.

- Rozumiem. - Ronnie odgryzła kawałek kanapki. - Ale mimo wszystko bardzo się zdziwiłeś, kiedy złapałeś żonę na gorącym uczynku.

- Zdziwienie nie jest tutaj odpowiednim słowem. - Tom odłożył kanapkę i wziął do ręki szklankę z coca-colą, lecz odstawił ją z powrotem nie upijając ani łyka. - Dostałem szału. Sprąłem na kwaśne jabłko tego faceta, wystraszyłem śmiertelnie Sandrę i odjechałem. Rozwód zajął

nam prawie dwa lata. Sandra dostała wszystko: dom, samochody, polisy, Marka. W tym czasie zupełnie nie potrafiłem skupić się na pracy, skończyło się wielką aferą. Firmę oskarżono o przyjęcie stu tysięcy dolarów łapówki od klienta, dla którego wówczas pracowaliśmy. Oczywiście nie byliśmy winni, ale to nie miało żadnego znaczenia. O całej sprawie pisano we wszystkich gazetach, aż się dziwię, że nic o tym nie słyszałaś. Musieliśmy zapłacić ogromną grzywnę i firma splajtowała. Po jakimś czasie Kenny i ja zaczęliśmy ją odbudowywać. - Uśmiechnął się do niej. - Stałaś się naszą ogromną szansą. Wracamy w wielkim stylu. I muszę przyznać, że wiele się przy okazji nauczyłem.

- Tom - zaczęła Ronnie i natychmiast urwała. Kanapka z szynką spoczęła, całkiem zapomniana, na jej talerzu.

- Co takiego? - spytał, nadgryzając swoją.

- Powiedz mi, gdzie jest moje miejsce w tej układance. Należę do kategorii tych kobiet, które spotykałeś w pracy i czasem z nimi sypiałeś? Nadal się mną opiekujesz dla dobra firmy?

Tom popatrzył na nią przez stół i wolno odłożył kanapkę na talerz. Zwęziły mu się oczy.

- Tak dla porządku, to nie łączyły mnie z nimi żadne więzy emocjonalne. Nie pragnąłem stałego związku. One również nie. Starczały nam numerki na jedną noc. A poza tym jak do tej pory nie sypiałem z klientami.

- Co nie sprawiło ci zresztą specjalnej trudności, bo większość z nich to mężczyźni - dodała słodko Ronnie.

Wykrzywił lekko usta, w jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Rzeczywiście, to ułatwia sprawę.

Ronnie wstała, nie spuszczając nie z niego badawczego wzroku.

Tom również zerwał się z krzesła, chwycił ją za ramiona, przytulił i zajrzał w oczy.

- Chcesz wiedzieć, jaką rolę pełnisz w moim życiu? O to mnie pytasz? A więc musisz zrozumieć, że tak naprawdę to nigdzie nie pasujesz. Stanowisz ogromną komplikację w sytuacji, nad którą zaczynałem powoli panować.

Jesteś profesjonalnym samobójstwem i skandalem osobistym na skalę, o jakiej w ogóle nie chcę myśleć. Samobójstwem i skandalem we wspólnym, seksownym opakowaniu. Robiłem, co mogłem, żeby się nie wpakować w taką aferę. Ale nie potrafiłem działać wbrew sobie. Myślę o tobie w dzień

i w nocy. Ilekroć cię widzę, mam takie wrażenie, jakby po chłodnym deszczu zza chmur wyrzało słońce.

Zmarszczka znikła z jej czoła. Zarzuciła Tomowi ręce na szyję.

- Więc chyba od ciebie zależy to miejsce w układance - zakończył ochryple.

Ronnie stanęła na palcach, żeby go pocałować. W chwili, gdy dotknęła wargami jego ust, drzwi do mieszkania otworzyły się i zamknęły z głośnym trzaskiem.

Rozdział 34

- Tato! - Krzyk Marka rozdzielił Toma i Ronnie skuteczniej, niż uczyniłby to kubek zimnej wody. Zdążyli tylko popatrzeć po sobie z przerażeniem. - Tato, jesteś w kuchni? Nigdy nie uwierzysz, co ona zrobiła!

Ronnie poczuła nagle absurdalną ochotę, by się schować. Została całkowicie uwięziona w kuchni. Z mieszkania mogła wyjść jedynie przez salon, do którego właśnie wbiegał Mark. A do kredensu nie miała szansy się zmieścić.

Zresztą po chwili już i tak zrobiło się za późno na rozważania. Mark stanął jak wryty w kuchennych drzwiach, a gniew w jednej chwili wyparował mu z twarzy. W jego miejsce pojawiło się natomiast bezbrzeżne zdziwienie.

Ronnie popatrzyła na te scenę oczami chłopca i skrzywiła się niemiłosiernie.

W kuchni był Tom ubrany jedynie w dzinsy, bez butów i koszuli. No i ona; na szczęście przynajmniej w spodniach i obcisłej żółtej koszulce z różowym słoneczkiem, ale również bosa, nieumalowana, z rudymi włosami spadają-

cymi bezładnie na ramiona. Dzieliła ich odległość nie większa niż pół metra, gdyż odskoczyli od siebie, kiedy tylko usłyszeli wołanie Marka. Tom zamarł

przy szafkach obok lodówki, Ronnie przy stole, na którym stała cola w puszkach i dwa talerze z pozostałościami szynki.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że... - zatrzymał spojrzenie na Ronnie i otworzył szeroko oczy - masz randkę.

Wiedział, kim ona jest - poznała to po jego minie.

- Ronnie, pamiętasz mojego syna? - spytał szorstko Tom. - Przedstawiałem cię już pani Honneker.

- Tak, pamiętam. Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, Mark - wykrztusiła. Wypowiedzenie tych dwóch słów wydawało się jej równie trudne jak zdobycie Mount Everestu. Czuła się niesamowicie skrępowana. Zahaczyła kciuki o szlufki

dżinsów i zerknęła pytająco na Toma.

- Rozumiem, że pokłóciłeś się z Loren - powiedział Quinlan do syna.

Potrafił zachować spokój - musiała mu to przyznać. Patrzył spokojnie na chłopca. Pytanie miało wyraźnie na celu odwrócenie uwagi Marka od sytuacji, jaką zastał w domu. Pomysł okazał się trafny.

- Oddała mi pierścionek!

Ronnie pomyślała, że chłopak musi odczuwać jednocześnie wściekłość i ból, skoro wybuchnął w ten sposób przy obcej osobie. Z rękami w kieszeniach, oparty o framugę, przypominał jej Toma.

- Nie wiedziałem, że w ogóle dałeś jej pierścionek - powiedział Tom.

- Tak, dałem. Zaraz na początku lata. Spotykaliśmy się przecież. Ale patrz! -

Wyciągnął rękę. Na małym palcu tkwiła srebrna obrączka.

- Usiądź, Ronnie, i dokończ kanapkę. - Tom otworzył drzwiczki od lodówki, wydobyl z niej butelkę soku pomarańczowego i rzucił ją synowi. - Ty też siadaj. Chcesz coś zjeść? Może bułkę z szynką?

- Nie. - Mark zdjął nakrętkę z soku, wychylił połowę zawartości butelki jednym haustem i usiadł przy stole.

Ronnie i zerknęła ponownie na Toma i również usiadła. Sytuacja wyglądałaby jeszcze gorzej, gdyby wyszła w chwili, kiedy Mark wrócił do domu. Przemknęła jej przez głowę myśl, że nastolatek nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, co naprawdę widział.

A potem przypomniała sobie, w jaki sposób patrzył na nią na lotnisku. Nie był aż tak młody.

- Więc co się stało? - Tom spokojnie przygotowywał kolejną kanapkę.

- Byliśmy w Pizza Hut. Loren powiedziała mi, że chce się zacząć widywać z innymi facetami, i oddała mi pierścionek.

Ronnie bardzo dzielnie usiłowała nadgryźć kanapkę.

- Loren to naprawdę bardzo ładna dziewczyna. - Tom postawił przed synem papierowy talerz z kanapką i znów usiadł przy stole.

- Prawda? - Mark ugryzł okazały kęs kanapki, za którą wcześniej podziękował.

- Ale wiesz, jest dużo ładnych dziewczyn. Niektóre równie ładne jak Loren, albo nawet ładniejsze. Może powinieneś spróbować się z nimi umówić.

- Może - odparł Mark bez entuzjazmu, jedząc kanapkę.

- Czy mogę ci udzielić pewnej rady? - spytała Ronnie, odsuwając talerz i opierając łokcie na stole.

- Oczywiście - odparł Mark.

- Na twoim miejscu udawałabym, że się w ogóle tym nie przejęłam.

Natychmiast zaczęłabym się umawiać z innymi. To zwróci jej uwagę szybciej niż cokolwiek innego, co mógłbyś zrobić.

- Więc powinienem wzbudzić w niej zazdrość? To chyba trochę staromodne.

Myślisz, że zadziała?

- Wyobraź sobie, jak byś się czuł, gdybyś zobaczył swoją dziewczynę z innym facetem.

- Chyba miałbym ochotę go zabić - powiedział Mark z przekonaniem.

- Pewna skłonność do zazdrości jest u nas rodzinna - dodał Tom z uśmiechem, patrząc na Ronnie. Odwzajemniła uśmiech, przypomniała sobie, że mają towarzystwo, i przybrała obojętną minę. Przynajmniej tak jej się wydawało.

- Może poprosiłbym Elizabeth Carter, żeby poszła ze mną na tańce z okazji Święta Pracy - zastanawiał się głośno Mark. - Albo zwrócę się z tą propozycją do Amy Rubens.

- Dobry pomysł - odparł Tom.

- Przepraszam, że nie mogę odsiedzieć kolacji, ale na mnie już pora. - Ronnie zerknęła na zegar wiszący na przeciwległej ścianie i wstała. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl: nie mogła się nigdzie ruszyć bez butów. A buty leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiła: przy łóżku Toma.

Nie miała pojęcia, jak je odzyskać.

Tom najwyraźniej dostrzegł jej konsternację. Zmarszczył brwi i popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Siadaj - powiedziała, machając ręką w stronę krzesła, które zwolnił Tom. -

Najpierw pobiegnę do łazienki. Zaraz wracam.

W mieszkaniu znajdowały się dwie łazienki - jedna w korytarzyku prowadzącym do kuchni i druga obok sypialni To-ma. Z tego, co wiedziała Ronnie, pokój Marka nie był połączony z łazienką. Zamknęła głośno drzwi do łazienki w holu, nie wchodząc do środka i pomknęła do sypialni Toma, czując się jak złodziej. Jej buty leżały obok łóżka, znajdującego się w stanie całkowitego nieładu. Szybko wygładziła pościel, po czym usiadła na skraju materaca, aby wciągnąć buty. Potem zerwała się z miejsca, podreptała do łazienki w holu i zamknęła z trzaskiem drzwi, jakby dopiero co z niej wyszła.

Nawet jeśli Mark się domyślał, że spała z jego ojcem, nie musiał wcale zdobyć pewności w tej

sprawie. A wygląd łóżka i jej buty obok stanowiły -

według Ronnie - pierwszorzędny dowód.

Nie spiesząc się już specjalnie, wróciła do kuchni. Ojciec i syn rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, ale na jej widok przerwali rozmowę.

- Czas na mnie - powiedziała.

Obaj podnieśli na nią oczy, które wydały się jej niemal identyczne.

- Odprowadzę cię. Włożę tylko koszulę - powiedział Torn. Pojawił się z powrotem w białym podkoszulku i chodakach tak szybko, że Ronnie i Mark wymienili zdziwione uśmiechy.

Mark podniósł się z miejsca i spojrzał na Ronnie, a potem na ojca, który stał

tuż za nią.

- Przepraszam, że przerwałem ci spotkanie. Kiedy mi powiedziałaś, że zostajesz dziś wieczorem w domu, sądziłem, sądziłem... że będziesz... -

urwał.

Nie dodał tylko: sam. To był dla Ronnie oczywiste.

- Cieszę się, że cię poznałam - powiedziała Ronnie. Pozostało jej jedynie udawać, że sytuacja wcale nie jest niezręczna. - Twój ojciec wiele mi o tobie opowiadał.

- Naprawdę? - Mark popatrzył z zainteresowaniem na Toma.

Nie odzywali się do siebie ani słowem, dopóki nie znaleźli się w alejce za domem, gdzie Ronnie zostawiła auto.

- Sądzisz, że on wie? - spytała niespokojnie Ronnie. Tom szedł tuż obok, ale jej nie dotykał. Zapadł zmrok i większość mieszkańców wróciła już do domów. Ktoś urządzał barbecue. W powietrzu unosił się smakowity zapach mięsa pieczonego na ruszcie.

- Jasne - odparł krótko Tom. - Zresztą bardzo mu się podobasz.

- Rozmawialiście o mnie?

- Pierwszą rzeczą, jaką powiedział, gdy wyszłaś, było: „Teraz rozumiem te pokazy”. I tak się zaczęło.

- Och nie!

Tom wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Nic na to nie poradzę. Chyba będę musiał z nim jeszcze o tym podyskutować. Powiem mu na

przykład, że istnieją sytuacje dwuznaczne moralnie, a niektóre rzeczy nie są ani czarne, ani białe, tylko szare. To będzie taka rozmowa, jaką rodzice prowadzą z dziećmi, kiedy zostaną przyłapani na jakimś występku.

- Bardzo mi przykro, że znalazłeś się przeze mnie w takiej sytuacji.

- Mnie również jest przykro.

Doszli do samochodu Ronnie i zatrzymali się.

- Zobaczymy się jutro? - spytała cicho. Pokręcił głową.

- Mark bierze udział w turnieju baseballowym w Meridian. Nie będzie nas jutro i przez większość niedzieli.

- Wiesz, że w piątek wracamy do Waszyngtonu?

- Tak. A ja we wtorek lecę do Kalifornii.

- Więc? - nie dokończyła. Skrzywił się.

- Poniedziałek?

- To Dzień Pracy. Wybieram się na pokaz rzemiosła artystycznego z Lewisem. Ale wieczorem powinnam się wyrwać.

- Mark chyba idzie na potańcówkę do szkoły.

- Twoje mieszkanie nie wchodzi w grę.

- Absolutnie. - Uśmiechnął się nagle. - Znam taki motel przy autostradzie 1-20. Robbins Inn. Zabierałem tam dziewczyny, kiedy jeszcze byłem w liceum. Hotelik jest położony na uboczu i na pewno żadne z nas nie spotka tam nikogo znajomego. Może spotkamy się na parkingu o ósmej?

- Spróbuję przyjść.

Chwyił ją za rękę, przytulił i pocałował w usta.

- Nie martw się Markiem - powiedział. - Dam sobie z nim radę.

Pocałowali się raz jeszcze, Ronnie wsiadła do auta i pojechała do Sedgely.

W poniedziałek spotkali się w motelu. We wtorek Tom poleciał do Kalifornii.

Tym razem zostawił numer telefonu, tak by Ronnie mogła do niego dzwonić późnym wieczorem, kiedy nikt się wokół niej nie kręcił.

W piątek ona i Lewis polecieeli z powrotem do Waszyngtonu.

Trzykondygnacyjny ceglany dom w Georgetown, stary i elegancki, nie dorównywał wielkością posiadłości w Sedgely, ale świadczył tak samo wyraźnie o pieniądzach i pochodzeniu właścicieli. Sufity pomieszczeń wysokich na pięć metrów zdobiły wypukłe rzeźby. W każdym pokoju znajdował się kominek. Na lśniących dębowych parkietach leżały wschodnie dywany w odcieniach różu i błękitu. Dzieła tak znanych artystów jak Sargent, Cezanne i Andrew Wyeth stanowiły wspaniałą ozdobę ścian. Meble - w większości antyki o muzealnej wartości - obito brokatem i jedwabiem.

Do tego właśnie domu przybyła Ronnie jako narzeczona Lewisa i tu czuła się najlepiej. W przeciwieństwie do Missisipi, Waszyngton bardzo jej odpowiadał. I choć była młodsza od większości żon senatorów, należała do ich kręgu. Bardzo często w Waszyngtonie mówiono niej: „druga pani Honneker”. Oczywiście wtedy, kiedy nie słyszała.

Natychmiast po przybyciu na miejsce wpadła w wir lunchów i przyjęć.

Gawędziła z przyjaciółkami przez telefon, chodziła do fryzjera, robiła zakupy. Wybrała się z Lewisem do Białego Domu na obiad wydany na cześć prezydenta Zairu, który przyleciał do Waszyngtonu, aby uzyskać wsparcie finansowe dla swego kraju. Uczestniczyła w imprezie charytatywnej w Smithsonian. Towarzyszyła żonie prezydenta podczas śniadania tak zwanego

„klubu dziewcząt” w solarium Białego Domu - pięknym, jasnym, przewiewnym pomieszczeniu z kwiecistymi perkalowymi zasłonami i obiciami.

Ale nic nie cieszyło jej tak, jak wtedy, gdy wyjechała spędzić lato w Missisipi. Czerpała bardzo niewiele radości z pieniędzy, które mogła przeznaczyć na stroje, z olśniewających przyjęć, z towarzystwa bogatych i znanych ludzi, z którymi była po imieniu. Nie sprawiło jej przyjemności nawet śniadanie w towarzystwie Pierwszej Damy w Białym Domu.

Wszystko dlatego, że tęskniła za Tomem.

Nie widziała się z Quinlanem od spotkania w motelu, choć często rozmawiała z nim wieczorami przez telefon. Gdy tak gawędzili, całe jej istnienie sprowadzało się do słuchawki w jednym ręku i głębokiego głosu mężczyzny na drugim końcu linii. Czasem, nocą, gdy wracała zbyt późno, by do niego zadzwonić, szła do łóżka i zwiјаła się w kokon tęsknoty. A następnego dnia cały świat wydawał się pozbawiony barw.

W piątek ona i Lewis wybierali się na przyjęcie do Billa Kennetha. Bili Kenneth - młodszy senator z Tennessee - został właśnie członkiem komisji budżetowej, w której działał Lewis.

Koktajl zaplanowano na dziewiątą wieczorem, co jak na Waszyngton stanowiło porę dość wczesną. Ronnie włożyła na tę okazję krótką czarną sukienkę koktajlową, cieliste rajstopy i czarne pantofle na wysokim obcasie.

Kreacja składała się z czarnej jedwabnej koszulki i koronkowego wdzianka.

Koszulka odsłaniała ciało, ale wdzianko miało długie rękawy i dekolt w kształcie łódki. I choć zakieci był raczej zabudowany, pewne fragmenty ciała prześwitywały kusząco poprzez koronkę.

Włosy Ronnie spływały luźno na ramiona, w uszach błyszcząły brylanty.

Na przyjęciu pojawiła się w końcu z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem (nigdy nie należy zjawiać się zbyt wcześnie), bardzo zadowolona ze swego wyglądu. Lewis też prezentował się świetnie w ciemnym garniturze i biła od niego duma z tak pięknej żony u boku. Po kilku minutach każde z nich poszło jednak w swoją stronę. Ronnie rozmawiała w jednej części sali z ambasadorem Peru, a Lewis otoczony gromadką znajomych stał w kącie po przeciwnej stronie. Palili cygara i co chwila wybuchali rubasznym śmiechem.

- Ronnie! Co słyszeć? Wyglądasz naprawdę wspaniale! Te kolczyki!

Zakochałam się w nich na zabój! - wykrzyknęła Lacey Kenneth, żona Billa, odziana w kreację od Armaniego. O jakieś siedem, osiem lat starsza od Ronnie była nadal młodą, atrakcyjną, szczupłą kobietą o ciemnych włosach do ramion.

Ronnie odwróciła się, by ucałować ją w oba policzki, co należało do dobrego tonu wśród żon polityków. A potem spojrzała przed siebie ponad jej ramieniem i omal nie zemdląła. Patrzyła na nią para boleśnie znajomych niebieskich oczu.

Rozdział 35

- Znasz Toma Quinlana, kochanie? Pan Quinlan pochodzi z Missisipi. -

Odsuwając się od Ronnie, Lacey pociągnęła Toma za łokieć.

Tom uśmiechnął się do Ronnie. W granatowym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie wydawał się jeszcze bardziej barczysty i przystojniejszy niż zwykle.

- My się znamy - powiedział lekko, ściskając dłoń, którą dzięki resztkom przytomności umysłu zdołała do niego wyciągnąć. - Witaj, Ronnie.

- Witaj, Tom. - Dotyk jego ręki sprawił, że pokój ożył, nabrał wyrazistości i zaczął pulsować od dźwięków, zapachów i widoków, których przedtem nie zauważała. Ronnie czuła, że zalewa ją czystą, nieskalana radość.

Uśmiechnęła się do Toma, a potem szybko przywołała się do porządku, by jej rozpromieniona twarz nie wzbudziła podejrzeń.

Lacey już i tak patrzyła na nich z zainteresowaniem.

- Tego lata pracowałem dla senatora Honnekera w Missisipi - powiedział

Tom do Lacey, puszcżając rękę Ronnie. - Ronnie i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Teraz Tom pracuje dla nas - oświadczyła Lacey z miną posiadaczki. - Bili ma ciężki orzech do zgryzienia. Żeby wygrać, musimy wytoczyć ciężką artylerię.

- Do wyborów zostało sporo czasu. Zdążymy zrobić, co trzeba - powiedział

Tom. - Cieszy cię powrót do Waszyngtonu? - spytał Ronnie.

Przez chwilę rozmawiali o niczym: o wadach i zaletach Waszyngtonu, o pogodzie i wzroście przestępczości w pewnych

dzielnicach. Ronnie odniosła wrażenie, że dzięki beztrioskiej pogawędce podejrzenia Lacey - jeśli pani Kenneth w ogóle takowych nabrała - znacznie osłabły. Gdy do ich grupki dołączyło jeszcze kilka osób, Lacey ujęła Toma pod łokieć i odprowadziła na bok.

Chciała go - jak twierdziła - komuś przedstawić.

Patrząc na Lacey przyciśniętą do Toma, trzymającą rękę na jego łokciu, Ronnie poczuła ogromną niechęć w stosunku do kobiety, którą niegdyś uważała za przyjaciółkę.

Wiedziała doskonale, czego Lacey tak naprawdę oczekuje od Toma.

- Jeżeli się z nią prześpisz, wydrapię ci oczy - szepnęła groźnie do Quinlana, gdy na chwilę zostali sami.

Upił łyk złocistego drinka, zwęziły mu się oczy.

- Zazdrosna?

- Owszem.

- A jak ja się czuję, kiedy cię widzę z Jego Eksceleńcją?

- Przecież wiesz, że już nic nas nie łączy.

- Co nie zmienia faktu, że nadal jesteś jego żoną.

- Unikasz tematu.

- A jaki to temat?

- Lacey Kenneth. Uśmiechnął się do niej.

- Kochanie, jedyna kobieta na tej sali, z którą zamierzam się przespać, to ty.

Jak myślisz, dlaczego przyjechałem do Waszyngtonu?

- No właśnie, dlaczego?

- Żeby się z tobą zobaczyć. Podjąłem tę decyzję dopiero rano. Chybabym już nie przeżył kolejnej rozmowy telefonicznej. Musiałem działać.

Ronnie przypomniała sobie tory, na jakie zesła wczoraj ich konwersacja, i zrozumiała doskonale, o czym on mówi.

- Jak długo tu będziesz?

- Tylko dziś wieczór.

- Tylko dziś wieczór!

- No wreszcie! Ronnie, jak możesz go tak anektować! Nie zjadł jeszcze ani kawałeczka tego wspaniałego łososa! Poza tym Lewis chyba cię szuka. Jest gotowy do wyjścia.

- W takim razie lepiej go poszukam - odparła Ronnie z przyklepionym uśmiechem, patrząc jak Lacey odciąga od niej Toma już po raz drugi tego wieczoru. Lewis był rzeczywiście gotowy do wyjścia. Po koktajlu u Kennethów wybierali się jeszcze na przyjęcie wydane przez ważnego lobbyistę. Impreza miała się rozpocząć o jedenastej.

Gdy wróciła z krótkiej wycieczki do łazienki, gdzie uciekła na chwilę pod pozorem poprawienia makijażu, udało się jej jeszcze poszeptać z Tomem.

A raczej on znalazł taką okazję.

Podszedł do niej śmiało na oczach wszystkich, co oczywiście było zresztą jedyną szansą, aby nie wzbudzać podejrzeń. Ronnie niestety zupełnie o tej zasadzie nie pamiętała.

- Miło mi było cię znowu zobaczyć, Ronnie - powiedział. - Hotel Ritz-Carlton. Pokój siedemset piętnaście - szepnął, ujmując jej wyciągniętą dłoń

- Mnie również było miło. - Uśmiechnęła się i uściśnęła mu rękę. - Spróbuję -

dodała bezgłośnie.

- Uważaj na siebie w Waszyngtonie, słyszysz? - powiedział Lewis, klepiąc Toma po ramieniu. - Następnym razem, jak będziesz w mieście, koniecznie daj znać. Możesz zatrzymać się u nas.

- Nie omieszkam - odparł Tom szorstko, a Lewis objął Ronnie i wyciągnął ją na zewnątrz. Ronnie czuła na sobie świdrujące spojrzenie Quinlana, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi.

Ronnie i Lewis dotarli do domu dopiero o trzeciej. Zrobiło się już za późno na odwiedzinę u Toma. Nie potrafiła wymyślić żadnego pretekstu do wyjścia z domu o tak późnej porze. Zadzwoić do Quinlana również nie mogła. Lewis nie kładł się bardzo długo i Ronnie poważnie się obawiała, że mąż może podnieść słuchawkę aparatu w bibliotece, który miał specjalną lampkę, zapalającą się zawsze, ilekroć ktoś był na linii. A wtedy podsłuchałby na pewno jej rozmowę.

Tak więc nie pozostało jej nic innego, jak położyć się spać. Kiedy o szóstej zadzwonił budzik, Ronnie wstała i ubrała się w szorty oraz podkoszulek, jakby zamierzała ćwiczyć. Było wcześniej, znacznie wcześniej niż zwykle się budziła, ale w Waszyngtonie uprawiała jogging zamiast pływania,

toteż istniało ogromne prawdopodobieństwo, że nikt nie dopatrzy się niczego podejrzanego w jej nieobecności. Mary - ich gospodyni z Waszyngtonu -

zjawiała się nie wcześniej niż o dziewiątej,

a Lewis i tak by jej nie szukał, niezależnie od tego, o której by wstał. Nie wchodził do jej sypialni, bo i po co?

Gdy wybiegła z domu, zauważyła natychmiast, że przez noc nad Potomacu nadciągnęła mgła i niczym ogromna kołdra zasnuła rezydencje, tłumiąc uliczny zgiełk, dochodzący z bardziej ruchliwych przecznic. Ronnie dobiegła do rogu ulicy, nie zauważywszy nikogo znajomego - po Georgetown kręciło się zawsze wielu turystów - i tam zatrzymała taksówkę.

W holu Ritz-Carlton nawet o tak wczesnej porze roiło się od ludzi, głównie biznesmenów, którzy właśnie wyprowadzali się z hotelu i załatwiali formalności w recepcji.

Przechodząc przez obrotowe drzwi, Ronnie rozejrzała się lękliwie. Ale nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, a do windy wsiadła sama.

Pukając do drzwi pokoju 715, znów zerknęła niepewnie na korytarz. Szansę, że natknie się na kogoś znajomego akurat tutaj i o tej szczególnej porze, były raczej nikłe, niemniej jednak istniały. Tak naprawdę Waszyngton nie należał

do dużych miast. Czowała się tutaj jak w Jackson. Wszyscy się znali.

Nikt nie odpowiedział. Ronnie zmarszczyła czoło i zapukała ponownie, tym razem głośniej. Pomyślała, że pewnie Toma nie ma w pokoju, spędził po prostu noc gdzie indziej.

Gdzie ją spędził, pozostawało jednak nadal kwestią całkowicie otwartą.

Ronnie przypomniała sobie o Lacey Kenneth. A jeśli Tom, podobnie jak Lewis, lubił prostytutki? W tym zakresie Waszyngton stwarzał mu ogromne pole do popisu.

Już samo takie podejrzenie doprowadziło ją do furii. Zaczęła walić do drzwi tak głośno, że umarły by się obudził. Jeśli nawet Tom spędził noc z inną kobietą, to przynajmniej nie będzie miał okazji, by się z nią czule pożegnać -

myślała.

Poza tym i tak postanowiła go zabić.

Drzwi otworzył się w chwili, gdy Ronnie chciała w nie walnąć obiema pięściami i jeszcze na wszelki wypadek kopnąć. Stał w nich Tom -

nieogolony, bosy, z podkrążonymi oczyma - w szlafroku hotelowym, niedbale przewiązanym paskiem.

Najwyraźniej wyciągnęła go z łóżka. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Bez słowa usunął się na bok, by ją wpuścić. A potem zamknął drzwi i przyciągnął ją do siebie.

- Gdzie byłaś? - warknął.

- Wróciliśmy do domu dopiero o trzeciej - powiedziała przepaszająco, wsuwając mu ręce pod szlafrok. Kiedy zrozumiała, że Tom nie spędził nocy z inną kobietą, jej gniew natychmiast minął. - Zrobiło się zbyt późno na wizyty i telefony.

- Martwiłem się o ciebie, cholera!

- Bardzo mi przykro.

Gdy się do niego przytuliła, poły szlafroka rozchyliły się, odsłaniając czerwone bokserki, w których Quinlan zapewne spał.

Podobał się jej taki ciepły, potargany, dopiero co wyciągnięty z łóżka.

Dotknęła nosem jego piersi - pachniał mężczyzną.

- Jestem umówiony o dziesiątej - mruknął gderliwie. Nie zmienił tonu, ale jego ręce już rozpoczęły wędrówkę po nagich plecach Ronnie.

- Zawsze brakuje nam czasu, prawda? Jak ja tego nienawidzę.

- Chciałaś romansu, masz romans.

Nie gderał, chciał się wyraźnie pokłócić. Podniosła na niego oczy: nadal łypał na nią spod zmarszczonych brwi. Wiedziała, jak to załatwić.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła, przyciskając usta do jego piersi.

- Już się napaliłaś? - Odnalazł haftkę biustonosza i rozpiął ją zręcznie. - Ja też.

Popatrzyła na niego zszokowana. To wulgarnie sformułowanie tak dalece nie pasowało do Toma, że nie wierzyła, by wyszło z jego ust.

- Nie jesteś miły - powiedziała z naganą w głosie. Dotyk jego dłoni na piersi był cudowny. Całymi dniami marzyła o tym, by jej tak dotykał. Zadrżała, gdy ścisnął jej sutkę.

- Bo nie jest mi miło. - Takiego tonu Ronnie nigdy u niego nie słyszała.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła mu w oczy, ale Tom zaczął jej tymczasem zdejmować biustonosz i podkoszulek.

Przez chwilę stał po prostu i patrzył na nią. Miała na sobie kolarki, skarpetki i tenisówki. Jej nagie

piersi muskały mu tors.

Podniósł ją bez słowa i zaniósł na łóżko.

Kochał się z nią wściekle i twardo, zupełnie inaczej niż kiedyś. Żądał, a ona dawała, wszedł w nią niemal natychmiast, zmuszając do odpowiedzi, przez którą omal nie rozpadła się na kawałki. Narzucił tempo i wziął, co chciał, manipulując nią po mistrzowsku, aż wygięła się w łuk, przytuliła do niego ca-

łym ciałem i wykrzyczała jego imię.

Koniec przypominał wybuch.

A potem Tom zaczął od nowa.

Kiedy wreszcie skończył, leżał na niej jedynie przez parę sekund, po czym stoczył się z łóżka i ruszył do łazienki. W chwilę później usłyszała szum wody - brał prysznic.

Nie trzeba było geniuszu, by się domyślić, że Tom jest na nią wściekły. Za to, że się przez nią martwił? Być może.

Spuściła nogi z łóżka, wstała i przeciągnęła się. Ciało piekło ją od ukłuc jego nieogolonego zarostu, domyślała się, że będzie miała siniaki, ale była tak zadowolona i zaspokojona jak kot, który zjadł właśnie całą puszkę tuńczyka.

Uśmiechając się lekko, ruszyła do łazienki. Ku jej zdziwieniu, Tom zamknął

drzwi na zasuwkę. Zaskoczona, podeszła do toaletki stojącej pod ścianą, uczesała włosy i sprawdziła makijaż. Potem wróciła do sypialni, włożyła porzucony przez niego szlafrok i wróciła zaintrygowana do łóżka.

Quinlan w fatalnym nastroju stanowił zjawisko godne najwyższej uwagi.

Gdy wrócił do sypialni dziesięć minut później, był już wykąpany i ogolony, ubrany w jasnoszare spodnie od garnituru i szczelnie pozapinaną białą koszulę, rozchyłoną jedynie przy kołnierzyku, pod którym tkwił krawat.

Włożył nawet buty.

Wchodząc do pokoju, nie spuszczał z niej oczu. Szczękę miał wysuniętą, zaciśnięte usta. Otulona w płaszcz kąpielowy, oparta o wezglowie łóżka, z nogami podciągniętymi do brody, popatrzyła na niego z uniesionymi brwiami.

- O co chodzi? - spytała.

Gdy mijał łóżko, idąc w stronę okna, twarz mu pociemniała.

- O seks - odparł grzecznie, odsłaniając firankę. Pokój zalało światło, może nie oślepiające z powodu mgły, ale wystarczające, by zakraść się w każdy kąt mrocznego dotąd pokoju. Ronnie zamruwała powiekami.

- Przecież właśnie o to tutaj chodzi, prawda? O seks. Ja chcę seksu, ty chcesz seksu, więc uprawiamy seks. To był czysty, surowy, twardy seks.

Stał odwrócony do niej plecami, patrząc przez okno na miasto.

- Tom - szepnęła.

Natychmiast się do niej odwrócił.

- To nie dla mnie, Ronnie. Wiedziałem, że tak będzie. Nie jestem organicznie zdolny do tego, by zostać facetem, z którym się pieprzysz na boku. Albo odejdziesz od męża i wystąpisz o rozwód, albo koniec z nami.

Ronnie wybałuszyła na niego oczy. Nie tego się spodziewała. -Tom..

- Mówię poważnie. - Podeszedł do łóżka. - Musisz wybierać: ja albo on.

W nogach łóżka przystanął; zobaczyła, że zacisnął pięści.

- Jeśli wybierzesz mnie, wiesz, gdzie jestem. Jeśli nie - powodzenia.

- Tom, Tom, zaczekaj!

Ale kiedy wyskoczyła z łóżka, on już zamykał za sobą drzwi.

Rozdział 36

Na kolejny tydzień Ronnie musiała włączyć automatyczne sterowanie.

Chodziła na lunchy i obiady, ale nie potrafiła powiedzieć, co jadła, ani kto siedział z nią przy jednym stole. Na oficjalnych przyjęciach gawędziła wesoło z innymi gośćmi, lecz nie pamiętała później tematu rozmów. Grywała w tenisa z przyjaciółmi i straciła tyle piłek, że wzbudziło to obawy o stan jej zdrowia. Chodziła do sklepów, ale nie potrafiła znaleźć nawet jednej pary butów, która by się jej podobała.

Dwukrotnie, późno wieczorem, sięgała po słuchawkę, aby zatelefonować do Toma. I dwukrotnie kładła ją z powrotem na widełki, zanim skończyła wybierać numer.

Apelacja była wykluczona: Tom mówił poważnie. Ronnie od samego początku doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Aby zacytować jego własne słowa: nie był organicznie zdolny do tego, by zostać facetem, z którym Ronnie pieprzy się na boku.

Tom należał do tych, którzy chcą dostać wszystko albo nic.

Ronnie wmawiała sobie, że jakoś sobie z tym poradzi, że poradzi sobie z Tomem. Nawet jeśli jej stosunki z Lewisem nie uległyby nigdy żadnej poprawie, co wydawało się wysoce prawdopodobne, gdyż na samą myśl o tym, żeby pójść z nim do łóżka, dostawała dreszczy, żyła przynajmniej takim życiem, jakiego zawsze pragnęła. Miała domy, samochody, karty kredytowe, biżuterię i... wiele innych rzeczy.

Czy w końcu nie to jest najważniejsze?

Wiedziała doskonale, że związki między kobietami a mężczyznami są niestałe. Miłość nie trwa wiecznie.

I wtedy właśnie nazwała słowami coś, z czego jak dotąd nie zdawała sobie sprawy. Jakoś, gdzieś, kiedyś na długiej, krętej drodze, pomiędzy pierwszym spotkaniem na festynie w Neshobie a porankiem w hotelu w Waszyngtonie, zakochała się po uszy w Tomie.

Na samą myśl o tym, że już nigdy go nie zobaczy, czuła się fizycznie chora.

Ale oczywiście musiała się z nim spotkać. Nadal doradzał Lewisowi i jej.

Spotkania, rozmowy były nieuniknione.

Liczyła na to, że od czasu do czasu namówi go na łóżko. Już kilkakrotnie miała okazję się przekonać, że Tom jest podatny na pokusy.

Ale nawet gdyby się jej udało z nim przespać, co by przez to zyskała? I tak nie wystarczał jej czas, jaki dotąd dla siebie wykradali.

Chciała mieć więcej tego czasu. Pragnęła się z Tomem kochać, tak, ale potem chciała znów zasnąć w jego objęciach i w jego objęciach się obudzić.

Pragnęła jadać z nim śniadania, lunche i kolacje, w sobotę grać z nim piłkę, a w niedzielę chodzić do kościoła. Pragnęła obserwować, jak rozwiązuje problemy związane z dorastaniem syna, odwiedzać jego matkę i dyskutować o interesach.

Pragnęła stać się częścią jego świata.

Ale czy pragnęła tego wszystkiego na tyle mocno, by porzucić dotychczasowe życie? Musiałaby zrezygnować z wielkich domów, z wielkich pieniędzy i szacunku, jaki zyskała dzięki małżeństwu z Lewisem.

Podpisała intercyzę. Wówczas w ogóle o tym nie myślała. Wmawiała sobie, że kocha Lewisa. I jakie to miało znaczenie, że w przypadku rozwodu zrzekła się w niej praw do większości jego majątku, skoro rozwód i tak nie wchodził

w grę?

Wydawało się jej wtedy, że nic jej nie skłoni do zgody na rozwód. Ich małżeństwo musiało

przetrwac, nawet gdyby skonczyła sie miłość.

Ale zakochala sie w innym mężczyźnie, czego zupełnie nie mogła przewidziec.

I to w dodatku w upartym zazdrośniku, który nawet nie chcial słyszeć o tym, by grac drugie skrzypce w jej zyciu.

Tom nie mógłby jej zapewnić profitów, jakie miała dzięki małżeństwu z Lewisem.

Nie wiedziała wprawdzie, ile zarabiał, ale nawet sześciocyfrowy dochód nie mógłby się równać z milionami na koncie jej obecnego męża.

Tom pochodził ze świata, który zostawiła za sobą: świata spłacania kredytów hipotecznych, rachunków za energię elektryczną i podgrzewanych kanapek z szynką na kolację.

Dlaczego miałyby zrezygnować ze wszystkiego, co dawal jej Lewis, i powrócić do takiego zycia?

Czy istniał jakikolwiek mężczyzna, który byłby tego wart?

Nawet Tom?

Odpowiedź na swoje pytanie odnalazła w samolocie, którym w towarzystwie Lewisa leciała w czwartek do Jackson. Siedzieli w prywatnym odrzutowcu, wycarterowanym przez korporację Ynoba, giganta z Missisipi, który pragnął zyskać wsparcie Lewisa w sprawach dotyczących ochrony środowiska. Fotele samolotu obito zamsem, podłogi wyłożono grubym dywanem, a ściany grubym winylem. W kabinie panowała prawie całkowita cisza, stewardesa pytała co chwila, czy czegoś nie potrzebują. Odrzutowiec zapewniał maksimum komfortu, ale Ronnie - przyzwyczajona do luksusowych podróży - już nawet tego nie zauważała.

Lewis nadal prowadził agresywną kampanię, zabiegając o względy swych wyborców przy użyciu niemal całego sprytu politycznego, na jaki mógł się zdobyć. W związku z tym co drugi tydzień spędzali długie weekendy w jego posiadłości.

Harmonogram Ronnie na kolejne trzy dni był równie bogaty, jak plan zajęć Lewisa. Już na samą myśl o wszystkich czekających ją obowiązkach poczuła się zmęczona. Odchyliła głowę na oparcie i popatrzyła w chmury na zewnątrz.

Lewis - jak zwykle podczas podróży - nie rozstawal się ani na chwilę z telefonem komórkowym. Rozmawiał z kim tylko się dało i nazywał to

„utrzymywaniem kontaktu”. Ronnie zwykle nie zwracała uwagi na te pogawędki i zajmowała się własnymi myślami.

Tym razem jednak - usłyszawszy przypadkiem fragment rozmowy - odniosła wrażenie, że Lewis połączył się z Tomem.

- Jutro urządzamy barbecue. Jak dokładnie brzmiało to zdanie dla prasy? -

Urwał i zmarszczył czoło. - Ach tak. Teraz już wiem. Wyborcy nie dbają o to, co robiłeś, interesują ich raczej twoje plany na przyszłość, bo właśnie one bezpośrednio ich dotyczą.

Lewis słuchał przez chwilę. Z drugiej strony linii do Ronnie docierały jedynie trzaski, ale mimo iż nateżała słuch, nie wychwyciła ani jednego słowa Toma.

- Dobrze, tak właśnie zrobię, a Ronnie będzie mówiła na temat edukacji.

Chcesz jej coś powiedzieć?

Poczuła, że zamiera jej serce.

- Dobrze, dobrze. W taki razie zatelefonuję do ciebie później. Trzymaj się, chłopcze.

Lewis wyłączył komórkę. Zapatrzona w aparat Ronnie odniosła wrażenie, że tym samym przyciskiem odciął ją od świata.

Jeszcze parę sekund wcześniej przez ten aparat rozmawiał Tom.

Lewis odwrócił się, aby - nie miała co do tego wątpliwości - przekazać jej jakieś wskazówki Toma, ale do świadomości Ronnie dotarł jedynie jakiś niezrozumiały pomruk.

Mogła tylko myśleć o Tomie i o tym, co odrzuca.

Ledwo wylądowali w Jackson, musiała się ubrać, aby wyjść. Tego wieczoru miała wystąpić jako gość honorowy i mówca w stanowej komisji do spraw kobiet. Lewis wybierał się na spotkanie klubu rotariańskiego.

Wynajęta limuzyna odwiozła ją do Sedgely około wpół do jedenastej. Ronnie wysiadła i ruszyła po schodkach do drzwi, machając na pożegnanie ręką ochroniarzowi i kierowcy w jednej osobie, który eskortował ją do domu.

Gdy samochód wyjechał z podjazdu, Ronnie zrobiła kolejne dwa kroki w górę. W końcu jednak znów zeszła ze schodków. To była ciepła, piękna noc -

świerszcze, żaby i cykady rozpoczęły właśnie swój koncert. W powietrzu unosił się nadal delikatny zapach kapryfolium. Pomyślała, że wczesny wrzesień w Missisipi w zasadzie nie różni się niczym od lata. W nocy na dworze było znacznie przyjemniej niż w dzień.

Miała ochotę pójść na spacer - potrzebowała samotności, aby pomyśleć.

Davis wyłonił się znikąd z potężnym szczeknięciem i Ronnie bezmyślnie poklepała go po głowie. Bardzo polubiła tego zwierzaka, ale akurat w tej chwili nie potrzebowała jego towarzystwa. Niepotrzebnie przywodził jej na myśl Toma.

Wszelkie próby, aby odesłać psa, skąd przyszedł, okazały się jednak równie bezowocne jak jego tresura. Do Davisa nic nie docierało.

Pogodziła się więc z jego towarzystwem. Pies węszył po krzakach, a ona oddalała się od domu. Zaczęła się zastanawiać nad kąpielą, ale basen też przywoływał wspomnienia mogące przyćmić jej umysł.

Potrzebowała spokoju, gdyż czekało ją podjęcie decyzji brzemiennej w skutki. Zapewne najważniejszej w życiu. Musiała wybierać między Lewisem a Tomem. O mało się nie roześmiała. Pozornie przecież taki wybór w ogóle nie istniał. Gdyby przyszło jej po prostu określić, którego z tych mężczyzn woli, codziennie w dni powszednie i trzy razy w niedzielę, wskazałaby Toma.

Prawdziwy dylemat sprowadzał się do wyboru między miłością i pieniędzmi.

O tym właśnie musiała pomyśleć. To właśnie musiała na spokojnie rozważyć.

Pieniądze albo miłość.

W końcu, mimo że resztki jej pragmatyzmu oponowały przeciw tej decyzji, Ronnie skłoniła się ku miłości.

Zamierzała opuścić Lewisa dla Toma.

Kiedy podjęła już to postanowienie, popatrzyła na Sedgely - na duży biały dom, niegdyś symbol tego, czego pragnęła w życiu, i nagle poczuła się tak, jakby zdjęto jej z ramion cały ciężar świata.

W holu, na górze i gabinecie Lewisa wciąż paliły się światła. Co znaczyło, że Lewis jest w domu i nie śpi.

Zamierzała wejść do środka i powiedzieć, że chce wystąpić o rozwód.

A potem zatelefonować do Toma i jemu również przekazać tę nowinę.

Pozostawiła Davisa zafascynowanego jakimś intrygującym zapachem, który kazał mu pobiec aż za dom, i weszła do środka głównymi drzwiami, po czym ruszyła wolno korytarzem w stronę gabinetu Lewisa. Myśl, że może zostawić te piękne żyrandole, obrazy i kosztowne antyki, wywołała w niej jedynie lekkie uczucie przykrości. Były to w końcu tylko rzeczy.

Liczyli się ludzie. A przynajmniej jedna konkretna osoba.

Zapukała szybko do drzwi, przekręciła klamkę i otworzyła drzwi gabinetu męża.

Lewis spał za biurkiem. Ronnie zmarszczyła brwi ze zdziwieniem. Siwiejąca głowa i barczyste ramiona opierały się ciężko o wypolerowaną mahoniową powierzchnię.

- Lewis? - Weszła do pokoju i ruszyła w stronę biurka ustawionego dokładnie na wprost drzwi. Takie zachowanie zupełnie nie pasowało do Lewisa. Nie pamiętała, aby coś takiego zdarzyło mu się kiedykolwiek wcześniej.

- Lewis?

Czyżby zachorował? Może dostał ataku serca albo wylewu? W końcu nie był

już młodzieniaszkiem.

Dotknęła jego ramienia, a nawet lekko go szturchnęła. W tej samej chwili nastąpiła na jakiś twardy przedmiot leżący na wzorzystym orientalnym dywanie.

Popatrzyła pod nogi i zobaczyła pistolet. Srebrny pistolet, który Lewis trzymał zwykle w górnej szufladzie biurka.

Albo przynajmniej bardzo podobny. Schyliła się, by go podnieść, i uważnie obejrzała.

Wydawał się zimny i ciężki.

A potem przeniosła wzrok na Lewisa.

- Lewis! - Upuściła pistolet i zaczęła szarpać męża za ramię.

I właśnie wtedy zobaczyła, że jego głowa spoczywa w ciemnej, lepkiej kałuży krwi.

Rozdział 37

12 września, godzina 18.00

- Robisz dobre klopsy. - Najedzony, Jerry wstał od kuchennego stołu, przeszedł do tylnych drzwi i popatrzył przez kratę na małą dziewczynkę bawiącą się na podwórku. - Ziemniaki też pyszne. Wszystko znakomite.

- Dziękuję, Jerry. - Marla zaczęła sprzątać stół. Talerze zaniósła na blat obok i zebrała z nich resztki jedzenia. Włączyła wodę i załadowała naczynia do zmywarki.

- Lissy chyba się tutaj podoba - powiedział Jerry.

- Byłeś dla niej taki dobry. - Marla przejechała gąbką po blacie i stanęła przy drzwiach obok Jerry'ego. Lissy siedziała na drzewie i prowadziła niezmiernie poważną konwersację z towarzyszącym jej kotem. Jej długie cienkie nogi zwisały z gałęzi, a stopy kołysały się kilka metrów nad ziemią.

- Powinnam kazać jej zejść - westchnęła Marla. - Jeżeli spadnie, skręci sobie kark.

- Zostaw ją w spokoju - doradził dobrodusznie Jerry. - Wydaje się taka zadowolona z życia.

Marla pomyślała, że jej córka chyba rzeczywiście jest szczęśliwa. Miała dom, podwórko, kota i ta sytuacja wyraźnie jej służyła. No i lubiła Jerry'ego. To on dał jej kota - przyniósł go ze sklepu przed dwoma dniami. Lissy dosłownie wpadła w ekstazę - nigdy przedtem nie miała żadnego zwierzątka - i nazwała kociaka Boo.

Boo rekompensował jej nieco trudności w nawiązaniu kontaktu z innymi dziećmi w szkole. Jerry nalegał, by dziewczynka podjęła naukę, choć Marla mocno się temu sprzeciwiała; zabójca mógł wpaść na ich ślad dzięki szkolnym rejestrom. Lissy natomiast bardzo chciała się uczyć - kochała szkołę -i Marla uznała się za pokonaną.

Przyjaźń Jerry'ego z Lissy jednocześnie bawiła ją i złościła.

Inne dziewczynki jednak unikały Lissy; na samą myśl o tym Marla dostawała szału. Nie siadały z nią do lunchu, nie bawiły się podczas przerw. Większość dzieci znała się od przedszkola i grupki przyjaciół już dawno się ukształtowały. Lissy była wśród nich intruzem.

- Mam dla niej niespodziankę - powiedział Jerry.

- Jaką? - spytała Marla.

- Od jutra będzie chodzić na lekcje baletu.

- Co takiego?!

- Wszystkie inne dziewczynki biorą lekcje. Sprawdziłem. Są zapisane właśnie o tej porze, po szkole.

Marla tak się zdziwiła, że nie mogła pozbierać myśli i zaczęła się jękać.

- Ale... ale... ona będzie potrzebowała specjalnego stroju, prawda? I butów?

No i nie wiem, ile kosztują takie zajęcia, ale...

- Pozwól, że ja sam się będę o to martwił. - Znow przeniósł wzrok na Lissy rozmawiającą z kotem na drzewie. - Dzięki temu uda się jej nawiązać kontakt z innymi dziewczynkami.

- Ale Jerry, my nie będziemy tu przecież tak długo, żeby... Popatrz na nią spod oka.

- Nigdy nic nie wiadomo, Marlo, nigdy nie wiadomo.

Rozdział 38

12 września, godzina 19.00

Senator leżał w pięknym budynku ratusza stolicy stanu. Aby wejść do środka, Tom musiał się przedzierać przez armię pismaków. Na szczęście żaden z reporterów nawet się nimi nie zainteresował. Kamery, mikrofony, magnetofony i wszystko inne wycelowane było w ciężkie podwoje i czekało, by wyszedł zza nich ktoś ważny. Na razie przy trumnie czuwała tylko rodzina, bliscy przyjaciele i grube ryby. Szarzy obywatele mieli zostać wpuszczeni do budynku dopiero następnego dnia - by mogli się wpisać do księgi pamiątkowej i złożyć ostatni hołd zmarłemu.

Gdy jeden z policjantów strzegących wejścia rozpoznał To-ma i uchylił

drzwi na tyle, by Quinlanowi i Kenny'emu udało się przez nie przecisnąć, wśród zebranych zawrzało.

- Kto to był? Widziałeś? Czy to rodzina? - szeptał chór poirytowanych głosów, lecz uciszył go natychmiast stuk zamykanych drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał Tom, była trumna stojąca przed mównicą. Ta właśnie trumna uświadomiła mu dokładnie, co się stało; Jego Ekscelencja nie żył. Nie odgrywał wprawdzie niezwykle istotnej roli w życiu Toma, lecz jednak ważną. Znajomość z senatorem, którą zawarł jeszcze jako dobrze zapowiadający się młody człowiek, pomogła mu dokonać wyboru kariery.

Wówczas naśladował Lewisa niemal we wszystkim i w pewnym sensie nadal go podziwiał. Poza tym Lewis był mężem Ronnie.

Boże, co za historia!

Monumentalne łukowe sklepienie z witrażową kopułą i złoceniami pasowało do sytuacji. We wnętrzu skąpanym w rozproszonym świetle wpadającym do środka przez szklaną kopułę panowała nieziemiska atmosfera. Ludzie ubrani na ciemno zbili się w małe grupki i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Wartę honorową pełnili policjanci w mundurach. A nad tym wszystkim zalegała pogrzebowa cisza.

Tom powiódł spojrzeniem po żałobnikach. Interesowała go wyłącznie jedna osoba.

- Tam jest pani Honneker - szepnął Kenny, robiąc przy tym znaczący ruch głową.

Tom obrócił się natychmiast we wskazanym kierunku, ale nie tej pani Honneker szukał. Przy trumnie, w towarzystwie dwóch innych starszych kobiet stała Dorothy - cała w czerni. Matka Lewisa zaczęła nagle wyglądać na swoje osiemdziesiąt lat; Tom zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak ciężko musiała przeżyć śmierć syna. Rozejrzał się uważniej i dostrzegł

Marsdena pogrążonego w rozmowie z kilkoma osobami po przeciwnej stronie pokoju. Utrata ojca na pewno bardzo nim wstrząsnęła.

A potem wzrok Toma przykuły znajome rude włosy - Ronnie siedziała odwrócona do niego plecami w pierwszym rzędzie składanych krzeseł

ustawionych na wprost trumny. Tuż przy niej stał gubernator Blake i klepiąc ją delikatnie po rękę składał kondolencje.

- Idę tam - powiedział Quinlan do Kenny'ego, wskazując mu ruchem głowy miejsce, na którym siedziała Ronnie.

Energicznie, ale niespiesznie ruszył w tamtym kierunku. Kiedy Kenny zatelefonował do niego przed ósmą rano z wiadomością o śmierci senatora, Tom przebywał właśnie w małym kalifornijskim miasteczku Rice. Niełatwo mu było przebyć dystans, jaki go dzielił od Jackson, w niespełna dziesięć godzin, ale dokonał tej sztuki. Kenny twierdził, że senatora postrzelono w głowę. Samobójstwo czy

zabójstwo? Na tym właśnie polegał problem.

Tak czy inaczej, Tom zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Ronnie będzie go potrzebować. Nie jego osobiście, choć zapewne też, lecz raczej jego porad. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki traktowała ją kiedyś prasa, drugą panią Honneker czekało wiele trudnych dni.

Kiedy się zbliżył, dojrzał, że towarzyszą jej jakieś kobiety, i bardzo się z tego ucieszył. Logicznie rzecz ujmując, w tych trudnych chwilach Ronnie powinna znaleźć oparcie w rodzinie i znajomych senatora, którzy nie byli jej przyjaciółmi. Marsden otwarcie jej nienawidził. Tom podejrzewał, że dziewczęta, tak jak i Dorothy, mają do niej równie nieprzychylny stosunek. A gdyby przyszło co do czego, całe Missisipi stanęłoby murem po ich stronie.

Ronnie mogła liczyć na pomoc bardzo wąskiego kręgu znajomych.

Gubernator odszedł, a tymczasem Tom zdołał już dotrzeć do końca pierwszego rzędu krzeseł. Ronnie zaczęła właśnie rozmawiać z Edem Hunanem, prezesem Izby. Tom rozpoznał jednak Hunana dopiero po dłuższej chwili. Zaczekał, aż prezes złoży kondolencje, i podszedł bliżej.

- Ronnie - powiedział cicho, nachylił się nad nią i ujął jej rękę o zimnych jak lód palcach.

- Tom! - wykrzyknęła z ulgą. Przez chwilę miał wrażenie, że padnie mu w ramiona. Ona jednak natychmiast sobie przypomniała, gdzie się znajduje, i opadła z powrotem na krzesło, nie wypuszczając jednak z uścisku jego ręki. -

Och, Tom, jak się cieszę, że jesteś!

- Bardzo mi przykro z powodu Lewisa - powiedział pomny obecności towarzyszących jej kobiet, które pilnie nadstawiły uszu. - Co za straszna historia!

- Tak - szepnęła, patrząc na niego ogromnymi, podkrążonymi oczami. Jej twarz była biała jak papier. Od wycięcia sukni z długim rękawem aż po buty spowijała ją czerń. - Och, Tom... to ja znalazłam ciało Lewisa.

Przymknęła oczy. Wstrząsnął ją lekki dreszcz.

- Chryste - szepnął, zacieśniając ucisk. Było gorzej, niż się spodziewał.

Ronnie wyglądała tak, jakby miała lada chwila zemdleć.

Atrakcyjna blondynka siedząca obok poklepała ją uspokajająco po rękę, nie spuszczając wzroku z Toma. Rozejrzał się dyskretnie i zauważył, że wszystkie inne panie patrzą na niego z zainteresowaniem. Znała go jedynie Thea - skinął jej głową na powitanie. Ona również patrzyła na niego domyślnie -zupełnie jakby wyczuwała te podskórne prądy, jakie przebiegały między nim a Ronnie.

Czy już naprawdę wszyscy się domyślają, że coś ich łączy? Łudził się, że nie.

Ten romans nie powinien wyjść na jaw teraz, gdy senator leżał w trumnie.

- Jadłaś coś dzisiaj? - spytał cicho. Otworzyła oczy, zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zaraz... rano piłam chyba kawę... do tego bułeczkę... nie pamiętam.

- Jak długo tu jesteś?

- Ja... - Najwyraźniej nie wiedziała.

- Od piątej - podsunęła Thea, siedzącą po prawej ręce blondynki. Kobieta obok Ronnie skinęła potakująco głową. - Tak przy okazji, nazywam się Kathy Blount - powiedziała.

- Tom Quinlan. Jak długo to będzie trwało? - Popatrzył pytająco na Theę.

- Do dziesiątej powinno być po wszystkim.

- Nie możesz tu zostać przez kolejne trzy godziny - powiedział, przenosząc wzrok na Ronnie. - Musisz coś zjeść i natychmiast się położyć. Zabiorę cię do domu.

Ronnie znów zadrżała na całym ciele. Kathy Blount dotknęła lekko jej ramienia.

- On ma rację, jedź. Jeśli wolisz - dodała, taksując Toma wzrokiem - to ja cię odwiozę.

Ronnie spróbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to mizernie.

- Nie, Kathy. Przecież wiem, że czekają na ciebie dzieci. Miło, że przyjechałaś. Rzeczywiście pojedę chyba do domu, ale poproszę Toma, żeby mnie zabrał.

- Na pewno? - Kathy przyjrzała się jej uważnie. Ronnie skinęła głową. Tom zdał sobie sprawę, że nadal trzyma ją za rękę. Do diabła! Gubernator też ścisnął jej dłoń, nie było w tym nic złego. W takich okolicznościach wyglądało to wyłącznie na pocieszycielski gest.

I miało oczywiście taki charakter.

- Możesz jechać z nami, Theo - powiedział Tom. Czuł, że Ronnie nie powinna zostać ani na chwilę sama.

- Oczywiście, Tom.

Tom pociągnął lekko Ronnie za rękę. Wstała i zbladła jeszcze bardziej. Przez chwilę Quinlan obawiał się poważnie, że upadnie.

Chwycił ją za łokieć. Tak naprawdę pragnął ją objąć, to właśnie dyktował mu instynkt, ale obecność obcych wykluczała jakiegokolwiek poufałości.

- Dobrze się czujesz? - spytał. Przytaknęła.

Gdy ruszyli w stronę wyjścia, nadal nie puszczał jej łokcia. Thea szła z drugiej strony, toteż gdyby Ronnie zrobiło się słabo, mogli ją podtrzymać i uchronić przed upadkiem. Mając w pamięci tłum reporterów, Tom skierował

się do bocznych drzwi. Kenny najwyraźniej zauważył, że nadchodzą, gdyż przerwał rozmowę i podszedł do nich.

- Wychodzicie? - spytał.

- Zabieram ją do domu - odparł Tom równie cicho. - Jest roztrzęsiona i blada jak ściana.

- Szok - mruknął Kenny. - Współczuję ci bardzo z powodu męża - dodał, patrząc na Ronnie.

Ronnie podziękowała skinieniem głowy. Kenny pozostał z tyłu kilka kroków za Theą.

- Policja przesłuchiwała mnie dzisiaj trzy razy - szepnęła Ronnie po dłuższej chwili.

- Co takiego? - Tom spojrzał na nią ostro.

- Chyba nie wierzą w samobójstwo.

- Ale dlaczego przesłuchują ciebie?

- Już ci mówiłam - to ja znalazłam ciało. Przynajmniej oni tak twierdzą. Bez przerwy mnie o to wypytywali. Chyba podejrzewają, że Lewis został

zamordowany. I - że, być może, ja to zrobiłam.

-Słucham?!

- Takie odnoszę wrażenie.

- Przecież to niemożliwe. Dlaczego mieliby tak myśleć? Idąc do bocznego wyjścia, otarli się niemal o Marsdena.

Syn Lewisa odwrócił się od swoich rozmówców. Kierując wzrok na Toma i Ronnie, skrzyżował ręce na piersiach. Ciemny garnitur i czarny krawat podkreślały jego bladość i czerwone obwódki wokół oczu. Gdy dojrzał

nadchodzącą parę, wykrzywił usta i zrobił krok w ich kierunku.

Nadchodzą kłopoty - pomyślał Tom i spojrzał mu kamiennym wzrokiem prosto w oczy.

Nie zrobiło to jednak na Marsdenie najmniejszego wrażenia.

- Dałeś się uwieść tej dziwce, co, Tom? - Marsden mówił nienaturalnie cicho, ale jego oczy

krzyczały z nienawiści.

- Co takiego?

Sens słów Marsdena dotarł do Toma dopiero po kilku sekundach. W tej samej chwili poczuł przyływ niekontrolowanej wściekłości. Ronnie przywarła mocniej do jego ramienia.

Jej oczy - wpatrzone w Marsdena - wydały mu się jeszcze większe i bardziej podkrążone.

- Do diabła, nie mam pretensji do ciebie, chcieliśmy mieć na nią haka, żeby tatuś dostał rozwód, i świetnie się nam to udało, ale ona go przez to zabiła. Ta mała kurwa zabiła tatusia, Tom!

Tom wyrzwał go w twarz. Wystarczył jeden cios, by Marsden poleciał do tyłu, uderzył o ścianę i upadł na wypolerowaną marmurową posadzkę. Nie zważając na zbiorowy jęk zebranych, którzy z pewnością nie słyszeli tej rozmowy, ale nie mogli nie zauważyć jej efektu, ani na to, że umundurowani wartownicy oraz co najmniej połowa ludzi obecnych w pokoju ruszyła pędem w ich kierunku, Tom przyklęknął na jedno kolano obok Marsdena, chwycił go za krawat i poderwał jego głowę z podłogi.

Marsden nieprzytomnie patrzył na niego zaczerwienionymi oczyma, ale Tom był zbyt wściekły, żeby się tym przejmować.

- Nigdy, przenigdy nie mów o niej w ten sposób, słyszysz? Bo cię...

- Tom! Tom! - Kenny chwycił go za ramię i odciągnął od wciąż leżącego nieruchomo Marsdena. - Trafisz do pudła -syknął.

Tom poczuł, jak odciągają go od pobitego czyjeś ręce, ktoś inny pomógł

Marsdenowi wstać.

- To tylko niewinna sprzeczka starych przyjaciół - powiedział Quinlan, odwracając się do wartownika, który wciąż trzymał go za ramię. Mężczyzna popatrzył na niego sceptycznie, ale inni strażnicy, którzy znali Toma, pokazali koledze na migi, że ma go puścić. Prostując krawat, podszedł do Ronnie przytulonej do Thei, nie zaszczycił Marsdena już ani jednym spojrzeniem.- Idziemy - powiedział.

On, Ronnie i Kenny wyszli bocznym wejściem na parking, gdzie mimo dość późnej pory nadal było dość widno. Niestety wpadli prosto w objęcia pełniących wartę reporterów, którzy oślepił ich natychmiast błyskami fleszy i zarzucili gradem pytań.

- To ona, to ona, pani Honneker! - krzyczeli dziennikarze. Ich krzyki zwabiły innych przedstawicieli mediów, którzy

nadbiegli od strony głównego wejścia, dźwigając swój ekwipunek - od kamer poczynając na mikrofonach kończąc.

Obrzucając ich wściekłym, pełnym niedowierzania wzrokiem Tom zdał

sobie nagle sprawę z tego, że rozumie, jak się musi czuć lis zaszczuty przez myśliwych.

Ronnie instynktownie chwyciła go za ramię, Quinlan objął ją w talii i wraz z Kennym oraz Theą u boków wystrzelili w stronę auta Goodmana zaparkowanego kilkanaście metrów dalej. Dopóki nie znaleźli się w samochodzie, który ruszył z wizgiem opon w górę ulicy, byli ścigani, fotografowani i obrzucani pytaniami.

Sytuacja w Sedgely przedstawiała się równie fatalnie. Nie chcąc ryzykować szturm na główną bramę, Kenny skierował się od razu w stronę wjazdu dla dostawców.

Tam czatowało jedynie kilku dziennikarzy, ale nawet ta garstka, oblegająca samochód niczym rój owadów, ledwo zdołała się zorientować, że ich ofiara siedzi z tyłu. Mrużąc oczy przed blaskiem fleszy, Ronnie zasłoniła sobie twarz rękami. Tom przytulił ją mocno i zasłaniał przed natrętami własnym ciałem oraz połami płaszcza, a Kenny wyjaśniał tymczasem policjantom, że w aucie siedzi pani Honneker.

Wpuszczono ich do środka, zamknięto bramy, a reporterom nie pozostało nic oprócz czyhania na kolejną okazję.

Nawet gdy skręcili w wijący się podjazd, Ronnie nie oderwała głowy od piersi Toma. Kenny popatrzył na nich we wsteczne lusterko o wiele więcej niż raz, a Thea, która najwyraźniej zamierzała coś powiedzieć, szybko zmieniła plany.

Kenny podjechał pod budynek od frontu, zobaczył stojący tam sznur samochodów i pokręcił głową.

- Może wypuszczę cię pod samymi drzwiami, Ronnie? - zapytał przez ramię.

- Nie będziesz musiała iść taki kawał.

- Dobry pomysł - odparła głosem nieco zbliżonym do normalnego i jednocześnie zacisnęła palce na koszuli Toma, jakby się bała z nim rozstać.

- Idziemy z tobą - odparł dziarsko, odginając delikatnie jej rękę wczepioną w materiał. Upewniwszy się, że Thea i Kenny patrzą akurat w inną stronę, ucałował szybko jej dłoń. Ronnie obdarzyła go uśmiechem. Był to słaby, drżący uśmiech, ale jednak uśmiech.

- Wypuść mnie, Ronnie i Theę przed drzwiami, a potem zaparkuj i dołącz do nas.

- Jasne - odparł Kenny ze sztuczną serdecznością w głosie i znów popatrzył

we wsteczne lusterko.

Idąc po schodach na górę i podtrzymując elegancko łokieć Ronnie, Quinlan zauważył, że na drzwiach wisi ogromny czarny wieniec. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i Tom zobaczył tuż przy wejściu dwoje starszych ludzi.

- Powiedz Dorothy, że ja i Sam już jesteśmy na miejscu, słyszysz? -

powiedziała staruszka.

- Oczywiście, pani Cherry - odparła Selma, pojawiając się nagle w polu widzenia. Prześliznąwszy się wzrokiem po Ronnie, Tomie i Thei, która właśnie dotarła na ganek, powiedziała coś do osoby stojącej z tyłu.

Pani Cherry i jej towarzysz złożyli Ronnie kondolencje, ona podziękowała uprzejmie i wszyscy razem weszli do domu.

We wnętrzu panowała głucha cisza, zupełnie jakby dom wiedział, że jego pan nie żyje. Nawet światło kryształowego żyrandola wydawało się przygaszone.

Ronnie przystanęła w korytarzu, patrząc na wijące się przed nią schody takim wzrokiem, jakby to był Mount Everest.

- Przyjdiesz jutro? - spytała, przenosząc wzrok na Toma. Gdy przytaknął, skinęła mu głową na pożegnanie i ruszyła

na górę. W czarnej sukni wyglądała szczupło i krucho.

A przede wszystkim bezbrinnie. Najchętniej pobiegłby za nią, dopilnował, żeby położyła się jak najszybciej i otrzymała najlepszą możliwą opiekę.

Walcząc z tą pokusą, zacisnął pięści.

Pozostawienie Ronnie na łasce Sedgely znaczyło tyle samo co pozostawienie Daniela w jaskini lwa - pomyślał z rozpaczą.

Ale nie mógł ani jej towarzyszyć, ani zabrać z tego domu. Jeszcze nie.

Przedtem Ronnie była żoną senatora, a teraz wdową po senatorze. I tak musiało pozostać przez kolejnych kilka dni.

A potem zapewne istniała szansa, aby zaczęli od początku.

- Idź z nią, Theo, dobrze? - powiedział, odwracając głowę. - Sprawdź, czy wszystko w porządku.

- Jasne. - Spojrzenia, jakie Thea rzucała Quinlanowi co najmniej od godziny, świadczyły wyraźnie o tym, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z jego uczuć do Ronnie.

Przy drzwiach stała Selma.

- Pani Lewisowa nie jadła nic od rana - powiedział Tom. - Zanieś jej kolację, dobrze?

Selma skinęła głową. Miała przekrwione, podpuchnięte oczy, zupełnie jakby płakała. Tom

przypomniał sobie, że gospościa pracuje w Sedgely od ponad trzydziestu lat.

On również opłakiwała Jego Ekszelencję. Do diabła, nawet Tom odczuwał

ogromny żal, choć pozornie mogło się to wydawać niezrozumiałe.

- Oczywiście - odparła gospodyni. - Policjanci są wciąż w gabinecie. Pytali o pana. Kiedy im powiedziałam, że pan tu jest, kazali mi pana poprosić - dodała ciszej.

Tom zmarszczył brwi, skinął głową i ruszył w stronę wschodniego skrzydła ze ściśniętym żołądkiem. Domyślał się, dlaczego policja chce z nim rozmawiać, choć dałby wiele za to, by się mylić.

Jeśli Marsden podejrzewał go o to, że sypia z Ronnie, na pewno nie omieszkał wspomnieć o tym policji.

Ale okazało się, że jest jeszcze gorzej, znacznie gorzej niż sądził.

Dochodzenie prowadził detektyw Alex Smitt, którego Tom trochę znał. Alex powitał go przenikliwym spojrzeniem, szybkim uściskiem ręki i dziwnym uśmiechem.

- Muszę panu coś pokazać - powiedział i wskazał mu drogę do pokoju znajdującego się niemal naprzeciw gabinetu senatora, do którego wejście oklejono żółtą taśmą, udostępniając go w ten sposób wyłącznie policji. Na środku ustawiono stół. Na jego winylowym blacie leżał okazały stosik zdjęć.

Alex pokazał Tomowi gestem ręki, że ma obejrzeć fotografie.

Tom popatrzył na lśniące odbitki i poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

To były zdjęcia jego i Ronnie - dużo zdjęć. Niektóre na wskroś erotyczne, inne mniej, ale wszystkie równie kompromitujące.

Na jednym z nich całowali się w Yellow Dog, na innym za domem, w którym mieszkał Tom. Na kolejnych stali spleceni w czułym uścisku na parkingu Robbins Inn i szli - trzymając się za ręce - do wynajętego pokoju. A na następnym Tom ubrany w smoking wynosił Ronnie - ubraną tylko w majteczki od kostiumu - z basenu w Sedgely. Cały tuzin fotografii prezentował ich oboje na macie w domku przy basenie. Najwyraźniej ktoś musiał

robić zdjęcia przez drzwi prowadzące do patio.

Tom skręcał się wewnętrznie, ale popatrzył Alexowi prosto w oczy bez zmrużenia powiek.

- Jak pan uważa: czy wolno nam założyć, że romansował pan z panią Honneker?

Choć prawda wydawała się oczywista i leżała na karcianym stoliku jak podana na tacy, Tom nie był na tyle głupi, by odpowiadać na tego rodzaju pytania.

- Proszę porozmawiać z moim adwokatem - odparł sucho, obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Rozdział 39

- Przede wszystkim musisz się trzymać od niej z daleka.

Siedzący za biurkiem Dan Osborn wycelował w Toma długopis i spojrzał na niego groźnie.

- Mówię poważnie. Trzymaj się od niej z daleka.

Była sobota rano, Ronnie wiedziała, że Dan zwykle spędza weekendy na polu golfowym, ale tego dnia zrobił dla niej wyjątek. W Jackson Osborn cieszył

się opinią najlepszego obrońcy w sprawach karnych.

Nie wierzyła, że potrzebuje adwokata, wydawało się jej to niemożliwe, ale Tom obstawał przy takiej konieczności, a Osborn najwyraźniej podzielał jego zdanie.

- Dlaczego Tom miałby mnie unikać? - spytała, usadowiona w wygodnym fotelu obitym bordową skórą, jednym z dwóch ustawionych przy biurku Osborna. Ubrany w ciemnoszary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat Tom stał przy oknie wychodzącym na nową siedzibę władz stanowych.

Ronnie popatrzyła na niego przelotnie, zanim ponownie odwróciła się do adwokata.

- Nie zabiłam męża, panie Osborn.

Adwokat, siwy, dobiegający sześćdziesiątki, rozczochrany i gderliwy, przypominał buldoga. Ronnie spotkała się z nim parokrotnie, ostatnio na przyjęciu urodzinowym Lewisa. Osborn znał nieźle Quinlana. Teraz otaksował wzrokiem jej gładko uczesane, spięte kłamrą włosy, dopasowane czarne spodnium, skrzyżowane nogi obute w pantofle na wysokich obcasach.

Nie dał jednak po sobie poznać, do jakich wniosków doszedł po dokonaniu tej lustracji.

- Gdybym w to nie wierzył, nie zdecydowałbym się w żadnym wypadku przyjąć tej sprawy. Niemniej jednak być niewinnym i przekonać sąd o swojej niewinności to dwie różne rzeczy. Odkąd Tom zatelefonował do mnie wczoraj w pani imieniu, zdążyłem się skontaktować z paroma znajomymi z prokuratury i wydziału śledczego policji. Oni wszyscy najwyraźniej sądzą, że zdobyli niezbite dowody przeciwko pani. Pani znalazła ciało, pani odciski palców znaleziono na broni, pomiędzy godziną, o której według zeznań kierowcy limuzyny wysiadła pani z auta, a pani wołaniem o pomoc istnieje dwudziestopięciominutowa luka, romansowała pani z Tomem Quinlanem, co potwierdzają liczne fotografie, syn senatora, pan Marsden, twierdzi, że jego zmarły ojciec zamierzał wystąpić o rozwód, a w razie, gdyby do niego doszło, nie otrzymałaby pani prawie nic, co gwarantowała Lewisowi zawarta przed ślubem intercyza. Natomiast w przypadku jego śmierci dziedziczy pani pokaźną część majątku. Tak więc mamy motyw i sposób działania.

Widziałem już ludzi skazanych na podstawie o wiele mniej przekonujących poszlak.

- Ona go nie zabiła, Dan - powiedział Tom. Ręce zaciskał na marmurowym parapecie, jedną nogę ugiął w kolanie, drugą opierał twardo o podłogę.

- Ty, przyjacielu, nie możesz wiedzieć tego na pewno, bo byłeś w tym czasie w Kalifornii. O ile wiem, nie istnieje zresztą żaden świadek, który mógłby zapewnić pani Honneker jakiegokolwiek alibi. - Popatrzył na Ronnie. - A może się mylę?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słabo.

- Żaden oprócz Davisa.

Jeśli nawet sprawiała wrażenie osoby, która nie potrafi potraktować poważnie całej sprawy, to zgadzało się z to z rzeczywistością. Pomysł, iż ktokolwiek mógłby uznać ją za winną śmierci Lewisa, uważała za całkowicie absurdalny. Nie całkiem jeszcze nawet przyjęła do wiadomości to, że jej mąż nie żyje. I że został zamordowany. To musiał być jakiś surrealistyczny sen.

Nic więcej.

- Pies Ronnie ma na imię Davis - wyjaśnił Tom, pochwycawszy pytające spojrzenie Osborna. - Kto robił zdjęcia? - spytał, prostując plecy.

Ronnie nie widziała fotografii. Po tym, co - bardzo delikatnie - opowiedział

jej o nich Tom, wolała zresztą, by tak zostało.

- Jak się okazuje, syn senatora zatrudnił prywatnego detektywa, aby zebrać dowody, dzięki którym w oczach wyborców jego ojciec pozostałby czysty.

Mówię o dowodach na rozwiązłość jego małżonki. Ale niczego nie osiągnął, dopóki ty nie pojawiłeś się na arenie - dokończył sucho.

- Czy nie naruszył przypadkiem przy okazji mojej prywatności? - spytał Tom.

- Zapewne tak. - Osborn skinął głową. - Ale czy to oznacza, że zdjęcia zostaną wyrzucone z sądu? W tych okolicznościach nie widzę na to szans.

- Sam fakt, że mieliśmy romans, nie oznacza jeszcze, że Ronnie zabiła męża.

- Tom stanął obok drugiego fotela, oparł rękę o zagłówek, drugą włożył do kieszeni. Siedział tutaj wcześniej, ale był najwyraźniej zbyt zdenerwowany, żeby wytrzymać tak długo w jednej pozycji.

- Masz rację - powiedział Osborn. - I właśnie tę linię obrony zamierzam przyjąć. W świetle tak przytłaczających dowodów nie widzę sensu zaprzeczać, że romans w ogóle miał miejsce. Dlatego zamierzam tę sprawę przedstawić właśnie w ten sposób: krótki przelotny poryw uczuć, który już się skończył, więc nie było żadnego powodu do zabijania. Wobec tego musisz się trzymać od niej z daleka - zerknął na Ronnie. - Co najmniej o kilometr, pani Honneker. Słyszysz mnie pani?

Ronnie zerknęła na Toma. Pomyślała, że dla niej oznaczałoby to dokładnie tyle samo, co nie oddychać. Tyle, co umrzeć.

- Jak długo? - spytała Osborna.

Osborn popatrzył na nią groźnie, łypnął na Toma i znów przeniósł wzrok na Ronnie.

- Pani chyba nie dostrzega powagi sytuacji. Chcą panią oskarżyć o największą możliwą zbrodnię: morderstwo z premedytacją, któremu nie towarzyszą absolutnie żadne okoliczności łagodzące. Traktują tę sprawę tak poważnie, że kazali mi pani przekazać, by nie opuszczała pani stanu.

Prokurator może nawet wystąpić... nie, na pewno wystąpi o najwyższy wymiar kary, jeśli zostanie pani oskarżona. A wówczas będziemy musieli przekonać dwunastu przysięgłych, że nie zabiła pani męża. Mając właśnie tych dwunastu na uwadze, już rozpoczynamy kampanię. Prokurator będzie usiłował dowieść, że pragnęła pani jednocześnie kochanka i pieniędzy męża.

A biorąc pod uwagę intercyzę nie mogła pani tego osiągnąć, nie posuwając się do morderstwa. Proszę mi wybaczyć, ale zdaje sobie chyba pani sprawę z tego, że nie cieszy się pani sympatią większości mieszkańców tego stanu.

Przeciwnie; wyrobili sobie o pani bardzo złą opinię. Fakt, że romansowała pani z Tomem, wpłynie z pewnością negatywnie na sędziów przysięgłych.

Tego nie da się uniknąć. Senator jeszcze nie leży w grobie. Nie życzymy sobie absolutnie, aby te sępy publikowały w każdym brukowcu pani zdjęcia z Tomem. Sędziowie przysięgli nie przypominają niezapisanych tabliczek.

Przynoszą na rozprawę wszystkie swoje fobie i uprzedzenia. A nie chcę, by byli uprzedzeni do pani bardziej niż to konieczne.

Nastąpiła chwila ciszy. Obaj mężczyźni popatrzyli na Ronnie, a ona zaczęła wędrować wzrokiem od jednego do drugiego.

- Będę się trzymał od niej z daleka - powiedział Tom, podchodząc znów do okna. ?- Ale ona musi mieć kogoś, kto będzie ją wspierał podczas pogrzebu i później. I dlatego sądzę, że pozostawienie jej na łasce krewnych lub przyjaciół senatora równałoby się wypuszczeniu kanarka z klatki stojącej w

pokoju pełnym kotów.

- Rozumiem, że wyciągnęłaś ją wczoraj z Sedgely już potem, jak poszła na górę, żeby się położyć. - Głos Osborna znów brzmiał sucho. Ronnie pomyślała, że mężczyźni rozmawiają tak, jakby jej w ogóle nie było pokoju. I o dziwo, zupełnie jej to nie przeszkadzało. Już od samego początku czuła, że nie stanowi integralnej części tego spotkania. Nie mogła po prostu uświadomić sobie do końca faktu, że Lewis nie żyje, a ją oskarżają o morderstwo.

- Nie miałem innego wyboru - odparł Tom. - Sedgely wraz z Alekssem Smittem i jego zdjęciami, pełne kręcących się wszędzie przyjaciół senatora, nie jest dla niej najlepszym miejscem.

- Chyba rozumiem. - Osborn popatrzył domyślnie na Toma.

- Zabrałem ją do matki - powiedział krótko Tom, jakby w odpowiedzi na to spojrzenie.

A Sally McGuire powitała ją ciepło, podała kolację, zrobiła kąpiel i nie zadawała żadnych pytań. Ronnie była jednak przekonana, że Tom zaspokoił

w pełni ciekawość matki, kiedy ona już poszła spać.

- Do matki? Do Sally? - Osborn wydawał się lekko przerażony. Ronnie doznała wrażenia, że adwokat zna matkę Toma.

- Wiedziałem, że nie może mieszkać u mnie, a tylko tam mogłem ją spokojnie zostawić - odparł Tom.

- Skoro nie wolno jej opuszczać stanu, to chyba tym bardziej powinna tam zostać. Nie znajdą jej dziennikarze, a moja matka dopilnuje, żeby jadła i tak dalej. - Zerknął niespokojnie na Ronnie. - Wydaje mi się, że jest jeszcze kompletnie oszołomiona.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że się z tego wyłączyłam?

- spytała z odrobiną dawnego ciepła w głosie.

- Coś w tym rodzaju. Przeżyłaś po prostu szok. Ale to przejdzie.

- Nic mi nie dolega.

- Sam zabiorę ją na pogrzeb i wszędzie, gdzie uznam za konieczne -

powiedział krótko Osborn. I choć nie użył wielu słów, Ronnie wywnioskowała bez trudu, że całkowicie zgadza się z Tomem.

Przemknęło jej przez myśl, że może oni mają rację. Może ona naprawdę wciąż jest w szoku. To by wyjaśniało owo dziwne, zupełnie nieznanne jej dotąd uczucie.

Nie kochała Lewisa, ale on jednak był jej mężem. A znalazła go... Na samo wspomnienie tej sceny dostała dreszczy.

Tom wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Niech to cholera, Dan - powiedział, z trudem kryjąc agresję w głosie. -

Powinniśmy chyba zatrudnić własnych detektywów. Policji zależy na szybkim rozwiązaniu sprawy. Najłatwiej im będzie zrobić w to Ronnie. Po co w ogóle mieliby się trudzić i szukać gdziekolwiek indziej? Faktem jest jednak, że nie ona go zabiła. Skoro więc został zamordowany, a znając go od tak dawna, nie wierzę w samobójstwo, morderca przebywa wciąż na wolności. Ktoś musi go znaleźć.

- Zgadzam się z tobą co do detektywów - powiedział Osborn.

- Ale sam chyba rozumiesz, że jeśli oni zaczną szukać innych potencjalnych sprawców, to na kogo padnie ich wybór? Na ciebie, Tom. Na ciebie, z tych samych powodów, które można by przypisać Ronnie. I gdybyś nie miał

pięćdziesięciu świadków na to, że pozostawałeś wówczas w Kalifornii, patrzyliby na ciebie równie podejrzliwie, jak teraz patrzą na nią. A może sądzą, że działaliście w zмовie? Weź adwokata, Tom. Nie mogę reprezentować was obojga, bo w razie procesu będę musiał przedstawić alternatywne rozwiązanie tej zagadki. A tym rozwiązaniem jesteś ty.

Tom wbił wzrok w Osborna.

- Ja go nie zabiłem. Ona go nie zabiła. Żadne z nas nie wynajęło płatnego mordercy i nie działaliśmy w zмовie.

- Próbowałem ci tylko uświadomić, do jakich wniosków dojdą detektywi.

- A wykrywacz kłamstw? Gdyby Ronnie przeszła szczęśliwie badanie, nie oczyściłoby jej to z zarzutów?

- Nie polecam moim klientom testów na wykrywaczu.

- Więc co radzisz? - spytał Tom z lekkim zniecierpliwieniem.

- Powinniśmy zebrać wszystkie siły i poczekać, z której strony powieje wiatr.

Nigdy nie wiadomo, może jednak dojdą do wniosku, że to było samobójstwo.

A pani pod żadnym pozorem nie wolno rozmawiać z policją, reporterami, z nikim, o ile ja nie będę przy tym obecny - dodał, patrząc na Ronnie. - Czy to jasne? Wszystkie pytania proszę kierować do adwokata. Co do ciebie, Tom, to poważnie mówiłem o dobrym prawniku. Polecam Briana Hughesa. -

Nabazgrał coś na karteczce papieru i podsunął ją Tomowi. - A teraz chciałbym wyjaśnić pewną kwestię, pani Honneker. Twierdzi pani, że kiedy limuzyna podwiozła panią do Sedgely, udała się pani na spacer. Było mniej więcej... wpół do jedenastej, czy się nie mylę?

Ronnie skinęła głową.

- Mniej więcej.

- A potem, kiedy już weszła pani do domu, skierowała się pani prosto do gabinetu męża?

- Tak. - Ronnie starała się wymazać z pamięci to, co tam znalazła, ale jej wysiłki nie na wiele się zdały. Głowa Lewisa w kałuży krwi... Całym wysiłkiem woli nakazała sobie powrót do terażniejszości.

- Czy miała to pani w zwyczaju? Czy zwykle odwiedzała pani męża w jego gabinecie po powrocie do domu? Szukała pani jego towarzystwa?

-Nie.

- Dlaczego więc zrobiła to pani właśnie akurat tego wieczoru?

Zanim Ronnie utkwiała wzrok w Osbornie, zdążyła jeszcze zerknąć przelotnie na Toma.

- Zamierzałam mu coś powiedzieć.

- Cóż takiego?

- Że chcę rozwodu.

Kątem oka dostrzegła, jak Tom zamiera z wrażenia.

- Co skłoniło panią do takiej decyzji akurat tego dnia? Uśmiechnęła się przelotnie do Toma, który patrzył na nią

rozkochanymi oczyma.

- Tom nie chciał się już ze mną widywać na takich warunkach. Podczas naszego ostatniego spotkania kazał mi wybierać między Lewisem a sobą.

Tamtego wieczoru zdecydowałam, że pragnę jego.

Osborn podrzucił długopis.

- I oto mamy motyw dla prokuratora: w opakowaniu, przewiązany wstążeczką. Na miłość boską, niech pani już nikomu o tym nie mówi. Równie dobrze może pani podpisać przyznanie się do winy.

- Dan - powiedział cicho Tom. - Możesz nas zostawić na chwilę? Proszę.

Osborn patrzył to na niego, to na Ronnie.

- Niech cię diabli, Tom. Dobrze. Pięć minut i ani sekundy dłużej. A potem wyjdiesz z biura i nie zobaczysz się z nią dopóty, dopóki ta cała sprawa nie zostanie rozwiązana. Słyszysz?

- Słyszę - odparł Tom.

Popatrzył na Ronnie. Odwzajemniła spojrzenie. Osborn podniósł się ciężko z krzesła.

- Pięć minut - warknął i wypadł jak burza z pokoju.

Gdy zniknął z pola widzenia, Tom przyklęknął przed fotelem Ronnie. Ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta. Ronnie obdarzyła go uśmiechem.

- Nie zabiłaś Lewisa. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Ronnie potrząsnęła głową.

- Podpisałaś intercyzę, w której zastrzeżono, że w razie rozwodu nie dostaniesz ani grosza.

Skinęła głową.

- Dla mnie. Uśmiechnęła się słabo.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Dlaczego? - Błękit jego oczu mógł konkurować z barwą szafirów.

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem wskazującym po jego policzku i mocno zarysowanym podbródku. Miał gładką, ciepłą skórę.

- Bo jestem w tobie zakochana.

Przez chwilę nie odrywał od niej płonących oczu, a potem jednym szybkim ruchem ściągnął ją z fotela na podłogę i okrył pocałunkami tak, jakby chciał

wchłonąć całą jej duszę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła oddawać pocałunki.

Rozległo się stanowcze pukanie.

Tom z trudem oderwał się od Ronnie. Popatrzył na nią równie nieprzytomnie, jak ona patrzyła na niego, po czym skierował wzrok na drzwi.

- Pięć minut wcale jeszcze nie minęło. Niech go diabli. Gdy otworzyły się drzwi, oboje nadal klęczeli na podłodze.

Do gabinetu wrócił Osborn i obrzucił ich oboje spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Zegarek chyba ci się spieszy - mruknął Tom. Wstając, podnosił

jednocześnie Ronnie. Twarz miał lekko zarumienioną, jego silna, ciepła dłoń ścisnęła mocno jej rękę.

Osborn łypnął na Toma. Nawet jeśli zauważył ich złączone dłonie, nie zwrócił na to uwagi.

- Telefon do ciebie. Dzwoni twój współnik, Kenny Goodman, bo tak się chyba nazywa, prawda? Twierdzi, że to pilne.

Zanim Tom puścił rękę Ronnie, uściskał ją jeszcze na pożegnanie. Ronnie natychmiast wyczytała niepokój na jego twarzy. Z własnego doświadczenia wiedziała, że nagłe telefony od Kenny'ego nie wróżą niczego dobrego.

- Mogę odebrać tutaj ?

Kiedy Osborn skinął głową, Tom podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i wcisnął przełącznik.

Słuchając zakończenia rozmowy, Ronnie nabrała pewności, że instynkt jej nie zawiódł - telefon od Kenny'ego przynosił same złe nowiny.

- Dzięki, Kenny. Do zobaczenia. - Tom odwiesił słuchawkę, po czym patrzył

na Ronnie przez chwilę, zanim skierował spojrzenie na Osborna.

- Brukowce dorwały zdjęcia, które wczoraj oglądałem. Te... cholera... wiecie, które. Gazety trafią do kiosków z samego rana. - Wykrzywił usta. - To tyle, jeśli chodzi o utrzymanie mnie i Ronnie z dala od prasy.

Rozdział 40

14 września

Do czwartej, czyli do rozpoczęcia pogrzebu, zdjęcia były wszędzie - trafiły nawet na pierwszą stronę czcigodnego „Jackson Daily Journal”. Pod nagłówkiem: SAMOBÓJSTWO CZY ZABÓJSTWO widniała ziarnista fotka Ronnie całującej Toma na parkingu Robbins Inn. W środku na podwójnej stronie zaprezentowano jeszcze bardziej... bardzo konkretne sytuacje.

Wykupiono wszystkie brukowce. Tytuły „CZY RONNIE ZABIŁA MĘŻA?”

i „SEKSUALNY SKANDAL W SENACIE” towarzyszyły zdjęciom, które przed zarzutem o pornograficzny charakter broniły się jedynie czarnymi paskami w strategicznych miejscach.

Ronnie nie dowiedziałyby się zapewne nigdy, co dokładnie było na fotografiach, gdyby dziennikarze nie cisnęli jej tych artykułów prosto w twarz, w chwili gdy po wyjściu z kancelarii Osborna, wsparta na jego ramieniu, zamierzała właśnie wsiąść do limuzyny i pojechać na pogrzeb.

Ochroniarze odepchnęli wprawdzie natrętów niemal natychmiast, ale Ronnie zdążyła jeszcze zobaczyć dość, by poczuć się fizycznie chora.

Na zdjęciach jej miłość do Toma wyglądała plugawo i wulgarnie. Nagie ciała splecione w miłosnym uścisku, namiętne pocałunki, które wydawały się magiczne, kiedy należały wyłącznie do nich, teraz

zaprezentowane całemu światu nabrały obscenicznego charakteru.

- Ronnie, tutaj!

- Ronnie, kochanie, zechcesz uронić dla nas łezkę?

- A może robiłaś to kiedyś z prezydentem? Albo z gubernatorem?

- Czy to prawda, że występujesz na okładkach „Playboya”?

- Zabiłaś go, Ronnie?

Obrzucono ją szybko i mocno gradem impertynenckich pytań. Nawet gdy ona i Dan Osborn siedzieli już w limuzynie, reporterzy przyciskali aparaty do szyb i fotografowali siedzącą w środku dwójkę.

Ku swemu ogromnemu przerażeniu Ronnie zdała sobie dokładnie sprawę z tego, że stała się symbolem kobiety upadłej tak nisko, że w porównaniu z nią nawet Donna Rice i Jennifer Flower wydawały się dziewczycami.

Upokorzenie rozrywało jej duszę. Czuła, że spotyka ją wielka, niezasłużona niesprawiedliwość. Gdy jednak wsparta na ramieniu Osborna wsiadała do limuzyny, plecy miała wyprostowane i uniesioną głowę.

Nie chciała, by te sępy odkryły jej prawdziwe uczucia. Musiałaby się wtedy uznać za pokonaną.

Pogrzeb okazał się koszmarem. Uczestniczył w nim nawet prezydent wraz z pierwszą damą, otoczeni kordonem ochroniarzy. Przybyli niemal wszyscy senatorowie i członkowie izby reprezentantów wraz z małżonkami, a także większość polityków z Missisipi, od gubernatora w dół. Sądząc po liczbie zebranych na pogrzebie ludzi można było odnieść wrażenie, że zjawiła się tam połowa Missisipi, a nawet połową narodu. Kościół pod wezwaniem Świętego Andrzeja pękał w szwach. Setki widzów gotowych słuchać mów pogrzebowych nadawanych przez specjalny system głośników okrążyło ciasno neogotycką budowlę.

Wchodząc do kościoła, Ronnie czuła się zupełnie jak Ester Prynne zmuszona do noszenia na piersiach szkarłatnej litery piętnującej cudzołóżnicę. Odnosiła wrażenie, że jest biblijną grzesznicą czekającą na ukamienowanie. Wszystkie głowy odwracały się kolejno w jej stronę, ludzie wydawali groźne pomruki, obrzucali ją wyzwiskami.

Słowo „dziwka” padało najczęściej.

W kościele panowała napięta atmosfera. Starzy znajomi patrzyli na nią i rozprawiali o czymś ożywionym tonem, z rzadka zniżając głos do szeptu. Nie licząc rozgadanej, błyskającej fleszami sfory reporterów, ochroniarzy i kilku przyjaciół Ronnie została zupełnie sama.

Rodzina - Dorothy, Marsden, Joanie, Laura oraz ich małżonkowie i dzieci, a nawet pierwsza żona Lewisa, Eleanor, siedzieli już za trumną, gdy Ronnie pojawiła się w kościele. Żadne z nich jednak nie zareagowało na jej przybycie nawet najdrobniejszym gestem. Za rodziną, uszeregowani według

rangi, siedzieli dygnitarze. Zgodnie z wstępnymi ustaleniami prawników, ochroniarzy i służby kościelnej Ronnie zajęła miejsce z przodu, ale z prawej strony, nieopodal drzwi.

Tak, aby w razie potrzeby można ją było łatwo wyprowadzić z kościoła.

Jej siostry i ojciec przylecieli na pogrzeb i siedzieli w tej samej części kościoła. Matka zatelefonowała poprzedniego dnia wieczorem, aby złożyć jej kondolencje i zapewnić słabym głosem o swym wsparciu. Nie mogła jednak uczestniczyć w pogrzebie, gdyż - jak twierdziła - zachorował jej mąż. Ronnie zresztą zupełnie się tym nie zmartwiła. Od chwili, gdy jej matka opuściła rodzinę, ona i Ronnie nie były w najlepszych stosunkach.

Tom trzymał się z daleka, zgodnie z restrykcyjnymi nakazami Osborna.

Adwokat nie wyraził również zgody na obecność jego rodziny i Kenny'ego.

Nie chciał stwarzać prasie okazji do wypisywania kolejnych komentarzy na temat Toma i jego współnika.

Ronnie zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby miała w takiej chwili Toma u swego boku, rozpętałyby się jeszcze większy skandal. Media mogłyby ucztować. Plotki sięgnęłyby zapewne zenitu złośliwości. A ją i Toma skazano by na wieczne potępienie.

A jednak potrzebowała, tak bardzo potrzebowała jego obecności.

Obok ojca Ronnie usiedli Dan Osborn i jego żona, która czekała na nich w kościele. Thea zajęła miejsce koło sióstr Ronnie. W skład jej nielicznej świty wchodził jeszcze Kathy i Michael Blount - którzy dotrzymując towarzystwa wdowie narazili się na publiczny ostracyzm - oraz ochroniarze.

Maleńki zakątek kościoła był odcięty od reszty żałobników niczym samotna wysepka.

Gdy ksiądz rozpoczął mszę, Ronnie przymknęła oczy i skupiła się na pożegnaniu z Lewisem. Należało mu się od niej westchnienie. Zresztą darzyła swego męża ciepłym uczuciem, choć go nie kochała.

Nie zasłużył sobie na śmierć.

Szczególnie na taką śmierć. Ronnie zadrżała i wyrzuciła z pamięci obraz skurczonego ciała.

Boże, módl się za nami.

I choć skłoniła głowę, intonując wraz z innymi słowa modlitwy, wiedziała, że zebrani ani na chwilę nie odrywają od niej wzroku.

Zrozumiała, że teraz jest pariasem nawet tutaj, w kościele.

- Osborn nie powinien był do tego dopuścić. - Tom oglądał transmisję z pogrzebu w salonie u Kenny'ego. Kenny siedział na kanapie, a Tom stał przed ekranem, zaciskając zęby na własnych

kłykciami. Ronnie właśnie wyłoniła się z kościoła i skierowała w stronę limuzyny czekającej na ulicy. Gdy zeszła z kamiennych stopni prosto w ramiona w Osborna, reporterzy otoczyli ją jak rój owadów tak ciasno, że ochroniarze musieli ich skłonić do odwrotu.

- Popatrz tylko na to! No popatrz! Chryste, niech oni się cofną, bo ją stratuja!

Piękna twarz Ronnie przez chwilę wypełniała ekran. Jej podkrążone piwne oczy w ciemnej oprawie długich rzęs były teraz rozszerzone ze strachu.

Delikatne usta miała zaciśnięte, twarz białą jak ściana. Ogniste rude włosy błyszczące w słońcu jeszcze bardziej podkreślały jej bladość.

Wyglądała jak zaszczute zwierzę i duch jednocześnie.

- Coś niesamowitego. - Tom przygryzł mocniej kostki dłoni. Powinien towarzyszyć Ronnie, niezależnie od tego, co mówił Don. Do diabła, gdyby mógł, zjawiłby się tam zamiast niej i wziął na siebie cały wstyd i poniżenie.

Widząc jej publiczne upokorzenie, dostawał po prostu szału.

Wreszcie dotarła do limuzyny. Drzwi zatrzasnęły się głośno przed nosem wyjących dziennikarzy. Limuzyna ruszyła.

Stacja przerwała transmisję i zaczęła nadawać reklamy, obiecując jednocześnie, że za chwilę wróci do programu.

Tom zaklął wściekle i odwróci się od ekranu. Kenny patrzył na niego uważnie spod zmarszczonych brwi.

- Pamiętasz, że miałem w zeszłym roku atak serca? - spytał Kenny.

- Tak.

- Stres. Atak był spowodowany stresem. A ty też się teraz bez przerwy gryziesz, stary.

- Chryste! - Tom przymknął oczy i znów je otworzył. - A kto by się nie gryzł?

- Podeszedł do wąskiej, brzydkiej kanapy w kącie pokoju i usiadł. Śpiewające koty na ekranie podziały na niego tak, że miał ochotę cisnąć lampą w ekran.

Wziął pilota do ręki, wcisnął wyłącznik fonii i stwierdził z satysfakcją, że zwierzaki zaniemówiły.

- Przepraszam cię, Kenny - powiedział po chwili.

- Nic nie szkodzi. Ja też nie lubię śpiewających kocurów. - Żart wypadł blado.

Obaj wiedzieli, że Tom nie ma na myśli reklamy.

Tom popatrzył na niego spokojnie.

- Zaczęliśmy znowu zarabiać niezłe pieniądze. Przez tę aferę wszystko stracimy.

- Cest la vie - odparł Kenny, wzruszając ramionami.

- Pozwoliłbym ci się wykupić, ale w tych okolicznościach nie zyskałbyś zbyt wiele. Mój romans z Ronnie postawił pod znakiem zapytania umowę o pracę na rzecz kampanii.

- Ale się porobiło.

- Chyba powinniśmy się raczej zająć doradztwem handlowym. Zarobimy więcej pieniędzy niż na polityce..- Tom napotkał spojrzenie Kenny'ego. - A prawda wygląda tak, że nie mam już czego szukać na arenie polityki. Po tym wszystkim nikt nie tknie mnie ani firmy - dopóki będę jej współwłaścicielem

- nawet czterometrowym kijem.

- Nie musisz się tak zamartwiać z mojego powodu. Mnie też gryzie sumienie.

- Kenny rozejrzał się ostrożnie, jakby chciał się upewnić, że są sami. - Thea...

- Wiem.

- Tak też mi się wydawało.

- To idiotyczne. Masz wspaniałą żonę, a robisz wszystko, żeby rozpieprzyć sobie życie. Thea absolutnie na to nie zasługuje.

- Już z nią skończyłem.

- Na twoim miejscu zostawiłbym to właśnie na tym etapie.

- Wolałbym ci tego nie wytykać, panie purytanin, ale...

- Nie jestem żonaty.

- Ale ona jest mężatką. Była mężatką.

- Tak - odparł Tom ponuro.

Kenny wstał i poszedł do kuchni. Wrócił za chwilę z dwoma piwami. Jedno z nich wręczył Tomowi.

- Próbuję ci tylko powiedzieć, że o nic cię nie winie - powiedział, siadając na brzegu kanapy i patrząc szczerze na To-ma. - Ronnie to cholernie piękna kobieta. Z tego, co widziałem, leciała na ciebie jak szafa na trzech nogach.

Trudno ci się dziwić. Ze mną było to samo. Ona nalegała, a ja nie potrafiłem się oprzeć. Jedyna

różnica między nami polega na tym, że Thea nie jest... to znaczy nie była żoną senatora. No i nikt nie robił zdjęć.

- To nie tak. - Reportaż z pogrzebu właśnie się kończył, a Tom, zanim odwrócił się twarzą do Kenny'ego, poszedł w najdalszy kąt pokoju.

Telewizor nadal milczał. - Z nami jest inaczej. Ronnie wcale nie dobierała się do mnie ostrzej niż ja do niej. A potem zakochaliśmy się w sobie.

Kenny popatrzył na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Żartujesz!

- Brzmi tandetnie, nie? - spytał Tom, wykrzywiając usta.

- Owszem.

- Zamknij się, stary.

- To ty powiedziałaś, nie ja.

- W porządku, wiem.

Żaden z nich nie odzywał się przez chwilę. Patrzyli tylko na nieme zdjęcia limuzyn odjeżdżających spod cmentarza.

- Tom, wiesz, że lubię Ronnie, ale to przecież typowa dziewczyna za milion dolarów. Ona jest przyzwyczajona do lepszego życia, a ty nie śmierdzisz groszem. Szczególnie teraz.

- Wiem. Sądzisz, że odkryłeś Amerykę?

Kenny patrzył przez chwilę w milczeniu na ekran. Gdy znów przeniósł wzrok na Toma, na jego czole widniała głęboka zmarszczka.

- Tom, stary, czy kiedykolwiek przemknęło ci przez myśl, że ona naprawdę zabiła senatora? Może pozbyła się go dla pieniędzy?

Tom włożył ręce do kieszeni i zakołysał się na obcasach.

- Ona go nie zabiła.

- Byłeś wtedy w Kalifornii.

- Ona go nie zabiła.

- Skąd ta pewność?

- Nie zabiła.

- Dobra. - Kenny opadł na kanapę i sięgnął po pilota. - Skoro tak twierdzisz...

Ale wolałbym, żebyś jednak rozważył taką ewentualność.

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, Kenny wcisnął guzik fonii i pokój znów wypełniła paplanina reporterów komentujących transmisję.

Rozdział 41

14 września, 18.30, Biloxi

- Znów nic nie było w telewizji. Tylko jakiś nudny pogrzeb starego senatora.

Marla wstała, aby zmienić kanał (Jerry zdołał jakimś cudem zgubić pilota) i zamarła w bezruchu z nosem wbitym w ekran.

Reporterska Christine Gwen opowiadała o życiu zmarłego.

- A oto senator Honneker z żoną Veronicą, w jachtklubie Biloxi, na pokładzie jachtu Sun Chaser. Jak się nieoficjalnie dowiadujemy z wiarygodnych policyjnych źródeł, Veronica Honneker jest pierwszą podejrzaną o zamordowanie męża.

Jachtklub w Biloxi. Sun Chaser.

- Jerry! - zaskrzeczała, po czym oderwała wzrok od telewizora, wpadła do kuchni i otworzyła tylne drzwi. Jerry siedział na podwórku z Lissy i cierpliwie malował domek dla lalek, który kupił jej poprzedniego dnia.

Złociste wieczorne słońce i przyjemny chłód sprzyjały tego rodzaju zajęciom.

- Jerry!

Jerry, nakładający właśnie na maleńki domek kolejną warstwę cukierkoworóżowej farby (wybór Lissy), przerwał na chwilę pracę i popatrzył pytająco na Marłę.

- Mam! Mówią właśnie o tym w telewizji! Jacht nazywa się Sun Chaser.

Chodź szybko!

Jerry położył ostrożnie pędzel na krawędzi metalowej puszki, wstał i wraz z Lissy poszedł za Marlą do domu. Marla była zbyt podniecona, żeby wyprosić córkę z pokoju.

- Co się dzieje? - spytał Fineman, stając przed ekranem. Miał na sobie biały podkoszulek, ozdobiony teraz różowymi plamami farby, i stare szorty koloru khaki, eksponujące jego wystający brzuch. Marla zupełnie nie zwróciła uwagi na niechlujny wygląd mężczyzny. Niemal podskakiwała z podniecenia.

- To ten jacht! Sun Chaser! Należał do senatora, a teraz on nie żyje. Nie rozumiesz? Wszyscy

związani z tym jachtem kończą na marach! Boże! To musiał być on! Tego wieczoru zaprosił Susan i Claire na łódź. Na pewno je zabił! Popatrz! To Sun Chaser! - Na ekranie pojawiło się właśnie kolejne zdjęcie jachtu. - To jego jacht! To na pewno był on!

- Marlo - zaczął Jerry, patrząc z powątpiewaniem na ekran i próbując jednocześnie rozgryźć, o czym ona mówi. - Jeśli, tak jak twierdzisz, senator zabrał Susan i Claire na łódź, a później je zabił, to kto w takim razie zabił

jego? Przecież on też nie żyje.

Ta odrobina logiki zamknęła jej na chwilę usta. Jerry miał rację. Senator jakiś tam nie żył. Został zamordowany. Tak, jak Susan i tak, jak - o czym była absolutnie przekonana - Claire. I pracownicy agencji Piękne Modelki. A ona uniknęła śmierci wyłącznie dlatego, że wciąż wyprzedzała zabójcę o krok.

Patrząc na zdjęcia roześmianego senatora w towarzystwie żony - pierwszej żony - i dzieci Marla zrozumiała coś jeszcze. To nie ten mężczyzna przeszukał jej mieszkanie i poszedł za nią do hotelu. Na pewno nie on.

Czy intruz mógł być płatnym mordercą? Z pewnością, ale zabijając senatora zwróciłby się przeciwko własnemu mocodawcy.

Co się w takim razie działo?

Pokazywano teraz zdjęcia z pogrzebu, zdjęcia młodej, niedawno upolowanej żony, jak określił ją reporter, podejrzanej o zamordowanie senatora.

Marla nie przemyślała jeszcze dokładnie całej sprawy, ale mogła się założyć, że ta młoda kobieta nie zabiła swego męża.

Za zbyt wielki zbieg okoliczności uznała fakt, że zginęli wszyscy przebywający wówczas na jachcie.

- To ta łódź, wiem, że to ta łódź - powtarzała uparcie Marla. - Na tym to wszystko polega. Senator był na łodzi tej samej nocy, co Susan i Claire. Na pewno też się z nimi umawiał. A teraz nie żyje. Ten, kto zabił Susan i Claire, zabił również i jego.

- Chyba wyciągasz pochopne wnioski - powiedział Jerry.

- Wiem, że się nie mylę. To przecucie. - Popatrzyła na niego błagalnie. - Nie mógłbyś jakoś tego sprawdzić? Jeśli uda się ustalić, kto był wówczas na jachcie, dowiemy się również, kto mnie ściga.

Na ekranie znów pojawiła się druga żona senatora w towarzystwie swego prawnika. Stali w samym centrum małej armii policjantów i stada reporterów.

- A oto Veronica Honneker wsparta na ramieniu swego adwokata - Daniela Osborna z Jackson. Osborn należy do najlepszych obrońców w sprawach kryminalnych. Jego obecność potwierdzałaby pogłoski, jakoby pani Honneker miała zostać oskarżona o morderstwo. Zgadzasz się ze mną, Burt?

Burt Hali - gwiazda stacji - natychmiast podjął wyzwanie.

- Nie wiem, Christine. Zobaczymy. Jeśli to, co drukują brukowce, jest prawdą, wydaje się, że ona naprawdę miała motyw. Zdobyliśmy kserokopie fotografii, które szokują dzisiaj świat.

Na ekranie znów zaczęły migać zdjęcia drugiej żony zabawiającej się brzydko ze swoim kochankiem. Tło do nich stanowił komentarz Halla. Marla zerknęła tylko w stronę telewizora i zasłoniła rozszerzające się stopniowo oczy córeczki.

Jerry wyłączył odbiornik.

- Nie powinni pokazywać takich rzeczy - powiedział Jerry z obrzydzeniem. -

Dobra, Lissy, wracajmy do domku dla lalek.

Lissy tymczasem zdołała się już wyrwać Marli.

- Nie musiałaś tego robić, mamó. Nie wiesz, że oglądałam już seks w telewizji - rzuciła z pogardą przez ramię i skierowała się w stronę kuchni.

Jerry szedł tuż za nią.

- Co zamierzasz? - Marla nie odstępowała ich ani na krok. - Powinieneś zadzwonić na policję i wszystko opowiedzieć. Na pewno się nie mylę.

Lissy wybiegła z tupotem do ogródka, Jerry zatrzymał się w progu, zerkając na stojącą za nimi Marłę.

- Jest niedziela, Marlo - powiedział cierpliwie. - Zatelefonuję jutro do kumpli z Biloxi i powiem im, co myślisz na ten temat. Ale według mnie wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.

-Jerry...

- Muszę wracać do malowania - odparł z uśmiechem i poszedł za Lissy na podwórko.

Pozostawiona samej sobie, Marla siedziała jak na rozżarzonych węglach".

Wiedziała, że ma rację. Nie mogła się mylić. Ale już od jakiegoś czasu odnosiła wrażenie, że Jerry tak naprawdę wcale się tą sprawą nie interesuje, tak jakby wcale mu nie zależało na jej zakończeniu. Marla gotowała dla niego, sprzątała i uprawiała z nim seks, ilekroć wyraził takie życzenie, a przez resztę czasu była miłym, niewymagającym kompanem. Lissy stała się z pewnością oczkiem w głowie Jerry'ego. Może mu się wydawało, że jeśli Marla nigdy nie odkryje, kto jej zagraża, nie będzie mogła wrócić do domu.

Marla pomyślała, że bez pomocy Jerry'ego niewiele zdziała.

A potem przypomniawszy sobie tę piękną drugą żonę, niemal już oficjalnie oskarżoną o zabicie męża.

Zainteresowały ją na pewno koncepcja Marli.

Pani Druga Żona byłaby bardzo zadowolona z informacji, które oczyściłyby ją z zarzutów. A poza tym miałyby pieniądze, inne środki perswazji, aby wszcząć dochodzenie w celu wykrycia prawdziwego sprawcy.

Gdyby tylko Marli udało się jakoś z nią skontaktować...

Marla przypomniała sobie nazwisko znanego adwokata, który towarzyszył senatorowej, i uśmiechnęła się do siebie.

A potem podniosła słuchawkę telefonu w kuchni i gdy zgłosiła się dyspozytorka, poprosiła ją o połączenie z informacją w Jackson.

Rozdział 42

15 września, 00.45

Ronnie leżała z otwartymi oczyma na łóżku Sally McGuire, patrzyła na wzory, jakie księżyc malował na suficie, i próbowała nie myśleć. Życie na farmie zamarło, ale zewsząd dochodziły do niej złowieszcze ciche trzaski i pomruki. Sally położyła się spać jak zwykle o wpół do dwunastej. Ronnie, która poszła na górę o wiele wcześniej, słyszała jej kroki na schodach.

Miała nadzieję, że po udreće pogrzebu będzie mogła wreszcie spokojnie zasnąć. I rzeczywiście: runęła na łóżko nieprzytomna ze zmęczenia, nawet się nie rozbierając. Ale dwie godziny później znów się obudziła i od tamtej pory już ani na chwilę nie zmrużyła oka.

Pomyślała z rozpaczą, że najchętniej w ogóle przestałaby myśleć.

Wszystko, co przychodziło jej do głowy - od dziecięcych wspomnień poprzez niemiłe refleksje na temat Lewisa, do bolesnej tęsknoty za Tomem -

sprawiało ból.

Była pewna, że zaśnie, jeśli tylko wyłączy mózg.

Posądzają ją o zabicie Lewisa.

Po przebudzeniu wzięła gorącą kąpiel - moczyła się w wodzie blisko godzinę, ogoliła starannie nogi, nakremowała i nawilżyła twarz.

Ojciec widział jej rozneglizowane zdjęcia z Tomem.

W końcu wyszła z kąpeli, wyczyściła zęby, uczesała włosy i włożyła jedną z najładniejszych koszul z cienkiego jedwabiu, na wąskich ramiączkach.

Ocierająca się o kostki szata wyjęta z szuflady komody w Sedgely - Selma zapakowała dwie walizki ubrań i kazała je dostarczyć do biura Osborna -

pachniała delikatnie saszetkami z kapryfolium, które Ronnie trzymała w szufladzie.

Zapach przypominał jej o Sedgely.

W wygodnym pokoju gościnnym na piętrze znajdowało się podwójne duże łóżko, ciężka dębowa komoda i miękki fotel w rogu. Ściany pomalowano na błękitny odcień, sufit na białe. W oknie wisiały firanki i opuszczana roleta.

Teraz jednak roleta nie zasłaniała okna, więc do pokoju wpadały promienie księżyca, stanowiące jedyne oświetlenie wnętrza.

Przedtem siostry i ojciec byli z niej tacy dumni: jako jedyna przedstawicielka rodziny Sibleyów odniosła sukces. Żona senatora. Teraz zostali splamieni jej hańbą.

Popatrzyła na gwiazdy migoczące na niebie. Ciemnogranatowe niebo wyglądało tajemniczo, a gwiazdy sprawiały wrażenie błyszczących punkcików.

Jako mała dziewczynka myślała, że są to wróżki, które latają w ciemnościach i przygotowując świat na nadejście dnia, rozsiewają wokół magiczny pył.

Ani ojciec ani siostry nie powiedzieli nawet jednego słowa na temat Toma.

Choć z pewnością widzieli zdjęcia - Ronnie wątpiła, czy w całym kraju znalazłaby się bodaj jedna osoba, która by ich nie oglądała - ten temat nigdy nie został poruszony. Tak właśnie załatwiano sprawy w jej rodzinie. Nikt nigdy nie mówił o niczym naprawdę ważnym. Nawet po odejściu matki wszyscy milczeli jak grób. Przez te wszystkie lata nie wspomnieli o niej nawet słowem.

Trzaski i pomruki stawały się coraz głośniejsze. Ronnie odnosiła wrażenie, że słyszy, jak oddycha dom. A może do jej uszu docierały po prostu odgłosy, jakie wydawała Sally śpiąca dwa pokoje dalej?

Dźwięki miały jakiś dziwny miarowy rytm... Czyżby ktoś skradał się po schodach?

Ronnie z trudem pochwyciła oddech i usiadła wyprostowana na łóżku.

Klamka przekręciła się nagle.

Ktoś zamordował Lewisa. Czyżby teraz polował na nią?

W progu zamigotała wysoka sylwetka mężczyzny. Ronnie namacała jedyną możliwą broń, jaką mogła się posłużyć - duży nakręcany budzik stojący na stoliku obok łóżka - i zaczerpnęła głęboko powietrza do krzyku.

Na włosy mężczyzny padło światło księżyca.

- Tom? - szepnęła.

- Sądziłem, że będziesz spała. - Zamknął bardzo cicho drzwi i podszedł do łóżka. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek, na nogach tylko skarpetki. Nie włożył butów.

-Tom!

Cisnęła budzik na łóżko, wygrzebała się spod kołdry, wyskoczyła z łóżka i rzuciła się na Toma, a on pochwycił ją w ramiona.

- Ciii - szepnął ostrzegawczo, dusząc ją w niedźwiedzim uścisku. - Nie chcielibyśmy przecież obudzić...

Wiedziała, że chodziło mu o matkę, ale Tom nie dokończył zdania, gdyż był

zajęty czym innym. Podtrzymując dłonią głowę Ronnie, całował ją namiętnie, a ona oddawała mu pocałunki.

Nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, jak bardzo jest zagubiona, dopóki nie znalazła ukojenia w jego ramionach.

- Och, Tom, jak się cieszę, że tu jesteś - szepnęła, gdy w końcu się od niej oderwał.

- Widziałem to wszystko w telewizji. Tak mi przykro, że nie mogłem ci pomóc.

- Byłeś mi potrzebny.

- Wiem. -Ciii...

Znów ją pocałował.

- Boję się, Tom. - Przyznała się do tego po raz pierwszy, nawet przed samą sobą.

- Kocham cię. - Ujął jej twarz w dłonie. - To właśnie miałem zamiar ci powiedzieć u Dana, ale zabrakło mi czasu.

- Boże... - Uniosła głowę i pocałowała Quinlana w usta. Jej ręce zawędrowały pod koszulkę mężczyzny. Czowała, że musi go dotykać i kochać, a ta bezrozumna potrzeba wydawała się jej tak silna jak wola życia.

Quinlan oderwał się na chwilę od Ronnie wyłącznie po to, by ściągnąć podkoszulek przez głowę i rzucić go na podłogę.

Wodziła rozchyłonymi ustami po szyi mężczyzny, po jego torsie, płaskim, umięśnionym brzuchu, aż w końcu dotarła do guzika dżinsów.

A potem uklękła przed nim i pochwyciła delikatnie w zęby wybrzuszenie rozpierające delikatną

tkaninę spodni.

- Ronnie... - jęknął, wciągając ze świstem powietrze. Nie próbował jej jednak odepchnąć, a ona nie przerywała pieszczoty, nie mogła jej przerwać. Szarpała niecierpliwie suwak dzinsów, dopóki nie obnażyła gorącego, pulsującego członka i nie wzięła go do ust.

Zacisnął dłonie we włosach kobiety, jęknął, odsunął ją delikatnie, pozbył się dzinsów i zerwał z niej bluzkę. Potem pchnął Ronnie na materac, wchodząc w nią mocno i głęboko. Krzyknęła, ale zdusił ten okrzyk pocałunkiem.

Gorący język naśladował natarczywe ruchy ciała.

Zsunęli się na podłogę; szorstki dywan ocierał jej skórę na plecach, pod dywanem czuła twardość drewnianej podłogi. Przywarła mocno do Toma -

ciało miało gorące, wilgotne od potu, mięśnie napięte.

Wchodził w nią coraz głębiej, płonąc, wbijała mu paznokcie w plecy i coraz wyżej unosiła biodra, by oddać mu się całkowicie w posiadanie.

- Tom! Tom! Tom! Tom! - Osiągnęła rozkosz, wykrzykując jego imię i drżąc na całym ciele, unosząc się w niebo obsypane czarodziejskim pyłem, a potem Tom zanurzył się raz jeszcze w jej drżącym ciele i sam odnalazł

zaspokojenie.

Potem Ronnie bardzo długo leżała nieruchomo - plecy paliły ją od otarcia, płuca, przytłoczone ciężkim ciałem Toma, z trudem wdychały powietrze, skóra na głowie szczypała, gdyż ręce Toma nadal pozostawały wplątane we włosy.

Wiedziała, że powinno jej być niewygodnie, ale doznawała zupełnie innych wrażeń.

Znów czuła, że żyje, i wydawało się jej to niemal nieprawdopodobne.

Pragnęła jedynie tulić Toma oraz tego, by on ją tulił.

W końcu Quinlan przycisnął usta do zagłębienia między szyją Ronnie i jej ramieniem, w miejscu, gdzie ukrył twarz, i uniósł się na łokciu.

- Czuję się lepiej - mruknął z uśmiechem.

- Ja też. - Poruszyła lekko biodrami, gdyż przygniatał ją teraz zbyt mocno, a Tom posłusznie przetoczył się na bok.

- Nie chcesz mi nic powiedzieć? - spytał. Ułożył się obok Ronnie, a gdy zwróciła ku niemu twarz, odgarnął jej włosy z twarzy.

- Dzięki, Tom, było wspaniale - zaryzykowała z lekkim uśmiechem.

- Nieźle, ale niezupełnie o to mi chodziło.

- Czyżby?

- Owszem.

- Więc co mam ci powiedzieć?

- Spróbuj: „kocham cię, Tom”.

- Ach tak, - Na jej wargi wypłynął uśmiech, który rozświetlił też oczy.

Popatrzyła na jego szczupłą, przystojną twarz. Na podbródku miał zarost, pod oczami cienie. W promieniach księżycy jego włosy wydawały się srebrne, oczy mocno niebieskie. Uśmiechał się do niej czule.

- Kocham cię, Tom - powiedziała, wyrażając dokładnie to, co naprawdę czuła.

- Ach tak. - Pocałował ją delikatnie. - Ja też cię kocham, Ronnie.

Tym razem przyszła jej kolej na rewanż. Był to niespieszny, leniwy pocałunek i zanim się skończył, Tom znów był gotowy do akcji. Wyczuła jego gorącą męskość wbijającą się jej w udo.

- Och nie - zaprotestowała, gdy chciał nakryć ją znów swoim ciałem. - Mamy łóżko, proszę pana.

Tom znieruchomiał na chwilę i zerknął w stronę łóżka stojącego około pół metra od nich.

- Lubisz łóżka, prawda? - spytał z uśmiechem.

- Ciekawe, co byś powiedział, gdybyś to ty pocierał sobie plecy o dywan.

- Pocierałaś sobie plecy? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Bardzo mi przykro.

- Zupełnie tego po tobie nie widać. W głosie również nie słyszę skruchy.

Chyba uważasz, że to zabawne.

- Kochanie, nic, co powoduje ból, nie wydaje mi się zabawne.

Wyznanie zabrzmiało szczerze, toteż nagrodziła je pocałunkiem. Posiadł ją gwałtownie, przetaczając się jednocześnie pod spód, tak że tym razem to on pocierał sobie plecy.

A potem wreszcie zrobili to w łóżku.

Wyszedł przed świtem. Ronnie drzemała, gdy uwolnił się z jej ramion i próbował wymknąć z pokoju.

- Tom - zaprotestowała sennie.

- Muszę iść.

Wiedziała, że mówi prawdę.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Pocałował ją szybko w usta, ubrał się i wyszedł. Ronnie ułożyła się w ciepłym miejscu, które zostawił po sobie w łóżku, i po raz pierwszy od śmierci Lewisa zapadła w głęboki sen. Tym razem nie dręczyły jej żadne koszmary.

Rozdział 43

19 września, godzina 11.45

Ronnie, kochanie, bardzo mi przykro, ale musisz pobiec na górę albo wymknąć się jakoś tylnym wyjściem. Mamy towarzystwo. - Zaalarmowana piskiem opon auta parkującego na podjeździe, Sally wyjrzała przez kuchenne okno. Obie siedziały w idealnej zgodzie przy okrągłym dębowym stole.

Ronnie łuskała groszek, a Sally obierała jabłka. Kościół, do którego uczęszczała matka Toma, organizował loterię na cele dobroczynne, a panią McGuire, znaną z talentu kulinarnego, poproszono o przygotowanie aż kilku dań.

- Coś podobnego - mruknęła Sally, nie odrywając oczu od okna. Ronnie również wyjrzała na podjazd. Mark zatrzaskał właśnie drzwiczki samochodu Toma i szedł w stronę domu.

- Na pewno się pokłócili - powiedziała Sally z ponurym uśmiechem, a Ronnie szmyrgnęła do tylnego wyjścia niczym przerażony kot i znalazła się na podwórzu w chwili, gdy chłopak stanął w hallu.

- Babciu, babciu! Gdzie jesteś? - wołał Mark. - Nie uwierzysz...

Słuchając jego nawoływania, Ronnie przypomniała sobie spotkanie w mieszkaniu Toma i musiała się uśmiechnąć. Widocznie chłopiec wchodząc do domu zawsze wydzierał się jak opętany. Taki miał styl.

W godzinę później Ronnie siedziała już na wzgórzu niedaleko domu. Mocząc stopy w płytkim potoku przepływającym przez farmę, oparła plecy o pień wiązu i ani na chwilę nie spuszczała oczu z auta. Ze swego punktu obserwacyjnego widziała je bardzo wyraźnie. Przez cały ten czas samochód tkwił nieruchomo na swoim miejscu, a z domu też nikt nie wychodził.

Było dość wcześnie, toteż nie musiała się jeszcze martwić. Przez chwilę jednak zastanawiała się nad tym, co zrobi, jeśli Mark postanowi zanocować u babki.

Nagle doznała wrażenia, że ktoś ją obserwuje, i odwróciła głowę. Mark wspinał się na wzniesienie

jakieś sto metrów od niej. Widocznie - podobnie jak Ronnie - skorzystał z tylnego wyjścia, a ona nie zauważyła, że chłopiec idzie przez pola. Nic dziwnego - śniła na jawie i wpatrywała się w samochód.

Chciała uciec, ale szybko zmieniła zdanie. Swój niepokój uznała za absurdalny. W końcu Mark był tylko dzieckiem. Dzieckiem Toma -

uświadomiła sobie boleśnie i zrozumiała, dlaczego tak jej zaschło w gardle.

Tom liczył się z pewnością z opinią syna.

Gdy Mark znalazł się zaledwie o kilka metrów od Ronnie, przystanął na chwilę, wsunął ręce do kieszeni dżinsów i popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

Tak bardzo przypominał jej Quinlana, że musiała się uśmiechnąć.

- Cześć, Mark - powiedziała.

- Mój ojciec to skończony dupek - mruknął. Ronnie uniosła brwi.

- Ach tak? - odparła niezobowiązująco.

- Najpierw sam się świetnie bawił, a teraz ja mam za to płacić.

Ronnie wyjęła nogi z wody, otoczyła kolana ramionami i popatrzyła na niego z troską w oczach.

- Ach tak - powtórzyła.

- Wie pani, co musiałem przecierpieć w szkole przez ostatnie parę dni? A on mnie zmusza, żebym tam wrócił.

- Mhm. - Zrozumiała teraz dokładnie sedno problemu.

- Chcę, żeby pani z nim porozmawiała.

- O czym?

- O tym, żeby przestał na mnie naciskać. Pani posłucha.

- Nie sądzę. Nie w takiej sprawie.

- Jeżeli nie wybiję mu pani z głowy tego pomysłu, zadzwonię do gazet i powiem, gdzie pani jest. Babcia twierdzi, że to wielka tajemnica.

Ronnie pokręciła głową i popatrzyła na chłopca z wyrzutem.

- Szantaż to okropna rzecz.

- Nie taka okropna jak to, co robiła pani z moim ojcem.

- Zakochaliśmy się w sobie.

- A więc tak to się nazywa? - prychnął.

- Może porozmawiamy o tym. Usiądź przy mnie na chwilę.

Mark popatrzył na nią gniewnie. Wyraźnie się wahał. A potem podszedł

bliżej i opadł na ziemię jakieś dwa metry od niej, na samym skraju cienia, po czym - indiańskim zwyczajem - oparł łokcie o kolana.

- Więc proszę mówić.

Ronnie zaczęła ostrożnie dobierać słowa.

- Przykro mi, że miałeś przykrości z powodu tych artykułów. Większość z tego, co w nich pisali, to kłamstwo.

- Zdjęcia wydawały się nawet bardzo prawdziwe.

- Bo są prawdziwe - odparła. - Robią bardzo złe wrażenie, prawda. Kiedy je zobaczyłam, było mi bardzo wstyd. Tacie też. Ale my nic nie wiedzieliśmy o tych fotografiach. Ktoś nas szpiegował i fotografował, podczas gdy my sądziliśmy, że jesteśmy sami. Jak byś się czuł, gdyby zdjęcia tego, co robiłeś ze swoją dziewczyną, opublikowano w gazetach i wszyscy zobaczyliby najbardziej intymne szczegóły?

To pytanie najwyraźniej nim wstrząsnęło.

- Ale pani była mężatką - powiedział w chwilę później oskarżycielskim tonem. - A miała pani romans z moim ojcem.

Ronnie napotkała jego spojrzenie i zawahała się, niepewna, czy kontynuować, czy też przerwać tę rozmowę, pozostawiając rozwiązanie problemu Tomowi.

W końcu zdecydowała się kontynuować.

- Skończyłeś siedemnaście lat, prawda?

- Tak. Dwa tygodnie temu obchodziłem urodziny.

- Twój ojciec będzie chciał obdrzeć mnie ze skóry, ale powiem ci całą prawdę o tym, co zaszło, tak, żebyś mógł wszystko zrozumieć. Po pierwsze, owszem, miałam męża, ale nie pozostawałam w nim w intymnych stosunkach. Bardzo długo, ponad rok. Rozumiesz, o co mi chodzi? A twój tata zachowywał się naprawdę bardzo szlachetnie. Nie chciał się angażować w żaden związek ze mną. Opierał się i opierał. A potem zakochaliśmy się w sobie i nie mógł już dłużej ze sobą walczyć.

Zamierzałam poprosić męża o rozwód. Jego rodzina mnie nie lubi - dzieci męża są starsze ode mnie. To właśnie one wynajęły detektywa, który mnie śledził i fotografował. Cała moja wina polega na tym, że zakochałam się w twoim tacie. Ale wcale nie uważam, że dopuściłam się czegoś naprawdę złego. Przecież to wspaniały mężczyzna.

- Bywa wspaniały. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Piszą, że zabiłaś męża.

- Nieprawda. Daję ci na to słowo. Nie zabiłam.

- Niektórzy uważają, że zrobił to mój ojciec.

- Bzdura. Był wtedy w Kalifornii.

- To on tak twierdzi.

- Naprawdę powinieneś dać mu spokój. Twój ojciec zakochał się we mnie, a to nie była jego wina.

Mark otaksował ją spojrzeniem od czubka głowy, poprzez smukłe ciało, dzinsy i podkoszulek, aż po bosc nogi.

- Sam widzę, że nie mógł nic na to poradzić.

- Chyba muszę ci podziękować - odparła z uśmiechem.

- Dobrze, więc może rzeczywiście to, co zrobił, nie było aż takie okropne, jak wszyscy twierdzą. Ale ja i tak nie zamierzam wracać do szkoły, gdzie podstawiają mi pod nos zdjęcia ojca z gołym tyłkiem.

- Nic dziwnego - skrzywiła się Ronnie. - Jak zauważyłeś, ja szukałam schronienia u twojej babki.

- Ojciec mi nawet nie mówił, że tu będziesz.

- Bo to tajemnica.

- Tak twierdzi babcia. Podobno polują na ciebie dziennikarze.

- Fakt.

- Ojciec się wścieknie - powiedział ponuro Mark. - Wziąłem jego auto.

Ronnie wykrzywiła usta. Choć starała się tego nie robić, musiała się uśmiechnąć. Obraz Toma pozostawionego na łodzi wydawał się jej niezwykle zabawny.

- Gdzie on jest?

- U mojej matki. - W jego głosie znów pojawiły się ponure nuty. -

Zatelefonowała do niego, kiedy nie chciałem iść dziś rano do szkoły.

Przyjechał, żeby mnie ustawić.

Ronnie popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Tobie też to robi? Ustawia cię? -Tak.

- Nie znoszę tego - powiedziała z przekonaniem.

- Ciebie też próbuje ustawiać?

- Oczywiście. Od pierwszej chwili. Zawsze wtedy wstępuje we mnie przekora.

- We mnie też.

Patrzyli na siebie z dużą dozą zrozumienia. A potem Ronnie, nadal obserwująca podjazd, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Przykro mi Mark, ale właśnie przyjechał twój ojciec - powiedziała spokojnie, choć serce biło jej mocno i wyczekująco.

Mark spojrział je przez ramię i oboje popatrzyli na Toma, który wbiegł po schodach na werandę i zniknął w drzwiach. Auto, którym przyjechał -

luksusowo wyglądający sedan w kolorze szampana - stanęło tuż za jego własnym.

- Czyj to wóz? - spytała ciekawie Ronnie.

- Mamy - skrzywił się Mark. - Ona też się na mnie wściekła. Nie cierpi szukać pomocy u taty, kiedy nie potrafi sobie ze mną poradzić.

W tej samej chwili Tom wyłonił się zza domu i rozejrzał.

- Wstaniesz i pomachasz, czy ja mam to zrobić? - spytała Ronnie.

- Nie zawracaj sobie głowy. On cię i tak zaraz zobaczy. Twój podkoszulek odcina się doskonale od pnia tego drzewa.

Zgodnie z przewidywaniami Marka, Tom zatrzymał spojrzenie na Ronnie, i od razu ruszył w jej stronę, tak że nie musiała nawet unosić ręki. Quinlan nie wybrał jednak okrężnej drogi, lecz przeszedł przez płot oddzielający podwórze od pola.

- Chyba jest wkurzony - powiedział niespokojnie Mark.

- Owszem.

Jeśli stan ducha można osądzić po sposobie i tempie poruszania się, Mark miał z pewnością rację. Tom przemierzał pole długimi krokami, a z całej jego postaci emanował gniew.

- Widziałaś kiedyś, żeby ojciec był naprawdę zły? - spytał Mark.

- Może raz czy dwa.

- Więc przygotuj się na trzeci.

- Co mu właściwie powiedziałaś, zanim zabrałaś auto? Mark posłał jej niemal wstydlive spojrzenie i potrząsnął

głową.

- Nieważne.

- Coś nieprzyjemnego na mój temat, prawda?

- Może.

- Wybaczam ci. Rozumiem, co czułaś. A przy okazji: co słychać u Loren?

- Spotykam się teraz z Amy Rubens.

- Wspaniale.

Nie zostało im czasu na nic więcej. Tom znajdował się już w połowie drogi na wzgórzu. Ronnie nie widziała go w świetle dziennym od czasu poranka w gabinecie Osborna, choć od tamtego spotkania Tom trzykrotnie odwiedzał jej sypialnię. Zaczęła o nim myśleć jak o swoim osobistym wampirze. Pojawiał

się po północy, znikał o świcie i podczas gdy ona spała potem smacznie przez kilka godzin, on zapewne nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Patrząc na jego rozwścieczoną minę,- pomyślała, że być może to brak snu w ten sposób na niego działa. Była również ciekawa, czy Sally wie cokolwiek na temat nocnych wizyt swego syna. Nawet jeśli się czegoś domyślała, nie wspomniała o tym ani słowem.

Dzielił ich teraz potok. Zewsząd dochodził szmer zielonkawej wody bulgoczącej wśród kamieni. Lekki wietrzyk poruszał szerokimi liśćmi wiązu, dodając wyciszoną szeleszczącą melodię do pieśni strumienia. Dzień był

cichy i ciepły. Minęła sierpniowa duchota. Liście powoli żółkły.

Tom dotarł szybko na wzgórze, po czym przez chwilę przenosił ostre spojrzenie z Marka na Ronnie i odwrotnie. Usta miał zaciśnięte, szczękę groźną wysuniętą i wściekły wzrok.

- Cześć, Tom - odezwała się Ronnie.

Mark łypnął na ojca, ale się z nim nie przywitał. Tom przystanął po przeciwnej stronie potoku, na

samej górze oazy stworzonej przez cień drzewa. Spojrzenie niebieskich oczu przez chwilę zatrzymało się na Ronnie i powędrowało w kierunku Marka. Dwie pary niemal identycznych niebieskich oczu przez chwilę mierzyły się wzrokiem, tocząc w ten sposób bezgłośnie walkę.

Ronnie wyczuła nadchodzący kataklizm nuklearny i wstała. Przeskoczyła szybko strumień i znalazła się obok Toma. Położywszy mu rękę na ramieniu, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek - ciepły, gładko wygolony i pachnący czymś przyjemnym.

- Cześć, Tom - powtórzyła z lekkim sarkazmem. Tom zerknął na nią spod oka i uśmiechnął się.

- Cześć, Ronnie. - Objął ją w talii i przytulił, ale nie pocałował. Zwrócił

ponownie uwagę na Marka, który na jego wrogie spojrzenie odpowiedział

dokładnie takim samym łypnięciem. Patrząc na chłopca, Ronnie pomyślała, że Mark za dwa lata dorówna Tomowi wzrostem.

- Jeśli powiedział coś niewybaczalnego, bardzo za niego przepraszam - rzekł

Tom, z ręką w pasie Ronnie i spojrzeniem wbitym w Marka. - On też przeprosi.

- Nic takiego nie zrobił. - Przytuliła się do niego mocniej. Jakikolwiek bardziej intymny gest nie wchodził w rachubę - Mark nie spuszczał z nich wzroku. A ona chciała go do siebie przekonać, a nie zrazić. - Tak właściwie to rozmawialiśmy. On ma rację, Tom. Ta cała sprawa okazała się bardzo krępująca dla wszystkich. My potrafimy robić dobrą minę do złej gry, on nie.

- Bardzo mi przykro, ale Mark musi chodzić do szkoły. Powinien się po prostu przyzwyczaić do tych wulgarnych nagłówek, bo one jeszcze długo nie znikną.

- Nadal wrze? - Ronnie popatrzyła na Toma z bólem w oczach. Skandal dotknął ją zaledwie raz, tuż po pogrzebie, jako że przedtem również mieszkała u matki Toma. Zdała sobie nagle sprawę z tego, że odkąd została gościem pani McGuire, nie czytała gazet ani nie oglądała telewizji. Nic dziwnego, że ją chroniono.

- Niestety tak. - Ta krótka odpowiedź znaczyła, że jest coraz gorzej.

Zmarszczyła brwi.

- Dobrze, przepraszam. - Mark niespodziewanie dla wszystkich wyraził

skruchę. - Cofam wszystko, co mówiłem o... no wiesz, dobra?

Nie trzeba było geniuszu, by odgadnąć, że „no wiesz” najwyraźniej odnosiło się do niej. Uśmiechnęła się do Marka.

- Dobra. - Tom odprężył się nieco. Ronnie poczuła, że Quin-lan rozluźnia napięte jak struna mięśnie. - Ale jeżeli jeszcze raz weźmiesz mój samochód bez pozwolenia, uziemię cię na dobre, kolego.

- Przykro mi. Byłem wściekły.

- Jasne.

Ojciec i syn wymienili taksujące spojrzenia.

- Skoro już tu jesteś, może pójdziemy do domu i zjemy lunch. - Ronnie znów pospiesznie wkroczyła do akcji. - Umieram z głodu.

Tom zerknął na nią z ukosa. Uśmiech, jaki wypłynął mu nagle na usta, i nieoczekiwany blask w oku świadczyły wyraźnie o tym, że wie, co Ronnie próbuje zrobić.

- Ja też - odparł, teraz już całkiem pogodnie. - Chodź, Mark - dodał łagodniej.

- Trzeba coś zjeść.

Mark skinął tylko głową i przeszedł na drugą stronę strumienia.

Rozdział 44

19 września, godzina 13.00

Marla była w sypialni z Jerryem, kiedy ktoś zapukał nagle do drzwi. Skończyli się właśnie kochać, a Jerry wybierał się na dyżur do sklepu spożywczego, gdzie pracował na pół etatu jako ochroniarz.

- Otworzę - powiedział, zawiązując buty i prostując plecy, gdy pukanie rozległo się ponownie. Ubrany w ciemnogrnatowy garnitur wyglądał

dokładnie tak samo jak wówczas, gdy Marla go poznała. A ona zawsze lubiła mężczyzn w mundurach, czego nie omieszkała mu zresztą powiedzieć. To wyznanie zaprowadziło ich prosto do łóżka.

Ubierając się, usłyszała skrzypnięcie drzwi i cichą rozmowę. Nie interesowała się zresztą szczególnie tą wizytą. Przyzwyczaiła się już do miłej, monotonnej egzystencji w domu Jerry'ego. Musiała jednak skorzystać z łazienki, a Jerry zaprosił gościa do środka. Ruszyła więc na dół, zatrzymała się na chwilę w jedynej łazience, po czym w drodze do kuchni zerknęła w stronę salonu.

Jerry stał na środku pokoju i rozmawiał z umundurowanym policjantem, odwróconym plecami do Marli.

- To moja dziewczyna pewnie do was dzwoniła - mówił Jerry.

- Rozumie pan chyba, że działamy pod presją opinii publicznej - odparł

policjant. - Ofiarą zabójcy padła córka Charliego Kaya Martina, a on poruszył

niebo i ziemię, żebyśmy znaleźli zabójcę. Jeśli pana przyjaciółka istotnie wie, co się wydarzyło, tak

jak mówiła prawnikowi, byłbym bardzo zobowiązany, gdyby mi przekazała te informacje.

- No cóż, chyba powinien pan z nią porozmawiać osobiście. -Ponad ramieniem swego gościa dostrzegł Marłę. - Pozwól tutaj.

Policjant odwrócił się tak szybko, że Jerry musiał się cofnąć o krok. Przez chwilę on i Marla mierzyli się wzrokiem. Jego oczy były lodowatoszare, dominowały wyraźnie w nijakiej, trudnej do opisanego twarzy.

Ten właśnie mężczyzna wtargnął do jej mieszkania, śledził ją w drodze do hotelu i nawiedzał koszmarnie senne znacznie częściej niż Freddy Krueger.

Poraził ją strach.

- Jerry, to on! To on!

Z ostrzegawczym okrzykiem na ustach rzuciła się w stronę kuchni.

Mężczyzna skoczył za nią, ale na drodze stanął mu Jerry.

Paniczne przerażenie dodało jej szybkości i zwinności, jaką nigdy nie mogła się poszczycić. Gdy tak biegła przez kuchnię, dotarły do niej odgłosy bójki i upadku. Wypadła na zewnątrz przez tylne drzwi i zaczęła pędzić przez ogród, dziękując w myślach Bogu za to, że Lissy bawi się z córeczką sąsiadów. W

przeciwnym wypadku byłaby na pewno w ogródku, a razem nigdy nie zdołałyby uciec.

Gdy wypadła na alejkę za domem, usłyszała skrzypnięcie zawiasów i wystarczyło jej jedno spojrzenie do tyłu, by zrozumieć, że intruz puścił się w pogoń.

Jerry stracił pewnie przytomność albo nie żył.

Ale Marla nie mogła o tym myśleć - nie mogła myśleć o niczym poza ratowaniem własnego życia. Pędząc alejką, zrozumiała, że na prostej nie ma szans, po czym dała nura za jeden z kilku okolicznych garaży - obok wszystkich domów w sąsiedztwie znajdowały się garaże; niektóre przypominały bardziej drewniane, zniszczone szopy, lecz kilka z nich pokryto aluminium - i dostrzegła tylne wejście. Przekręciła szybko kłamkę i stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Uchyliła je szybko, wskoczyła do środka i zatrzasnęła zasuwkę. Zakurzona, mroczna cisza panująca w garażu stanowiła ostry kontrast z jej dziko bijącym sercem.

Dysząc, oparła się o ścianę. Wiedziała, że prędzej czy później morderca na pewno ją znajdzie. W najlepszym wypadku kupiła sobie po prostu trochę czasu.

Uspokój się, uspokój - błagała samą siebie w duchu. Nie wolno jej wpadać w panikę.

Garaż należał do pani Diaz - starszej kobiety, której Jerry pomagał czasem w zakupach. Samochód okazał się starym, brązowym, lekko zardzewiałym chevroletem nova, najwyraźniej nie używanym od

lat.

Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Błogosławiąc sposób życia w małym miasteczku w Missisipi, Marla usiadła za kółkiem.

Spokój.

Najpierw należało się oczywiście przekonać, czy auto jest sprawne - było całe zakurzone, a Marla nigdy nie widziała, by pani Diaz wyjeżdżała nim z garażu.

Jeśli jednak silnik działał, musiała - wolno i spokojnie - wyprowadzić chevroleta na ulicę.

Coś - nie wiedziała dokładnie co - kazało jej nagle spojrzeć na wejście.

Klamka wykonała półobrót, pisnęła, a potem drzwi otworzyły się z impetem.

Wystarczyła jej ręka i profil, by wiedzieć, kto wszedł do garażu.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, modliła się tak żarliwie jak nigdy dotąd.

Mężczyzna rzucił się do drzwiczek po stronie pasażera.

Boże, proszę cię, Boże...

Silnik zawył. Marla przycisnęła pedał gazu do dechy.

Nova wystrzeliła naprzód, taranując rozklekotane drzwi.

Rozdział 45

20 września, godzina 10.00

Ronnie domyśliła się, że coś nie gra, już w chwili, gdy weszła do kuchni.

Tom wyszedł przed świtem. Ronnie położyła się spać, licząc z uśmiechem, ile razy tego dnia Quinlan musiał przyjechać do matki. Po lunchu włączyli się we trójkę po farmie, aż w końcu Ronnie opuściła obu panów, by pomóc Sally w przygotowaniach do loterii. Potem Mark dołączył do babci, a Ronnie wyszła do ogrodu. Siedziała właśnie z Tomem na huśtawce, gdy Sally zaniósł im herbatę. W końcu cała czwórka rozsiadła się pod wiązem, pijąc mrożoną herbatę, rozmawiając o niczym, dopóki około piątej Tom i Mark nie wyruszyli do domu.

Gdy tak patrzyła na dwa auta wyjeżdżające z posiadłości, pomyślała, że ona i Tom nigdy właściwie nie mogli pozwolić sobie na to, by spokojnie poleniuchować choćby przez dwie godziny.

Zaczęła się zastanawiać, ilu już ludzi przeszło przez życie, nie zdając sobie sprawy z wartości czasu.

Ronnie pragnęła spędzić cały swój czas z Tomem, więc rozkoszowała się każdą minutą w jego

towarzystwie.

A potem przyszło olśnienie: nie jest już mężatką.

Odzyskała wolność.

Nagle niemal usłyszała, jak ogromny ciężar spada jej z piersi. Lewis, Panie świeć nad jego duszą, nie żył.

Nic mu się już od niej nie należało.

Ona i Tom mieli resztę życia dla siebie.

Ronnie musiała jeszcze zostać oczyszczona z tych idiotycznych podejrzeń, a potem ona i Quinlan byliby już zawsze razem.

Nikt i nic nie mogło im stanąć na przeszkodzie.

Tak się jej przynajmniej wydawało, gdy zeszła na dół i zobaczyła, że Tom siedzi przy kuchennym stole, pijąc kawę.

Miał na sobie garnitur i krawat - ten sam szary krawat, który uwydatniał

błękitny kolor jego oczu. Na napiętej twarzy mężczyzny wyraźnie malowało się zmęczenie. Na widok Ronnie Tom spochmurniał jeszcze bardziej.

- Co się dzieje? - spytała, przeczuwając złe nowiny.

- Usiądź i najpierw zjedz śniadanie. Tom, pozwól jej zjeść. - Sally podniosła się z krzesła.

- Co jest? - spytała znów Ronnie, tym razem ostrzej, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z Toma.

- O mój Boże! - Sally stała przy stole, nie ruszając się i miejsca. Nie spuszczała wzroku z syna.

- Dan chce, żebyś o dwunastej przyszła do niego do kancelarii. - Urwał, ale Ronnie nie pozwoliła się zwieść. Tom nie patrzyłby na nią w ten sposób, gdyby chodziło o spotkanie z adwokatem. Nie odezwała się jednak ani słowem, czekała. -Zawiezie cię na komisariat. Zostaniesz aresztowana za zabicie Lewisa, ale Dan uprosił jakoś ich szefa, żeby nie wyprowadza-i cię w kajdankach. Masz tam być o pierwszej.

- Boże... - Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy z tego, że ten szept wydobył się z jej własnych ust. Oparła się słabo j framugę, mając wrażenie, że cała krew uciekła jej z głowy.

Tom wstał od stołu i podszedł do niej, oderwał od drzwi mocno przytulił.

Ronnie położyła mu głowę na piersiach, ręce wsunęła pod marynarkę i trwali tak przez chwilę.

Gdyby Tom jej nie podtrzymawał, z pewnością by upadła.

- Jak długo będę musiała tam zostać? To znaczy na policji? Czy to formalność i wypuszczą mnie za kaucją? - spytała z wahaniem.

- Nie wiem. - Tom trzymał ją w ramionach, nie całował, po prostu nie wypuszczał jej z objęć, tak by wiedziała, że dzieli : nią wszelkie cierpienia i obawy. Mówił cichym, nieco schrypniętym głosem, a jego oddech poruszał

lekko włosy Ronnie tuż nad jej uchem.

Odpowiedź Toma sprawiła ją w przerażenie.

- Ja go nie zabiłam.

- Wiem, kochanie. Wiem.

Nagle zdała sobie sprawę z całej grozy sytuacji i zadrżała.

- Mogę stamtąd nie wyjść przez wiele miesięcy... a nawet... nawet lat. Jak długo trwa proces? Pamiętasz sprawę O. J. Simpsona? Ciągnęła się ponad rok. A on przez ten cały czas siedział w więzieniu. Jeśli natomiast uznają, że jestem winna... - Głos załamał się jej nagle. - Boże... Tom.

- Ale nie jesteś winna. Dowiedzimy tego. Wykryjemy prawdziwego mordercę i... - Zamilkł. Ronnie podniosła na niego wzrok i zrozumiała, że Tom nie może mówić. Dostrzegła, również, że - podobnie jak i ona - Quinlan ma oczy pełne łez.

Rozdział 46

20 września, godzina 11.50

Spędzili niespokojną noc w samochodzie, gdyż Marla nie miał pieniędzy na motel. Na szczęście Lissy znalazła w kieszeni szortów kilka monet dwudziestopięciocentowych, a Marla odkryła pod siedzeniem stary banknot jednodolarowy. To wystarczyło na pączki i mleko dla dziewczynki. Marla piła wodę.

Po ucieczce z garażu skręciła za róg, wyciągnęła wierzgającą Lissy z podwórka koleżanki i wyprysnęła z miasta. Nie zauważyła żadnych śladów pościgu - po raz ostatni widziała swego prześladowcę w garażu - lecz była przekonana, że zbrodniarz z pewnością podąży za nią jak cień.

W drodze do Jackson zatrzymała się jedynie raz, tylko po to, aby zadzwonić na policję i zgłosić morderstwo popełnione domu Jerry'ego.

Teraz - gdy dojechała na stację benzynową nieopodal siedziby władz stanowych - brakowało jej pieniędzy, benzyny, szczęścia. Ostatnią nadzieję Marli stanowiła Druga Żona i jej ustosunkowany adwokat. Gdyby jednak i oni nie mogli jej pomóc, zamierzała się zwrócić do policji.

W ten sposób zapewniłaby przynajmniej bezpieczeństwo Lissy.

Wiedziała, że napastnik nie jest policjantem, choć nosił mundur. Nigdy nie miała wrażenia, że prześladowuje ją glina -nawet taki z gatunku złych.

Policjantów wyczuwała na odległość. A on odkrył widocznie, że Jerry pracował w policji, i włożył mundur, aby zdobyć jego zaufanie.

Ale w jaki sposób po takim czasie w ogóle odnalazł Jerzego?

Marla nie wiedziała i zresztą nawet nie chciała wiedzieć. Zaczynała bowiem sądzić, że przed tym człowiekiem nic się nie ukryje. Na razie jednak jakimś cudem zdołała mu umknąć.

Cuda jednak zdarzają się rzadko.

- Mamo, chce mi się siusiu.

Lissy siedziała skulona na miejscu obok kierowcy. Była zmęczona, głodna, zła i nie zamierzała tego ukrywać. Marla bardzo się zdenerwowała. Ona również była zmęczona i łatwo wpadała w gniew. Cholera, temu dziecku zawsze się chciało siusiu.

- Więc idź, susiaj.

- Zaraz wracam. - Lissy wyskoczyła z auta i potruczała do toalety dla pań.

Marla próbowała skupić myśli. Kancelaria adwokata Drugiej Żony znajdowała się dokładnie naprzeciwko stacji. Marla znalazła adres w książce telefonicznej. Druga Żona miała tam dotrzeć przed dwunastą, aby oddać się w ręce policji, która zamierzała ją aresztować za zabicie męża.

Marla słyszała o tym wszystkim w radiu.

Na ulicy roiło się od kamer. Budynek kancelarii pękał w szwach od policjantów. Wszystko to na cześć Drugiej Żony.

Marla wyjęła ostatnią ćwierćdolarówkę i nakręciła numer telefonu adwokata.

Usłyszała jednak głos z taśmy. Przez cały dzień odpowiadał jej automat. Było to wyjątkowo irytujące, gdyż Marla nie mogła zostawić żadnego numeru telefonu.

- Nazywam się Marla - powiedziała w końcu. - Wiem, kto to zrobił. To znaczy w pewnym sensie wiem. Tak czy inaczej na pewno nie żona senatora.

Cholera, nie znoszę tych diabelskich urządzeń. Stoję po drugiej stronie ulicy i właśnie idę do pana Osborna - prychnęła w słuchawkę, po czym położyła ją na widełkach.

Rozmowa z sekretarką automatyczną była absolutnie pozbawiona sensu - co do tego nie Marla nie miała najmniejszych wątpliwości. Zapewne nikt nawet nie odsłuchiwał wiadomości. Raz już nagrała

się na taśmie, kiedy mieszkała z Jerrym i mogła podać swój numer telefonu i inne namiary.

Nikt nie próbował się z nią skontaktować.

Jakieś białe auto zajęło na stację i zaparkowało w cieniu. Marla zauważyła je natychmiast, gdyż niemal paranoicznie obawiała się tego, że ktoś może ją śledzić. Ale człowiek, który wysiadł z auta, w niczym nie przypominał jej prześladowcy. Był postawny, krępy, miał czarne kręcone włosy, nosił granatowy garnitur. Poruszał się niezgrabnie.

Marla pomyślała, że w jego życiu coś się najwyraźniej nie układa: nie dostrzegła w tym jednak nic nadzwyczajnego. Jej własne również okazało się klęską. Zerknęła jednak do auta mężczyzny, na towarzyszącą mu kobietę.

Gdy kobieta popatrzyła jej prosto w twarz, Marla otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Nie mogłaby na to przysiąc - kobieta owinęła głowę chustką, zasłaniając włosy - ale na dziewięćdziesiąt procent była przekonana, że patrzy prosto w twarz Pani Drugiej Żony.

Rozdział 47

20 września, godzina 11.55

Ronnie czuła taką suchość w ustach, że nawet oddychanie sprawiało jej trudność.

- Kenny, Kenny, czy mógłbyś zaparkować i kupić mi wodę mineralną?

Dobrze?

- Jasne, Ronnie. - Kenny bardzo jej współczuł i chciał zrobić absolutnie wszystko, aby cały ten koszmar stał się dla niej łatwiejszy do zniesienia.

Tom, któremu Osborn zakazał kategorycznie jakichkolwiek kontaktów z Ronnie, poprosił go, by zawiózł ją do kancelarii.

Do południa pozostało zaledwie pięć minut.

Musiała jakoś wydłużyć ten czas, rozciągnąć go w każdy możliwy sposób. I koniecznie się czegoś napić.

Kenny zajętał na tyły stacji. Nawet gdyby jeden z tych szakali wydzwanających ustawicznie do kancelarii Osborna przypadkiem tutaj trafił, i tak nie zobaczyłby auta. Oprócz benzyny sprzedawano tu kilka rodzajów przekąsek oraz zimne napoje. Na samą myśl o jedzeniu Ronnie dostała mdłości. Nie jadła przez cały dzień. Gdyby nadal czuła się tak jak teraz, zapewne już nigdy nie byłaby w stanie nic przełknąć.

Ale odczuwała silne pragnienie.

- Tylko wody, Ronnie? Może przynieść ci coś jeszcze?

- Tylko wody - odparła ochryplym głosem przypominającym skrzek. Płakała w ramionach Toma tak długo, że w końcu zabrakło jej łez. Tom też płakał.

Właśnie wtedy pojęła całą grozę swojej sytuacji. Skoro nawet Tom wpadł w rozpacz...

Wiedziała, że jeśli już raz znajdzie się w więzieniu, może z niego wyjść nawet po paru miesiącach czy latach. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Tom również.

I nie mógł zrobić nic, by ją ocalić. Ronnie też była zupełnie bezradna.

Strach paraliżował ją całkowicie. Odbierał siły. Powodował mdłości. Ronnie nigdy przedtem nie miała do czynienia z policją, jednak to nie myśl o areszcie tak ją przerażała, lecz świadomość tych wszystkich straconych dni i tygodni życia.

Boże, dlaczego teraz, gdy czas stał się dla niej tak cenny?

Kenny wysiadł z auta i wszedł do sklepu.

Ronnie wyglądała przez przednią szybę, ale nic nie widziała. Świeciło słońce, ale ona trzęsła się z zimna. Nie była w stanie tego zrobić. Po prostu nie była w stanie.

Jej ręka wyciągnęła się machinalnie w kierunku klamki. Przecież istniała dla niej szansa. Mogła po prostu uciec.

Ktoś zapukał w szybę. Jakaś młoda kobieta o długich blond włosach.

Ronnie tak bardzo się zdziwiła, że wcisnęła guzik i opuściła do połowy szybę, zanim zdążyła się zastanowić, co robi.

Potem uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, i znów dotknęła guzika. Szyba zaczęła wsuwać się powoli na swoje miejsce.

- Proszę zaczekać! Musi pani ze mną porozmawiać! Wiem, kto to zrobił!

Wiem, kto zabił pani męża! - mówiła bezładnie kobieta.

Ronnie popatrzyła na nią przez szklaną barierę podniesioną do trzech czwartych wysokości. Z pewnością nie miała do czynienia z dziennikarką.

Blondynka nie odznaczała się szczególną urodą, ale mogła się podobać. Dość regularne rysy twarzy wydawały się jednak zbyt ostre. Cera nosiła zbyt wyraźne ślady opalenizny. Suknia była uszyta z taniego poliestru.

Wiedziała, kto zabił Lewisa. Tak przynajmniej twierdziła. Zapewne bredziła coś tylko w malignie, ale Ronnie doszła do wniosku, że jej wysłucha. Kobieta nie wydawała się groźna.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

- Wie pani, kto zabił mojego męża? - spytała wolno Ronnie. Czowała, że postępuje głupio, ale tonęła i czepiała się każdej możliwej szansy ratunku.

- Miał jacht. Sun Chaser, prawda? Ronnie skinęła głową.

- Moja przyjaciółka... nawet dwie przyjaciółki zostały zaproszone na ten jacht i nigdy już nie wróciły. Ciało jednej z nich odnaleziono. Została zamordowana. Słyszała pani o Susan Martin, córce kaznodziei?

Z zamglonym wspomnieniem reportażu na temat zamordowanej córki Martina, Ronnie skinęła głową.

Kobieta przysunęła się do niej bliżej. Krótkie palce z poobgryzаныmi paznokciami zacisnęła na brzegu otwartego okna.

- Wszyscy, którzy znaleźli się tamtego wieczoru na jachcie, nie żyją. Susan.

Claire. Jeszcze jedna dziewczyna, która organizowała to spotkanie. Pani mąż.

Ktoś poluje na mnie, bo wiem... och... - wykrzyknęła cicho, gdy pojawiła się za nią sylwetka wysokiego mężczyzny. Ronnie dostrzegła tylko jakiś gwałtowny ruch, coś uderzyło kobietę w bok. Potem usłyszała dziwne bzyknięcie, poczuła zapach spalenizny i zobaczyła, jak kobieta pada na chodnik.

Ze zdziwienia i strachu nie mogła wydobyć z siebie słowa. Patrzyła milcząco na rozgrywającą się przed nią scenę.

- Twoja kolej, kotku. - Mężczyzna wsadził rękę przez otwartą szybę i uderzył

Ronnie w głowę. Pod wpływem ostrego bólu zrobiła gwałtowny unik, a wtedy napastnik przycisnął jej do ramienia jakiś przedmiot - plastikowy prostokąt?

Tym razem nawet nie usłyszała bzyknięcia.

Rozdział 48

20 września, południe

-Jak to odjechała? - Tom opierał się o ścianę kuchni swojej matki, przyciskając do ucha słuchawkę i rozmawiał z Kennym. Matka Toma stała metr dalej. Od chwili wyjazdu Ronnie roztoczyła nad nim opiekuńcze skrzydła jak wówczas, gdy był dzieckiem.

Tom pomyślał w przypływie wisielczego humoru, że jako dorosły facet nie trzyma się już tak mocno maminej spódnicy. Kochał bardzo swoją matkę i doceniał, że tak się stara go pocieszyć. Istniały jednak rzeczy, jakich nawet matczyzna miłość nie mogła rozwiązać.

Kenny zaczął mówić w chwili, gdy Tom podniósł słuchawkę. Nawet się z nim nie przywitał.

- Odjechała twoim autem? - spytał Tom z niedowierzaniem.

Albo Kenny bredził, albo Tom stracił umiejętność odbioru informacji.

Wciągnął głęboko powietrze i uczynił ogromny wysiłek, aby się skupić.

- Dobra, Kenny, powiedz mi to wszystko od początku - powiedział, przerywając w pół słowa swemu współpracownikowi.

- Niech to szlag trafi! Tom! Nie ma jej! Odjechała moim wozem - zawył w słuchawkę Kenny.

- Ronnie?

- Oczywiście, że Ronnie! A jak sądzisz, o kim mówię? Ronnie. Ronnie odjechała moim autem. Chyba postanowiła zwiać!

- Na pewno nie przestawiła po prostu auta? Rozejrzyj się!

- Do jasnej cholery! Myślisz, że nie szukałem? Posłuchaj: Powiedziała, że chce się jej pić, i poprosiła, żebym podjechał na stację i kupił

jej butelkę wody. Zrobiłem, jak kazała, wszedłem do środka, a kiedy wracałem z wodą, zobaczyłem, że nie ma wozu. No i oczywiście Ronnie. Co teraz o tym sądzisz?

- Chryste Panie! - Tom oparł się o ścianę. - Rozmawialiśmy o ucieczce.

Wiedziała, że ją znajdą, sprowadzą z powrotem i już nigdy nie uwierzą w jej niewinność. Kenny, ona by nie uciekła.

- Może w ostatniej chwili wpadła w panikę. Była blada jak trup. Widziałem, że strasznie się boi.

- Chryste Panie! - powtórzył Quinlan. - Gdzie jesteś? Kenny wytłumaczył mu dokładnie, gdzie znajduje się stacja.

- Przyjadę najprędzej, jak się da. Zadzwoń do Osborna i powiedz, co się stało.

I trzymaj się z dala od prasy!

- Jasne - odparł Kenny i odłożył słuchawkę.

Rozdział 49

20 września, godzina 12.30

Przez chwilę sądziła, że śni się jej jakiś kolejny koszmar. Była oszołomiona, zdezorientowana i obolała. Świat się kołysał. Problem polegał na tym, że ktoś zasłonił jej twarz - stąd stałe uczucie

gorąca i trudności z oddychaniem. W

dotatku nic nie widziała.

Uczyniła słaby ruch, aby zerwać zasłonę z twarzy.

Wtedy odkryła, że jest związana.

Pomysł wydał się jej tak niewiarygodny, że musiała to sprawdzić. Na chwilę przymknęła oczy i spróbowała rozjaśnić myśli.

Nagle przypomniała sobie, co się stało. Stacja benzynowa, blondynka.

Mężczyzna wsuwający rękę do auta, chwytający ją za włosy.

A potem - straszny, przenikliwy ból, jakby najechała na nią jakaś kilkudziesięcotonowa ciężarówka.

Została porwana.

To odkrycie kompletnie ją poraziło.

Dlaczego?

Blondynka mówiła, że Lewis zginął z powodu jachtu. Coś w tym rodzaju. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć.

Czy to na pewno dotyczyło Lewisa?

Ręce miała związane za plecami własnym jedwabnym szalem.

Koniuszkami palców wyczuwała twarde węzłki w cienkiej tkaninie.

Jakaś sprężysta, nieco bardziej szorstka tkanina krępowała jej nogi -

nieprzypadkowo gołe. Ronnie odkryła ten fakt, poruszając palcami. Buty zniknęły, na nogach nie było rajstop.

I te właśnie rajstopy krępowały jej nogi.

Leżała na prawym boku na czymś niezupełnie płaskim, przykrywał ją stęchły pled czy koc. Znajdowała się niewątpliwie w jakimś pojeździe, który się poruszał. A właściwie podskakiwał, jakby pokonywali wyboistą trasę.

Intuicja kazała jej leżeć cicho, całkowicie bez ruchu.

- Hej, to ja - głos odezwał się tak niespodziewanie i blisko, że Ronnie niemal podskoczyła. Był to jakiś męski nieznajomy baryton mówiący do słuchawki.

- Mam ją, ale wynikł pewien problem. Drugą też musiałem zabrać. Żonę senatora.

Na drugim końcu linii rozległ się wrzask. Ronnie nie rozumiała słów, lecz natężenie dźwięku oraz intonacja mówiącego mówiły same za siebie.

- No więc co mogłem zrobić? Już zaczynała z nią rozmawiać, słyszałem.

Mówiła jej o jachcie, o tym, że każdy, kto płynął wtedy łodzią albo wiedział cokolwiek na ten temat tej wyprawy, nie żyje. Co mogłem zrobić? Musiałem zabrać i ją.

Kolejny wrzask.

- Słuchaj, zajmę się tym, dobra? Nie martw się. Nikt ich nie znajdzie. Już ja się o to postaram. Ja... - Urwał.

Jego rozmówca mówił teraz chyba normalnym tonem, bo Ronnie nic nie słyszała.

- Tak, to niezły pomysł. Tak właśnie zrobię. Postaram się narobić śladów.

Dobra, zajmę się wszystkim. Nie martw się. To ostatnie dwa problemy do załatwienia, a potem już w żaden sposób nie będzie cię można z tym powiązać. Wiem. Dobra, zadzwonię później.

Rozmowa zakończyła się bez pożegnania. Ronnie usłyszała ciche piknięcie.

Widocznie wyłączono komórkę.

Usiłowała zrozumieć coś z tego, co właśnie usłyszała. Została porwana, gdyż blondynka zdążyła jej szepnąć, że Lewis musiał zginąć z powodu jachtu. Nie, nie z powodu jachtu, tylko z powodu czegoś, co się tam wydarzyło. Jakiejś szczególnej nocy. I wszyscy, którzy o tym wiedzieli, musieli zginąć.

Teraz ona też wiedziała.

Wniosek przyprawił ją o dreszcze.

Pojazd zatrzymał się.

Serce Ronnie również. Stało w chwili, gdy mężczyzna wysiadł z auta.

Usłyszała, jak otwierają się drzwiczki, usłyszała szelest jego ubrania i kroki.

A potem już nic.

Ten postój zupełnie się jej nie podobał. Co on teraz właściwie zamierza?

Gorączkowo usiłowała wymyślić jakiś sposób, by się ratować, gdyby jej przypuszczenia okazały się trafne i mężczyzna zamierzał ją zabić.

Nie zdążyła. Drzwi otworzyły się nagle - leżała tuż przy ich, a z jej twarzy zerwano koc czy też jakieś inne nakrycie.

Ronnie przymknęła oczy i próbowała normalnie oddychać, on zresztą i tak niczego nie zauważał. Chwycił ją po prostu za poły żakietu i podniósł do pozycji siedzącej.

Udawanie bezwładu w takich okolicznościach okazało się najtrudniejszą rzeczą, jaką przyszło jej robić w życiu. A potem - niczym worek kartofli -

wylądowała na ramieniu swego prześladowcy, który wyniósł ją na otwartą przestrzeń.

Otwierając oczy, Ronnie dostrzegła tył jego koszuli khaki, dywan zesztorocznych liści, połamane gałęzie, kamienie i zielone konary wysokich drzew.

Znajdowała się na terenie zalesionym. Było chłodno, a powietrze pachniało mchem.

Pojazd okazał się samochodem Kenny'ego. Ronnie odbyła podróż na przednim siedzeniu, maksymalnie odchyłonym, tak ; praktycznie leżała.

Napastnik nakrył ją szarym pokrowcem kosiarki, który teraz leżał na ziemi.

Mężczyzna zsunął ją nagle z pleców i - niczym dywan - zaczął wpychać do bagażnika.

Aby się tam zmieściła, musiał jej zgiąć nogi w kolanach.

A potem usłyszała, jak odchodzi.

Ronnie otworzyła oczy i dojrzała szary pokrowiec na otwartym bagażniku.

Mężczyzna zniknął. Czy powinna skorzystać z okazji?

Wykluczone. Była związana. Może powinna krzyczeć? Ale co by się stało, gdyby nikt jej nie usłyszał?

Albo usłyszał, lecz zlekceważył wołanie?

Wracał. Ronnie przymknęła oczy. Ktoś inny wylądował bagażniku, upchnięty w środku jeszcze mniej delikatnie niż Ronnie, właściwie wrzucony do środka. A potem kłapa zatrzasnęła się z hukiem.

Ronnie otworzyła oczy. Teraz były w nich włosy, rozsypane po całej twarzy.

Długie, jasne włosy pachnące jakimś kwiatowym szamponem.

Potrząsając głową, pozbyła się jakoś łaskoczących kosmyków. Towarzyszką niedoli okazała się oczywiście blondynka, którą również pozbawiono przytomności. Podobnie jak Ronnie miała związane ręce i stopy.

Samochód ruszył - zanim jednak wyjechał na prostą, zatoczył szeroki łuk.

Ronnie i nieznajoma blondynka zostały zamknięte razem w bagażniku.

Rozdział 50

20 września, godzina 12.40

Kenny czekał na Toma na stacji Chevron. Stacja składała się z niskiego, białego budynku z dwoma warsztatami i szesnastoma dystrybutorami paliwa na zewnątrz. Przez otwarte okno widać było oszklone chłodziarki, a przy ścianie zewnętrznej stała srebrna lodówka. Tuż za budynkiem, przy samym końcu parkingu zatrzymał się niebieski dumpster.

Kenny kręcił się przy dumpsterze, wyraźnie zaniepokojony. Na widok Toma ruszył pospiesznie w jego kierunku, zanim Quinlan zdążył wysiąść z auta.

- Gdzie Dan? - spytał Tom, gdy ponownie wysłuchał całej historii i przekonał

się naocznie, że auto wraz z Ronnie zniknę-to naprawdę.

- W kancelarii. Rozmawiałem z nim przez telefon, ale nie chce wyjść. Mówi, że media rzucą się na niego jak szalone i zaczną wypytywać o Ronnie.

Przecież ona o pierwszej miała być na komisariacie.

Patrząc na ekipy reporterów i kamerzystów otaczające kancelarię Dana, Tom natychmiast zrozumiał obawy prawnika.

- Sam zresztą do niego zadzwoń. - Kenny wskazał automat na rogu wybrukowanej alejki. Stało tam tylko jedno auto brązowy chevrolet nova.

Tom zwrócił uwagę na stary samochód, gdyż siedziała w nim samotnie mała dziewczynka.

Wiedząc, że telefon komórkowy nie wchodzi w grę - zbyt łatwo można było podsłuchiwać rozmowy - Tom pożyczył od Senny'ego ćwierćdolarówkę i ruszył w stronę automatu.

- Strasznie długo musiałem czekać, żeby podniósł tę przeklętą słuchawkę -

powiedział Kenny. - Ma automatyczną sekretarkę czy coś w tym rodzaju.

Powtarzałem w kółko: „Dan, to bardzo pilne, Dan to bardzo pilne”, aż w końcu się zdecydował. Tak czy inaczej, czeka na wiadomość od ciebie.

Tom doszedł wreszcie do automatu, sięgnął po słuchawkę i wrzucił

ćwierćdolarówkę w otwór. Zaraz po usłyszeniu sygnału wybrał numer Dana i już po pierwszym dzwonku usłyszał w słuchawce jego głos.

- Cholera jasna, musimy ściągnąć ją z powrotem - powiedział Dan bez zbędnych wstępów. - To się może dla niej tragicznie skończyć. Chcesz obejrzeć kolejny scenariusz a la O. J. Simpson, tym razem z panią Honneker w roli głównej?

- Ona nie uciekła, Dan. - Tom zastanawiał się nad tym całe czterdzieści minut i był całkowicie pewien swoich wniosków.

- Ależ oczywiście, że związała. Co innego mogło się stać? Posłała twojego współnika do sklepu, wśliznęła się za kierownicę i dała dyla. Rozumiem, że bała się iść do więzienia i ja jej wcale o to nie winie. To straszna rzecz. Ale ucieczka nic tutaj nie da. Prędzej czy później będzie musiała stawić czoło sytuacji. Trzeba ją sprowadzić.

- Cholera jasna, Dan. Ona nie uciekła. Wiedziała, że nie ma wyboru. Bała się, ale nie planowała ucieczki.

- W takim razie co się z nią stało? - spytał Dan poirytowanym tonem.

Tom odetchnął głęboko. Stacja była ruchliwa. Bez przerwy podjeżdżały tu samochody. Naprzeciwko dumpstera stał teraz czarny pikap. W tym właśnie miejscu Kenny zostawił Ronnie i poszedł kupić wodę. Dwa samochody i półciągarówka tankowały paliwo. Obok chevroleta, nieopodal trawnika oddzielającego stację od jezdni, parkowały trzy inne wozy.

- Nie wiem. Ale zaczynam się bać.

- Co takiego? - spytał Osborn zniecierpliwionym tonem.

- Może porwał ją jakiś wariat. Wskoczył do samochodu i po prostu z nią odjechał.

- No jasne. Jak dalece to prawdopodobne?

- Albo stało się coś innego.

- Na przykład?

- Ktoś ją zobaczył i rozpoznał. Ktoś, kto naprawdę lubił senatora i jego rodzinę. Ktokolwiek to był, porwał Ronnie, aby się na niej zemścić za domniemaną zbrodnię.

- Fantazjujesz.

- Istnieje jeszcze jedna możliwość: senator Honneker został naprawdę zamordowany, Dan. A Ronnie tego nie zrobiła. Co znaczy, że Lewisa zabił

ktoś inny. I biega teraz na wolności. Może to on porwał Ronnie?

- Absurd!

- Tak uważasz, bo w głębi serca jesteś przekonany, że to Ronnie zabiła senatora. Mówię ci, że nie.

Pomyśl przez chwilę, że ona naprawdę jest niewinna. Wyobraź sobie, że nie miała nic wspólnego z tą sprawą. I zadaj sobie pytanie, czy ten, kto zabił Honnekera, pragnął również śmierci Ronnie?

Zaległa cisza.

- To jest kompletnie pozbawione sensu - zaprotestował Dan.

- A co tu ma sens? Nic. Ale Ronnie zniknęła, zniknął samochód Kenny'ego, a ja mogę się założyć o własne życie, że ona nie uciekła. Chyba musimy zawiadomić policję.

Osborn jęknął głucho.

- Dzwonię, Dan.

- Zaczekaj. Posłuchaj mnie przez chwilę. Poczekajmy trochę. Może się pojawi. Jeśli naprawdę uciekła, wolałbym sprowadzić ją po cichu, tak żeby nikt się o tym nie dowiedział. Próba ucieczki cholernie ją obciąża. I jak tylko prokurator okręgowy się o tym dowie, wyśle za nią list gończy. Za nią i za autem. Jak się nie zatrzyma, mogą ją zastrzelić. Pomyśl o Simpsonie.

Tom milczał chwilę. Wszystko, co mówił Dan, brzmiało sensownie. Ale Quinlan nie mógł pozbyć się uczucia, że stało się coś bardzo złego.

- Dzwonię na policję - powiedział. - Chcę, żeby wysłali ten list. Szczególnie za autem. To na pewno nie ona siedzi za kierownicą.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. Tom czuł, że adwokat rozważa kolejne możliwe scenariusze wydarzeń.

- To twoja decyzja - powiedział w końcu Osborn. - Ale jeśli się mylisz, wyświadczasz jej naprawdę niedźwiedzią przysługę.

- Na pewno się nie mylę.

- Mam taką nadzieję - westchnął Dan. - Siedź spokojnie. Sam zadzwonię na policję i wszyscy niebawem się tam zjawimy. Możemy w końcu rozpętać ten medialny cyrk. Dlaczego nie?

Tom odłożył słuchawkę i popatrzył na Kenny'ego.

- Zawiadomi gliny.

- Cholera, Tom.

- Po prostu nie wierzę, że uciekła. - Szli teraz w stronę budynku. Mała dziewczynka siedząca w chevroletcie popatrzyła na niego uważnie. Mimo iż cały czas myślał o Ronnie, nie mógł nie zwrócić na nią uwagi.

Mała siedziała sama w aucie już bardzo długo. Może była córką jednego z pracowników, który nie

mógł jej zapewnić lepszej opieki?

Tom zostawił Kenny'ego z tyłu, podszedł do chevroleta i wsadził głowę przez szybę.

Mała spojrzała na niego ze strachem. Wszystkie dzieci bały się obcych.

Uśmiechnął się szeroko na znak, że jest całkowicie niegroźny.

- Ciekaw jestem, czy nie widziałaś czasem takiej ładnej pani z rudymi włosami? Przyjechała białym autem. Naprawdę muszę ją znaleźć.

Mała pokręciła głową. -Nie.

- Wątpię, czy ona jest tutaj od tak dawna. Straszysz dziecko - powiedział cicho Kenny.

- Nie możesz znaleźć tej pani? - spytała dziewczynka.

- Niestety nie. - Tom znów popatrzył na nią przez okno.

- Moja mama też gdzieś przepadła.

- Twoja mama?

Dziewczynka skinęła głową. Dolna warga wyraźnie jej drżała.

- Poszłam do toalety, a kiedy wróciłam, nie zastałam mamy w aucie. Już bardzo długo na nią czekam, ale nie wraca.

Tom popatrzył na nią uważnie.

- Mama przyjechała tu z tobą na stację, a teraz jej nie ma? -Tak.

- Od jak dawna? - spytał ostro Tom. Aby złagodzić swój ton, zmusił się do kolejnego uśmiechu.

- Chyba... od godziny.

Tom odwrócił się do Kenny'ego.

- Słyszałeś? - spytał cicho. - Czy to możliwe, żeby dwie kobiety zniknęły tak po prostu ze stacji benzynowej dokładnie w tym samym czasie?

- Co się w takim razie stało? Sądzisz, że jej matka porwała Ronnie? -

Koncepcja brzmiała absurdalnie, ale w tamtej chwili Tom rozważał

wszystkie opcje.

- Kto to do diabła wie? Ja jestem tylko pewien, że Ronnie nie uciekła.

W tej samej chwili stanął przed nimi wóz policyjny. Tom zerknął w dół ulicy i dojrzał, że pędzą w ich stronę przedstawiciele najróżniejszych mediów.

- A oto i kawaleria - szepnął Kenny.

Rozdział 51

20 września, godzina 14.00 - 14.15

W bagażniku było duszno i gorąco. Ronnie leżała na boku, z nogami przyciśniętymi do piersi, rękami wykręconymi na plecy; oddychała z trudnością. Wykładzina, którą przykryto twardą blachę, była cienka, szorstka i pachniała lekko benzyną.

- Jak ci idzie? - spytała Marla przez ramię. Nieco wcześniej odzyskała przytomność, a teraz w takt piosenki Debby Boone „You Light Up my Life”

obie kobiety czyniły heroiczne wysiłki, aby odzyskać wolność.

Leżały plecami do siebie rozplątując więzy pętające im ręce. Marla również została związana rajstopami - węzélki były ścisłe i maleńkie i Ronnie miała trudności nawet z utrzymaniem ich w palcach, nie mówiąc już o rozsypłaniu.

Marla też zresztą nie poczyniła większych postępów w walce z jedwabną chustką.

Ronnie nie wiedziała, czy dłonie ma mokre od potu bardziej ze strachu, czy z gorąca.

Dopóki samochód jechał, nic im nie groziło. Gdyby jednak przystanął...

Obie wiedziały doskonale, że auto może się zatrzymać w każdej chwili.

Musiały się jakoś uwolnić. Ale panika prowadziła donikąd.

Pierwszym nakazem chwili stało się zachowanie spokoju i rozwiązanie supłów.

Radio nadawało teraz na fali WHAZ audycję religijną.

- Mam pomysł. - Ronnie przekręciła się tak, że leżała teraz twapą do Marli. -

Możesz się podnieść trochę do góry? Spróbuję zębami.

Marla posłusznie wypełniła polecenie, a Ronnie zaatakowały więzy.

Sądziła, że poradzi sobie łatwiej, jeśli będzie widziała supełki, ale nawet teraz, gdy Marla zmieniła ułożenie ciała, nie mogła ich zobaczyć.

Znajdowały się zbyt blisko oczu.

Mimo wszystko udało się jej pochwycić pierwszy węzełek i nieco go rozluźnić. Zachęcona, kontynuowała pracę.

Na falach eteru rozbrzmiewał słodki sopran Amy Grant, Marli drżały ręce.

Ronnie czuła jej drżące palce na swoim policzku.

Samochód skręcił gwałtownie w lewo i zwolnił. Nawierzchnia zmieniła się -

nie była już tak gładka jak przedtem. Potem koła zaturkotały na wybojach i auto przystało.

Ronnie ciągnęła węzeł zębami jak oszalała. Silnik umilkł, radio przestało grać.

Trzasnęły drzwiczki. Ronnie wypuściła supeł z ust i wróciła do poprzedniej pozycji, na wypadek, gdyby mężczyzna zamierzał zajrzeć do bagażnika. Nie chciała, by odkrył, co zamierzają.

- Mamo... - jęknęła Marla. W kilka chwil później Ronnie usłyszała pierwsze słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.

Coś łupnęło w klapę bagażnika - najwyraźniej mężczyzna uderzył pięścią w blachę. Marla umilkła.

- Mam nadzieję, wy głupie dziwki, że umiecie pływać - powiedział radośnie.

Ronnie i Marla popatrzyły na siebie z przerażeniem. Nie wiedziały dokładnie, o co mu chodzi, ale przerażał je groźny ton mężczyzny.

Samochód ruszył.

Radio znów nadawało gospel. A potem samochód przyspieszył, podskoczył, zaterkotał i wyleciał w przestrzeń.

- O Boże! - Ronnie zrozumiała, że spadają.

Samochód staczał się w dół, a one krzyczały, krzyczały, krzyczały...

Rozdział 52

20 września, godzina 14.00-14.15

Alex Smitt wszedł do gabinetu szefa policji Larry'ego Kerna. Tom popatrzył

na niego z nadzieją ze swego miejsca przy oknie. Był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć spokojnie w jednym miejscu; Kenny i Dan Osborn nie narzekali zupełnie na małe, twarde krzeselka przysunięte do biurka.

- Co tam macie? - spytał Kern.

- Trafiliśmy na ślad matki tej dziewczynki, Marli Becker. Dwudziestego dziewiątego maja 1993 roku aresztowano ją w Biloxi za prostytutkę.

Zapłaciła grzywnę i wyszła na wolność. Od tamtej pory pracowała chyba jako call-girl, ale nie została ani razu zatrzymana przez policję. Interesujące jest to, że mieszkała razem z Susan Martin, pamiętacie - tą córką kaznodziei zamordowanego parę miesięcy temu.

Kern przytaknął.

Tom nie pamiętał tej sprawy i obchodziło go wyłącznie to, co mogło się łączyć ze zniknięciem Ronnie.

- Wydaliście nakaz na samochód, prawda? - spytał Alexa.

- I na panią Honneker. Rozumie pan chyba, że złapiemy ją najpewniej w drodze do Meksyku.

- Chcę tylko, żebyście ją znaleźli. - Tom oblizał wargi. Instynkt podpowiadał

mu, że czasu nie zostało wiele.

- Coś jeszcze? - spytał Kern Alexa.

- Jeszcze coś ciekawego. Dowiedzieliśmy się od dziewczynki, że ona i matka mieszkały ostatnio w Pope u byłego policjanta Jerry'ego Finemana. Wczoraj ktoś do niego strzelał. Pan Fineman przebywa w szpitalu. Znajduje się w stanie krytycznym.

- Nie sądzicie, że to zbyt duży zbieg okoliczności? Ta sama kobieta powiązana z morderstwem, usiłowaniem morderstwa i zniknięciem? - spytał

Dan. - Może to ona zabiła senatora?

- Wyciąga pan zbyt daleko idące wnioski, mecenasie - odparł z uśmiechem Kern. Dan wzruszył jedynie ramionami w odpowiedzi, co znaczyło, że wyciąganie tego rodzaju wniosków jest zadaniem każdego obrońcy.

- Ktoś już jedzie do pana Finemana, żeby go przesłuchać. O ile oczywiście pozwoli na to lekarz. Będziemy bardzo delikatni - powiedział Alex.

- Cholera jasna, niech on mówi! - ryknął Tom.

- Spokojnie - upomniał go Dan. - Robią wszystko, co tylko mogą.

- Z tą dziewczynką też staramy się postępować bardzo delikatnie, ale ona chyba zupełnie nie boi się matki. Pani Becker nie wydaje się niebezpieczna dla kogokolwiek.

- W przeciwieństwie do Ronnie, prawda? - wyrwało się Tonowi. Sam szalał

ze strachu, toteż zimny spokój zebranych w pokoju mężczyźni doprowadzał go do obłądu.

- Motyw, sposób, okazja - przypomniał Alex.

Tom zacisnął pięści. Przypomniał sobie jednak, że będzie znacznie gorzej, jeśli trafi do celi, i rozluźnił palce.

- Dobrze by było, gdyby udało się nam rozwiązać sprawę tej Martin. Stary Charlie daje nam dobrze do wiwatu - powiedział Kern. - Oczywiście doskonale go rozumiem. Zachowywałbym się tak samo, gdyby chodziło o moją córkę.

- To absurdalne, że córka kaznodziei, ot tak po prostu, została prostytutką -

powiedział z namysłem Dan. - Ciekawe, jak wyglądało u nich życie rodzinne.

- Do diabła z życiem rodzinnym Martinów - odparł z goryczą Tom. - Czy nie możemy się skupić na odnalezieniu Ronnie?

Rozdział 53

20 września, godzina 14.16 - 14.30. Gdzieś na południe od Jackson Samochód wpadł do wody z nieprawdopodobnie głośnym pluskiem. Ronnie uderzyła w klapę bagażnika i - oszołomiona - wylądowała z powrotem na metalowej podłodze. Przez chwilę, dosłownie przez chwilę leżała na plecach z gwiazdami przed oczyma.

A potem auto przechyliło się na bok. Tonęły. Stało się to nagle przerażające oczywiste.

Ten zbrodniarz chciał, aby się utopiły - związane i zamknięte w bagażniku auta.

Nie będzie śladów.

Słowa, które wypowiedział do telefonu, nabrały nagle złowieszczości sensu.

Utopienie nie pozostawiało śladów. A później można ucharakteryzować ciało tak, by zmarła wyglądała jak typowa ofiara wypadku.

Do środka auta sączyła się woda. Była ciepła, złudnie ciepła. Tak, jakby nie mogła wyrządzić krzywdy.

- Marlo, nic ci się nie stało? Musimy się stąd wydostać.

- Mam rozciętą głowę, ale... Boże... jesteśmy w wodzie. -Marla dostrzegła właśnie błotnistą strużkę stającą się powoli strumieniem.

- Samochód zaraz zatonie. Uciekajmy!

- Boże, jak? Przecież...

- Jeśli obie położymy się na plecach i kopniemy w wieko, może otworzymy bagażnik.

Obie kobiety przetoczyły się na plecy.

- Nie ma miejsca - jęknęła Marla. Stało się to nagle przerażająco jasne.

- Musimy spróbować. Raz, dwa, trzy! Kop!

Nie starczyło im miejsca na rozmach. Klapa nawet nie drgnęła. Ronnie poczuła ból w stawie biodrowym, lecz jej wysiłek okazał się bezowocny.

- No i co teraz?

- Spróbujmy jeszcze. Raz, dwa, trzy! Bagażnik pozostał zamknięty.

Woda przesiąknęła przez wykładzinę. Pod plecami kobiet utworzyły się kałuże.

- Moja córeczka - szepnęła Marla z przerażeniem. - Nie mogę tak umrzeć.

- Ja też nie chcę umierać. - Ronnie pomyślała o Tomie. Wiedziała, że on będzie jej szukał. Pospiesz się - podpowiadała mu w duchu.

- Może pod tą wykładziną jest jakiś lewarek, albo coś podobnego. Kasetka na narzędzia...

Z trudem przesunęły wykładzinę na bok. Pod spodem istotnie leżała kasetka -

płaska, prostokątna, z rączką.

- Chwyć za rączkę. Pospiesz się. - Woda miała teraz głębokość centymetra.

Ronnie z trudem dostrzegała w niej metalową skrzynkę.

Niełatwo było uchwycić kasetkę rękami związanymi na plecach, ale Ronnie zdołała dokonać tej sztuki.

Kasetkę wypełniała po brzegi błotnista woda. Nie widziały, co znajduje się w środku. Marla wsadziła nogę do środka i wierzgnęła. Ze stopy zwisała jej zwinięta szmatka z narzędziami (łącznie z nożem) w środku. Nóż wydawał

się tak ostry, że mógł służyć do filetowania ryb. Miał świecące, srebrne ostrze.

Potem nie minęła nawet minuta, a już obie były wolne. Ronnie potrząsała rękami, próbując odzyskać czucie. Nie starczyłoby im czasu na nic więcej.

Woda stawała się coraz głębsza i wciąż jej przybywało.

Pobieżny przegląd kasetki nie wykrył niczego, co mogłoby się nadawać do otwarcia bagażnika. Ronnie wsadziła szybko rękę do środka i przejechała palcami po jej dnie.

Dotknęła czegoś długiego, twardego, cylindrycznego i z okrzykiem radości wyciągnęła swoją zdobycz.

- Lewarek!

Marla bez słowa wzięła narzędzie do ręki i wbiła węższy koniec w szczelinę pod zamkiem.

- Raz, dwa, trzy! - Z całej siły próbowały wyważyć klapę. Nic się jednak nie stało poza tym, że samochód przechylił się nieco bardziej na prawo.

Ronnie pomyślała z przerażeniem, że auto przekoziółkuje na dach. Wtedy straciłyby wszelkie szansę na przeżycie.

- Jeszcze raz - powiedziała i obie oparły się o lewarek. -Raz, dwa, trzy!

Bagażnik otworzył się trzaskiem. Ronnie była tak zdumiona widokiem oślepiającego słońca, że jeszcze przez dłuższą chwilę siedziała w kufrze auta, mrużąc oczy od blasku. Dryfowały po spokojnej tafli jeziora. Brzeg okalały drzewa o szkarłatnych i złotych liściach. Nieopodal stał drewniany pomost -

widocznie właśnie stamtąd - myślała Ronnie - spadło auto.

- Chodź! - Marla chwyciła ją za ramię. - Uciekajmy!

- Umiesz pływać? - spytała Ronnie, gdy auto przechyliło się niebezpiecznie pod ich ciężarem.

- Całkiem nieźle. - Marla nie wypuszczała lewarka z rąk. -Boże! Spójrz!

Ronnie popatrzyła we wskazanym kierunku. Strach ścisnął ją za gardło.

W ich stronę płynął mężczyzna. Nie musiała wysilać wyobraźni, aby wiedzieć, kim jest.

Mężczyzna zamierzał je zabić.

- Chodź, Ronnie. - Marla tymczasem obeszła na bosaka całe auto i wspięła się na dach. W rękę trzymała lewarek i nóż. Kiedy Ronnie posłusznie wdrapała się na górę, Marla wręczyła jej lewarek. Samochód, do którego wlewało się coraz więcej wody, przechylił się na prawo. Radio działało, co w tej sytuacji graniczyło niemal z cudem. Z głośnika wydobywała się właśnie patetyczna melodia „Amazing Grace”.

- Chodź, ty dupku, no chodź! Rozwalę ci ten ohydny łeb! -Marla stała na dachu, wygrazając mężczyźnie w wodzie. Ronnie wytrzeszczyła na nią oczy.

Podobnie jak ona sama, Marla była kompletnie mokra, długie opalone nogi miała nagie, a na krótkiej niebieskiej plażówce ślady błota.

- Marlo, musimy płynąć...

Mężczyzna dotarł do samochodu. Nawet jeśli przedtem istniała taka szansa, teraz zrobiło się już za późno, aby mu uciec. Mogły jedynie stanąć do walki.

Chwycił drzwi za klamkę, następnie krawędź otwartego okna i podciągnął się do góry.

Z radia wydobywały się znajome dźwięki hymnu.

Tuż za nią rozległ się trzask. Ronnie rozejrzała się. Nóż upadł na dach.

Wysunął się Marli z ręki, gdy odbierała Ronnie lewarek. Z lewarkiem w rękę pobiegła teraz na skraj dachu i zamierzyła się na mężczyznę. Morderca chwycił narzędzie i jednym pchnięciem zrzucił dziewczynę do wody.

Sam podciągnął się na dach.

Ronnie popatrzyła na niego z przerażeniem i szybkim ruchem podniosła nóż.

Mgliste wspomnienia filmów akcji kazały jej trzymać ostrze przed sobą i stanąć w rozkroku z miną, świadczącą o tym, iż wie, co robić dalej.

Nad jeziorem niosła się muzyka z radia.

- Chodź tu grzecznie. Ładna z ciebie dziewczynka, po co mam cię poharatać?

- powiedział mężczyzna, patrząc na nią z uśmiechem. - Trzeba ułatwiać sobie życie.

Gdy zamarkowała cios, mężczyzna zaśmiał się głośno. W tej samej chwili Ronnie dostrzegła, że Marla zaczyna się wspinać na dach. W rękę trzymała mały, plastikowy przedmiot wielkości książki.

- Cofnij się - warknęła Ronnie, wymachując nożem. Chciała w ten sposób odwrócić uwagę mężczyzny od Marli. Jej bose stopy ślizgały się po dachu.

Obcisła spódnica do kolan nie nadawała się zupełnie do walki wręcz. Gdyby jednak wskoczyła do jeziora, mężczyzna na pewno by ją utopił.

Postąpił krok naprzód. Ronnie wrzasnęła jak opętana i uderzyła go nożem.

Trafiła. Mężczyzna zawył z bólu, wytrącił jej nóż z ręki i odrzucił na bok.

- Ty dziwko! - Chwycił ją za przegub. Z lewego ramienia, z miejsca, gdzie trafiło go ostrze, ciekła krew. Na jego twarzy malowała się żądza mordy.

Przez jedną przerażającą chwilę Ronnie patrzyła w lodowatoszare oczy człowieka, który zamierzał ją zabić.

Szarpnął ją do siebie.

Krzyknęła. W tej samej chwili Marla przycisnęła biały przedmiot do boku mordercy. Rozległo się takie samo buczenie, jakie Ronnie słyszała przedtem.

Do jej nozdrzy dotarł zapach spalenizny. Mężczyzna westchnął, zeszywniał i upadł jak kamień na dach.

Przez chwilę leżał u jej stóp na dachu auta. Marla stała nad nim, wykrzywając wargi z triumfem. A potem podniosła lewarek.

Gdy trafiła nim w głowę bandyty, rozległ się taki dźwięk, jakby melon spadł z wysokości dziesięciu pięter na ulicę. Z czoła mężczyzny popłynęła jaskrawoczerwona krew.

Marla uderzyła go raz jeszcze.

- Co to jest? - Ronnie patrzyła z przerażeniem na biały prostokąt, wyglądający teraz zupełnie niewinnie.

- Paralizator - powiedziała Marla z satysfakcją. - Jerry, mój chłopak, to znaczy to był mój chłopak, zanim ten dupek go zabił, pokazał mi, jak się tym posługiwać. Zostałyśmy nim ogłuszone, leżał na desce rozdzielczej.

Zauważyłam go, kiedy ten drań zepchnął mnie do wody. Sam teraz zobacz, czym to pachnie, kochasiu.

Gdy znów się zamierzyła, na twarzy Ronnie pojawił się wyraz obrzydzenia.

A potem Marla kopnęła mężczyznę w bok, chwyciła go za ramię, a Ronnie za nogę.

I obie wrzuciły mordercę do jeziora.

Rozdział 54

20 września, godzina 15.00, Jackson

-Mamy je.

Alex Smit wszedł z uśmiechem do komisariatu, gdzie Kenny i Tom pili kawę.

Albo też przynajmniej pił ją Kenny. Tom miał przed sobą filizankę, ale upił z niej zaledwie mały łyżeczek. Dan był nadal zamknięty na górze z szefem.

Na widok Alexa Tom zerwał się na równe nogi.

- Co to znaczy, że je macie?

- Samochód patrolowy znalazł twoją panią i tę drugą kobietę na drodze numer pięćset czterdzieści osiem w Claiborne County. Stoczyły niezłą walkę. Nasi chłopcy twierdzą, że zatłukły jakiegoś faceta lewarkiem.

- Co? - spytali jednocześnie Tom i Kenny.

- A ty twierdziłeś, że ona nie jest niebezpieczna. - Alex pokręcił z uśmiechem głową.

- Nic jej nie jest?

- Chyba nie. Jak się okazuje, te damy naprawdę przeżyły ciężkie chwile.

Facet, którego wykończyły, to profesjonalista. Naprawdę kawał drania. I muszę wam powiedzieć, że ta druga kobieta opowiada naprawdę bardzo interesujące rzeczy na temat serii morderstw związanych z senatorem Honnekerem i jego jachtem. Tak więc może twoja dama rzeczywiście go nie zabiła. Wstrzymamy się z aresztowaniem do czasu wyjaśnienia sprawy.

- Dokąd jedziecie? - spytał Tom, widząc, że Alex zmierza w kierunku drzwi.

- Na spotkanie z panią Honneker w Claiborne. Przywieziemy ją tutaj, więc bądź w pobliżu.

- Akurat.

Alex zerknął na niego spod oka.

- Powiedziałem, że masz czekać.

- Zamierzacie mnie aresztować? -Nie.

- Więc jadę z wami. Albo wezmę swój wóz. To zależy od was. Ale jadę.

Rozdział 55

20 września, godzina 16.30, Biloxi

W rezultacie do Claiborne County ruszyła cała kawalkada aut. Tom i Kenny jechali wozem Alexa Smitta, Dan z szefem policji. Za nimi sześć wozów patrolowych. Dalej przedstawiciele mediów. Jak się o tym wszystkim dowiedzieli, do końca pozostało tajemnicą. Widocznie mieli swoje sposoby.

Gdy dotarli do jeziora - wielkiego, prywatnego jeziora wykorzystywanego niegdyś przez rybaków - zobaczyli najpierw biały dach auta pływającego w błotnistej brudnej wodzie.

Kenny popatrzył smutno na zatopiony samochód.

- Mój wóz - powiedział żałośnie i poszedł na brzeg.

Tom skupił tymczasem całą energię na odnalezieniu Ronnie. Zobaczył ją w pobliżu wyźwirowanej ścieżki nieopodal pomostu. Stała tam w towarzystwie dwóch policjantów i drugiej kobiety.

Tom natychmiast ruszył w jej stronę. Alex szedł tuż za nim, a za Alexem kroczył Dan, który wysiadł właśnie z samochodu Kerna.

Włosy otaczały twarz Ronnie mokrą, rudą płataniną. Po jednym policzku ściekało błoto. Czarny kostium był mokry, i ubrudzony szlamem, spódnica rozdarta do połowy uda. Na gołych nogach nie miała nawet butów.

Gdy zobaczyła Toma, twarz rozjaśniła się jej tak, jakby tuż nad nią zapalono tysiąc żarówek. A moc jej uśmiechu mogła oświetlić cały stan.

- To z pewnością wspaniała kobieta - mruknął Alex, kręcąc głową.

Tom nie zwrócił na niego uwagi. Teraz już prawie biegł, a Ronnie pędziła do niego. Kiedy wreszcie do niego dotarła, rzuciła mu się na szyję.

Tom wreszcie odetchnął z ulgą. Ronnie była cała i zdrowa.

Rozdział 56

21 września, godzina 19.00

Marla puściła rękę Jerry'ego i wstała. Jerry zasnął przed kilkoma minutami.

Był bardzo słaby - kula w głowie zazwyczaj tak działa na ludzi - ale lekarze zapewniali ją, że wyzdrowieje.

- Czy on śpi, mamó? - Marla uśmiechnęła się do Lissy. Dziewczynka chciała koniecznie przyjść do szpitala, a martwiła

się o Jerry'ego jeszcze bardziej niż Marla. I Jerry tak się ucieszył na jej widok.

Zachowywali się prawie jak rodzina, którą być może mieli szansę zostać.

Zadzwonił telefon stojący przy szpitalnym łóżku. Marla szybko podniosła słuchawkę, aby hałas nie obudził Jerry'ego.

-Halo?

- Marla? - Dzwoniąca nie musiała się przedstawiać. Po wczorajszym dniu ten napsuszony akcent wrył się mocno w pamięć Marli. Ale Pani Druga Żona mocno ją zaskoczyła. Możliwe, że jadała kawior srebrną łyżką, lecz nie gardziła również chipsami.

- Cześć, Ronnie - powiedziała Marla.

- Jak się czuje twój chłopak?

Marla uśmiechnęła się do tęgiego, łysiejącego mężczyzny, który leżał na łóżku.

- Dobrze. A twój?

- Też dobrze - odparła Ronnie. Marla odniosła wrażenie, że Ronnie też się uśmiecha do swojego chłopca. Tyle że on pewnie nie spał.

- Córeczka jest z tobą? -Tak.

- Tom twierdzi, że mała to naprawdę urocza i słodka istota.

- Dziękuję. Przekażę jej to.

- Masz włączony telewizor?

- Nie, dlaczego?

- Pokazują nas właśnie na kanale dwudziestym czwartym.

- Zaczekaj. - Marla sięgnęła po pilota. Jedno kliknięcie, wędrówka po kanałach i zobaczyła na ekranie siebie i Ronnie. Stały na wyżwirowanej ścieżce nad tym przeklętym jeziorem.

Marla zauważyła z goryczą, że Ronnie - równie mokra i brudna jak ona sama

- wygląda jednak znacznie lepiej. Na ekranie pojawiła się twarz kobiety.

- Tu Christine Gwen. Przekażę teraz państwu najnowsze informacje na temat śledztwa w sprawie o morderstwo senatora Honneker. Prokurator okręgowy uwolnił Veronicę Honneker od wszelkich zarzutów, obecnie przygotowany jest akt oskarżenia przeciwko nowemu podejrzanemu. A oto, co się zdarzyło: wczoraj około południa Veronica Honneker miała zgłosić się na policję w Jackson i zostać aresztowana pod zarzutem zabicia męża. Ale zamiast tego została porwana, a wraz z nią ofiarą kidnapera padła dwudziestodwuletnia była call-girl, Marla Becker.

Na ekranie błysnęło zdjęcie.

- Mamusiu, kto to jest call-girl? - spytała Lissy.

- Ktoś, kto rozmawia za dużo przez telefon - odparła Marla. - Siedź teraz cicho.

Reporterka zakończyła opowieść o porwaniu serią zdjęć Marli i Ronnie stojących nad jeziorem i białego auta pływającego w jeziorze.

Na ostatnim widniało przykryte prześcieradłem ciało ich ofiary na noszach.

Kiedy w programie zaczęto omawiać inny temat, Marla podniosła słuchawkę do ust.

- Ronnie? -Tak?

- Wiesz, co myślę? -Co?

- Myślę, że dobrze postąpiłyśmy.

- Tak - odparła Ronnie. - Ja też tak uważam.

Na chwilę zaległa cisza. Obie delektowały się świadomością tego, że żyją.

- Pozbierasz się jakoś? - spytała w końcu Ronnie.

- Tak. - Marla uśmiechnęła się lekko. - Wczoraj odnalazłam religię, a za tydzień wyjdę chyba za mąż. Jeśli uda mi się nakłonić Jerry'ego do ożenku.

Lissy aż otworzyła buzię z radości i bezgłośnie klasnęła rękę.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Ronnie.

- A co będzie z tobą? - spytała Marla.

- Będzie dobrze. Właściwie już jest dobrze. Tak jak zawsze Tomem.

- Tak mi się też wydawało. Zanim się poznałyśmy, widziałam wasze zdjęcia.

Powiedz Tomowi ode mnie, że ma seksowny tyłek.

Lissy tańczyła po pokoju i nie słyszała.

Rozdział 57

21 września, godzina 19.10, Jackson

Tom siedział na kanapie w swoim mieszkaniu z Ronnie u boku. Ronnie oglądała właśnie w telewizji Christine Gwen, która oznajmiła całemu Missisipi, że senator Honneker nie zginął z ręki żony. Nie spuszczać wzroku z ekranu, Ronnie rozmawiała jednocześnie przez telefon ze swoją najnowszą przyjaciółką - Marlą Becker.

Ten kto powiedział, że dzięki polityce nawiązują się najdziwniejsze znajomości, niewątpliwie się nie mylił.

Kiedy odezwał się jego telefon komórkowy, Tom poszedł do kuchni, by go odebrać.

Dzwonił Alex Smitt.

- Zamierzamy oskarżyć senatora Hilleya o zabicie Honnekera. Może przekażesz tę wiadomość wdowie? Jakoś nie mogę się z nią skontaktować, choć ty chyba nie masz tego problemu.

- Powiem jej - obiecał Tom. - Będzie zadowolona, ale jednocześnie zaszokowana. Senator Hilley, powiadasz... - Tom pamiętał dokładnie, jak Hilley tańczył z Ronnie na przyjęciu u Lewisa. - Na miłość boską, dlaczego?

- Dziesiątego lipca senator Honneker zabrał senatora Hilleya, senatora Claya Arnolda z Pensylwanii

i członka Izby Reprezentantów Ralpa Smolskiego na jacht Sun Chaser. Na pokładzie były również dwie dziewczyny: Susan Martin i Claire Anson. W trakcie brutalnej zabawy seksualnej senator Hilley zabił

Susan Martin. Jej ciało wyrzucono za burtę. Pozostała trójka mężczyzn przysięgła milczenie. Senator Hilley zasugerował kompanom, że druga dziewczyna, Claire, przyjęła łapówkę za dochowanie tajemnicy. Ale nie dał

jej pieniędzy, tylko zabił, zanim zdążyła wydostać się z portu. Pomagał mu niejaki Vince Tabor. Vince nazywał siebie ogrodnikiem Hilleya. Chwalił się, że jego motto brzmi: „Jak już zakopywać, to głęboko”. Tak naprawdę był

wynajętym zbirem, który wykonywał dla senatora brudną robotę. Właśnie jego załatwiły wczoraj nasze dziewczynki.

- Sukinsyn - mruknął Tom.

- Słucham?

- Nic nie mówiłem. Co dalej?

- Najwyraźniej senator Hilley nie wierzył w dyskrecję swoich przyjaciół. A zamierzał kandydować na prezydenta. Cholera, sam chciałem na niego głosować. Tak czy inaczej Hilley kazał Vince'owi pozabijać ich wszystkich tak, żeby to wyglądało na wypadek. Senator Arnold zginął na przykład w katastrofie lotniczej, która nie była katastrofą lotniczą, a Smolski utonął

wskutek wypadku na łódce. Żaden wypadek oczywiście się nie wydarzył.

Wydaje mi się, że w przypadku Honnekera chcieli upozorować samobójstwo, ale nie wyszło. Plany wzięły w łeb przez ten wasz romans. W dodatku to pani Honneker znalazła ciało. Czasem policja daje się sprowadzić na fałszywy trop, ale, co najważniejsze, w końcu wszystko wychodzi na prostą.

- Jasne - mruknął gorzko Tom, myśląc, co przez ten czas przeżyła Ronnie.

- Prawdziwą solą w oku okazała się pani Becker. Jako współlokatorka Susan wiedziała stanowczo za dużo. Ale Vince'owi jakoś nie udawało się jej zabić.

Kiedy usłyszał telewizji, że Dan Osborn jest adwokatem Ronnie, założył mu podsłuch na telefon, by senator Hilley miał zawsze najświeższe wiadomości na temat przebiegu śledztwa. Tak więc obaj wiedzieli, że pani Becker wybiera się do kancelarii Osborna. Senator wściekł się na Vince'a za to, że oprócz Marli porwał też panią Honneker. Chyba czuł do niej słabość. Pani Becker miała po prostu zniknąć, a panią Honneker znaleźlibyśmy zapewne za kierownicą auta zepchniętego do jeziora. Sekcja wykazałaby utonięcie, zinterpretowane zapewne jako samobójstwo - winna morderstwa zabiła się z powodu grożącego jej aresztowania. Na szczęście plan nie wypalił.

- Na szczęście - powtórzył sucho Tom. - Skąd to wszystko wiecie, jeśli łaska?

- Żmudna robota śledcza - odparł ponuro Alex. I nagle dodał radośnie: - Tak naprawdę to Vince, który był kompletnym idiotą, sam nagrywał dla siebie wiadomości. Wszystko co zrobił i zamierzał zrobić, znaleźliśmy na taśmie.

Nawet przed śmiercią miał przy sobie taki mikroskopijny magnetofonik.

Leżał na brzegu, razem z ubraniem i butami, nieopodal miejsca, gdzie Vince wskoczył do wody, żeby zabić Marłę i Ronnie. Hilley poinstruował go dokładnie, co należy z nimi zrobić. Ten debil nagrał na taśmie całą rozmowę.

- Więc nie ma wątpliwości co do jego winy?

- Żadnych. Dysponujemy nawet zdjęciem całej trójki: Honneker, Hilley, Arnold i Smolski są na nim w towarzystwie Claire Anson. Susan Martin pstryknęła je polaroidem i przesłała faksem odbitkę Marli Becker w noc morderstwa. Znaleźliśmy ten faks w gazetach... Kompletnie o nim zapomniała. Vince przerył na wylot całe mieszkanie pani Becker, ale niczego nie odkrył.

- Cieszę się, że tym razem nie macie wątpliwości.

- Ja też. No cóż, śpij dobrze.

- Ty również.

- Aha, na twoim miejscu zachowałbym ostrożność. Ty wiesz, co one zrobiły Vince'owi... są naprawdę przerażające.

- Idź do diabła, Alex - mruknął Tom i odwiesił słuchawkę. Wchodząc do salonu, uśmiechał się do siebie tajemniczo.

Rozdział 58

21 września, godzina 19.15

-Muszę cię poinformować w imieniu Marli, że masz świetny tyłek -

powiedziała Ronnie, gdy do Tom wszedł do pokoju.

- Następnym razem przekaz jej moje podziękowania. -Tom opadł na kanapę obok, a Ronnie oparła mu głowę na ramieniu. Podobnie jak Ronnie, Tom miał na sobie dzinsy, podkoszulek i był bosy. Na kolację zjedli pizzę i świetnie się bawili, siedząc na kanapie i oglądając telewizję.

- Z kim rozmawiałaś? - spytała Ronnie. Zerknęła na ekran tylko jednym okiem. Tak naprawdę delektowała się czasem. Czasem, który mogła wykorzystać na to, by patrzeć na Toma, rozmawiać z nim, dotykać go...

Czasem na głupie żarty, kłótnie i makijaż. Po prostu czasem.

- Z Alexem Smittem. - Tom powtórzył Ronnie rozmowę z detektywem.

- Nie wierzę! - wyjąkała Ronnie. - Hilley? Jeden z najlepszych przyjaciół

Lewisa?

- Tak, okazuje się, że bardzo zależało mu na tym, by zostać prezydentem.

Polityka czasem tak działa na ludzi. Kiedy zyskują władzę, pragną jej coraz więcej i więcej.

- Bardzo mi żal Lewisa - powiedziała cicho Ronnie. - Był dobrym człowiekiem, choć kiepskim mężem. Nie zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Przez chwilę milczeli. Na ekranie pojawiła się znów Christine Gwen, reklamująca kolejny blok najświeższych wiadomości na temat skandalu.

Audycję zaplanowano na następny dzień. Ronnie aż się wzdrygnęła. Nie chciała nigdy więcej przechodzić przez tę udrękę.

- Co się stało? - Tom popatrzył na nią pytająco.

- Cieszę się, że już po wszystkim.

- Ja też. - Quinlan wysunął ramię zza głowy Ronnie, ujął jej dłoń i podniósł ją do ust. - Proszę mi powiedzieć, pani Honneker, jakie są pani plany na resztę życia?

Ronnie uśmiechnęła się do niego.

- Nie wiem. Marla na przykład wychodzi za mąż.

Tom przycisnął jej rękę do swego policzka i ucałował wnętrze delikatnej dłoni. A potem spokojnie popatrzył na Ronnie.

- Nie mam pieniędzy - powiedział.

- Zapłaciłeś za pizzę - zaoponowała z uśmiechem. - Nie możesz być kompletnym bankrutem.

- Mówię poważnie. - Uniósł jej dłoń tak, że w wielkim brylancie pierścionka, który dostała od Lewisa, błysnęło światło. - Nie stać mnie na nic takiego.

- Byłam żoną człowieka, który mógł sobie na to pozwolić. Mógł i kupić.

Kupił mi także inną drogą biżuterię, bardzo dużo strojów. Miał trzy fantastyczne domy i tyle aut, że straciłam rachubę, i...

- Co ty chcesz zrobić? Nauczyć mnie tego na pamięć? - spytał Tom, puszczając jej dłoń. Wyciągnął wygodnie ramiona wzdłuż oparcia kanapy i przeniósł uwagę na telewizor.

- Nie, chcę ci tylko przypomnieć, że poślubiłam mężczyznę zdolnego zapewnić mi te wszystkie rzeczy, ale wcale nie byłam z nim szczęśliwa. Nie kochałam go, Tom. Ale Kocham ciebie.

Popatrzył na nią z ukosa i wykrzywił wargi w uśmiechu.

- Pochlebcy.

Ronnie odwzajemniła uśmiech, przytuliła się do Toma i położyła mu rękę na piersi. Drugą wsunęła mu pod plecy.

- Rozplakałeś się, kiedy groziło mi więzienie. Zmarszczył brwi. Czuł się najwyraźniej niezręcznie.

- Jak często będziesz mi o tym przypominać?

- Nawet bardzo często, jeśli nie przejdiesz od razu do rzeczy.

- To znaczy?

- Tam, dokąd zmierzała ta rozmowa, kiedy oświadczyłeś, że nie masz pieniędzy.

- Myślałem, że powinnaś to wiedzieć.

- Tom... - Zmrużyła oczy, a Quinlan objął ją w talii.

- Byłem po prostu ciekaw, gdzie będziesz mieszkać. Jeśli nie wpadłaś na lepszy pomysł, wprowadź się do mnie.

- To bardzo miłe z twojej strony.

- Z tego, co mówi Dan, wynika, że odziedziczysz przynajmniej jedną trzecią majątku senatora. Miliony dolarów. Jesteś bogatą kobietą, Ronnie.

- Więc może kupię dom. I to ty wprowadzisz się do mnie.

Tom patrzył na nią w milczeniu. Uśmiechał się, ale coś poza tym uśmiechem wprawiało ją w niepokój. W spojrzeniu Toma krył się jakiś rodzaj cierpienia.

- Kocham cię - powiedział.

Ronnie dotknęła czubkiem palca jego nosa.

- Dochodzisz do sedna sprawy - powiedziała. - Kontynuuj.

- To znaczy co?

- Wiesz co. Kontynuuj.

Patrzył na nią spokojnie przez chwilę. Napotkała jego wzrok i pokręciła głową.

- Na miłość boską, Tom, przestaniesz się wreszcie wygłupiać i wyrzucisz to z siebie?

- Usiłuję cię chronić - mruknął, krzywiąc usta.

- Więc przestań. Sama potrafię o siebie zadbać, dziękuję. Jestem w tobie do szaleństwa zakochana i jeśli nie powiesz tego, co zamierzałeś powiedzieć przed kwadransem, uduszę cię gołymi rękami.

Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej.

- Jesteś we mnie do szaleństwa zakochana, tak? Bardzo mi się to podoba, kochanie.

- A ja lubię sposób, w jaki wymawiasz ten wyraz. Kochanie. - Pocałowała go szybko w usta. - Bardzo seksownie.

- Chryste, kocham cię. - Ból zniknął nagle z jego oczu. - Dobrze, Ronnie, poddaję się. Wyjdiesz za mnie?

- Tak - powiedziała. - Tak, tak, tak.

Pocałował ją w usta, a potem wziął na ręce i zaniósł do sypialni.

Gdy położył ją na łóżku, promień księżyca przedostał się jakoś do sypialni przez szparę w zasłonach i błysnął w fasetach pierścionka. Jaskrawe światelko zwróciło uwagę Ronnie, lecz w tej samej chwili Tom popatrzył jej prosto w twarz.

Blask brylantu stracił jakiegokolwiek znaczenie w porównaniu ze światłem miłości w jego oczach.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)